



Grzegorz Sroczyński

# ŚWIAT SIĘ CHWIEJE

20 rozmów o tym, co z nami dalej

# SPIS TREŚCI

## ZMIANA

## WOLNOŚĆ

MARCIN KRÓL Byliśmy głupi

ANDRZEJ LEDER Folwark polski

MARCIN BAJKO Jak znikają szkolne boiska

MAREK W. KOZAK Co wymyśli chodnik

JAN KRZYSZTOF BIELECKI Jak kusi kasa. Spowiedź liberała

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI Tęsknię za facetami w swetrach

KAROL MODZELEWSKI Wkurzył się pan? Świetnie!

## RÓWNOŚĆ

JANUSZ FILIPIAK Milioner ma wyglądać na milionera

HENRYKA BOCHNIARZ Etatów nie będzie

ELŻBIETA MAĆZYŃSKA Równiej

KRZYSZTOF JASIECKI O czym myślą polscy bogacze

JERZY HAUSNER Zaufamy lub przegramy

PIOTR KUCZYŃSKI Mamy za dużo kasy

STANISŁAW OWSIAK Coś się zapchało

## BRATERSTWO

JANINA OCHOJSKA Czy jesteś dobrym człowiekiem?

PIOTR IKONOWICZ Muszę się trochę kurczyć

LEOKADIA OREŻIAK Nie wszystko zrobisz sam

MIROSŁAW SIELATYCKI Szkoły niegrodzone

JOANNA BOCHNIARZ Zmiana

DOROTA WELLMAN Nic w tej sprawie nie zrobiłaś, Doroto!

Kiedy czytam swoje dawne teksty, często czuję zażenowanie. „Jak coś tak głupiego mogłem napisać?! Jak mogłem tak myśleć?!” Wiem ze środowiskowych rozmów, że to uczucie dotyka wielu dziennikarzy i publicystów. Świat pędzi dziś zbyt szybko, a nasze rozumienie świata zmienia się za wolno. W tak niestabilnej rzeczywistości nieustanna gotowość do zmiany poglądów staje się dziennikarskim obowiązkiem.

Żeby móc zadać pytania, które w tych wywiadach zadaję, musiałem bardzo zmienić własne myślenie. Pożegnać się z poglądem podstawowym, wciąż rozpowszechnionym w pokoleniu czterdziestolatków, że wszystko idzie dobrze, a w przyszłości będzie jeszcze lepiej, wolny rynek i wzrost PKB automatycznie sprawią, że dobrobyt i liberalna demokracja zapanują na całym świecie.

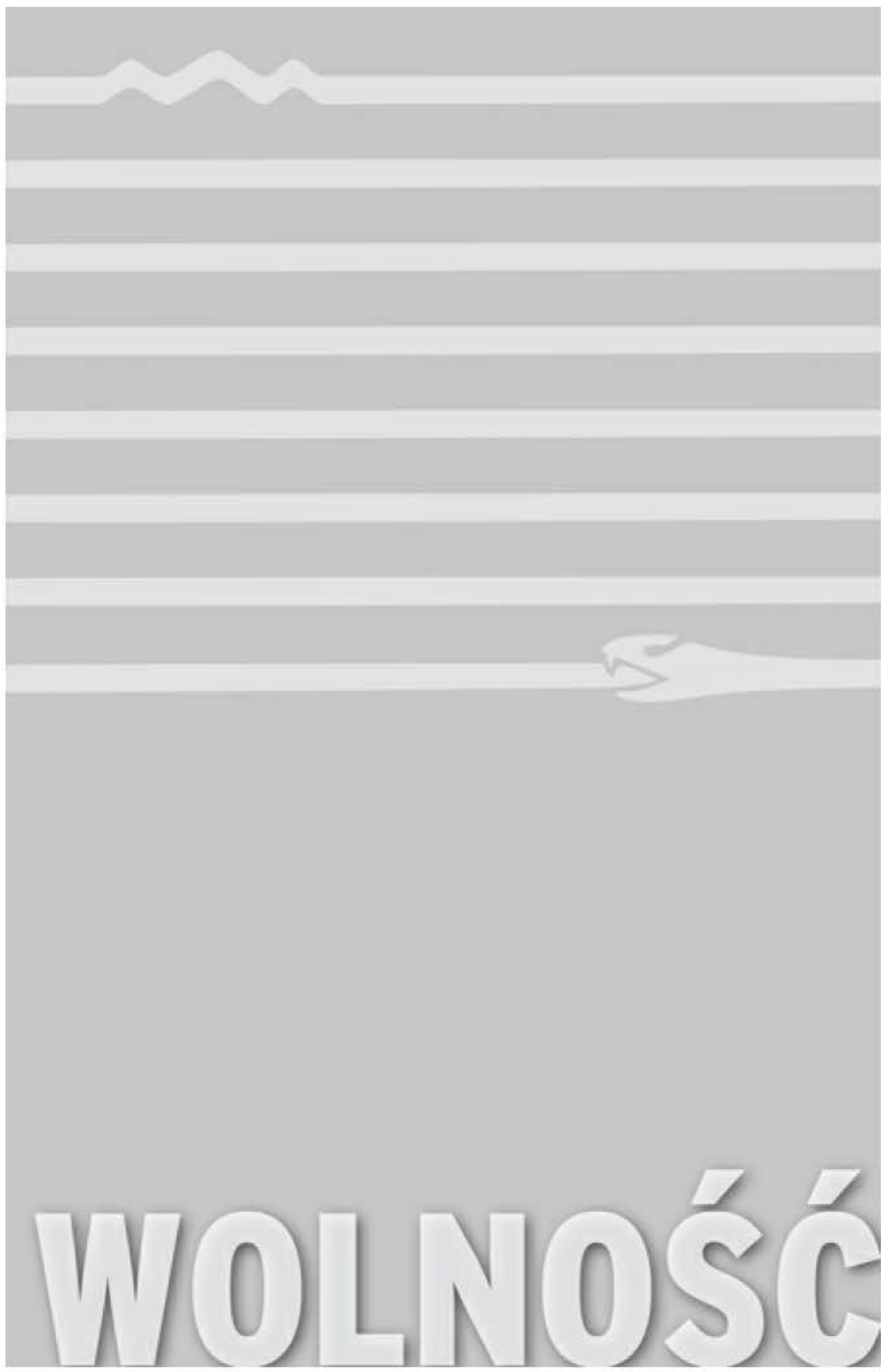
Co się stało, że moja pogodna (i wygodna) wiara w postęp legła w gruzach? Ważny był oczywiście szok 2008 roku, załamanie się międzynarodowej piramidy kredytów, wybuch kryzysu. Ważne były przesłuchania prezesów banków przed Kongresem USA, które pokazały dramatyczną beztroskę ludzi zarządzających światowymi finansami. Kiedy szef Goldman Sachs zadowolony z siebie mówił: „Robimy robotę Boga”, miliony ludzi przecierały oczy ze zdumienia. Kiedy potężny prezes Fed tłumaczył, że nie rozumie, co się właściwie stało, bo „odkrył dziurę w swojej ideologii”, traciliśmy złudzenia. „A więc tak wygląda ten ich cały profesjonalizm” – myślałem razem z innymi.

Ale najważniejszy był historyk Tony Judt. Jego znakomite książki otworzyły mi w głowie nowe kosmosy. Pierwsza, jaką przeczytałem – pamiętam jak dziś – zaczynała się od zdania: „W naszym obecnym sposobie życia jest coś głęboko błędnego”. Czasem mam wrażenie, że to, co robię teraz jako dziennikarz, jest po prostu rozwijaniem tego zdania w różnych wariantach. Mylimy się w bardzo wielu kwestiach, które uważamy za oczywiste. A w Polsce – z powodu braku poważnej debaty publicznej i poważnych polityków – mylimy się jeszcze bardziej.

Trzeba starać się być wiernym własnemu systemowi wartości, ale nie warto – na siłę – poglądom. Bo często pasują one do świata, który już przeminął. Susan Sontag mówiła o tym tak: „Najgorsze dla mnie samej byłoby uświadomienie sobie, że zgadzam się z tezami, które kiedyś wygłosiłam i napisałam. Czułabym się z tym bardzo niekomfortowo, ponieważ znaczyłoby to, że przestałam myśleć”

**Grzegorz Sroczyński**

PS „Gazeta Wyborcza” pozwala mi pracować, nad czym chcę, jak chcę i kiedy chcę. Gdybym pracował w jakimś innym miejscu i był zmuszany do nerwowego produkowania tzw. kontentu, te rozmowy nigdy by nie powstały. Ola, Włodek, Piotr, Jarek, dziękuję.



**WOLNOŚĆ**

# Byliśmy głupi

---

## Rozmowa z MARCINEM KRÓLEM

**MARCIN KRÓL (1944)** jest filozofem i historykiem idei. W marcu 1968 roku jako doktorant na UW brał udział w studenckich protestach, został aresztowany. W latach siedemdziesiątych pracował w PAN i redagował podziemne czasopismo „Res Publica”, pisał też do paryskiej „Kultury”. W czasie „Solidarności” doradca Regionu Mazowsze. W 1989 roku uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu, potem zaangażował się w kampanię prezydencką Tadeusza Mazowieckiego, w końcu jednak zrezygnował z polityki. Był dziekanem na UW, zasiadał w zarządzie Fundacji Batorego. Wykłada, pisze książki (ostatnio wydał m.in. „Europę w obliczu końca”).

### **Będzie wojna?**

– Taka z przemarszami wojsk? Nie będzie.

### **Rewolucja?**

– Coś.

**„Istotne zdarzenie o charakterze wstrząsowym” – tak to „coś” nazwał pan w książce „Europa w obliczu końca”.**

– Miała nosić tytuł „Lepiej nie będzie”, bo jestem skrajnym pesymistą. Na przekór powszechnej beztrosce, że w gruncie rzeczy nie jest źle, kryzys mija, jeszcze raz się udało. Otóż jest źle i prędzej czy później sprawy tego świata zapukają do naszych drzwi. No, może do moich już nie, ale na pewno do pańskich.

O czym wszyscy w Europie marzą? Żeby wrócić do stanu sprzed 2008 roku, czyli że PKB rośnie kilka procent, jednym krajom trochę mniej, innym trochę więcej. Ale nawet jeśli się uda osiągnąć ten miły stan, a pewnie się uda, problemów to nie rozwiąże. Prawie cały wzrost i tak wchłania kasta zamożnych, bezrobocia właściwie to już nie zmniejsza, albo zmniejsza nieznacznie, i są to miejsca pracy śmieciowe, rozwarstwienie majątkowe sięga rozmiarów, które jeszcze niedawno uznalibyśmy za skandal, a upadek solidarności społecznej jest dramatyczny. My jednak wciąż roimy sobie, że da się ten system jakoś uklepać i będzie dobrze. W pewnym sensie na poziomie europejskim sprawdza się idiotyczna teoria o końcu historii rozpropagowana przez Fukuyamę. Skoro demokracja liberalna to ostateczny etap rozwoju ludzkości, no to będzie trwać sama z siebie, ot tak, nie trzeba sobie tym głowy zawracać. Świat może nie jest idealny, ale jednak znośny, wystarczy go skorygować, posprzątać, tu i ówdzie pogmerać, żeby rosło 4 procent, a nie 3, i jakoś przetrwamy. Nic złego już się nie wydarzy. I to właśnie jest bardzo groźne.

### **Bo?**

– Bo jak się zdarzy to „coś”, to możemy wisieć na latarniach. Po prostu. Nic nie robiąc, hodujemy siły, które zmienią świat po swojemu. I nie będą negocjować.

### **Kto?**

– Choćby nacjonałiści. Przecież idzie ta fala w Europie.

Żeby demokracja liberalna przetrwała najbliższe pięćdziesiąt lat, muszą zajść bardzo istotne zmiany polegające na odzyskaniu idei równości w jakiejś sensownej formie, co nie jest proste i nikt nie wie, jak to robić. Ja w każdym razie nie wiem. Wiem tylko, że żyjemy w świecie, gdzie osiemdziesiąt pięć osób ma majątek większy niż połowa ludzkości, czyli 3,5 miliarda ludzi. Sytuacja absolutnie chora.

Nigdy w czasie swojego życia nie byłem panikarzem, nawet jak mnie Gomułka w 1968 roku wsadzał do więzienia, uważałem, że wszystko się dobrze skończy. A dzisiaj po raz pierwszy czuję strach, że nie będzie happy endu. I napisałem ponurą książkę, żeby tym strachem ludzi pozarażać. Może to kogoś ruszy. Skończymy marnie, jeśli rozsądni ludzie nie podejmą uniwersalnych ideałów – równości i braterstwa.

### **To coś nowego.**

– Nowego? Stare hasła. Wolność, równość, braterstwo.

**Tak. Tyle że z tej triady pańskie pokolenie wybrało wolność i głównie o niej nam mówiło. Wolni i przedsiębiorczy ludzie sami sobie świetnie poradzą, byle im nie przeszkadzać. Kwartalnik „Res Publica”, którym pan kierował, pełen był takich**

## **tekstów.**

– Głupi byliśmy.

W latach osiemdziesiątych zaraził się ideologią neoliberalizmu, rzeczywiście sporo się tutaj zasłużyłem, namawiałem do tego Tuska, Bieleckiego, całe to gdańskie towarzystwo. Pisma Hayeka im pracowicie podtykałem. Mieliśmy podobne poglądy z Balcerowiczem, dzisiaj się rozjechaliśmy.

Wygasł we mnie ten zapal dość szybko. Zorientowałem się, że w liberalizmie zaczyna dominować składnik indywidualizmu, który po kolei wypiera inne ważne wartości i zabija wspólnotę. To zresztą łatwo wyjaśnić. Indywidualizm ma bardzo mocne wsparcie ze strony sił wolnego rynku, który na indywidualistycznym modelu życia zbija pieniądze. Natomiast wartości społeczne i obywatelskie, solidarność, współdziałanie nie mają takiego dopalacza. One są „nieefektywne” z punktu widzenia ekonomii.

Zapanowało złudzenie, że każdy człowiek może żyć osobno, w ramach swojej osobistej wolności gdzieś tam pracować, zarabiać możliwie jak najwięcej, używać życia jak najwięcej, a ktoś tam będzie nami rządził. Można się zająć własnymi przyjemnościami, a nie zawracać sobie głowy sprawami tego świata.

## **Przyjemne życie.**

– Ma to swoją ideologię od ponad dwustu lat, powstało tysiąc książek na ten temat, tylko nikt nie ma odwagi nazwać tego absolutyzmem oświeconym. Ale tak naprawdę o to chodzi.

Amerykański modny politolog Fareed Zakaria przekonuje, że demokracja przeszkadza dziś w rządzeniu. Politycy marnują energię na umizgi wobec wyborców, a mogliby się przecież zająć poważniejszymi sprawami, dalekosiężnymi reformami najlepiej. Powinno więc być mniej demokracji, a jeszcze więcej liberalizmu. Niech ludzie mają pełną wolność w swoich domach, w łóżkach, przed telewizorami, niech tam robią, co chcą, aby tylko się nie wtrącali do polityki. Bo przecież polityka wymaga ekspertów, sprawy współczesnego świata są okropnie skomplikowane.

## **Są.**

– Pewnie. Nawet tak z pozoru banalna sprawa jak nasze polskie OFE. Nie mam zdania na ten temat. Pan ma?

## **Mam.**

– No to dziwne. Bo rozsądny człowiek nie może mieć zdania o OFE. Można mieć emocje i uczucia z tym związane. I gwałtownie je wyrażać. Ale zdanie to mogą mieć



ekonomiści, eksperci. I nie wierzę im jak psom.

## **Bo?**

– Bo jeden pracował w banku, który jest właścicielem OFE, inny po prostu doradza OFE i się bezczelnie wypowiada, a trzeci nie chce sobie robić kłopotów w środowisku i uchodzić za oszołoma, więc mówi to samo co tamci dwaj.

To jest świetny przykład pokazujący główny problem, który kiedyś doprowadzi do rewolucji. Bo już wiele razy doprowadzał. Otóż gdyby było możliwe coś takiego jak demokratyczny absolutyzm oświecony czy też – jak chce Zakaria – liberalizm bez demokracji, to byłoby świetnie.

## **Czyli że rządzą mądrzy eksperci.**

– Tak. Oczywiście głosujemy w jakichś tam wyborach, ale ma to drugorzędne znaczenie, bo ktoś tam na górze w instytucjach finansowych, gospodarczych i nadzorujących czuwa. Zresztą przecież w tym kierunku wszystko szło. I by działało, gdyby eksperci mogli być kompetentni, niezawodni i wiedzieli, co trzeba robić. Kryzys nie dlatego wstrząsnął światem, że padły giełdy i przyszła recesja. Wstrząsnął, bo okazało się, że eksperci to jest całkowita fikcja. Najważniejsze instytucje gospodarcze i banki centralne okazały się dziećmi we mgle. Miesiąc przed krachem dawały greckim obligacjom wiarygodność AAA!

Można powiedzieć, że odzyskaliśmy historię. I to jest korzyść.

## **Czyli?**

– Świat nie będzie tak sam z siebie działał, a my w domach pod pierzyną. To jest lekcja z kryzysu.

Zbigniew Brzeziński pisał trzydzieści lat temu bardzo uczciwie: pewnych rzeczy po prostu się nie wie. Nawet jeśli się jest doradcą prezydenta USA i ma dostęp do tajnych źródeł informacji. Czy stawiać na energię odnawialną, czy atomową? Czy gaz łupkowy się opłaci i jaki będzie miał wpływ na środowisko? Wie pan to? Nie wie pan! A czy eksperci to wiedzą? Też nie wiedzą, chociaż udają, że wiedzą.

Jestem pewny, że tacy ludzie jak Jan Krzysztof Bielecki czy inni podobni uważają w gruncie rzeczy, że lepiej by się rządziło, gdyby nikt się im nie wtrącał.

## **Pański uczeń. Wierny czytelnik „Res Publici”.**

– Kiedyś.

Zapomnieliśmy, co to jest prawdziwa polityka. Ona nie polega na administrowaniu rzeczywistością przez ekspertów, ale na podejmowaniu decyzji niepewnych. Polityka to sfera ryzyka. Gdy trzeba na coś postawić, ale bardziej kierując się nosem, intuicją.

Piszę nową książkę, w której próbuję pokazać, na czym polegała umiejętność uprawiania polityki. Prawdziwej polityki. Takiej, która zmieniała świat w kierunku nie do końca jasnym. To będzie o wielkich ludziach, którzy umieli to robić.

### **Czyli?**

– Richelieu, Bismarck, Churchill, de Gaulle. Piłsudskiego wykreśliłem.

### **Bo?**

– Był geniuszem, ale II RP mu się jednak nie udało. Kraj z dzielnicami robotniczych slumsów, chłopami głodującymi na przednówku i gettem ławkowym na uniwersytetach.

Weźmy Churchilla. Z najwyższym trudem przewalczył, żeby po klęsce Francji wypowiedzieć wojnę Hitlerowi, bo większość polityków brytyjskich była za zawarciem pokoju. Hitler nie chciał atakować Anglii, kochał ją w gruncie rzeczy. I Bóg raczy wiedzieć, z czego wynikała decyzja Churchilla, przecież nie wiedział, że wygra, miał jedynie swoje intelektualne i moralne preferencje. Postawił na swoim. Ale gdyby słuchał ekspertów, toby zawarł pokój. Tak samo gdyby miał „demokrację deliberatywną” – to ostatnio modny idiotyzm – wtedy by zrobił szybkie referendum i też zawarł pokój.

### **No ale o czym to ma świadczyć? Że eksperci są be i demokratyczne głosowanie też jest be?**

– Nie. To świadczy wyłącznie o tym, że nie ma polityki bez osób wybitnych. Politykę robią jednostki, które pojawiają się nie wiadomo dlaczego, nie wiadomo skąd i zmieniają bieg historii. Gdyby nie Monnet, który wpłynął na Schumana, nie byłoby Wspólnoty Węgla i Stali, a potem zjednoczonej Europy.

Nie ma nieuchronnych praw historii. Jesteśmy my, ludzie. I jest przypadek.

Demokracja liberalna to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. I prawa człowieka tak samo. Być może to, że zakazaliśmy tortur, to tylko miły przerywnik w dziejach. Nie jest to zwieńczenie jakiegoś naturalnego procesu rozwoju ludzkości, jak sobie roił Fukuyama i paru innych wcześniej.

### **Mało to krzepiące, że prawa człowieka są tylko przypadkiem.**

– Zgoda. Ale jeśli tak pan o tym pomyśli, to przestaje pan siedzieć przed telewizorem i pić piwo. Bo skoro to zbieg okoliczności, a nie nieuchronny etap rozwoju, to może trzeba się zacząć interesować, w jakim to wszystko idzie kierunku, prawda? Nie załatwią tego za pana ani eksperci, ani prawa dziejowe, ani nawet fatum wolnego rynku. Musi pan sam.

W tym czymś, co dzisiaj nazywamy polityką, nie ma wybitnych jednostek. Z jakiegoś powodu selekcja do polityki jest negatywna, pewnie dlatego, że lubimy wybierać ludzi takich jak my sami. A potem dostajemy od nich dokładnie to, czego nieświadomie pragniemy – dawkę środka usypiającego. No, może nie jest super, ale jakoś tam idzie, ktoś mniej więcej wie, co robić. Otóż przykra informacja na dziś brzmi, że obecnie nikt nie wie, co robić. A już na pewno nie oni.

Tuska osobiście bardzo lubię, bo jest inteligentny i czyta książki. Co prawda głównie historyczne, no ale jednak czyta, co niewielu politykom się zdarza. Publicyści wciąż narzekają, że on nie ma wizji. Oczywiście. Tak samo nie ma jak Merkel, Cameron, Hollande, to są tej samej klasy politycy. Zarządcy masy upadłościowej, specjaliści od gmerania, a nie żadni wizjonerzy. Na razie są dobrzy, ale jak w końcu przyjdzie to „coś”, wtedy nas nie uratują.

### **„Coś”, czyli co? Bo ciągle nie wiem.**

– I się pan nie dowie, póki nie nadejdzie.

Jest granica, której nie da się wytyczyć przy pomocy ekspertów, ale ona co jakiś czas się ujawnia. Granica – najogólniej mówiąc – niesprawiedliwości. I tak to sobie trwa i trwa, aż pojawia się iskra i następuje wstrząs.

### **Rewolucja.**

– Zmiana.

Bunt dużej grupy ludzi, którym niepotrzebnie stworzono nadzieję. Bo społeczeństwo stwarza dziś nadzieję, daje obietnicę i jednocześnie nie umie się z niej wywiązać. Na tak masową skalę nie było tego nigdy wcześniej. Edukuje się miliony ludzi, pokazuje im powab świata, puszcza seriale i wciska do rąk poradniki, które krzyczą: „możesz więcej”, „rozwijaj się”, „ulepszaj”, „żyj pełną piersią”. A następnie pokazuje im się figę z makiem.

Dopóki klasy społeczne były otwarte i istniała powszechna szansa na awans, to działało. Ale z tym jest coraz gorzej. Ameryka przez długi czas ratowała się mitem self-made mana. Człowieka, który własną ciężką pracą osiągnął wysoki status społeczny, bogactwo i może się teraz z tym obnosić, jeździć rolls-royce'em, kupować wille i jachty. Nawet jeśli mu zazdroścę, to nie mam do niego pretensji.

### **Bo widzę w bogaczu siebie za lat, powiedzmy, trzydzieści.**

– Otóż to. Nadzieja. To był mechanizm, który pozwalał znosić ludziom bez szemrania rosnące rozwarstwienie. Ale on przestaje działać. Bo przepaść stała się tak duża, że choćbym nie wiem jak długi wziął rozbieg, to nie przeskoczę.

**Z pańskiej książki: „Mamy do czynienia z umiarkowanym kryzysem gospodarczym, poważnym kryzysem politycznym, dramatycznym kryzysem cywilizacyjnym i być może śmiertelnym kryzysem duchowym”. Co to jest śmiertelny kryzys duchowy?**

– Przestaliśmy stawiać sobie pytania.

**Jakie?**

– Metafizyczne. Nikt nie rozważa na przykład, skąd się bierze zło. To pytanie było źródłem intelektualnego postępu Europy przez osiemnaście stuleci.

Przyjaźniłem się z Adamem Michnikiem, potem mieliśmy różne przejścia, no ale teraz znów jest w porządku i rozmawiamy czasem o sprawach ważnych. On jest chyba ostatnim naczelnym w Europie, który próbuje wepchnąć do codziennej gazety czterokolumnowy tekst intelektualisty węgierskiego Jánosa Kisa. Ja to oczywiście czytam, ale łapię się jednocześnie na myśli, że nawet mnie, człowiekowi wychowanemu w świecie pisma, takie rzeczy wydają się w codziennej gazecie nie na miejscu. I to nie jest wina Kisa czy Michnika, tylko moja. Bo po prostu zgłupiałem tak samo jak reszta świata.

Źródłem wszystkich naszych problemów jest upadek myślenia. W gruncie rzeczy o to chodzi. Myślenia, które traktowało samo siebie nieprawdopodobnie poważnie. Skupić się i przeczytać cztery kolumny czegoś istotnego bez żarcików, przerywników, czegoś, co nie zostało umajone atrakcyjnymi zdjęciami, filmikiem – to jest dziś wyczyn jak wyprawa na Marsa.

Moja przewodniczka po życiu duchowym Hannah Arendt uważała, że myślenie to jest najpoważniejsza rzecz pod słońcem i jeśli nie traktuje się go serio, to nie rozumie się świata. A dzisiaj nie traktujemy poważnie myślenia, ono jest jeszcze jedną rozrywką w rynkowej ofercie. Miłym sposobem spędzenia czasu. Dostaję z wydawnictw bezpłatne egzemplarze tych wszystkich książek: a to o tym, jak powstał Singapur, a następnego dnia o pierwocinach jakichś roślin, innym razem tajna historia rosyjskich służb specjalnych, a potem jeszcze jakiś poradnik psychologiczny.

**I co w tym złego?**

– Nic. Tyle że to jest niepoważne. To ma nam jedynie umilić czas – bo może do tego Singapuru pojedę w następne wakacje? A może fajnie się będzie pochwalić znajomym, że znam te dziwne rośliny podwodne albo wiem, dlaczego Lenin dostał wylewu. Plotki i błażostki ubrane w kostium poważnych książek.

**A poważna książka to co by to miało być?**

– Filozofia na przykład. Nietzsche na przykład. Albo dobra powieść, która potrafi odmienić los człowieka: „Czarodziejska góra” Manna, „Lord Jim” Conrada. Literatura, która konfrontuje pana z fundamentalnym pytaniem: po co żyjesz?

### **Jak żyć? – pytanie paprykarza.**

– Nie! „Jak żyć?” to właśnie typowe pytanie współczesne. Znajdzie je pan – wraz ze wszystkimi możliwymi odpowiedziami – w tysiącach poradników, które zalegają w księgarniach. Nieustanne pytanie: „Jak żyć?”, wynika z fałszywego przekonania, że można osiągnąć instrukcję obsługi życia, w punktach się do niej zastosować i w gruncie rzeczy zwolnić z myślenia. Czyli kolejny raz lądujemy w ramionach ekspertów, którzy mają wziąć od nas ciężar odpowiedzialności.

Nie pytajmy: „Jak żyć?”, ale: „Po co?”. To jest pytanie najbardziej podstawowe, które przestaliśmy stawiać.

### **„Ości” pan czytał?**

– To, zdaje się, jakaś modna powieść Karpowicza. Cała Warszawa się zachwycała.

**Tam jest opis inteligenckiego domu. Spodoba się panu: „Na najwyższej półce, do której już się nie sięga, stali Dostojewski i Conrad. Pisarze odpowiadający na pytania, których już nie ma”.**

– To prawda.

Czym jest honor? Czym jest sumienie? Co to znaczy odpowiedzialność w życiu prywatnym i publicznym?

### **Może na te wielkie pytania nie ma odpowiedzi i my to po prostu wiemy?**

– Oczywiście. Odpowiedzi ostatecznych nie da się znaleźć. Ale sens życia na tym polegał, że się ich szukało. Dziś człowiek uważa, że skoro nie ma odpowiedzi, no to co sobie będzie zawracać głowę pytaniem, skąd zło.

**Zawsze tak było. Zawsze większość ludzi krzątała się wokół swoich spraw i nie pytała, skąd zło albo po co żyć.**

– Jest istotna różnica. Zaczęliśmy od Flauberta, którego wziął pan z półki. Dramat Madame Bovary, Juliana Sorela, bohaterów Conrada – w odróżnieniu od naszych dramatów – polegał na tym, że byli ludźmi, którzy zdawali sobie sprawę z konsekwencji swoich czynów. To, czy czynili dobrze, czy źle, słusznie, zgodnie ze zobowiązaniami, jakie złożyli innym, to były dla nich pytania zasadnicze, na które musieli sobie odpowiedzieć, a brak odpowiedzi był źródłem przeżyć i wielkich cierpień. Dzisiaj brak odpowiedzi nie boli.

## **Dlaczego stawianie pytań jest takie ważne? PKB od tego nie wzrośnie.**

– Stawianie podstawowych pytań pozwala mi formułować cele, a więc żyć w świecie, który kształtuję, a nie w świecie, do którego się dostosowuję. My się już tylko dostosowujemy, co widać właśnie po rosnącej ilości poradnictwa wszelkiej maści. W możliwość radykalnej zmiany świata przestaliśmy wierzyć. Bezrobocie? Przecież ono jest strukturalne, niewiele się da z nim zrobić. Rozwarstwienie społeczne? To nieodłączny element rynku, trudno, co robić. Niskie płace? No cóż, taki mamy rynek pracy. I tak dalej.

Naszą niemoc widać też po braku jakiegokolwiek myślenia utopijnego, ideologicznego. Nikt nie projektuje świata na nowo.

## **Stawianie ważnych pytań. Wymyślanie utopii. Dyskutowanie o ideach. Produkowanie nowych idei. Czyje to jest zadanie?**

– Moje. Psi obowiązek intelektualistów.

## **No i?**

– Dlaczego nie spełniamy swojego psiego obowiązku? Bo została zerwana komunikacja między polityką, mediami i światem ducha.

## **Przez kogo?**

– Przez wszystkich.

Nie warto pisać dla polityków poważnych tekstów, bo oni ich nie czytają. Żaden polityk w żadnym kraju nie radzi się filozofów. Michael Sandel opowiadał mi, że Obama go namówił, żeby został doradcą w jakimś gremium, ale potem nie było ani jednego spotkania. Polityka to już nie jest zmienianie świata, tylko bieżące administrowanie i utrzymywanie stanu możliwego do zniesienia dla wyborców. No to po co do tego filozof?

Media też reagują wyłącznie na rzeczy bieżące, a moje apele, żeby przez rok coś opisywać, kończą się na gadaniu.

## **No dobrze. Politycy winni, media winne. A wy?**

– Poczuliśmy się nieważni, więc staliśmy się nieważni. Bo to tak działa.

## **Pan też?**

– Też. Marginalizacja myślenia następowała w Polsce w sposób szybki i fantastyczny. Po 1989 roku wystarczyło kilka lat i nikogo już nie interesowały poważne teksty. Widziałem to, redagując „Res Publicę”



**Pan pisze tak: „W wolnej Polsce nie udało nam się ani w »Res Publice«, ani nikomu innemu w żadnym innym miejscu doprowadzić do ani jednej publicznej debaty, która dotyczyłaby problemów naprawdę istotnych”. Aż tak?**

– Oczywiście. Wszystkie debaty, które nas obecnie rozpalają, kręcą się wokół – za przepszeniem – dupy i okolic. Dotyczą kwestii związanych z moralnością seksualną. A to nie jest centrum społecznego życia, łącznie z taką poważną sprawą jak aborcja. Postępowe elity zajęły się nierównościami płciowymi i seksualnymi, a zupełnie straciły z oczu proste nierówności ekonomiczne, które są skandalem. Bo co się będziemy zajmować jakimiś dziewiętnastowiecznymi kategoriami społecznymi, mamy nowsze, ciekawsze. Zwykłych ludzi z ich zwykłymi problemami oddaliśmy w ten sposób na pastwę zidiociałej prawicy, która obieca im wszystko.

**Pisze pan: „Żadne analizy, opisy lub wezwania nie sprawiły, żeby jakakolwiek władza jasno dostrzegła ogrom polskiej biedy, rozmiary oszustwa politycznego i gospodarczego, a następnie próbowała podjąć te problemy”. Podtrzymuje pan?**

– Nic się nie zmieniło.

**To dalej: „Polska jest krajem brutalnych i głębokich różnic. Jak potem włączam telewizor i widzę, o co są spory, to widzę całkowity brak elementarnej ludzkiej solidarności”. Tak?**

– Oczywiście.

**Tę wolną Polskę – z nierównościami społecznymi, zastępczymi sporami, zidiociałymi mediami, głupimi politykami – zbudowało nam pańskie pokolenie. Pan i pańscy koledzy z podziemia. Wstyd?**

– Generalnie nie. Ona nie jest aż taka zła. Powiem inaczej: jest równie zła jak inne demokratyczne kraje.

**Wyszła wam jako tako tylko wolność. Równość i braterstwo żeście sobie odpuścili. Dlaczego?**

– Bo ta pieśń od początku była o wolności.

Nie należałem do żadnej partii, ale byłem blisko Unii Wolności. Mazowiecki mieszkał za rogiem, przychodził, wypijał kilka whisky, ożywiał się o drugiej w nocy, wychodził o czwartej, ledwie żywi byliśmy z Julią. A on jeszcze na ulicy gadał, bo na rauszu się obaj zamaszycie odprowadzaliśmy. To całe środowisko to byli moi serdeczni przyjaciele, ale jednak... No jak to powiedzieć, żeby nikogo nie obrazić... Myśmy byli oderwani od realnych ludzkich problemów. Z naszego punktu widzenia

w tej całej rewolucji chodziło przecież o wolność. Na przykład problemy z cenzurą w Peerelu. Kto je miał? Dla 97 procent Polaków to w ogóle nie była żadna uciążliwość. A dla nas odwrotnie, to był problem podstawowy, że kreślą albo zakazują drukować tego, co się w pocie czoła wyprodukowało.

Wolność była dla nas najważniejsza, absolutnie. Ona nam wystarczyła. A kwestie solidarności społecznej, biedy na wsi, pegeerów, nierówności... Zabrakło nam wyobraźni.

**To chyba podstawowa kompetencja inteligenta, żeby miał wyobraźnię, prawda?**

– Ja się nie tłumaczę, ja wyjaśniam.

Pegeery rozwiązano w 1991 roku jednym pociągnięciem pióra. Kilkaset tysięcy ludzi z dnia na dzień zostało na lodzie. Kiedyś to będzie podręcznikowy przykład, jak nie powinno się robić reform po trupach. Ale to możemy wiedzieć dzisiaj. A wtedy żeśmy zbiorowo lewitowali na poziomie pewnej fikcji, która zresztą została odziedziczona po literaturze opozycyjnej.

**Fikcji?**

– Fikcji wolnego rynku. Książkowej. Najważniejsze wtedy książki to były dwie: „Wolny rynek i wolność” Hayeka oraz „Społeczeństwo otwarte” Poppera.

Pamiętam świetnie wizytę u Tadka Syryjczyka, który był wtedy ministrem przemysłu. Pytam go: „No a jak tam Nowa Huta?” On na to z dumą: „Zbankrutuje w pół roku, bo wolny rynek ją skasuje. I będzie prywatna”

**Aha. A zapytał pan, co z tymi ludźmi?**

– Nie musiałem pytać. To było dla nas oczywiste, bo działała ta straszliwa fikcja. Przekonanie, że wolni ludzie sami znajdą swoje miejsce. I że wolna gospodarka wchłonie każdą liczbę pracowników, wystarczy ją rozruszać. Co się po części stało.

**Gdzie się stało? W Łodzi na Bałutach? W dawnych pegeerach? Drugie pokolenie żyje z zasiłków.**

– Zabrakło nam wyobraźni.

**Empatii.**

– Wyobraźni.

**Ja w tym widzę kompletny brak wrażliwości na cierpienia innych grup społecznych niż własna. Całkowity brak empatii u polskiego inteligenta. Inaczej nie umiem tego wytłumaczyć.**



– Może pan to nazwać, jak sobie chce.

**Odpuściliście sprawy społeczne. I chcę wiedzieć dlaczego.**

(*Żona Julia z sąsiedniego pokoju: „Żeromskiego im zabrakło”*).

– Julia ma rację. Naczytaliśmy się nie tych książek.

Zresztą przecenia pan w tym wszystkim rolę polskiego inteligenta. Nas dość szybko przestano słuchać, przecież myśmy nie rządili. Co niby mieliśmy robić na przykład w sprawie pegeerów, jak pan to sobie wyobraża?

**Wyobrażam to sobie tak, że w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, gdzie pan pracował, wszyscy się naradzacie, a następnie Jerzy Turowicz bierze telefon, wykręca numer Bieleckiego i mówi tak: „Chcesz, Krzysiu, likwidować pegeery? Ślicznie, ale najpierw wymyślmy razem program aktywizacji tych ludzi. A dopóki takiego programu nie masz, to pegeery zostaw w spokoju. A jak nie, to koniec sztamy”. Po prostu.**

– No to by nie było sztamy. Po prostu.

Pan myśli, że z nami się ktoś liczył? Nikt. Turowicza już wtedy nie słuchano. Polski inteligent dość szybko dostał lekcję pogardy, pamięta pan, jak Wałęsa sponiewierał Turowicza na zebraniu Komitetu Obywatelskiego? To poniżenie było *signum temporis*: „Panie Turowicz, wstań pan i powiedz, co masz przeciwko Wałęsie i demokracji”

**Wie pan co? Mnie kompletnie nie obchodzi, co dwadzieścia pięć lat temu Wałęsa powiedział Turowiczowi. To są wymówki.**

– To jest kontekst. Bardzo istotny.

**Nie. Kontekst istotny to jest taki, że zostałem wychowany na tych waszych podziemnych gazetkach i manifestach, w których pisaliście, jaka to wspaniała jest solidarność między ludźmi i że w wolnej Polsce wreszcie będzie sprawiedliwie. Jak wolna Polska wreszcie nastąpiła, to miałem piętnaście lat, biegałem w koszulce „Jacek Kuroń naszym posłem” i naiwnie myślałem, że moi idole po całych dniach dumają, jak zrobić, żeby było sprawiedliwie.**

– Przykro mi.

**Wyście w ogóle rozmawiali o kwestiach społecznych? O równości na przykład?**

– Nie.

**Z Kołakowskim, Turowiczem, Michalskim, Karpińskim? Przecież pan się z nimi**

**wszystkimi przyjaźnił.**

– Przyjaźniłem. Ale nie rozmawialiśmy o sprawach społecznych. Wtedy już nie.

**Wtedy?**

– Do 1990 roku, jak się spotkało grono inteligentów, to owszem, prowadziliśmy poważne rozmowy. O tym, jak rozwiązać różne problemy, o priorytetach dla Polski. Potem to zniknęło z rozmów na skutek przeświadczenia, że związek między rozumem a władzą został zerwany. Co się będę zajmował sprawami tego świata, skoro nikt nie słucha – tłumaczyłem już panu ten mechanizm.

**To o czym dziś rozmawia polski intelektualista, jak się spotka z drugim polskim intelektualistą?**

– Teraz? O życiu społecznym zupełnie nie. Czasem o książkach. O żartach się rozmawia. Aha, od kilku lat rozmowy koncentrują się na walce o uniwersytety, gdzie są wprowadzane zasady konkurencji rynkowej, co może nam rozwalić naukę.

**No jasne. Jak miotła wolnego rynku przyszła na uniwersytety, to sobie o tym wreszcie rozmawiacie, bo własny tyłek boli.**

– Coś by wypadało odpysknać na tę pańską nieprzyjemną uwagę, ale niestety nie odpysknę, bo ma pan świętą rację.

**I o Kaczyńskim.**

– Tak. Rozmawia się. Wdzięczny temat.

**Bo polski inteligent zajmuje się nienawidzeniem Kaczyńskiego. To go uzasadnia.**

– Barwna teza, ale nieprawdziwa.

**To jest wasza jedyna pasja. Na dźwięk tego nazwiska budzicie się jak na komendę. Pan też. Najbardziej wściekły pański felieton dotyczy Kaczyńskiego, postuluje pan dla niego Trybunał Stanu i pisze tak: „Wzywam władze państwa polskiego do twardej reakcji, nawet jeżeli nie będzie ona zgodna z prawem”.**

– Świetny przykład.

Kaczyński odgrywa istotną rolę, bo strasznie psuje. A nas psuje w pierwszej kolejności, mnie i pana też. Bo poziom przeciwnika bardzo uzależnia. Polemizując z jego bredniami, staję się w pewnym sensie gorszym człowiekiem, co widać w tym felietonie, bo zgodzę się, że to nie są myśli intelektualisty, tylko wściekły tekst obywatela doprowadzonego do szewskiej pasji.

**Nie wściekają was nierówności społeczne, nie piszecie listów otwartych, kiedy w Poznaniu grasują czyściciele kamienic. Moralne oburzenie zarezerwowane jest dla Kaczyńskiego. Wygodne.**

– Proszę pana! Nie da się uwolnić od Kaczyńskiego i nim nie zajmować. On coś powie, Macierewicz coś powie i jak nie reagować? Jak panu w mordę plują, to pan się uśmiecha? Jak panu ktoś chce ojczyznę podpalić, to pan nie reaguje? Elita nie reagowała na bzdury smoleńskie, i to był błąd, bo się rozplenili. Inteligent nie może się wiecznie uśmiechać i łagodnie paluszkami kiwać.

Oni w końcu przegrają, przegrają na pewno...

**Aha.**

– Zobacz pan.

Znałem Jarka i Lecha, to moi dobrzy koledzy. Ale wszyscy jesteśmy generacją niewoli. W Jarku tkwią pokłady niechęci z tego powodu, że był drugorzędnym działaczem opozycyjnym. Taki sam problem ma wielu inteligentów, którzy pojawili się w „Solidarności”. Przecież myśmy byli tylko doradcami, Wałęsa w każdej chwili mógł każdego kopnąć w tyłek, co zresztą czasem robił. W pewnym sensie polska polityka wciąż jest rozmową sprzed trzydziestu lat o tym, kto jest większym bohaterem, i leczenie tamtych kompleksów.

**Zgadza się. I ja mam dość, że wy tak macie. Wie pan, co pańscy koledzy z opozycji najbardziej pamiętają? Że w 1986 roku zjadł pan z Urbanem kurczaka. I że nie powinien pan tego kurczaka z nim jeść. I że potem Michnik za tego kurczaka wyrzucił pana z imienin. I tak dalej. Gotowi są o tym godzinę rozprawiać. Niepoważne.**

– (*Śmiech*) To był mielony. W stołówce Urzędu Rady Ministrów.

**To było trzydzieści lat temu przede wszystkim!**

– To znaczy Urban, owszem, jadł udko, ale ja mielonego.

Chodziło o to, że w 1986 roku zdecydowaliśmy, że chcemy „Res Publicę” zacząć wydawać legalnie. Kto to może załatwić? Urban. No to jako naczelny poszedłem negocjować, on mnie wziął do stołówki, złote góry obiecywał, tylko postawił warunek, żebym wstąpił do Rady Konsultacyjnej przy Jaruzelskim, oczywiście odmówiłem, no to się nie zgodzili na legalne pismo. I tyle. Dopiero po roku, jak już szła odwilż, dostaliśmy zgodę. Mam do dziś wściekły list od Adama: „Dla jednych ławy więzienne, dla innych ławy poselskie”. Że niby dla mnie, bo na pewno Jaruzelski zrobi mnie postłem.

Ale jest pewna nieścistość w pańskiej relacji, bo nie mnie wyrzucił Adam z imienin, tylko moich kolegów Michała Komara i Tomka Jastruna (*śmiech*).

**Mnie to w ogóle nie śmieszy, że wy się tymi historyjkami wciąż zajmujecie.**

– Już niedługo. Mój gatunek raczej na wymarciu.

**Właściwie dlaczego nie zrobił pan kariery politycznej?**

– Nie chciałem.

**Mazowiecki zadzwonił?**

– Tak. Najpierw miałem być ministrem kultury, ale uznałem, że się na tym nie znam. No to zaproponował mi, żebym zostałem szefem telewizji. Też odmówiłem. Bardzo bliski byłem decyzji zostania naczelnym „Rzeczpospolitej”, która wtedy była państwowa, ale do pokoju wszedł nagle Jacek Ambroziak – u Mazowieckiego był szefem Urzędu Rady Ministrów – i powiedział mniej więcej tak: „To będziesz teraz, Marcinku, pode mną”. „A nie, Jacusiu, otóż nie będę pod tobą”. No i tak właśnie nie zostałem naczelnym „Rzepy”.

**Bo kto pod kim będzie, to ważne?**

– Ależ oczywiście. To się zaraz zaczęło, natychmiast. Ambicje. Nie chciałem w tym uczestniczyć. Wie pan, myśmy w opozycji też mieli te swoje złe charaktery, tylko wspólny wróg jakoś to maskował. No i potem wybuchło. Co może pan obserwować do dziś w polskiej polityce.

A teraz już jestem w zaniku.

**W zaniku?**

– Można stosować różne techniki, a ja stosuję technikę starą jak świat, znaną od starożytności, to znaczy uciekam. Rozmawiamy w domu na wsi, sto sześćdziesiąt kilometrów od Warszawy, właśnie dlatego, że uciekam od dolegliwości.

**Jakich?**

– Na przykład spędzania czasu na zebraniach z głupimi ludźmi. Nie muszę na nie chodzić. Byłem długo dziekanem i może się pan moich kolegów zapytać, ale nigdy rada wydziału nie trwała dłużej niż pół godziny.

**Ucieczka.**

– Tak. Nie muszę wykonywać różnych rytualnych obowiązków, które bym miał w Warszawie. Co tydzień jakiś znajomy zaprasza na promocję swojej książki, często

kiepskiej, a ja nie muszę, bo nie będę dwie godziny jechać. Jestem zwolniony i usprawiedliwiony.

### **Co dalej?**

– Planujemy w Instytucie Spraw Publicznych książkę na dwudziestopięciolecie wolnej Polski. Mam to pod opieką. I wie pan co? Zaprosiłem wyłącznie ludzi z młodego pokolenia, urodzonych w latach 1975–1985. Nie że Staniszkis, Krzemiński, Śpiewak i Król jeszcze raz to samo napiszą, tylko trzydziestolatkowie i czterdziestolatkowie. Oni są z innej rzeczywistości. Z nieporównywalnie większą wrażliwością społeczną, to wyraźna różnica. A my? No jesteśmy, jacy jesteśmy. I tak zostanie. Gdyby nie przysłała II wojna światowa, to w 1940 roku odbyłyby się w Polsce wybory do Sejmu. I wie pan, kto miał kandydować? Młodzi ludzie o nazwiskach Kisielewski, Stomma, Giedroyc, Turowicz i Bocheński. Gdyby nie Hitler, to ci młodzi ludzie przejęliby władzę i zmienili Polskę. Byłaby bardziej sprawiedliwa, bez gett ławkowych i z reformą rolną. Młody Bocheński pisał o ówczesnych politykach, że niedobrze, jeśli władzę obejmuje pokolenie niewoli. To samo dotyczy nas. Myśmy przeszli przez pralkę. Nawet jeśli weszliśmy do bębna czyści i wyszliśmy czyści, to jednak nas poobijało.

Maj 2015

PS Po publikacji wywiadu w „Wyborczej” ukazało się następujące wyjaśnienie:

„Nie chciałbym, by wywiad Marcina Króla, skądinąd interesujący, był traktowany jako wiarygodne źródło historyczne. Informacja przezeń sporządzona, że wyrzuciłem ze swoich imienin Michała Komara i Tomasza Jastruna, nie polega na prawdzie. Moje imieniny, co w katolickim kraju nie powinno być tajemnicą, są 24 grudnia, czyli w Wigilię. Nie ośmieliłbym się zapraszać na ten dzień tak wiernych synów polskiego Kościoła jak Marcin Król, Michał Komar i Tomasz Jastrun.” ADAM MICHNIK

## Rozmowa z ANDRZEJEM LEDEREM

**ANDRZEJ LEDER (1960)** jest filozofem, pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Autor głośnej książki „Prześlona rewolucja.” Wcześniej wydał m.in. „Przemianę mitów, czyli życie w epoce schyłku” oraz „Naukę Freuda w epoce »Sein und Zeit«.” Praktykuje też psychoterapię. Żonaty, ma córkę.

### **Kto ma rację?**

– Obaj.

Można łatwo się zidentyfikować z Żebrowskim, którego wolna Polska zachwyca, jak i z Demirskim, który widzi ją w czarnych barwach.

### **Prawie się pozabijali.**

– Demirski był zbyt napastliwy. Rozumiem, że walka klasowa wymaga pewnej bezkompromisowości, ale go poniosło. To nieustanne podkreślanie: „Pan jest z elity, z wysokości.” „Pan jest beneficjentem przemian.” „Perspektywa warszawska nie pozwala panu spojrzeć na kraj szerzej.”

### **Ich kłótnia w studiu TVN o ostatnie dwadzieścia pięć lat stała się hitem internetu. Tysiące komentarzy. Dlaczego?**

– Bo to dyskusja symboliczna dla całej klasy średniej. Pokolenie przemian to tacy ludzie jak Żebrowski, również ja, chociaż jestem starszy. Myśmy wykonali olbrzymią pracę, wpisaliśmy zacofaną postkomunistyczną Polskę we współczesny świat, w mechanizmy rynkowe. To wcale nie było proste, wymagało ogromnego wysiłku.

**Michał Żebrowski mówi: „Ja mam na Podhalu gospodarstwo. Ja mam krowy, konie, własne świnie, kury dzięki temu, że Polska się zmieniła”. Dość zabawna perspektywa.**

– Ale powiedzieć mu na to „pan jest beneficjentem przemian” – to brzmi, jakby on wszystko dostał na tacy. A nie dostał. Zagrał wiele świetnych ról, zbudował własny teatr. To gospodarstwo na Podhalu, które kupił, to ćwierć wieku harówki.

Jest głęboka mądrość w teorii Marksa, zwłaszcza jeśli się ją czyta jako opis socjologiczny. Marks nie twierdzi, że burżuazja to cwaniacy, którzy wszystkich oszukali i w ten sposób się dorobili. Oni potrafili opleść świat siecią kolei żelaznych i zmieniać świat. U Marksa znajdzie pan podziw dla siły sprawczej tych ludzi.

### **Polska burżuazja chce zmieniać świat?**

– Nie chce. Na tym polega problem. Nasza elita nie chce ponosić konsekwencji bycia elitą, nie czuje żadnej odpowiedzialności za resztę społeczeństwa. „Kto miał entuzjazm, dwie ręce i głowę do roboty, to się zabierał i pracował” – mówi Żebrowski. I to jest cała refleksja społeczna ludzi, którym się w Polsce powiodło.

### **Nieprawdziwa?**

– To okropnie mało.

Taki dyskurs pozornie odwołuje się do etyki weberowskiej, protestanckiej, czyli że każdy jest kowalem własnego losu. „Kto miał dwie ręce, ten pracował” To nie jest cała prawda. Bo jeśli w łapach padają najwięksi pracodawcy – cukrownia i ZNTK – to, czy ktoś ma dwie prawe ręce, czy dwie lewe, czy jest trzeźwy, czy pijak, czy mu się chce, czy nie chce, i tak ma niewielkie szanse na cokolwiek. I takich miejsc są w Polsce tysiące, na przykład dawne pegeery. Innymi słowy: gdyby Michał Żebrowski nie urodził się w dobrej warszawskiej rodzinie, tylko w jednym z takich miejsc, mógłby być dzisiaj nikim. Bo jego rodzice nie mieliby na bilet do miasta, gdzie działa kółko teatralne. To samo dotyczy nas obu. Pan mógłby nie wylądować w „Wyborczej”, a ja w PAN.

### **Jedni mają w życiu łatwiej, inni trudniej. Zawsze tak było.**

– Ale ważne, żeby to widzieć. Polskie elity, klasa średnia, także inteligencja, przestały się tym przejmować. Zamknęły się w świecie stworzonym dla siebie, gdzie jak ktoś ma dwie ręce, to sobie poradzi. Ten świat daje dość dużo szans ludziom, którzy do niego przynależą. I nie jest zainteresowany tym, że inni szans nie mają.

Coś ważnego przegapiamy, i to od dawna. Na początku lat dziewięćdziesiątych dziennikarz, z „Le Monde” bodajże, Bernard Guetta, chciał się spotkać z nowo



powstającą klasą średnią i napisać reportaż. Byłem kimś w rodzaju przewodnika i brałem w tym spotkaniu udział jako tłumacz. Pojawili się ludzie, którzy założyli firmy, fajni, uroczy, otwarci na świat i ocytani. Zaskoczył go ich wysoki poziom intelektualny, bo to była polska inteligencja, która właśnie zabrała się do interesów. Ale po wszystkim powiedział do mnie: „Najbardziej uderza mnie, że tak światli ludzie nie czują się w ogóle odpowiedzialni za resztę społeczeństwa”

### **W jakim sensie?**

– Że inni mają gorzej. I że trzeba się do tego jakoś ustosunkować. To był rok 1995. Nie umiałem do końca zrozumieć, o co właściwie mu chodzi. Tak jak większość moich znajomych byłem zafascynowany otwierającym się światem wolnorynkowych możliwości i nie stać mnie było na taką refleksję.

### **Sukces jako zobowiązanie.**

– Tak powinno się go traktować.

Motorem rewolucji francuskiej była burżuazja, klasa średnia, która uchwaliła równościowe deklaracje, prawa człowieka. Mówiła: „My, naród”. Słynna trójca haseł – wolność, równość, braterstwo – oznaczała nie tylko to, że jesteśmy wolni i każdy może się bogacić, dążyć do osobistego szczęścia, ale też że czujemy się odpowiedzialni za innych. To był ważny moment europejskiej świadomości demokratycznej. Poczucie odpowiedzialności za resztę. MY jesteśmy szpicą CAŁEJ ludzkości, wyznaczamy standardy nie tylko dla siebie.

### **Burżuazja francuska mówiła: „My, naród”. Polska mówi: „Ja mam kury, kaczki”.**

– Nie ma w Polsce tego MY. I nie ma chęci, żeby za cokolwiek brać odpowiedzialność – oprócz własnego obejścia.

### **Z czego to wynika?**

– Ze słabości.

Nasza klasa średnia nie wie, kim właściwie jest, skąd się wzięła. Niejasno coś przeczuwa, ale na wszelki wypadek woli się tym nie zajmować.

### **Coś przeczuwa?**

– Że wzięła się ze zniszczenia starej Polski.

Od 1939 do 1956 roku trwała w Polsce wielka rewolucja społeczna, której nie traktujemy jak rewolucji. Wyparliśmy ją ze świadomości zbiorowej. W wyobraźni, w języku, w naszej tożsamości jest słabo wyrażona. Wiemy, owszem, że „coś” się wydarzyło, ale bez naszego udziału. To nam zrobił ktoś inny – Niemcy i Rosjanie.



Zmiana społeczna, która miała dla Polaków fundamentalne znaczenie, jest doświadczana trochę jak sen. Koszmar senny. To się naprawdę stało? Ja tego chciałem? No ależ skąd! Nie chciałem!

## **A chciałem?**

– Chciałem.

Polska przedwojenna żyła w czymś, co można nazwać przedłużonym średniowieczem. Było to społeczeństwo stanowe, bardzo niesprawiedliwe. Duża część ludu nienawidziła tych wszystkich, których postrzegała jako wyzyskiwaczy, czyli pośredników, Żydów, mieszczaństwa w ogóle, a poza tym ziemiaństwa. Przy czym ziemiaństwa było trudniej nienawidzić, bo uosabiało polskość i tradycję, do której wielu aspirowało. Więc ta nienawiść była dość zawikłana.

Przyszli Niemcy i zrealizowali pierwszą część tych ukrytych pragnień – zniknęli Żydzi. A po wojnie komuniści zrealizowali część drugą – zniknął polski dwór, symboliczny prymat szlachty i ziemiaństwa.

W genezie dzisiejszych elit i klasy średniej jest wstydliva pokątność. Jest wejście do pożydowskich domów, rabowanie dworów, wstępowanie do partii, wszystko moralnie ambiwalentne. Masy idą do wojska, do milicji, zapisują się na studia prawnicze, kończą różne kursy, „nie matura, lecz chęć szczerą”. Zajmują nowe pozycje w sposób, który dla nich samych jest moralnie wątpliwy, bo odbywa się pod osłoną armii radzieckiej, towarzyszy temu niszczenie dawnych przedwojennych elit. To wszystko była wielka rewolucja społeczna, ale nigdy nie mieliśmy dość odwagi, by to uznać.

## **Pan mówi tak, jakby każda rodzina miała szkielet w szafie.**

– Ma.

Nie chcę powiedzieć, że jesteśmy źli. Potępić. Każdy akt upodmiotowienia w czasie rewolucyjnym jest ambiwalentny, bo zawsze są zwycięzcy i przegrani.

## **Przecież każdy naród ma jakieś swoje „coś”. Nie jesteśmy wyjątkowi.**

– Tak. Tylko my w Polsce kwestionujemy, że to „coś” w ogóle miało miejsce. Spychamy naszą rewolucję do nieświadomości. Nie identyfikujemy się z nią.

Dynamizm naszej klasy średniej jest dziedzictwem tej rewolucji. To, że Polacy są bardziej zaradni niż większość społeczeństw wokół, to jest właśnie ten spryt prostego ludu obtłukującego herby z pałacu Zamoyskich i szabrującego poniemieckie miasta.

Jesteśmy dziećmi tych, którzy skorzystali. I nie chcemy tego uznać.

## **Jakie to ma konsekwencje?**

– Niedobre.

Żeby rozumieć świat, w którym się żyje, i widzieć całe jego skomplikowanie, trzeba dość jasno określić swoje miejsce w tym świecie. Inaczej człowiek czuje się słaby, a różnorodność odczuwa jako niebezpieczną. Podobne mechanizmy dotyczą społeczeństw. Z tego wynika też nieprzejednanie. Proszę zwrócić uwagę, że wszystkie spory w Polsce polegają na próbie wykluczenia przeciwnika, ustanowienia jednolitego dyskursu, który inne dyskursy unieważni. Świadomość, że świat składa się z wielu różnych stanowisk, które mogą być wobec siebie prawomocne, jest u nas bardzo słaba. Nie umiemy się spierać, umiemy się tylko karczemnie kłócić. Jak ci dwaj panowie w TVN.

## **Bo?**

– Słabość.

Jeśli nie do końca wiem, skąd się wziąłem, kim jestem, to każdy odmienny pogląd będzie dla mnie groźny. Bo mogę się pod jego wpływem rozpaść na kawałki.

Prześniona rewolucja, której realności nie chcemy uznać, blokuje zmianę mentalną. Moja pesymistyczna teza jest taka, że pod pseudoszlachecką równością, którą łatwo sobie gębę wycierać, w Polsce sankcjonowana jest nierówność. Podział na panów i chamów przetrwał w naszym odczuwaniu świata. Jedni są biedni, nie mają szans, a inni je mają. Bo jest pan na zagrodzie i wyrobnik. Szlachcic i chłop, którego się nie widzi.

Nikt tego nie formułuje otwartym tekstem, ale to widać w naszej wrażliwości, w tym, co ludzi śmieszy, co nie śmieszy, co się uważa za przyzwoite, a co za nieprzyzwoite.

## **Gdzie to widać?**

– W stosunkach w korporacjach na przykład. W sposobie, w jaki kadra zarządzająca traktuje pracowników niższego szczebla. Jeśli pan poczyta relacje ludzi zatrudnionych w polskich oddziałach międzynarodowych korporacji, to one często są podobne: dopóki zarządzał desant z Niemiec czy Francji, to było w miarę dobrze. A jak nastał polski management, zrobiło się piekło. W Niemczech z kolei mówią, że polscy zarządzający są jak bulterierzy – gdy się wczepią, to zagryzą.

Żyjemy w metaforycznym folwarku, przez wieki w Polsce mówiło się: „Podstawą dobrej gospodarki są dwie rzeczy – pańszczyzna i szubienica”

## **Skąd to cytat?**

– Z polskiego podręcznika ekonomii z połowy XVII wieku, niezwykle popularnego

w następnych wiekach: „Oekonomia abo gospodarstwo ziemianskie, dla porządnego sprawowania ludziom politycznym dziwnie pożyteczne.” Napisał to Anzelm Gostomski.

Relację pan-cham widać też w szkołach. Jeżeli mnie stać, żeby moje dziecko miało lepiej, to fakt, że inne dzieci mają gorzej, mnie nie obchodzi. To są te wszystkie pomysły, żeby w szkolnych stołówkach jedni jedli lepszy obiad z kotлетem finansowany przez rodziców, a inni – tańszy obiad bez kotleta finansowany przez MOPS. Dochodziło do takich sytuacji i jakoś nie budziło to okrzyków zgrozy klasy średniej.

Dziedzictwo poddaństwa, relacji z panem feudalnym, przemysłenie tej trudnej genezy i odnalezienie jej śladów w sposobie funkcjonowania współczesnego miasta – to wszystko jest istotne do określenia tożsamości współczesnego Polaka.

Cierpienia chłopów są nieobecne w naszej świadomości, mimo że geneza społeczeństwa jest chłopska. Nie mówi się, jak straszne rzeczy robiono naszym przodkom. Nie mamy świadectw, właściwie nie wiemy, kim byli ludzie, którzy stanowili 70 procent społeczeństwa przed wojną. Nie chcemy słyszeć ich głosu. Nie świętujemy też zniesienia pańszczyzny.

Daniel Beauvois szczegółowo opisał funkcjonowanie polskiego społeczeństwa stanowego na ziemiach wschodnich.

### **Francuski historyk?**

– Tak. Trzeba było Francuza z Sorbony, żeby opisać okrucieństwo polskiej pańszczyzny. Oczywiście mamy prace polskich historyków, ale oni są zwykle bardzo ostrożni. Gromadzą na przykład niezłą faktografię, ale prawie nie wyciągają z niej wniosków społecznych.

Pamiętam konferencję naukową, na której Beauvois mówił poprawną polszczyzną, bo się nawet nauczył naszego języka, żeby przez dokumenty się przekopać. Prowadził badania w archiwach ukraińskich i polskich. To, co opisuje, przypomina brutalne sceny z południowych stanów USA, które Polacy kojarzą z popularnych seriali o niewolnictwie typu „Korzenie”. Karbowy, który za oćwiczenie kobiety – ona umiera – płaci 80 groszy grzywny. Skala przemocy i okrucieństwa, której w ogóle nie dopuszczamy do świadomości.

Jeśli się zasnęło w takiej mniej więcej strukturze społecznej i obudziło w wolnej Polsce, to struktura w korporacji będzie podobna. Jak człowiek śpi, to w tym czasie się nie ogoli i nie doprowadzi się do porządku.

### **Zasnęliśmy?**

– Obudziliśmy się w tym samym miejscu. Temu służy metafora prześnionej

rewolucji, którą się posługuję w swojej książce. Fundamentalne zmiany, które przeorały polskie społeczeństwo, nie zmieniły sposobu myślenia i mentalności.

### **Co można zrobić, żeby pacjent poczuł się lepiej?**

– Wziąć odpowiedzialność za to, co się zdarzyło w latach 1939–56.

### **Nie myśmy przecież winni, że wymordowano Żydów. I że potem był komunizm.**

– Nie my. Ale chodzi o to, żeby powiedzieć: tak, taka jest nasza geneza.

Pełnej odpowiedzialności nie może pan za to wziąć. Ale może się pan dowiedzieć, jakie były losy pańskiej rodziny. Na przykład dowiedzieć się, ku swojemu zdumieniu, że przodek był w Milicji Obywatelskiej i kolonizował ziemie zachodnie.

### **Kania z Targalskim to zrobiją.**

– Toteż nie zostawiamy tego prawicy!

Ja bym powiedział o tym tak: wina i duma. Niech pan sobie pomyśli, co to znaczyło dla kogoś, kto się wychował na wsi i nie skończył czterech klas, pojechać na ziemie zachodnie do jakiegoś Opoła, próbować się tam odnaleźć, rozpocząć pracę w jakiejś fabryce albo nawet szabrować, jechać do Warszawy z tym szabrem i się jakoś urządzać, kupić sobie potem większy kawałek ziemi. Albo brać od nowej władzy ziemie dawnych Zamoyskich, w strachu, obtłukiwać młotkiem herby w pobliskim dworze, żeby ślad po jaśniepanach zniknął, bo jeszcze wrócą i zabiorą. Była nieprawdopodobna odwaga i zapobiegliwość w tym wszystkim.

W czasie wojny w polskich wsiach pojawiło się stanowisko „syndyk mienia pożydowskiego”. To po prostu byli sołtysi, którzy mieli za zadanie rozdysponować majątek, bo zostały przecież chałupy, jakieś garnki, jakieś pierzyny, których Niemcy nie chcieli. To też był akt upodmiotowienia dla tych ludzi. Mamy ogromny obszar do przemyslenia.

### **Co powinniśmy sobie o tych pierzynach powiedzieć?**

– Że to była jednak rewolucja. I że się z niej wywodzimy.

### **Że zawdzięczamy swoją pozycję Hitlerowi i Stalinowi?**

– W jakimś sensie. Ambiwalencja.

Trzeba sobie powiedzieć: to jest moja historia. Taki jestem. To jestem ja. Bez tego będzie pan tkwił w niepewności.

**Bohaterka sztuki Masłowskiej mówi tak: „Nie jestem żadną Polką, tylko normalnym człowiekiem. A polskiego nauczyłam się z płyt i kaset, które zostawiła**

## **mi polska sprzątaczką”.**

– To zdanie świetnie opisuje stan naszej świadomości. Wyraża głęboką niepewność, kim się właściwie jest. Bohaterowie sztuk Masłowskiej nie potrafią sobie powiedzieć: „To jestem ja”. Dopóki nie będziemy umieli przyznać, że to my jesteśmy chłopami, którzy obtłukiwali herby Zamoyskich, przejmowali pożydowskie domy i kolonizowali ziemie zachodnie, wypędzając Niemców na mróz – będziemy nieprawdziwi. „Polskiego nauczyłam się z płyt i kaset” – tak mówi człowiek, który nie chce przyjąć swojej historii. Chce mieć historię z płyt i kaset, piękną, deklamowaną przez lektora. Bez chropowatości. Sielski dworek, do którego będzie mógł wzdychać.

## **Pisze pan: „Dość dworków”. I dalej: „Przynajmniej część z nas musi sobie powiedzieć, że szlachta to jest jednak popaprana tożsamość”. Aż tak?**

– To lekcja historyka Daniela Beauvois, który spojrzął na polski folwark oczami kogoś z zewnątrz i doznał szoku. Szlachta była grupą społeczną żyjącą z brutalnego wyzysku niewolników. W dyskursie postkolonialnym współczesnego Zachodu mówi się, że jeśli jesteś potomkiem plantatorów z południa USA, to musisz wziąć na siebie ciężar przeszłości. I tutaj jest podobnie.

## **Wstydzić się szlactwa?**

– To raczej ciężar, a nie powód do dumy i błyskania sygnetem.

Dmowski nienawidził kultury dworkowej. Pisał, że polski inteligent ze szlacheckim rodowodem jest niezwykle wyrafinowany, bo przyjął z Zachodu całą kulturę i edukację, ale jest barbarzyńcą w sensie społecznym. Nie umie pracować, nie umie realizować żadnych celów społecznych. Żyje z pracy innych w sposób całkowicie bierny i gnuśny. Trafił w sedno. Szlachecka tożsamość zwalnia całkowicie z odpowiedzialności. Gnuśność społeczna. Wokół siebie zrobić – to owszem, bo we własnym folwarku. Ale co poza ogrodzeniem, to już mnie nie obchodzi. Oczywiście bywali inni, był romantyczny patriotyzm, ale tu chodzi o wielkie grupy, o przeciętną.

Socjolog Jan Sowa napisał dość twardą książkę o polskiej szlachie. Jego teza jest taka, że Rzeczpospolita upadła nie dlatego, że zaborcy byli silni. Upadła, bo dla polskiej szlachty bardziej efektywne ekonomicznie stało się używanie wojsk rosyjskich do tłumienia chłopskich ruchawek niż wojsk słabej Rzeczypospolitej. Po prostu już nie opłacało się bronić Polski, nie była do niczego potrzebna.

Folwark jest obszarem gnuśności. To jest miejsce, gdzie się nie wymyśla nowych rzeczy, nie tworzy innowacji, nie ma dynamiki. Folwark żyje z taniej pracy. Oczywiście można w nim subtelnie grać w różnego rodzaju gry społeczne, i to bywa urocze,

hołubić jakąś wykwitną kuchnię, te wszystkie gęste sosy, polowania, rozbudowany obyczaj, wszystko, co jest związane z estetycznym wyrafinowaniem. Ale energia i prawdziwe życie są gdzie indziej.

### **Mam znajomych, którzy nie mówią „niania”, tylko „guwernantka”.**

– Jest taki nurt w Polsce, który będzie próbował przywracać imaginarium II Rzeczypospolitej, czyli model społeczeństwa stanowego. I kto wie, czy to nie weźmie góry.

### **Warunki są?**

– Są. Pogodzenie inteligenckich elit z nierównością. I to już wystarczy. Na razie to pogodzenie nie jest ostateczne, wciąż trochę śmiesznie mieć guwernantkę. Ale to się zmienia. Budowanie hierarchicznego społeczeństwa wyraża się w języku: oto mam guwernantkę po szkole guwernantek i to mnie odróżnia od kogoś, kto ma zwykłą nianię.

W ciągu następnych lat czeka nas sojusz rynku z konserwatyzmem. Wszystko, co wiąże się z dyskursem równościowym, jest dezawuowane, wyśmiane, niemodne.

### **To dlaczego politycy, jak idą wybory, w kółko mówią o sprawiedliwości społecznej?**

– Nikt nie mówi.

Przed wyborami zaczynają opowiadać, że pomogą biednym albo ulżą podatnikom. Wchodzą w rolę dobrego pana, który się nami zaopiekuje i poskromi butnych możnych. Czyli cały czas jesteśmy w imaginarium stanowym. To nie ma nic wspólnego z mówieniem o równości społecznej.

W Polsce łatwo o dyskurs dobrego pana. To jest też cały Kaczyński: tylko my rozumiemy Polaka oszukanego przez bankierów i elity. I my mu damy sprawiedliwość. My damy. Tak jak dobry pan kiedyś dawał.

Zamiast wspólnej troski o równość społeczną mamy w Polsce dobroczynność. Ona nam zastępuje marzenia o sprawiedliwości.

### **Dobroczynność?**

– Chwilowa. Odświętna. Te wszystkie sierotki maszerujące przez ekrany telewizorów w każdych „Faktach” i „Wiadomościach”

W folwarcznej kulturze pan też bywał dobry i co zdolniejsze dziecko z folwarku posyłał do szkół. A pani od czasu do czasu się wzruszała i jak miała kaprys, to nawet kurę na święta dała chłopskiej wdowie z piątką dzieci. Ale rozmawiać o podwyższeniu stawek za robociznę? O, co to, to nie! Nie mówiąc o jakiegokolwiek rozmowie



o zniesieniu pańszczyzny albo zmniejszeniu renty dzierżawnej.

## **Bo?**

– Bo jak by się wtedy pojechało do Monako? I jak by się grało w Monte Carlo? Jakimi stawkami? Za co? Mieć mniej jest bardzo trudno. Czymś innym jest podarować troszkę i czuć się z tym lepiej, a czymś innym fundamentalnie ograniczyć swoje potrzeby.

Dyskurs równościowy związany z tradycją socjalistyczną został silnie obsadzony w roli przedmiotu szyderstwa. Widać to w telewizyjnej kłótni, od której zaczęliśmy. Kiedy Demirski wypowiada magiczne sformułowanie „klasa społeczna”, pojawiają się ironiczne uśmiechy. Prowadzący też się uśmiecha pod nosem. Trudno jest rozmawiać w Polsce o równości bez tej kpiny.

## **Rewolta nadchodzi z prawa? Dlaczego?**

– Havel kiedyś powiedział, że aby zrozumieć, co się dzieje w polityce, trzeba słuchać piosenek w piwiarniach. A ja bym dołożył, że trzeba patrzeć na to, co się dzieje na murach miast. Niech pan zwróci uwagę, że w latach dziewięćdziesiątych to były inne rzeczy. Dziś są o wiele bardziej ustrukturyzowane. „Żołnierze wyklęci” NSZ. Powstanie warszawskie. „Pamiętamy!” „Pomścimy!” To nie jest już „Żydzi, won” i „Legia pany”. To jest jasny przekaz, że wiemy, skąd przychodzimy i dokąd idziemy, budujemy instrument polityczny. Czy to jest silne, tego nie wiem. W wyborach narodowcy pewnie nie mają szans zwyciężyć, ale nie o to tutaj chodzi. Kiedyś Giertych, jak był jeszcze narodowcem, mądrze powiedział: „My nie wygramy wyborów, ale narzucimy naszą narrację”. I to jest coś, co moim zdaniem w Polsce właśnie się dzieje – oni narzucają narrację, choć nie wchodzą do parlamentu.

Młodzi ludzie chętnie wchodzą w rolę bohaterskich Polaków. Przywdziewają tożsamość, która nie polega na tym, że nauczyłem się polskiego z płyt i kaset, tylko JESTEM POLAKIEM, wywodzę się z powstańców, z barykad, jestem żołnierzem NSZ, który walczył do ostatniej kropli krwi. Dla kogoś, kto na bezrobociu lub śmieciówce został kompletnie wyzuty z poczucia godności i bezpieczeństwa, tożsamość powstańca będzie jak druga skóra.

Zresztą co mógłby przywdziać innego? Klasa średnia nie zbudowała żadnego wspólnego symbolu, który mógłby tych ludzi włączyć. Poza „Czasem honoru” nie ma w Polsce dobrej tożsamości wspólnotowej. Rewolta przeciwko rynkowi ubiera się więc w męski heroizm, bo nic innego nie zostało na polu idei. „Czas honoru” jako najwyższa forma kultury polskiej. I tam się będzie przesuwiała nasza polityka.

## **Co robić?**

– Próbować rozumieć tych ludzi.

Pamiętam reportaż Krzysztofa Środy sprzed kilku lat w „Dużym Formacie” – o ludziach, którzy modlili się na Krakowskim Przedmieściu po katastrofie smoleńskiej. Uchwycił coś bardzo ważnego. Dla nas prawdziwą próbą nie jest rozumienie Demirskiego i Żebrowskiego, oni obaj są jednak „nasi”. Wyzwaniem jest rozumienie tych chłopców, którzy palą tęczę na placu Zbawiciela.

**Nie lubię tego. Nie lubię tych pomysłów, że trzeba się empatycznie wczuwać w kibola i go rozumieć, zamiast mu odpowiedzieć siłą.**

– Myli pan próbę rozumienia z gnuśnością. Rozumieć to nie znaczy ustępować ani pochwalać. I nie oznacza też braku zdecydowanej reakcji.

Jest taka scena w „Kabarecie”, kiedy główny bohater – pisarz Brian – razem z niemieckim arystokratą siedzą w kawiarnianym ogródku obok młodych hitlerowców. „Oni cię nie przerażają?” – pyta Brian. „Nie. Trochę tego Hitlera wypuścimy, żeby pogonił komunistów, a potem cały jego ruch łatwo zwiniemy”. I nagle jakiś chłopiec wstaje i zaczyna śpiewać nacjonalistyczną piosenkę, po chwili cały ogródek w natchnieniu śpiewa. „No i co? Zatrzymacie ich? Jesteś pewien?” I to jest właśnie ta różnica. Brian był człowiekiem, który rozumiał. A jego arystokratyczny rozmówca był gnuśny, bo tak mu było wygodnie.

## **Gnuśność?**

– Wyjątkowo szkodliwa postawa w życiu społecznym. Powtarzanie: „Ano tak, każdy ma trochę racji, nie dociekniesz prawdy”. To nie jest postawa intelektualnie aktywna.

## **A jaka jest?**

– Zadawać pytanie: dlaczego? Jak to możliwe, że młodzież polska uważa, że prześladowanie obcych i gejów jest sposobem wyrażania podmiotowości i wspólnoty? I potem kolejne pytanie: gdzie myśmy popełnili błąd?

Jak narodowcy rozpoczną wojnę, to będę z nimi walczył, a nie się empatycznie wczuwał. Ale to nie znaczy, że nie będę rozumiał, skąd oni się wzięli. I pamiętałem, że stadiony były w Polsce jedynymi miejscami, gdzie tacy ludzie odzyskiwali godność, której zostali pozbawieni.

Właśnie dlatego bardzo lubię filozofię. Bo w takim podstawowym wymiarze jest to uczenie się rozumienia wszystkiego. A jako człowiek oświecenia uważam, że wszystko da się zrozumieć.

Nic nie wiemy o tej części społeczeństwa, która pali tęczę. To jest problem polskiej



lewicy, że zajmuje się sobą, salonem. Sam o sobie mogę powiedzieć, że w pewnym sensie rzadko wyjeżdżałem z Warszawy, żeby zobaczyć, jak ludzie naprawdę żyją. Był wyjątek – lata osiemdziesiąte. Wtedy dużo się po Polsce jeździło.

### **Wtedy polski inteligent interesował się innymi grupami społecznymi?**

– Tak. Potem mu to przeszło.

Fajnie oczywiście mieć lewicowe poglądy w Warszawie na zebraniach różnych środowisk intelektualnych, ale w ten sposób nadal nie wiemy, co myślą goście w pegeerach. W XIX wieku socjaldemokraci, jeśli mieli jakieś poglądy, to szli je głosić. Dziś tego nie robią.

### **Bo nikt nie chce słuchać.**

– Dokładnie ten sam problem mieli niemieccy socjaliści w XIX wieku. Myślę, że nawet gorszy, bo wpływ wrogich socjalistom różnego rodzaju sił był wtedy większy. Jechali do fabryk i słyszeli: „Won, Żydzie!”, „Won, masoński agencie!”

To jest trudne. Zawsze jest trudne. Problem polega na tym, że nam się nie chce. Nie mamy poczucia misji, które mieli oni wtedy.

### **Co ma robić lewica?**

– Jak zwracać się do wykluczonych, do których potrafi zwracać się prawica, ale robić to mądrzej – o to panu chodzi?

### **Tak.**

– To jest problem polityki europejskiej i języka nienawiści. Nienawiść po drugiej wojnie światowej została wykluczona z dyskursu publicznego. A duże grupy społeczne potrzebują nienawiści. I żądają prawa do nienawiści. My chcemy nienawidzić!

Partie polityczne funkcjonujące w oficjalnym obiegu mają z tym olbrzymi problem.

### **A jak ten problem rozwiązać?**

– Nie wiem.

### **Kukła do walenia kijem na środku rynku?**

– Niestety, obawiam się, że takie rozwiązania nie są wystarczające. Ale już samo uznanie tego rodzaju emocjonalności jako do pewnego stopnia zrozumiałej to jest krok naprzód. Bo udawanie, że nienawiść jest całkowicie nielegalna i nie wolno jej odczuwać, nie jest metodą.

### **„Nienawidzę Cyganów”. Powinniśmy mieć do tego prawo?**

– Nie. W równościowej republice nie można dawać ludziom prawa do nienawidzenia jakiejś grupy. Chodzi o coś innego. Politycy muszą widzieć i szanować to, że dla wielu grup, które czują się fundamentalnie skrzywdzone, jedynym sposobem odzyskiwania godności jest nienawiść.

### **Ale co znaczy: szanować nienawiść?!**

– Próbować jakiejś formy dialogu z taką grupą.

**Dialog z takimi ludźmi jest możliwy tylko poprzez język nienawiści. Mówienie im: „Tak, macie rację, złodzieje rozkradli Polskę”, „Tak, trzeba pogonić Cygana i Żyda”.**

– Trochę tak, trochę nie. Znowu powiem, że lekcją dla nas może być XIX wiek. Im robię się starszy, tym wyraźniej widzę, że powinniśmy się od tamtych czasów mnóstwo nauczyć. Ludzie robili wtedy wiele dobrych rzeczy, o których zapomnieliśmy.

Lewicowe ruchy społeczne odwoływały się wtedy do grup wykluczonych, naładowanych gigantyczną nienawiścią, i jasno definiowały wroga. Ale tylko komuniści mówili, że tego wroga trzeba zabić. Zresztą też nie wszyscy, bo byli różni komuniści. Natomiast ruch socjalistyczny uznawał krzywdę ludzi, nawiązywał dialog z nimi, ale jednocześnie potrafił im mówić: zróbcie coś rozsądnego z waszą nienawiścią.

I wygrał. Powojenne państwo – laickie, demokratyczne, równościowe, z ogromnym zabezpieczeniem społecznym – to jest realizacja idei socjalistycznych.

### **Dziś panuje przekonanie, że nic się nie da.**

– Da się.

### **Pytanie: co?**

– Zaczęliśmy od sporu Żebrowskiego z Demirskim. A tymczasem to jest jednak trochę zawracanie głowy, bo prawdziwy konflikt klasowy – jeśli już trzymać się konsekwentnie Marksa – miał napędzać historię. A polski konflikt biednych z bogatymi nie napędza historii. Nawet naszej.

### **To co napędza?**

– Globalny konflikt między Zachodem i krajami dawnego Trzeciego Świata, które są brutalnie wyzyskiwane, Chinami, Indiami, Bangladeszem. Polska jest po tej przyjemniejszej stronie drutu kolczastego, załapaliśmy się na beneficjentów – jak by powiedział Demirski. Nawet ubodzy Polacy są beneficjentami bardzo brutalnego wyzysku reszty świata przez Zachód. Przykład pierwszy z brzegu: nasza największa

firma odzieżowa LPP szyje w Bangladeszu i jest tam jedną z brutalniejszych firm, długo nie chciała się przyłączyć do porozumienia, które miało poprawić warunki bhp i spowodować, że hale nie walą się robotnikom na głowy. Byle taniej. I dzięki temu ciuchy Reserved są kupowane przez Polaków słabszych finansowo, nawet ubogich.

Istnieje cały system zorganizowanego wyzysku, który powoduje, że jedzenie jest niezwykle tanie. Sytuacja wszystkich w Polsce, również biednych, jest więc nieco dwuznaczna.

**Gdzieś w Bangladeszu dwunastolatek pracuje za dolara przez dwanaście godzin. Bez prawa do urlopu, przerwy i drugiego śniadania.**

– Tak.

**Tylko to jest argument, który łatwo zwalnia z odpowiedzialności. Bo skoro mamy jakiś okropny globalny wyzysk, to co się będziemy zajmować nierównościami w Polsce. Orwell mówił tak: „Najwięcej wysiłku wymaga zobaczenie tego, co się ma przed nosem”.**

– Zgoda. Trzeba widzieć niesprawiedliwość tu, obok. I od tego zaczęliśmy. Ale równocześnie powinniśmy sobie zdawać sprawę z takiego oto kłopotu: kupujemy w Polsce nową firmową koszulę za 100 złotych. A żeby na świecie było sprawiedliwiej, powinniśmy ją kupować za 500.

**Żeby szwaczka w Bangladeszu miała lepszą pensję? Wystarczyłoby, gdyby firma LPP zrezygnowała z kawałka swojej gigantycznej marży. Małego kawałka. Kiedyś to liczyłem.**

– Sądzę, że przeoczył pan w tych rachunkach istotę problemu. Wyzysk jest o wiele bardziej złożonym zjawiskiem niż to, że szwaczka dostaje dolara, a jakaś korporacja się bogaci. Co jest potrzebne, żeby mógł pan sobie kupić w Galerii Mokotów tę koszulę? Trzeba zbudować tę galerię. Buduje się ją facetami bez etatów. Skąd przywozimy marmur? Z Chin. Energia – olbrzymia ilość energii, którą zużywa takie miejsce – jest tania. Bo mówi się, że prąd jest drogi. To nieprawda. Gdyby uwzględnić wszystkie koszty dla środowiska, to prąd powinien być trzy razy droższy. Bawełna też jest tania, bo uprawiana w krajach, które pozwalają stosować każdą ilość chemii, zanieczyszczać glebę i rzeki. Gdyby pan zsumował wszystkie realne koszty, wyszłoby panu te 500 złotych. Jak nie więcej.

**I co z tego wnika?**

– W sprawiedliwszym świecie kupowałby pan jedną koszulę na trzy lata. I nosił, aż się przetrze. A nie jedną co miesiąc, bo teraz są modne paski, a zaraz będą kółka.

Musielibyśmy płacić pięć razy więcej za siedem razy mniej rzeczy. Taka byłaby konsekwencja sprawiedliwszego podziału dóbr.

### **Czyli nic nie da się zrobić.**

– To wymaga zmiany modelu życia i będzie bardzo trudne. Być może z tego powodu wybuchną wojny, bo większość zachodnich społeczeństw nie chce się dzielić ani trochę. Już teraz na tym tle mamy głębokie konflikty. Fala imigrantów, którzy są trzymeni w obozach – to jest stan na granicy wojny.

### **Ledwo dorosło pokolenie wychowane na reklamach, ledwo rozpoczęło pracę w korporacjach „więcej, więcej & więcej”, a już trzeba zwijać ten interes.**

– Tak. Trzeba żegnać się z iluzją „więcej”. Żyliśmy w świecie, który uważał, że „co” zostało ustalone i trzeba tylko ustalić „jak”. Poszukać praktycznych sposobów na osiągnięcie szczęścia. Teraz dość niespodziewanie wylądowaliśmy w samym środku kryzysu „co”. Kryzysu u podstaw.

To, co oczywiste, stało się nieoczywiste. Wszyscy trochę udają, że coś wiedzą, choć nie wiedzą nic. Dla nas, którzy zajmujemy się myśleniem, to optymistyczne.

Kwiecień 2014

# Jak znikają szkolne boiska

---

## Rozmowa z MARCINEM BAJKO

**MARCIN BAJKO (1971)** jest prawnikiem po UW i urzędnikiem państwowym. Pracował w Urzędzie Rady Ministrów, MSWiA, Rządowym Centrum Studiów Strategicznych. Z administracją Warszawy związany od 1999 roku, obecnie dyrektor Biura Gospodarki Nieruchomościami.

### Co się właściwie dzieje?

– Oddajemy.

### Szkoły, boiska szkolne, parki. Musicie?

– Musimy. I uprzedzam, że będzie gorzej. Od piętnastu lat jako urzędnik w Warszawie szukam sposobów, żeby nieruchomości ratować. Niestety, wszelkie sztuczki przestają działać.

### Sztuczki?

– Różne chwytów prawne, które od lat razem z całym zespołem wyszukujemy. Łatanina. Jesteśmy kompletnie osamotnieni, opuszczeni przez polityków i państwo, które chowa głowę w piasek. W sądach też jesteśmy bezbronni, bo według obecnej wykładni prawa w prywatne ręce może trafić właściwie wszystko. Niech pan wyjrzy przez okno: szkoła, park, jakiś plac, kawałek trawnika. Ale czy za pięć lat to wszystko będzie publicznie dostępne – głowy nie dam.

**Jeden z dawnych właścicieli odzyskał boisko szkolne i zrobił na nim płatny parking. Inny chce zburzyć gimnazjum i zbudować biurowiec.**

– Takich przypadków będzie więcej. W tej chwili roszczenia obejmują sto dziewiętnaście warszawskich obiektów oświatowych.

### **Gimnazjum przy Świętokrzyskiej?**

– Zostaje. Ale straciło boisko.

### **Liceum Dąbrowskiego? Liceum Modrzewskiego?**

– Obydwa tracą boiska. Są już wyroki.

### **Przedszkole Saski Zakątek?**

– Musi oddać wykrojoną ze środka terenu działkę z placem zabaw dla maluchów.

### **Gimnazjum przy Twardej?**

– Musi się wynieść, nic się nie dało zrobić. Szkoła stoi na trzech działkach, narysuję panu: ten kawałek należy do skarbu państwa, ten – do miasta, a tamten w samym środku sąd nakazał zwrócić.

### **Dawnemu właścicielowi?**

– No skąd! Biznesmenowi, który zdobył roszczenia. W centrum Warszawy spraw z udziałem dawnych właścicieli jest niewiele, najczęściej o zwroty występują nabywcy roszczeń. Ten człowiek, który odzyskał działkę pod szkołą, ma w sumie siedem roszczeń. Ale są tacy, którzy zgromadzili po trzysta.

### **Mają skrupuły?**

– Pan żartuje. „Należy mi się”. Mają gotowe plany, co na tych boiskach zbudują i ile zarobią. Szkoły są przecież w świetnych punktach i zwykle mają dość duże działki. Można zarobić kilkadziesiąt milionów.

### **Czy sąd wie, że oddaje w prywatne ręce działkę, na której od pięćdziesięciu lat stoi szkoła albo jest boisko?**

– Wie. Ciąg zdarzeń jest taki: osoba domagająca się zwrotu nieruchomości oświatowej najpierw przychodzi do nas, do ratusza. Wydajemy decyzję odmowną, bo zgodnie z planem miejscowym działka przeznaczona jest na cel oświatowy i zwrot się nie należy. Wtedy ten ktoś idzie do sądu lub tzw. organu nadzoru nad prezydentem miasta. I sąd uchyla naszą odmowę.

## **Bo?**

– „Przecież szkoła może być prywatna, a co to szkodzi?”

## **Nie rozumiem.**

– Wywłaszczenia były po wojnie legalne, jeśli działka została przeznaczona na cel publiczny. Ale chodzi o taki cel publiczny, który „nie może zostać zrealizowany przez osobę prywatną” – tak mówiło komunistyczne prawo, które nadal obowiązuje. I tu jest kruczek.

## **Szkół ten zapis nie chroni?**

– Już nie. Kiedy upadł komunizm i ruszyły zwroty, przez pierwsze lata szkoły były względnie bezpieczne. „W obiekcie jest oświata publiczna” – informowaliśmy. I to sądom wystarczało. Aż pojawił się pierwszy odmienny wyrok, dotyczył publicznego przedszkola. Sąd stwierdził, że przecież w Polsce przedszkola mogą być również prywatne. Dziś orzekają tak wszystkie sądy: szkoła może być prywatna, boisko może być prywatne, przedszkole może być prywatne, szpital, komisariat, urząd.

## **Coś nie może?**

– Jedyną „funkcją publiczną” wciąż uznawaną przez sądy jest droga. Wyrok Sądu Najwyższego jednoznacznie mówi, że drogi publicznej nie można sprzedać. A więc również oddać byłemu właścicielowi ani komuś, kto zdobył roszczenia. Wszystko inne oddać można.

To nie jest tak, że w sądzie naprzeciwko siebie stają potomkowie dawnych właścicieli i przedstawiciele urzędu miasta, którzy się bronią przed zwrotem szkoły, boiska, kamienicy, składają wnioski o badania grafologiczne testamentów albo domagają się sprawdzenia, czy ten człowiek po drugiej stronie rzeczywiście ma coś wspólnego z dawnym właścicielem.

## **Nie tak?**

– Przyniosłem z archiwum teczkę, żeby panu pokazać jedną z dwudziestu czterech tysięcy spraw. Wziąłem akurat tę, bo dałem radę unieść, inne sprawy mają po siedem tomów. Sądy nie orzekają o tym, co jest w środku tej teczki, bo to wszystko są oryginalne dokumenty. Słyszę czasem opowieści, że hipoteki w Warszawie się spaliły i nie wiadomo do końca, kto był właścicielem. Nieprawda. Niemcy podczas ewakuacji skrupulatnie zapakowali i zabrali wszystkie księgi hipoteczne, Polska je odzyskała. Po zniszczonej Warszawie chodziła komisja i notowała, kto się pojawił na danej działce albo w budynku, czy na miejscu jest właściciel, czy jest jakiś zarządca. Mniej więcej do 1951 roku zajmowali się tym urzędnicy przedwojenni, prowadzili dokumentację tak

samo porządnie jak w II Rzeczypospolitej. Tu ma pan kartę z tego okresu dotyczącą jednej z nieruchomości...

**„Rejestrował – A. Wiśniewski. Sprawdził w terenie – H. Gutkowski. Właściciel nieruchomości – N. Zuckerman\*. Aktualny administrator – Z. Kwaśniak”.**

– To jest stan z 1948 roku. Ten sam Nathan Zuckerman jako właściciel nieruchomości figuruje w przedwojennej hipotece działki. Sąd nie decyduje więc, kto jest właścicielem, lecz jedynie kto jest spadkobiercą.

**Po Zuckermanie.**

– Tak.

**Zginął w Auschwitz. Z całą rodziną.**

– Prawdopodobnie.

Kiedy w wolnej Polsce ruszyły zwroty nieruchomości, sądy w takich sprawach żądały, żeby przyszedł człowiek, który na sto procent jest spadkobiercą. Musiał być potomkiem dawnego właściciela, pokazać dokumenty. Z każdym rokiem sądy były coraz bardziej liberalne. I przestały żądać, żeby pojawili się wszyscy spadkobiercy. Wystarczy, że ktoś chce zostać – niech pan uważa – „kuratorem osoby nieznanej z miejsca pobytu”

**Kuratorem? A po co?**

– Cierpliwości. Proszę spojrzeć do teczki na rok urodzin Zuckermana.

**1887.**

– Jeśli przeżył Holocaust, miałby dziś sto dwadzieścia siedem lat. Ale sądu to nie interesuje. Zgłosił się jakiś Malinowski albo Wiśniewski, który chce byćkuratorem Zuckermana? Zamiast przeprowadzać sprawę spadkową, sąd ustanawia kuratora i wszyscy są zadowoleni.

**Co dalej?**

– Kurator „osoby nieznanej z miejsca pobytu” ma obowiązek poszukiwania takiej osoby. Tak mówi prawo.

**Poszukiwać Zuckermana? Niby jak?**

– Na przykład co pół roku kurator musi zamieścić ogłoszenie w gazecie ogólnopolskiej: „Zaginiony Nathan Zuckerman proszony jest o kontakt”

**I kurator uważa, że Zuckerman to przeczyta i się zgłosi? Bez sensu.**



– Niech pan nie będzie naiwny. Nie chodzi o to, żeby Zuckermana odnaleźć, przecież wszyscy wiedzą, że nie żyje. Chodzi o to, żeby go jak najdłużej szukać. Bo kolejnym obowiązkiem kuratora – i tu są konfitury – jest „zabezpieczenie interesów majątkowych” poszukiwanej osoby. Kurator zabezpiecza interesy majątkowe Zuckermana w ten sposób, że w jego imieniu domaga się od państwa polskiego zwrotu nieruchomości.

Przez pewien czas się łudziłem, że nawet jeśli wydamy takiemu kuratorowi decyzję o zwrocie, to na tym się skończy. Całą procedurę zwrotu nieruchomości wieńczy przecież akt notarialny. U notariusza muszą się stawić dawni właściciele lub ich potomkowie, którzy odzyskują nieruchomość, oraz my, czyli urzędnicy miejscy, którzy ją przekazują. Myślałem, że do podpisania aktu będzie mogło dojść dopiero wtedy, gdy kurator w końcu przyprowadzi Zuckermana.

### **Który ma 127 lat.**

– No właśnie. To by oznaczało, że sprawa nigdy się nie zakończy i nieruchomość de facto nadal będzie publiczna. Ale sądy znów poszły dalej. „Wyrażam zgodę, aby kurator stanął do aktu notarialnego” – zaczęły się pojawiać takie decyzje. Więc kurator podpisuje dokumenty w imieniu Zuckermana i zostaje wpisany do księgi wieczystej jako właściciel.

### **Jak to?**

– Kurator, który z Zuckermanem nie ma nic wspólnego, staje się właścicielem tej nieruchomości i ją sprzedaje. Ma z tego czystą kasę.

### **Sędziowie zwariowali? Biorą łapówki?**

– Nic z tych rzeczy. Mechanizm jest dużo mniej spektakularny, ale za to dobrze pokazuje, jak działa nasze państwo. Powiedzmy, że jest pan sędzią, ma pan ileś tam spraw do załatwienia, zawsze za dużo. Nie da pan zgody kuratorowi na podpisanie aktu notarialnego? To co on robi?

### **Odwoła się.**

– Otóż to. Sprawa pójdzie wyżej. Prawnik z najlepszej warszawskiej kancelarii, którego handlarze nieruchomości wynajmą, powie tak: „Przecież mój klient ma obowiązek chronić interes majątkowy poszukiwanej osoby”

### **Ale nie sprzedawać kamienicę!**

– A dlaczego nie? „Proszę sądu, teraz są dobre ceny i w interesie Zuckermana jest szybka sprzedaż nieruchomości, spieniężenie jej” – powie. I co ma sędzia na to

odpowiedzieć? Jak odmówi, tamta strona znów się odwoła. Potem znów. A potem przyjdzie do sędziego zwierzchnik: „Co za fuszerkę odstawiasz? Dlaczego masz tyle apelacji?”

**„Wydaje mi się, że to jest przekręt” – może powiedzieć sędzia.**

– „Wydaje mi się” to nie jest argument prawny.

**To niesprawiedliwe społecznie, żeby jakiś cwaniak przejmował w ten sposób szkołę, boisko albo kamienicę z lokatorami.**

– To też nie jest argument, bo wszystko odbywa się zgodnie z prawem.

**Zuckerman nie żyje. To wszystko lipa.**

– Pan to wie, ja to wiem i sąd to wie. Tyle że to nie jest przestępstwo mieć 127 lat. I być kuratorem takiej osoby też nie jest przestępstwem. Ustawodawca nic z tym nie zrobił, nie ograniczył górnego wieku i sąd nie będzie z tym dyskutował.

**Mamy łańcuch wydarzeń, w którym wszyscy po kolei zachowują się zgodnie z prawem, ale całość to jakieś horrendum. Czy pańscy urzędnicy muszą iść na podpisanie aktu notarialnego z takim kuratorem?**

– Tak. Mamy taki obowiązek.

**To nie idźcie! Obywatelskie nieposłuszeństwo.**

– Pan myśli, że na to nie wpadliśmy? Nie powinienem się do tego przyznawać, bo to podpada pod złośliwość urzędniczą i przedstawiciele państwa nie powinni takich rzeczy robić. Ale jeśli czujemy, że interes społeczny został naruszony drastycznie, to nie stawiamy się u notariusza. Tych przypadków nie było dużo, bo narażamy się na odpowiedzialność karną.

**I?**

– Guzik. Druga strona robi „protokół niestawiennictwa” i sąd orzeka, że akt notarialny został zawarty.

Miasto zobligowane wyrokami sądów rozdaje hojne prezenty. Kamienice czynszowe przed wojną budowano najczęściej na kredyt. Większość ma w hipotekach wpisane zastawy bankowe. Ale gdy władza ludowa przejęła te nieruchomości, wykreśliła wszystkie kredyty jednym dekretem w 1951 roku. I teraz zwracamy kamienice czyste. Weźmy na przykład pewną kamienicę w Śródmieściu, która została zbudowana na kredyt w 99 procentach. Potem po powstaniu zburzona do fundamentów, odbudowana przez miasto, na co mieliśmy dokumenty – to rzadkość, zwykle miasto

nie dysponuje tak mocnymi dowodami, bo nikt wtedy nie sądził, że będzie to kiedyś potrzebne. Kamienicę przejmował nie żaden dawny właściciel, tylko kolejny kurator. Przeszedł wszystkie etapy w sądach i postawił na swoim. Czysty zysk.

### **Pan to widzi, a sąd tego nie widzi?**

– Sąd dostaje tylko to, co daje mu strona.

### **I nie następuje to skomplikowane badanie? Kto? Po co?**

– A dlaczego miałby sąd to badać? Z punktu widzenia sądu nie chodzi o życie, tylko o jakiś budynek.

### **Nie możecie wynająć dziesięciu prywatnych detektywów, dobrze ich opłacać i dostarczać do sądu dowodów, że to są ordynarne przekręty? Albo odwoływać się od tych wyroków do upadłego?**

– Nie możemy, bo nie jesteśmy stroną.

### **Słucham?**

– W polskim systemie prawnym państwowy urzędnik właściwie nie może bronić swoich racji. Na przedwojennym placu Parysowskim dziś stoi szkoła. Ktoś próbuje odzyskać ten teren, wydaliśmy decyzję odmowną, ale sąd – zgodnie z obowiązującą linią orzecznictwa – ją uchylił i nakazał nam teren szkoły zwrócić. W procedurze administracyjnej organ nadzorujący mój urząd często uchyla nasze decyzje. I nie mamy prawa się od tego odwołać.

### **A kto może?**

– Strona zainteresowana, czyli ten, który chce odzyskać nieruchomość. Oczywiście nie będzie się odwoływał od korzystnej dla siebie decyzji.

### **Dyrektor szkoły nie może?**

– Też nie jest stroną.

### **Rodzice dzieci?**

– Nie są stroną.

### **Obywatele?**

– Wkroczyć w to może tylko prokurator, jeśli uzna, że jest przekręt.

**A przekrętu nie ma, bo przecież mieć sto dwadzieścia siedem lat nie jest przestępstwem. Tak samo jak nie jest przestępstwem zapalać nagłą miłością**

## **do narodu żydowskiego i dbać o interesy Zuckermana.**

– Otóż to. Jako urzędnik zostałem powołany do reprezentowania interesu publicznego. Tak rozumiem swoją misję. Ale z biegiem lat wolna i demokratyczna Polska daje mi coraz mniej narzędzi do ręki.

## **Dobro społeczne. Interes publiczny. Pan się jeszcze posługuje takimi argumentami?**

– Rzadko, bo nie działają. Rozmowy bardziej głębokie, że jesteśmy wreszcie we wspólnym domu i każdy musi zrezygnować z części własnego interesu dla dobra ogółu, odbywały się na początku wolnej Polski. No, jeszcze dziesięć lat temu się zdarzały długie dyskusje rodzinne dawnych właścicieli: „Zdecydowaliśmy wspólnie, że szkoły nie wypada odbierać dzieciom.” W tej chwili nikt na to nie pójdzie. To są już zbyt duże pieniądze. Stolica zawsze będzie miejscem boomu inwestycyjnego i ludzie widzą miliony jak Kaczor Donald z kreskówki, któremu pojawiało się „\$” w oczach.

Zdenerwować pana jeszcze bardziej?

## **Tak.**

– Dwie kamienice w centrum Warszawy przejęte za pięćset złotych.

## **Za ile?!**

– Samotna staruszka – uczestniczka powstania warszawskiego – mieszka w Łodzi w wynajętym mieszkaniu. Nie ma rodziny, bo wszyscy umarli, ledwo wiąże koniec z końcem. Któregoś dnia przychodzi dwóch obcych facetów i mówi: „Będziesz miała kłopoty, babciu. Kamienice w Warszawie się walą, twój tatuś wpisany jest w księgach hipotecznych jako właściciel i za chwilę każą ci płacić za remont.” „Jezu, Jezu, co ja zrobię!?” „Podpisz, babciu, zapłacimy ci pięćset złotych i nie będziesz miała kłopotu”

## **Złodziejstwo.**

– Tak to działa. Kwestia tupetu. Za darmo przejmować nie mogą, bo wtedy byłaby to darowizna i musieliby zapłacić podatek od realnej wartości. Stąd to pięćset złotych.

## **To zgłaszajcie takie sprawy jako przekręt!**

– Świetne ma pan pomysły, tyle że na to też wpadliśmy. I nic to nie daje, bo sądy uważają, że prywatna własność to rzecz święta i każdy może nią dysponować, jak chce. W Śródmieściu pewien facet kupił roszczenia do kamienicy za... 70 złotych. Dzielnica złożyła wniosek o stwierdzenie nieważności tej umowy, bo suma wygląda na „pokrzywdzenie strony”. I facet przyprowadził dawną właścicielkę, staruszkę, która oświadczyła, że jest zadowolona z 70 złotych.

## **Musiał ją zastraszyć.**

– Albo zapłacił dodatkowo pod stołem. Nie wiemy, jakich argumentów użył. W każdym razie sąd zapytał ją pod przysięgą: „Zawarła pani tę umowę?” „Tak, zawarłam.” „Czy czuje się pani pokrzywdzona?” „Nie, nie czuję się.” Co sąd może więcej zrobić?

## **Może jej wyjaśnić, że traci 5 milionów złotych. I że cwaniaczek, któremu przekazała kamienicę, zaraz wyrzuci trzydzieści rodzin na bruk.**

– Nie bardzo. Radca prawny reprezentujący Śródmieście wstał: „Przecież to mienie jest dużo więcej warte!” Na co zaprotestował prawnik reprezentujący tego faceta: „Momencik! Ocena wartości kamienicy jest poza kompetencją Wysokiego Sądu, który ma tylko stwierdzić ważność lub nieważność umowy, która podobno jest niekorzystna, a tymczasem strona twierdzi, że jest korzystna.” I z formalnego punktu widzenia ma rację. Sąd nic nie może.

## **Sędziowie mają w Polsce rozwiązane ręce i mogą powoływać się na interes społeczny.**

– Coraz słabiej. Analizowaliśmy to wielokrotnie, bo też mamy dobrych prawników i śledzimy kolejne wyroki. Polskie sądy, gdy mają jakikolwiek luz prawny, najczęściej interpretują go z korzyścią dla interesu indywidualnego, a prawie nigdy dla interesu społecznego. W prawie administracyjnym i cywilnym wszystkie orzeczenia idą w takim kierunku, że pierwszeństwo ma nie społeczeństwo, nie wspólnota, tylko obywatel i prywatny właściciel.

## **Polski indywidualizm bierze górę w wyrokach sądów?**

– Mówię to z praktyki. Mało tego, nawet jeśli z przepisów jasno wynika, że tzw. dobro społeczne jest na wierzchu, to sądy występują do Trybunału Konstytucyjnego, pytając, czy aby na pewno coś takiego jak dobro społeczne jest zgodne z konstytucją.

## **Dlaczego tak się dzieje?**

– Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że kiedyś wszystko było państwowe, jednostka nie miała żadnych praw, więc teraz wahadło poszło w drugą stronę – państwo i dobro społeczne się nie liczą. Kiedy zwracamy nieruchomości oświatowe, próbujemy wpisywać do aktów notarialnych, że nowy właściciel ma obowiązek zachować funkcję oświatową w tym miejscu. Też przegrywamy, bo on idzie do samorządowego kolegium odwoławczego, a później ewentualnie do sądu administracyjnego z wnioskiem o uchylenie tych punktów naszej decyzji, które mu nie pasują. I SKO

uchyla mu to błyskawicznie. Jako urzędnik reprezentujący interes społeczny czuję się w sądach z góry przegrany w starciu z prywatnym interesem.

**Przecież to obywatele w kółko powtarzają, że z urzędnikiem nie da się wygrać, że w zderzeniu z biurokracją człowiek nie ma szans itd.**

– Wiem, że brzmi to dziwnie. Zwrot nieruchomości jest świetnym przykładem, bo właściwie nie ma już żadnego mechanizmu, który by pozwalał bronić interesu społecznego. Urzędy są bezzębne, bo im te zęby wybito. Tak jakby ustawodawca zapomniał, że państwo, miasto, gmina to jest też majątek. Jeśli nie chcę oddać komuś nieruchomości, to przecież nie ze złościwości, tylko w imię interesu ogółu mieszkańców. Tymczasem słyszę komentarze w stylu: „No i co się ten Bajko tak uparł?! Przecież to nie jego! Nie z własnego majątku oddaje!” Tak jakby Polaków dziwiło, że można bronić własności publicznej, i jakby fakt, że do miasta należą jeszcze jakieś budynki, był tylko błędem do naprawienia.

**Kto jest winien?**

– Od dwudziestu pięciu lat Polska zamiata problemy reprivatyzacji pod dywan. Nie ma jasnych zasad, komu zwracać, ile, w jakich sytuacjach nie zwracać. Kiedyś naiwnie sądziłem, że to tylko przeoczenie i sprawę da się załatwić. Napisaliśmy po godzinach z grupą warszawskich urzędników projekt ustawy reprivatyzacyjnej dla Warszawy. Rozesłaliśmy ją do wszystkich organów państwa mających inicjatywę ustawodawczą, próbowaliśmy zainteresować posłów. Odbiliśmy się od ściany. Nikt nie chce palcem ruszyć.

**Bo?**

– Problemy dotyczą głównie Warszawy, tylko tu były tak ogromne zniszczenia wojenne i tylko tu stosowano tzw. dekret Bieruta, żeby miasto odbudować. Politycy uważają, że jeśli się zabiorą do ustawy reprivatyzacyjnej, to cała Polska będzie się zrzucać na stolicę, a to nie jest popularne. Wrocław nie chce się zrzucać, bo niby dlaczego? Kraków też nie chce, bo nas nie lubi. I tak dalej.

**Brak solidarności?**

– Mamy dwudziestu czterech parlamentarzystów z Warszawy rozbitych na cztery ugrupowania, ale tylko kilku, którzy chcą się zająć tą sprawą. Jeśli próbują coś robić, to wstaje ktoś z Krakowa albo z Łodzi i mówi, że Warszawa jest silna i powinna sobie sama radzić. Do tego dochodzi podejrzliwość. Wielu uważa, że stolica chce słabszych naciągnąć i mieć dobrze.

Projekt ustawy reprivatyzacyjnej zacząłem pisać od uzasadnienia, że to musi być



wyraz solidarności całego społeczeństwa z Warszawą. Również tych, którzy utracili majątki, bo musieliby się zrzec pewnych uprawnień. Obecnie w tym całym chaosie mają nie tylko prawo do zwrotu. Żądają jeszcze odszkodowań za to, że miasto używało budynku przez ostatnich dziesięć lat. Dopłaciliśmy ostatnio kupę pieniędzy człowiekowi, który odzyskał kamienicę na Pradze.

### **Dawny właściciel?**

– Nie. Biznesmen, który zdobył roszczenia. Dostał świetną kamienicę i 8 milionów od miasta w prezencie.

### **Jak?**

– Wyrok sądu. W Polsce obowiązuje dziesięcioletnie przedawnienie roszczeń finansowych. Miasto odbudowało tę kamienicę w 1950 roku, więc nie może już dochodzić od nowego właściciela zwrotu za tę odbudowę. Przedawnienie. Za to on może dochodzić od miasta odszkodowania za użytkowanie kamienicy. Mówi w sądzie: „Gdyby kamienica przez te wszystkie lata była moja, miałbym fantastyczny dochód z czynszów”. I domaga się zwrotu za każde mieszkanie, jakby je wynajmował na wolnym rynku przez dziesięć ostatnich lat. I dostaje.

Aby możliwa była ustawa reprivatyzacyjna, musiałby obowiązywać pewien rodzaj moralnej zgody, że dawni właściciele nie żądają za dużo. Ktoś w wyniku kolejnych nieszczęść XX wieku stracił całą rodzinę, ktoś inny kamienicę, a ktoś działkę, na której stoi teraz szkoła. Polski nie stać na pełną rekompensatę krzywd. To również problem solidarności międzyludzkiej i międzypokoleniowej. A w Polsce z takim myśleniem jest dość krucho. Nikt nie chce o tym poważnie rozmawiać, wolimy udawać, że reprivatyzacja to problem warszawskiego ratusza, więc niech Hanna Gronkiewicz-Waltz się martwi, gdzie upchnąć dzieci ze szkół, które trzeba oddać.

Jako obywatela chodzącego po ulicach Warszawy może pana czasem zaboлеć, że ktoś zabiera panu ulubiony skwer albo miejsce parkingowe. Czasem szkołę, boisko zabiorą. Wkurzy się pan, może jakiś protest podpisze, w gazecie coś opublikuje. Ale przede wszystkim to problem tych głupich urzędasów miejskich! Niech tyłki ruszą i coś wymyślą! Tak myśli przeciętny obywatel. I tak samo myślą parlamentarzyści i dziennikarze.

### **To może po prostu oddajmy te szkoły. Przecież mogą wynajmować ten sam budynek czy boisko od prywatnego właściciela. Co to szkodzi?**

– Szkodzi. Bo co się dzieje w sytuacjach spornych? Walnie rura, dzieciak wpadnie do dołu i kto odpowie: dyrektor szkoły czy prywatny właściciel boiska? Wolę, żeby to



było miejskie, wtedy miasto odpowiada. Sprawy własnościowe powinny być uregulowane, jeśli chodzi o władzę publiczną. Urząd nie powinien działać w wynajmowanym budynku, tylko w swoim. Weźmy przykład Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji lub innych urzędów. Siedzą sobie w przedwojennym budynku, który ma wniosek dekretowy, załatwiają ważne sprawy z punktu widzenia państwa, ale raz na jakiś czas przychodzi do mnie dyrektor administracyjny i pyta, czy już się muszą wyprowadzać, czy może dopiero za miesiąc. Czy tak działa poważne państwo?

### **Tak działa państwo tymczasowe.**

– W Warszawie 60 procent obywateli mieszka na tłącym się ognisku. Nie mogą wykupić mieszkań, bo budynki są objęte roszczeniami. Albo pośrednio są dotknięci: ich dzieci chodzą do szkoły, która może trafić do zwrotu. W ten sposób niszczymy zaufanie do instytucji państwa, do urzędów i do dobra wspólnego. Zaufanie więc bankrutuje – ale czy da się to przeliczyć na pieniądze, włożyć do tabelki w Excelu? Nie. No to co się będziemy martwić!

Jak polski obywatel może ufać własnemu państwu, jeżeli urzędnik wydający mu prawo jazdy siedzi w budynku, który zaraz pójdzie do zwrotu? „Dlaczego wszystko macie zapakowane w kartony?” „Bo za chwilę się musimy wynieść”. To prawdziwy dialog z Żurawiej 43 – wydział pomocy społecznej dzielnicy Śródmieście wydawał ostatnie zasiłki na kartonach, bo wyprowadzał ich nowy właściciel. A te zasiłki były dla osób z kamienicy, gdzie też przyszedł nowy właściciel i ludziom podniósł czynsze dziesięciokrotnie.

### **Co dalej?**

– Myśmy w urzędzie już zwątpili, że uda się sprawy reprivatyzacji rozwiązać kompleksowo. Skoro politycy nie mają odwagi przyjąć ustawy, to próbujemy załatwić sobie chociaż protezę, która jakoś ochroni interes społeczny.

### **Protezę?**

– Kilka drobnych zmian w prawie. Pierwsza rzecz – ukrócić trik „na kuratora”. Wprowadzić przepis, że w przypadku zaginionych osób, które mają więcej niż sto lat, nie stosuje się kuratora. Wtedy sąd będzie mógł powiedzieć: „Odmawiam”. Ta prosta zmiana ratuje kilkaset nieruchomości w Warszawie.

Druga rzecz – wprowadzić prawo pierwokupu roszczeń dla miasta. Kupił jakiś handlarz roszczenia do kamienicy za 70 złotych? Świetnie. Ale ma obowiązek poinformować miasto w ciągu trzydziestu dni. Chętnie skorzystamy z prawa pierwokupu i budynek odkupimy.

Po trzecie – elastyczność. Obecnie jest tak, że jeśli oddaję nieruchomości – na przykład działkę, na której stoi szkoła – to mam obowiązek zwrócić ją w takich samych granicach jak przedwojenne. Co do centymetra. Nie mogę zamiast tego zaproponować działki sąsiedniej albo odszkodowania, a chciałbym mieć wybór.

**Co będzie z Królikarnią? Tam jest zabytkowy park, pałac i oddział Muzeum Narodowego.**

– Sąd nakazał zwrot Królikarni rodzinie Krasińskich.

**A Krasińscy już wystąpili o eksmisję Muzeum.**

– To identyczna sprawa jak wiele tysięcy w Warszawie, tyle że głośnie, bo Królikarnia to dobro dziedzictwa narodowego. Ale z punktu widzenia przepisów ten pałac jest domem jednorodzinnym.

**Słucham?**

– To kruczek w prawie, z którego korzystają dawni właściciele. Jeśli coś mogło służyć jako dom jednorodzinny, to należy się zwrot. Wskutek braku spójnej ustawy reprivatyzacyjnej wciąż obowiązuje stare i dziurawe prawo, np. dekret Bieruta. Krasińscy w Królikarni przed wojną pewnie nie zamieszkiwali, ale potencjalnie mogli. Zamek Królewski też jest domem jednorodzinnym.

**Absurd.**

– Branicy potencjalnie mogą odzyskać Wilanów na tej samej zasadzie. W sądzie sprawa jest zaawansowana. Trzecią bombą jest Centrum Europejskie w Natolinie. Co prawda tej sprawy nie obejmuje już dekret Bieruta, ale inne przepisy, które też są dziurawe.

**Da się coś zrobić w sprawie Królikarni?**

– Mam już sporo grzywien za odwlekanie takich spraw. Ile można?! Urzędnik nie powinien być od wymyślania kolejnych złośliwości.

**Czyli Krasińscy za chwilę zamkną park i postawią pawilony handlowe?**

– Wpiszę im w decyzji o zwrocie: ma zostać zachowana publiczna dostępność parku, nie wolno wycinać drzew, trzeba tolerować oddział Muzeum Narodowego w pałacu. Wszystko to wpiszę.

**A oni odwołają się do SKO, które uchylili to błyskawicznie.**

– Bardzo możliwe.

Niech pan pamięta, że nie sędziowie są temu wszystkiemu winni ani nie Krasieńscy, tylko gnuśne państwo. Sędziowie uważają, że skoro państwo przez tyle lat nie rozwiązało problemu, to niby dlaczego oni mają je wyręczać. Dlaczego mają głowy nadstawiać, naciągać prawo, żeby ratować szkoły publiczne czy muzea? I ja ten punkt widzenia trochę rozumiem.

### **A ja nie rozumiem.**

– Razem ze współpracownikami chodzimy na rozprawy i widzimy, że sędziowie też mają tej sytuacji po dziurki w nosie. Skoro państwo nie dba o własne interesy, nie dba o majątek publiczny, to postanowili tak interpretować prawo, żeby chociaż prywatni właściciele na tym nie tracili. Niech traci ten, co zawinił – a zawiniło państwo. Jest w tym jakaś logika.

Październik 2014

\*PS Nathan Zuckerman jest postacią fikcyjną (choć często występuje w powieściach Philipa Rotha). Nie użyliśmy w rozmowie prawdziwego nazwiska z dokumentów, żeby nie kusić kolejnego kuratora.

PS 2 Nie udało się wprowadzić „protezy”, o której mówi dyrektor Bajko. Prezydent Komorowski ostatniego dnia urzędowania skierował te przepisy do Trybunału Konstytucyjnego.

# Co wymyśli chodnik

---

## Rozmowa z MARKIEM W. KOZAKIEM

**MAREK W. KOZAK (1955)** jest profesorem w Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych Uniwersytetu Warszawskiego, członkiem Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN.

### **Jak wydajemy pieniądze z Unii?**

– Na wszystko, co da się zrobić z betonu – drogi, chodniki, budynki, remonty. 80 procent środków idzie na wielkie budowanie.

### **To źle?**

– W ten sposób wydajemy pieniądze na wygodę – jakość życia. Jak bogacze. A miały iść na rozwój.

### **Przecież infrastruktura służy rozwojowi.**

– Nie służy. Czy ta ściana za panem kształci kogoś? Chodnik coś wymyśla? Nie ma naukowych dowodów na wpływ infrastruktury na rozwój, są natomiast liczne przykłady, że można budować w nieskończoność bez efektów. W oficjalnych polskich dokumentach mówi się o „infrastrukturze służącej rozwojowi”, ale to zaklinanie rzeczywistości.

### **Lotnisko?**

– W Łodzi, Bydgoszczy, Zielonej Górze upada, w Radomiu zbudowali, ale nawet nie

ruszyło. Lotniska służą prestiżowi lokalnych władz, niczemu więcej. Z wyłączeniem pięciu największych.

### **No to pięć miało sens.**

– One już były. Wystarczyło je unowocześnić, zamiast budować nowe. Każde lotnisko to gigantyczne pieniądze na utrzymanie pasa startowego, pensje obsługi, technikę.

### **Ściana nic nie robi, to prawda, ale nową drogą firmy mogą wozić swoje produkty i się rozwijać.**

– A do tej pory nie mogły?

### **Po dziurach.**

– I co z tego? Budować infrastrukturę warto tam, gdzie jej brak stanowi barierę rozwoju, który już trwa. Autostrada Warszawa – Berlin ma sens, bo tam jest nasz rynek. Natomiast mania budowania fragmentów dróg w całej Polsce sensu nie ma. Służą one wygodzie obywateli, ale z rozwojem nie mają nic wspólnego.

Województwo warmińsko-mazurskie jest głównym pomysłodawcą budowy trasy S7 Katowice – Warszawa – Gdańsk przez Ostródę. Gdy tylko ta trasa powstanie, okaże się, że w tym samym czasie, w którym kiedyś jechało się z Warszawy do Ostródy, można dojechać nad morze. Kto się zatrzyma w Ostródzie?

Burmistrzowie biednych miast ze wschodniej Polski, którzy na międzynarodowych targach próbują zdobywać inwestorów, słyszą: „Nie inwestujemy, bo... tego... macie kiepskie drogi... ciężko dojechać”

### **No właśnie.**

– A co by pan powiedział sympatycznemu burmistrzowi z biednego kraju? „Jesteście za biedni, za głupi i nie macie specjalistów”? Mówi się coś, co nie rani.

Powstaje droga, ale inwestorzy nadal nie przyjeżdżają. I jest zdziwienie. Bo panuje pogląd, że jeśli do rżyska dociągnąć nowoczesną drogę, kanalizację i światłowód, zrobić specjalną strefę ekonomiczną, to pojawią się inwestycje i miejsca pracy. I że atutem takich miejsc jest tania siła robocza.

### **Nie?**

– Wystarczy obejrzeć statystyki zagranicznych inwestycji bezpośrednich w Europie. Pieniądze wcale nie płyną tam, gdzie jest tania siła robocza, bo pracownicy niewiele umieją, trzeba ich przyuczać i kontrolować. Większość inwestycji trafia do Niemiec. Co z tego, że trzeba tam płacić robotnikowi pięć razy więcej niż u nas, jeśli produkuje

osiem razy więcej rzeczy dobrej jakości.

## **U nas też są inwestycje.**

– Głównie na zachodzie kraju i w wielkich miastach. Jeżeli gdzieś nie ma oznak rozwoju, to autostrada i lotnisko niczego nie zmieniają.

Pakujemy prawie wszystkie pieniądze w ścieżki, dróżki, budynki, odnawianie ratusza pod hasłem „turystyka”, jakby turysta chciał wchodzić do ratusza, a potem mamy kłopoty po każdej unijnej perspektywie budżetowej.

## **Jakie kłopoty?**

– Niech pan spojrzysz na ten wykres, pokazuje wpływ unijnych środków na wzrost naszego PKB. To jest pierwsza perspektywa budżetowa, czyli lata 2004–06. Krzywa idzie w górę, inwestycje podkreślają naszą gospodarkę, ale potem wszystko gwałtownie siada. Bo źródło na rok wyschło. Sytuacja powtarza się przy budżecie w latach 2007–13. Huśtawka.

## **Dlaczego?**

Jeśli prawie wszystko pakujemy w infrastrukturę, to potem musimy płacić za jej utrzymanie. Remontować drogi, ogrzewać te nowe budynki. Gdy strumień pieniędzy słabnie – a tak się dzieje między unijnymi budżetami – wpływ inwestycji na nasz PKB jest ujemny. Dopłacamy. Przychodzi nowa transza i znów zaczynamy budować jak szaleni.

Zamiast efektu kuli śnieżnej fundujemy sobie efekt kuli u nogi.

## **Rządzący to wiedzą?**

– Ten wykres pochodzi z najnowszej analizy zamówionej przez rząd.

Jest więcej niepokojących sygnałów. Z naszych ostatnich badań na UW wynika, że innowacyjność polskiej gospodarki po dekadzie w Unii zmalała, zamiast wzrosnąć. Trafiliśmy do grupy państw najmniej innowacyjnych razem z Rumunią i Bułgarią.

## **Przecież unowocześnienie gospodarki miało być jednym z głównych efektów naszego członkostwa.**

– W 2005 roku działania innowacyjne podejmowało około 23 procent przedsiębiorstw, w roku 2012 – już poniżej 20 procent.

## **Co się dzieje?**

– Polskim firmom opłaca się nie być innowacyjnymi. Łatwiej przyjąć zamówienie z Niemiec na produkcję jakiegoś podzespołu – to daje dobre pieniądze, nie trzeba

tworzyć stałego miejsca pracy dla kogoś, kto coś nowego wymyśli i potem przetestuje. Inżynierowi trzeba porządnie zapłacić, raczej nie da się go trzymać na śmieciówce. Polska gospodarka dobrze się ma, bo niemiecka ma się dobrze i cały czas coś u nas zamawia. Ale to Niemcy wymyślają, projektują, często nawet nie zostaje ślad w postaci znaku „Made in Poland”

### **Co to właściwie jest innowacyjność?**

– Pomysł wprowadzony na rynek, czyli nie patent, nie genialny wynalazek, ale przekształcenie go w produkt. W Polsce słowo „innowacyjność” kojarzy się głównie z naukowcem zamkniętym w laboratorium i ewentualnie z branżą high-tech. Tymczasem najwięcej innowacji pojawia się w tradycyjnych działach gospodarki, np. w przemyśle spożywczym.

Nakłady na innowacyjność w Polsce ciągle rosną. To już 20 miliardów złotych z Unii i budżetu.

### **Wydaliśmy całą pulę?**

– Tak.

### **I innowacyjność spadła? To bez sensu.**

– Bo wygrała mania budowania. Pieniądze poszły na budynki i ich wyposażenie, a nie na ludzi, którzy mogliby tworzyć innowacje.

W mieście na południu Polski po jednej stronie ulicy stoi gigantyczny uniwersytecki park technologiczny, a po drugiej – wielkie laboratorium politechniki. Dlaczego nie zbudowali tego wspólnie? Ochroniarz otwierał mi kolejne drzwi laboratorium, potem zamykał, nie było nikogo. Widziałem kilka podobnych miejsc. Budynki stały, wyposażenie było, tylko nikt w środku nie pracował.

### **Dlaczego ten pusty budynek się stawia?**

– Pieniądze daje Unia, więc uczelnia bierze. Pierwszy pomysł, jaki przychodzi rektorowi do głowy, to taki, żeby coś zbudować. Wszyscy są pełni dobrych chęci i uważają, że park technologiczny się uda, bo mamy przecież na miejscu fantastycznych ekspertów. Ale eksperci nie rzucają się na nowy sprzęt, często nawet nie wiedzą, jak go obsługiwać, i budynek stoi niewykorzystany. Supernowoczesne urządzenia po pięciu latach stają się przestarzałe, a budynek zgodnie z prawem można przeznaczyć na coś innego i nie zwracać dotacji.

Trzy lata temu NIK sprawdził, jak są wydawane środki europejskie na innowacje i jak działają parki technologiczne. Raport jest wstrząsający. Dwa parki działają świetnie, a poza tym powstają budynki. Pod pozorem innowacji zbudowano też kilka



rektoratów.

Piętnujemy aquaparki w małych miastach, wyśmiewamy ambicje burmistrzów i wójtów, a tymczasem elity naukowe też mają swoje aquaparki. Tylko nikt się nie przycepi, bo przecież laboratorium to nauka, rozwój i samo dobro. Teraz szkoły mają problemy, bo utrzymanie budynku kosztuje, zwłaszcza jeśli on nie zarabia. Ale jak ma zarobić? Tym, że stoi? Zamiast pakować pieniądze w wielkie laboratorium, lepiej przyjmując młodych naukowców, żeby za kilka lat stali się innowatorami.

### **Wydać na etaty? Przejeść?**

– To jest to myślenie! Że jak się czegoś nie zbuduje, to pieniądz się zmarnuje.

Powinniśmy ściągać naukowców z Zachodu. Przecież nie mamy specjalistów od innowacji, dopiero musimy kształtować te zespoły. ZESPOŁY. Innowacje nie polegają na tym, że genialny naukowiec w samotności coś wymyśla. Dzisiaj są to zbyt złożone problemy, żeby mogła je rozwiązywać jedna osoba znająca się na jakimś wycinku nauki.

Warto sprowadzić znawcę jakiejś działości, wyposażyć laboratorium, niech robi u nas badania w powiązaniu z firmami konkretnej branży. Niech stworzy zespół w Polsce i kształci swoich doktorantów.

### **Zażąda kilku tysięcy euro miesięcznie pensji.**

– Zapłaćmy. Będzie też potrzebował dziesięciu ludzi, płacimy im tyle, żeby nie musieli się zajmować dorabianiem, dajmy im etaty.

Niestety, budowanie jest łatwiejsze. Żeby stworzyć zespół innowatorów, ściągnąć kogoś do Polski albo polskich naukowców wysłać na wartościowy staż do Niemiec czy USA, trzeba mieć dobry pomysł, nagimnastykować się, wybrać ludzi, nawiązać kontakty. Trudniej taki projekt rozliczyć, bo jest nietypowy. Budowa nowego gmachu to jednorazowy wydatek ogromnej kwoty, którą rozliczyć jest stosunkowo łatwo.

### **Wszystkie pieniądze na innowacje poszły do uczelni?**

– Połowę środków dostały firmy.

### **Wydały mądrzej?**

– Teoretycznie wydały na innowacje, tylko pytanie, co innowacją nazwiemy. Urzędnicy, którzy mieli oceniać, co podpada pod tę kategorię, prosili rząd o praktyczną definicję. I dostali: jeżeli jakiś produkt albo technologia nie występowały na danym obszarze przed dwoma laty, to znaczy, że są innowacyjne. W rozumieniu polskiego prawa innowacją stały się na przykład samochodowe myjnie bezdotykowe. Z pieniędzy na innowacje korzystają też podobno domy weselne. Kiedy widzę,

że w kolejnych województwach żółte budki, z których odbiera się paczki, dostają kolejne miliony na innowacyjność, to mam wątpliwości co do sensowności wydatków.

Z badań zespołu prof. Agnieszki Olechnickiej wynika, że wielkość nakładów na tzw. innowacje nie ma żadnego wpływu na rozwój regionu. Klęska.

### **Co robić?**

– Przestańmy głównie budować! Nakłady można zwiększać w nieskończoność, bo zawsze da się uzasadnić, że czegoś jeszcze brakuje. „Może się kiedyś przyda” – powiedział burmistrz Frampola o obwodnicy, która stoi pusta.

### **Poprawa jakości życia to chyba też jakaś wartość?**

– Idzie pan po nowym chodniku i jest bezrobotny. Albo wegetuje na umowie śmieciowej za tysiąc złotych i ogląda autostradę. Dobre?

### **Przyjemniej mieć wyremontowany rynek, odmalowany ratusz i prosty chodnik.**

– Na to kraj może sobie pozwolić, jak będzie bogaty. Czy infrastruktura tworzy stałe miejsca pracy i dochodu? Sama infrastruktura nie da nam rozwoju.

### **A co da?**

– Ludzie i przedsiębiorczość. Nie beton, ale rzeczy miękkie: otwarte myślenie, szukanie szansy na rynku, kapitał społeczny, umiejętność zachowania się w różnych sytuacjach, inteligencja, wykształcenie, kwalifikacje, umiejętność współpracy, zaufanie do innych ludzi. Klasyczna triada, która decyduje dziś o rozwoju kraju, to tolerancja, talent, technologia.

### **Tolerancja?**

– Oczywiście. Człowiek innowacyjny wymyśla rzeczy dziwne. Jeżeli działa w środowisku nietolerancyjnym, to natychmiast zostanie wyśmiany jako idiota, który nie wiadomo co robi. „Nie kombinuj, tylko śrubki przykręcaj”

### **To znaczy, że unijne miliardy zamiast na drogi lepiej wydać na stypendia dla zdolnej młodzieży wiejskiej. Albo na zajęcia w gimnazjach uczące pracy zespołowej.**

– Lepiej. Ale to powinno być działanie zintegrowane. Kształcimy innowacyjność, otwartość, a z drugiej strony tworzymy dla tych ludzi dobre miejsca pracy. Bo inaczej wyjadą.

### **Co to znaczy dobre miejsca pracy?**

– Doświadczenia innych krajów z funduszami unijnymi pokazują, że pieniądze na innowacyjność powinny być wydawane w przedsiębiorstwach. I nie na budynki, ale na zatrudnianie ludzi do trzydziestego roku życia. Firma na przykład ma stworzyć trzy pełnowartościowe miejsca pracy dla młodych inżynierów w dziedzinie, którą chce rozwijać. I na to dostaje pieniądze. Na ośrodek badawczo-rozwojowy, który będzie wymyślał nowe rozwiązania.

**Tylko wtedy zamiast fikcji pustych budynków grozi nam fikcja ośrodków badawczo-rozwojowych, w których pracują szwagier i kolega szwagra.**

– Wszędzie tam, gdzie wydawane są pieniądze publiczne, pojawiają różni dziwni ludzie. Dlatego trzeba wydawać inteligentnie.

### **Czyli jak?**

– Dwa unijne kraje, którym udało się przeskoczyć z grona najbiedniejszych do najbogatszych, to Irlandia i Finlandia. Kiedy byłem w Irlandii w 1991 roku, na wszystkich knajpach i sklepach były napisy: „Nie przyjmujemy do pracy”, po miastach krążyły tabuny zdesperowanych bezrobotnych. Jak pojechałem tam pięć lat później, wszędzie wisiały kartki: „Szukamy pracowników”. To była błyskawiczna zmiana. Na samym początku podjęli decyzję, że będą wydawać maksymalnie 30 procent środków unijnych na infrastrukturę. Żadnych odstępstw.

### **Może mieli dobrą infrastrukturę?**

– Fatalną. Przy ówczesnych irlandzkich drogach nasze peerelowskie to ho, ho. Większość środków inwestowali w przedsiębiorczość, miejsca pracy. Inwestowali w ludzi.

### **Ale co to znaczy konkretnie?**

– W latach dziewięćdziesiątych prosiliśmy Irlandczyków o rady, jak Polska powinna w przyszłości wydawać unijne dotacje. Odpowiadali dziwnie: „Po pierwsze, musicie sobie stworzyć ostrzejsze zasady wydawania środków, niż wam dyktuje Unia”. „Jak to? Mamy sami sobie utrudniać?” – dopytywaliśmy. „Wyśrubujcie warunki dla tych, którym chcecie przyznawać dotacje. I nie dawajcie byle komu”. Rady wydawały się nieco ekscentryczne. Przecież jak są pieniądze, to kraj powinien wziąć, a nie stwarzać bariery.

Oni nie czekali na każdego inwestora, jaki się nawinie. Wytypowali kilkaset nowoczesnych firm, głównie w USA, ale też we Francji, Niemczech, Australii, i oferowali dopłaty do inwestycji, zwolnienia podatkowe, jednak przede wszystkim szkolenie pracowników w konkretnej technologii stosowanej przez firmę. Na każde

euro z unijnych programów na szkolenia dokładali z własnego budżetu kilkanaście. Uważali, że to najważniejsza rzecz, aby ludzie umieli.

**U nas też sporo poszło na szkolenia i były jakie kursy angielskiego przez internet.**

– A tam nie. Właśnie dlatego, że wyrubowali zasady wydawania środków i firmy z ofertą tanich szkoleń odpadały.

Pieniądze na infrastrukturę wydawali tylko w miejscach strategicznych. Port lotniczy. Jeden w Dublinie, a nie siedem. Modernizacja jednej ważnej dla gospodarki linii kolejowej. Jedna szosa łącząca Dublin z Belfastem. Całą resztę infrastruktury odłożyli na później, jak na nią sami zarobią.

**I?**

– Skoczyli z przedostatniego miejsca w Unii na drugie, jeśli chodzi o zamożność. Irlandzki PKB wzrósł z około 60 procent unijnej średniej do przeszło 120 procent. W kilkanaście lat. Nam po dekadzie w Unii to się nie udało.

My nawet dokładnie nie wiemy, co moglibyśmy zacząć robić lepiej. Polskie władze nie są zainteresowane taką wiedzą. Prawie nie badają, jaki jest efekt unijnych dotacji, gdzie wpływają one na rozwój, a gdzie inwestycje są chybione. Jeżeli w ogóle władza zleca jakieś badania, to w taki sposób, aby wyszło, że wszystko idzie fantastycznie. Rząd ogłosił niedawno przetarg na zbadanie wpływu środków europejskich na całą Polskę wschodnią. Brzmi ambitnie. Tylko że przeznaczono na to kwotę, za którą można najwyżej zadzwonić do wójtów i zapytać, czy jest dobrze, a oni powiedzą, że dobrze. Albo zrobić trochę ankiet wśród ludzi związanych z wydawaniem dotacji i też wyjdzie, że w zasadzie wszystko gra. Ale nie da się za małe pieniądze zbudować poważnego zespołu badaczy, którzy objadą cały wschód, zrobiąankiety we wszystkich powiatach i obfotografują inwestycje unijne, sprawdzą, jak one ze sobą współpracują, ile dają miejsc pracy i czy przynoszą korzyść rozwojową lokalnym społecznościom.

Ze środkami unijnymi powinno być tak, że jeden stawia fabrykę, drugi kształci ludzi, a trzeci inwestuje w laboratorium, które z tą fabryką współpracuje. Musi być koordynacja.

**Nie ma?**

– Próbę zbadania, jak to wygląda, podjęli Dominika Wójtowicz i Tomasz Kupiec w województwach łódzkim i lubelskim. Inwestorzy korzystający z dotacji nawet nie wiedzą, że ktoś obok robi coś podobnego. Politechnika nie wie, że nieopodal powstaje fabryka sprzętu przeciwpożarowego, która korzysta z dotacji. A fabryka nie wie, że uczelnia właśnie zbudowała laboratorium materiałów ognioodpornych.

## **Czyli wydaliśmy 100 miliardów z Unii i nie interesuje nas, jaki jest efekt?**

– Interesuje nas jedno: żeby wydać. Na stronie internetowej Ministerstwa Infrastruktury pokazywany jest licznik wydanych pieniędzy. Cyfry dumnie biją. Jeżeli eksperci są proszeni przez władze o zbadanie czegokolwiek, to nie efektów inwestycji, ale tego, jakie istnieją utrudnienia w procedurach. Zdecydowana większość badań odpowiada na pytanie, co zrobić, żeby więcej gmin sięgało po pieniądze. A to akurat wiadomo: wystarczy uprościć.

## **A im będzie prościej, tym więcej pójdzie na myjnie bezdotykowe.**

– Przede wszystkim na chodniki, ulice i beton. Oficjalnie wciąż się mówi, że trzeba osiągać cele wyznaczone w unijnych programach, że innowacje, że kapitał społeczny, ale ostateczna ocena jest taka, czy wydano te pieniądze, czy nie. I region, który wydał więcej na głowę mieszkańca albo na kilometr kwadratowy, jest nagradzany.

W Polsce panuje specyficzne rozumienie polityki spójności jako zdolności do przerobienia wszystkich środków europejskich, taka jest też presja mediów. Cały system jest na to nastawiony. I ma to swoje skutki.

## **Jakie?**

– Naukowo to zjawisko nazywa się „zastępstwem celów”. Pojęcie wprowadził amerykański socjolog Robert Merton. W dużym skrócie chodzi o to, że zamiast realizacji zadań skomplikowanych wolimy zrobić coś prostszego i się nie namęczyć. Ta teoria idealnie pasuje do funduszy unijnych, hasła są bardzo ambitne, ale potem następuje radykalne uproszczenie, zwykle w takim kierunku, żeby można było na końcu coś zbudować.

Dobrym przykładem „zastępowania celów” jest rewitalizacja. Zgodnie z początkową definicją to miał być złożony proces prowadzący do przywrócenia na jakimś obszarze aktywności ekonomicznej i społecznej, czyli muszą być w tym wszystkim ludzie, musi być większy teren, gdzie na przykład kiedyś działała fabryka, która upadła. To nie może być jeden budynek. Tymczasem wiele projektów rewitalizacyjnych polega na prostym remoncie budynku, ulicy albo przebudowie placu. Widziałem też takie dziwactwa jak rewitalizacja parku.

## **A co w tym złego?**

– Przecież w parku nikt nie mieszka! Jak można zrewitalizować park?! Jeden z urzędników opowiedział mi, że istnieje coś takiego jak rewitalizacja cmentarza. Nie chciałem uwierzyć, więc sprawdziłem. I znalazłem takie projekty. Chcemy aktywizować ludzi na cmentarzu?!

## **Nie powinniśmy remontować zabytkowego cmentarza?**

– Remontujemy! Ale nie za unijne pieniądze! Polska po to je dostaje, żeby doganiać Zachód, a nie żeby się sztafirować.

W unijnych programach stworzono szufladki z ważnymi celami, które wymagają dużo pracy, a robimy coś prostszego. Można to też nazwać oswojeniem polityki spójności – zamiast rewitalizacji robimy remonciki.

Od dziewięciu lat na Uniwersytecie Warszawskim prowadzimy akademię rozwoju regionalnego, przyjeżdżają urzędnicy zajmujący się środkami unijnymi z całego kraju, są coraz bardziej sprawni, część z nich to fachowcy najlepsi w Europie. Wiedzą, że wiele rzeczy należałoby robić inaczej. Tylko że od nich wymaga się, aby rozdali sto procent środków. Głównym kryterium oceny kadry urzędniczej jest sprawne wydawanie unijnych pieniędzy, co daje ewidentną preferencję tym, którzy unikają złożonych projektów. Beneficjenci realizują projekty łatwiejsze, a zarządzający środkami nie przeciwdziałają temu zbyt natarczywie, bo wiedzą, że taki układ gwarantuje skuteczne wydatkowanie pieniędzy, co pozostaje w zgodzie z oczekiwaniami społeczeństwa, mediów i instytucji unijnych.

## **Czyli wszyscy trochę udajemy.**

– Politycy, urzędnicy i obywatele. Niemcy wyłożyli dla nas kasę w ramach Unii, no to ją weźmy, tylko głupi by nie brał. Należy się nam za wojnę, bo nas ominął plan Marshalla. Ale już na co wydajemy, czy to ma ręce i nogi – to się zobaczy. Coś zbudujemy, polityk przetnie wstęgę przed wyborami, ksiądz pokropi, kamera pokaże, obywatel ma nowy chodnik i też czuje, że mu skapnęło.

## **Co teraz?**

– Trzecia perspektywa. Do 2020 roku razem mamy do wydania około 300 mld złotych.

## **Wydamy mądrzej?**

– Tu mam nowe unijne rozporządzenia – grubą zieloną książkę – z dużo ostrzejszymi kryteriami. Każą nam uzasadniać, że wydatek ma sens, ustalono jedenaście celów, które dzięki unijnym środkom mamy osiągnąć. Jednym z głównych jest wspieranie przedsiębiorczości. Pojawia się też wymóg, żeby mniej wydawać na infrastrukturę, poniżej 50 procent, chociaż wolałbym, żeby to było 30 procent, jak w Irlandii. Nasi urzędnicy po powrocie z Brukseli opowiadali, że pierwszy raz spotkali się z taką arogancją. Do tej pory było mruganie okiem. „Innowacje? Taaa... innowacje?” „Kultura? No tak, kultura.” „Turystyka? Oczywiście, turystyka.” Kończyło się na budowaniu jak nie



nowej drogi, to filharmonii. „Teraz nie było żadnych negocjacji, był szantaż” – powiedział mi jeden z urzędników. I – paradoksalnie – to jest szansa. Gdyby udało się wprowadzić w życie te surowe zasady, byłaby to dla Polski znakomita wiadomość.

Ale boję się, że pewnego dnia przedstawiciele Komisji Europejskiej zauważą, że pieniądze nie schodzą tak szybko jak dotąd, i odpuszczą. Im też zależy, żeby wydać cały budżet.

**Może alternatywa jest taka, że albo pojawia się facet z myjnią, albo nie pojawia się nikt.**

– Możliwe.

**Nawet jeśli część jest wydawana bez sensu, to jednak pieniądze zostają w Polsce. Gospodarka się kręci. To się per saldo opłaca.**

– A wie pan, ile wynosi nasz wkład? Przy nietrafionych inwestycjach 30 procent polskich pieniędzy wyrzuca się w błoto. Dobry pomysł?

**Gdybyśmy tę zieloną książkę potraktowali poważnie, to jaki procent środków unijnych przejdzie nam koło nosa?**

– Nie wiem. Być może zdołamy wydać tylko 60 procent, może więcej. Powinniśmy zaostrzyć zasady i jednocześnie dać więcej swobody urzędnikom rozdzielającym unijne środki. Żeby mogli popełniać błędy.

**Błędy?**

– Polski urzędnik nie może popełnić żadnego błędu, prawo administracyjne tego nie przewiduje. Myślą więc nie o tym, żeby osiągnąć ambitne cele, tylko o tym, żeby nie mieć kłopotów. Jak pojawia się skomplikowany problem, powołuje się komitety integracyjne albo koordynacyjne, sto pięćdziesiąt osób gada po to, żeby rozejść się bez efektu. Tymczasem inwestowanie unijnych pieniędzy wymaga ryzyka. Bo innowacje ze swej natury są ryzykowne, nowe pomysły często wydają się na początku dziwaczne, wymagają współdziałania kilku podmiotów. Trzeba zaufać. No i może się nie udać. Myjnia jest prosta. Wiadomo, do czego służy, i że „się przyda”

**Czy nad Polską wisi szklany sufit?**

– Już w niego uderzamy. Możemy pozostać krajem, który osiąga średnie dochody, jest poza rdzeniem europejskim, w zasadzie niewiele od niego zależy. Jako mniej innowacyjny dostosowuje się do warunków na europejskim rynku i skręca cudze śrubki.



## **Ktoś musi skręcać śrubki. Może to nasza nisza?**

– Trudno powiedzieć, żeby to była nisza. Nisza powinna być w miarę bezpieczna, a takie funkcjonowanie jest skazywaniem się na ciągłą niepewność. Jeśli Niemcom się pogorszy, u nas natychmiast pogorszy się pięć razy bardziej. To uzależnienie.

Odtrąbiono sukces dwudziestopięciolecia i on rzeczywiście jest spory, nie chodzi o to, żeby wszystko kwestionować. Ale wyniki wygładają tak różowo, bo są podawane według tzw. parytetu siły nabywczej, który uwzględnia, ile w danym kraju kosztuje chleb, mleko, prąd. W Polsce jest taniej niż w Niemczech, więc jeśli to uwzględnić, jesteśmy od nich tylko dwa razy biedniejsi. Nasz PKB na głowę mieszkańca według parytetu siły nabywczej wynosi 16 tysięcy euro, a niemiecki – 32 tysiące. Tymczasem według kursu wymiany waluty nasz wynik to zaledwie 9 tysięcy euro. Czyli dystans jest tak naprawdę ponadtrzykrotny.

## **Nie rozwijamy się?**

– Rozwijamy. Po akcesji dochody w Polsce na głowę mieszkańca wzrosły o połowę. Dobry wynik. Kłopot polega na tym, że Polska goni peleton, który ucieka. Po dekadzie w Unii wciąż jesteśmy jednym z czterech najbiedniejszych krajów Europy.

Pod względem wielkości gospodarki w światowych rankingach znajdujemy się w okolicach dwudziestego miejsca, ale jeśli chodzi o otwartość, innowacyjność, konkurencyjność, to tkwimy w okolicach miejsca czterdziestego – obok Mołdawii i Rosji. Nasza gospodarka jest duża, ale nienowoczesna. Nie zmieniają tego równe chodniki.

# Jak kusi kasa. Spowiedź liberała

---

## Rozmowa z JANEM KRZYSZTOFEM BIELECKIM

**JAN KRZYSZTOF BIELECKI (1951)** studiował ekonomikę transportu morskiego, potem pracował naukowo, został doradcą „Solidarności”, w stanie wojennym wyrzucono go z pracy, wkrótce założył w Sopocie spółdzielnię Doradca, która zatrudniała opozycjonistów (m.in. z grupy tzw. gdańskich liberałów). W wolnej Polsce został premierem chyba w najtrudniejszym czasie transformacji (styczeń–grudzień 1991 r.), kiedy opadł początkowy entuzjazm z odzyskanej wolności, gwałtownie rosło bezrobocie i koszty społeczne reform. Zakładał Kongres Liberalno--Demokratyczny, był ministrem integracji europejskiej w rządzie Hanny Suchockiej. Potem na osiem lat został prezesem banku Pekao SA. W czasie rządów PO był doradcą premiera Tuska. Wielu twierdziło, że głównym.

**Znał ich pan?**

– Niektórych.

**Fulda?**

– Jego akurat nie znałem.

Kiedy w 2008 roku upadł Lehman Brothers i wybuchł kryzys, prezesi amerykańskich banków pobiegli po pomoc do rządu. Jak trwoga, to do państwa. Zagorzali wyznawcy kapitalizmu, czciciele deregulacji i wolnego rynku ustawili się

w kolejce do budżetu po pieniądze. I rząd im je dał.

Chociaż eksperyment byłby niewątpliwie ciekawy.

### **Eksperyment?**

– Co by było, gdybyśmy zachowali się zgodnie z teorią neoliberalną: kapitalizm sam się wyreguluje, wszystko, co słabe, upadnie, zdrowe siły rynku sobie poradzą. I będzie dobrze.

### **Pan by tak chciał.**

– Nie. Jeśli grozi katastrofa, to trzeba jej zapobiec, a nie sprawdzać, czy się miało rację. Pali się, przyjeżdżają strażacy, ale zamiast gasić ogień, wyciągają notesy i zaczynają oceniać, że wspaniale się pożar rozprzestrzenił na całą dzielnicę, wręcz modelowo według teorii rozprzestrzeniania się pożarów, którą wykładano im w szkole. Nacieszę się katastrofą, bo to jest zgodne z moją ideologią.

### **Bardzo pan zmienił poglądy po kryzysie?**

– Trochę. Nikt nie wyrzuca podstawowych reguł wolnego rynku na śmietnik. Nie w tym rzecz. Tylko czasem trudno zmieścić w sobie dwa światy: świat pięknych teorii ekonomicznych i ten realny, w którym żyją ludzie. Najlepsze teorie ekonomiczne, najbliższe rzeczywistości, były pisane na podstawie doświadczeń z rozmaitych kryzysów, a nie na podstawie przekonań ekonomisty, co by było gdyby.

Fundamentalne dzieło Keynesa wynikało przecież z jego prób zrozumienia Wielkiego Kryzysu.

### **Keynes czy Hayek?**

– No tak... Próbowaliśmy myśleć Hayekiem, a jeszcze bardziej Friedmanem. W latach osiemdziesiątych całe moje środowisko zaczytywało się w książeczce Janusza Lewandowskiego „Neoliberalowie wobec współczesności”. To był krótki przegląd tekstów, nazwisk i głównych myśli tego nurtu. Świetna rzecz, która otwierała umysły. Wtedy, w 1989 roku, moje myślenie było takie: państwa jest za dużo, ono nas tłamsi, zniewala, brakuje wolności i prywatnej własności. W związku z tym, jeśli chcemy zmieniać świat, musimy być bardziej hayekowi niż Hayek.

### **Kapitalizm kasyna. Zna pan to określenie?**

– Znam. Prezesi zachodnich banków słono zapłacili za ten hazard, wielu zostało pociągniętych do odpowiedzialności karnej.

### **Widział pan „Wilka z Wall Street”?**

– Tak.

### **No to pan wie, jak zapłacili.**

– Fuld – prezes Lehman Brothers – zapłacił. Madoff też zapłacił, przecież siedzi. Szefowie korporacji finansowych i funduszy inwestycyjnych byli osobistościami, dostawali tytuły szlacheckie. „Sir” – pisane wielką literą. Nie tylko stracili robotę, ale też szlachectwo, twarz.

### **Wzruszające.**

– Z punktu widzenia normalnego człowieka kara rzeczywiście jest niewspółmierna, bo ktoś miał 100 milionów majątku i, cholera, zostało mu tylko 20. Ale najważniejsze, żeby była kara. Bo nie ma zbrodni bez kary. A już jaka kara, to mniej ważne. Aby była.

### **Jak by pan ich zbrodnię nazwał?**

– Nie umiem jej nazwać.

### **To byli źli ludzie?**

– Normalni.

**Brytyjski parlament w czerwcu zeszłego roku opublikował pięćsetstronicowy raport na ten temat. Parlamentarna komisja ds. standardów bankowych pisze w nim tak: „Jednym z najbardziej ponurych wniosków wynikających z naszego dochodzenia jest uderzająco niskie poczucie odpowiedzialności prezesów banków”. Dalej komisja proponuje, żeby wprowadzić do kodeksu nowy typ przestępstwa: „lekkomyślne zarządzanie bankiem”. Więc chyba nie byli tak całkiem normalni.**

– Byli.

### **To dlaczego tak bardzo nas zawiedli?**

– Wiele zależy od atmosfery, w jakiej się funkcjonuje. Jeśli cały świat zarabia na ryzykownych transakcjach, to pan też w końcu zacznie. Bo nie chce być frajerem, który ma niski zwrot z kapitału i nie może pochwalić się przed akcjonariuszami tak wysokim zyskiem jak inne instytucje finansowe. A potem robi się kolejną rzecz, bardziej ryzykowną. I kolejną, jeszcze bardziej ryzykowną... Toczy się kula śniegowa. „Przecież wszyscy tak robią” – i to jest argument.

Jako prezes banku nieustannie byłem narażony na podobne pokusy.

### **Pokusy?**

– Przykład pierwszy z brzegu: udzielanie Polakom kredytów we frankach szwajcarskich. Wyjątkowe szkodnictwo. Przez pięć lat toczyłem zacieklą wojnę z tym procederem, wszyscy dookoła dawali takie kredyty, a myśmy w Pekao powiedzieli „nie”. Rada nadzorcza akceptowała moją decyzję, zapewne zaciskając zęby. Bo cena była bardzo konkretna – byliśmy liderem, jeśli chodzi o kredyty hipoteczne, mieliśmy prawie 30 procent rynku i przez moją zachowawczość zaczęliśmy ten udział tracić. Ludzie walili po kredyty we frankach drzwiami i oknami do konkurencji. Tracenie udziałów w rynku jest niesłychanie bolesne dla prezesa.

### **Dlaczego nie chciał pan dawać kredytów walutowych?**

– To jest naprawdę bardzo proste, ale wymaga krótkiego wykładu technicznego. Tłumaczyć?

#### **Tak.**

– W banku „górką” jest tylko trochę gotówki. Żeby więc udzielać kredytów, muszę gotówkę zdobyć. Jeżeli udzielam kredytów w złotych, to muszę zdobyć złote. Na polskim rynku zdobywam je między innymi w ten sposób, że proszę pana, aby był tak uprzejmy i założył u mnie konto, wpłacił swoje oszczędności jako depozyt.

Staram się mieć względną równowagę między tym, ile złotych zebrałem od klientów, i tym, ilu udzieliłem kredytów, między lewą stroną i prawą. Jak w chodzeniu. To jest podstawa myślenia finansowego, bo istotą bankowości jest ograniczanie ryzyka.

#### **Zarabianie.**

– Nie. Przede wszystkim ostrożność. Jeśli natomiast udzielam kredytów we frankach, to nie mam tej drugiej nogi, bo nie mogę przecież poprosić Polaków, żeby mi wpłacili franki szwajcarskie jako depozyty. Więc żeby komuś te franki wypłacić w formie kredytu, a potem jeszcze mieć względną równowagę w bilansie, muszę zdobyć franki na rynku. Kupić. I to jak najtaniej.

Doszło do tego, że banki kupowały franki na jeden dzień.

#### **Słucham?**

– Kupuje się o ósmej rano, a po piętnastej sprzedaje. I już w nocy franków się nie ma. Po prostu.

#### **Brzmi idiotycznie.**

– Ale księgowo się zamyka. Kredyt udzielony na trzydzieści lat jest zabezpieczony jednodniowym zabiegiem, w gruncie rzeczy trikiem. Codziennie dług jest rolowany.

Krocząco.

## **No i?**

– Dopóki złoty się umacniał i można było łatwo kupować franki od banków zagranicznych, wszystko działało. Ale kiedy kurs się silnie odwrócił, to bilans przestał się zgadzać.

Nie lubię ryzykować. Już w podziemiu wszyscy wiedzieli, że Bielecki ryzykuje tylko wtedy, jak musi. Taką miałem zasadę. Jeden z moich szefów w opozycji, Bogdan Borusewicz, aż do 1986 roku bezpiecznie się ukrywał, bośmy nie ryzykowali. Nie lataliśmy z gazetkami pod nosem SB, żeby potem opowiadać: „No, stary, ale dzisiaj podziałam!” Dopiero jak sytuacja była beznadziejna, bez wyjścia, to wtedy ryzykowałem, bo już trzeba się było odważnie zachować.

Dobrego menedżera, a moim zdaniem także polityka, poznaje się po tym, czy umie podejmować decyzje, będąc pod silną presją. To może być presja pracowników, grup nacisku, akcjonariuszy, wyborców. Na co dzień lepiej zachować powściągliwość w działaniu.

## **To, zdaje się, jest dzisiaj wasz pomysł na rządzenie.**

– Kiedy miałem dwadzieścia pięć lat, mój profesor poradził mi, żebym wziął roczny urlop na uczelni i zdobył inne doświadczenie. Znalazłem pracę kierownika jednej z polskich brygad transportowych na budowie rurociągu w Związku Radzieckim. Moi podwładni – kierowcy ciężarówek, wszyscy starsi – lekceważyli mnie. Nie miałem autorytetu. Tak było do momentu, kiedy nowa ciężarówka kupiona za ciężkie dolary zaczęła tonąć w bagnie. Na początku sami próbowali ją ratować, a potem przybiegli: „No to gadaj pan, co robić!?” Przekazali kompetencje zarządcą, jak byśmy dziś powiedzieli.

## **No i?**

– Coś tam zarządziłem. Zamiast ciągnąć z lewej strony, zaczęliśmy ciągnąć ją z prawej i pożyczaliśmy od Rosjan spychacz. Wyciągnęliśmy. Ale, widzi pan, gdyby nam zatoneła w błocie, to byłoby na mnie. Zresztą po to oni przyszli, żeby w razie czego umyć ręce.

Zapamiętałem sobie to doświadczenie na resztę życia. Są szefowie, którzy w takich sytuacjach głupieją. Boją się. A ja tak mam, że się nie boję. Będzie na mnie? No to będzie! W trudnych chwilach ujawniają się moje najlepsze cechy. A w zwykłych czasach no to jestem, jaki jestem. Zachowawczy. Ostrożny. Zarządzanie bankiem to była dobra szkoła, wiele złudzeń odpłynęło. Byłem atakowany przez własnych kolegów,

czyli ludzi mających pełne usta Hayeka, neoliberalizmu i wolnego rynku, za to, że nie lubię kredytów walutowych. Różni liberalni eksperci – a takich u nas większość – krzywili się, że zdradzam wolnorynkowe wartości. Że klient banku powinien mieć wolność wyboru, a ja chcę mu ją ograniczać.

**Bo to był wasz dogmat. Wolny człowiek na wolnym rynku ma prawo sam decydować. Chce brać kredyt we frankach, to niech bierze. I niech odpowiada za swoje decyzje.**

– W samej zasadzie nie ma niczego złego, wolność wyboru jest ważną wartością. Tyle że to jest często fikcja. Rynek może dobrze funkcjonować tylko wtedy, gdy nie ma asymetrii w dostępie do informacji pomiędzy bankiem a klientem.

Moja odpowiedzialność jako prezesa banku – który ma to wszystko w małym palcu – jest większa niż Kowalskiego, który może być świetnym informatykiem, murarzem czy biologiem, ale nie zna się na kursie franka. On widzi reklamę: weź najtańszy, najbezpieczniejszy kredyt na świecie. I nie obroni się przed reklamą. Bo wymyślają ją najlepsi na rynku spece od technik marketingowych. W dodatku wszyscy pańscy znajomi biorą te świetne kredyty, to w końcu pan ulegnie. Czy to jest tak do końca wolny wybór?

A taniość kredytów frankowych była oszukańcza. Pozorna. To nie jest żadna wolność, k edy prezes banku całe ryzyko przenosi na klienta. Jak kryzys frankowy strzelił w Polsce i na Węgrzech, to wszyscy nagle zrobili się mądrzy. Nawet w „Wall Street Journal” wreszcie przeczytałem, że jednak ten problem dotyczy także sektora bankowego. I że banki powinny się zastanowić, w jaki sposób pomóc swoim klientom, którzy zostali wpakowani w tę trudną sytuację.

**Powinny?**

– Oczywiście. I pomagają, tylko głośno o tym nie mówią, żeby więcej i więcej osób nie przychodziło. Restrukturyzują kredyty, wydłużają okres płatności, zmieniają koszty obciążeń i tak dalej.

Wielbiciele wolnego rynku muszą uwzględniać drugą wartość – odpowiedzialność. Bez tego nie ma kapitalizmu. On nie przetrwa.

**Rynek derywatów to 600 bilionów dolarów. Dziesięć rocznych PKB całego świata. Normalne?**

– Nie. To jest fenomen kilkunastu ostatnich lat. Obroty na tym rynku długo wynosiły 2–3 biliony dolarów i nagle pojechało. To jest wypaczenie.

**Wypaczenie kapitalizmu?**



– Systemu finansowego. Prawie cały ten obrót generują fundusze hedgingowe. A przecież „hedge” to znaczy zabezpieczać. Pierwotnie chodziło o zabezpieczenie firm przed ryzykiem wahania kursu walutowego. Szedł pan do takiego funduszu, kupował rodzaj ubezpieczenia i mógł być pewien, że jeśli wartość dolara spadnie, to oni wyrównają różnicę i pańska fabryka nie splajtuje. Natomiast dziś te fundusze funkcjonują w sposób odwrotny. Ich głównym celem stała się huśtawka. Wahanie kursu. Bo odkryli, że na tym można zarabiać.

### **Wahanie kursu czego?**

– Czegokolwiek. Jeżeli stabilność jest płaską linią, to prezesowi takiego funduszu zależy na tym, żeby tę linię rozbujać. Czy w górę, czy w dół, to już nieistotne, byle się coś działo, byle nie było stabilności na rynkach. To może być kurs jakiejś waluty, zboża, bawełny, ropy. Zresztą można obstawiać właściwie wszystko. A potem doszło do rzeczy niedopuszczalnej – poważne banki depozytowe też zaczęły tworzyć w swojej strukturze komórki z tego typu działalnością.

### **To źle?**

– Podkopywanie fundamentów.

Z jednej strony bank jest instytucją konserwatywną, która cały czas analizuje ryzyko i chroni pieniądze klientów. Ale w osobnej komórce ma departament, który spekuluje i robi wszystko, żeby rozhuścić rynki. No, nie na to się umawiał prezes z klientami!

### **Skąd w ogóle biorą się takie pieniądze jak dziesięć PKB świata? Skąd wy je macie? Od klientów?**

– Lewar. Genialny wynalazek. A potem lewar na lewarze, jeden do czterdziestu na przykład.

### **Czyli?**

– Ma pan własnego kapitału miliard, ale obstawia wahania kursów za 40 miliardów. To jest już kwota porównywalna z budżetem niewielkiego państwa, więc jak pan ją rzuci na rynek, to można go dobrze rozhuścić. Powstało wyrafinowane modelowanie komputerowe, które miało być tak genialne, żeby całkowicie zabezpieczać przed ryzykiem. W Lehman Brothers ta komórka tak się rozrosła, że właściwie zaczęła rządzić resztą firmy.

Poznałem kiedyś taki zespół. Było ich kilku z młodym szefem i nagle zaczęli robić taki wynik jak dotąd cała firma. Wyobraża pan to sobie? Pracuje tysiąc osób i siedem osiąga większy zysk niż pozostałe razem wzięte. To jest pokusa! Wszyscy są szczęśliwi, prezes też, sypią się premie. Nie dało się tego zatrzymać. Im większa huśtawka, tym

większe zarobki, a potem jeszcze większe, więc stosuje się jeszcze większy lewar. I tak szło.

### **Umiałby pan?**

– To jest łatwe. W tym właśnie rzecz. Jeden komputer, automatyczny program, który sam kupuje, i dwóch analityków, którzy to nadzorują.

Trudniej jest czegoś nie robić, jak wszyscy dookoła to coś robią.

**Ten świat spekulacji zawdzięczamy pańskim mentorom – Thatcher i Reaganowi. To oni uznali, że można rynki finansowe puścić na żywioł. Zarabiajcie, piekła nie ma.**

– Nie tak było. Thatcher i Reagan reagowali na utratę konkurencyjności spowodowaną przeregulowaniem całej zachodniej gospodarki. Obarcza ich pan odpowiedzialnością za kryzys, bo szuka podstawy ideologicznej. I nazwisk winnych. To jest łatwe. A ja w kryzysie widzę efekt nieuchronnego zjawiska, jakim jest permanentny rozwój i ewolucja rynku, który z małego staje się rynkiem światowym. Globalizacja tak działa.

**Ale dlaczego mamy się na to zgadzać? Na to „hedge”, które nie jest żadnym „hedge”, tylko wyrafinowanym szwindlem.**

– Bo nie jest łatwo znaleźć równowagę pomiędzy swobodą gospodarczą a regulacją. Od wieków trudno zarządzać cyklicznością gospodarki. To nie jest kwestia zgody, to się samo robi.

**No właśnie: „Się samo robi”. „Nie da się tego zatrzymać”. Stała odpowiedź. Wszystkich.**

– Kiedyś luddyci chcieli czółenka tkackie niszczyć, by powstrzymać rewolucję przemysłową.

**To co innego.**

– To samo. Walka z postępem.

Cykliczność jest wbudowana w kapitalizm. Bańka rośnie. Co pięćdziesiąt-sześćdziesiąt lat wybucha, jest wpadka, bo gospodarka tak szybkiej ekspansji nie wytrzyma. Z gospodarką rynkową jest trochę jak z definicją demokracji Churchilla: jest niedoskonała, ale nikt niczego lepszego nie wymyślił.

**Połowa transakcji walutowych na świecie kończy się odsprzedażą waluty jeszcze tego samego dnia, czyli są to czyste spekulacje. Ropa stała się podstawą siedemdziesięciu instrumentów pochodnych, co znakomicie destabilizuje rynek**

## **tego surowca. To jest postęp?**

– Na szczęście ten najgorszy z możliwych systemów potrafi się uczyć. Wielkie upadki powodują w końcu poprawę instytucji, nowe działania, nowe regulacje.

## **Przecież miał się rynek sam regulować według waszej neoliberalnej teorii.**

– Ale się nie reguluje.

## **Pan w to w ogóle wierzył?**

– Jeśli nawet, to krótko. Rynki cząstkowe być może mają zdolność do samoregulacji. Ale żeby to była jedyna słuszna wykładnia, to nie dam się na to namówić. Rynek lodów – on od biedy może się sam regulować i nie trzeba do tego państwa. Ale rynek energetyczny i rynek gazu – już nie.

## **Co robić z tym całym kasynem finansowym?**

– Zakazy nie zadziałają. Dla rynku pracują najwybitniejsi ludzie, dostają za to milionowe premie. Nadzieja, że urzędnicy nadążą za ich pomysłami w trybie online, jest naiwnością.

Ale gdyby ten cały finansowy hazard opodatkować, wtedy opłacalność byłaby zupełnie inna. Chcesz rozhuścić kursy, sto razy dziennie kupić i odsprzedać opcje na ryż? Proszę bardzo, tylko musisz zapłacić niewielki podatek od każdej z tych stu transakcji. Więc się też sto razy zastanowisz, czy to się opłaca. To się nazywa podatek Tobina. Od dawna leży ten pomysł na stole, gotowy, policzony.

## **No i?**

– Nie da się.

## **Aha.**

– Ten podatek ma sens tylko wtedy, jeśli wszyscy go wprowadzą. Inaczej ci ucziwi, którzy to zrobią, dokonują samobójczego działania, bo kapitał się przeniesie do tych, którzy go nie wprowadzą. I ucziwi dostaną po głowie.

Musiałyby dojść do jakiejś jeszcze większej tragedii niż w 2008 roku. Do szoku światowego na jeszcze większą skalę, żebyśmy ze strachu solidarnie się zdecydowali na poważne zmiany. Od pierwszego wielkiego kryzysu finansowego sprzed dwustu lat wiemy, że taki szok wytwarza klimat do przebudowy świata. W ten sposób powstał bank centralny, ubezpieczenie depozytów bankowych, regulatorzy rynku itd.

Są kraje, w których sektor finansowy jest siłą gospodarki, i one nie będą zainteresowane opodatkowaniem tego typu transakcji. Kapitał po prostu ma narodowość.

## **Kapitał ma narodowość? Ciekawe.**

– Ależ oczywiście.

## **Przecież wyście zawsze powtarzali, że kapitał nie ma narodowości.**

– Wyście, wyście...

## **Liberałowie.**

– Nie napisałem tego, nie powiedziałem.

## **Pański mentor Janusz Lewandowski, Leszek Balcerowicz, ministrowie w pańskim rządzie.**

– Każdy odpowiada za siebie.

Kapitał ma narodowość i ten pogląd to istotna linia podziału.

## **Między kim a kim?**

– Między tymi, którzy patrzą na gospodarkę jak na teoretyczny idealny model, i tymi, którzy gospodarkę rozumieją.

## **Tego też się pan nauczył w banku?**

– Niewątpliwie była to szkoła w tym zakresie. Bo jeżeli się kieruje firmą, której strategiczny właściciel jest z innego kraju, to zawsze będzie pokusa, żeby robić rzeczy dobre dla centrali. Dam prosty przykład: jeżeli jest pan moim szefem z siedzibą we Frankfurcie i większym ryzykantem ode mnie, a ja jestem raczej zachowawczy, to znaczy, że mam zawsze w swoim oddziale banku za dużo pieniędzy. Nadpłynność – tak to się nazywa. Więc dzwoni pan do mnie z centrali i mówi: „My widzimy w komputerze, że masz wolne 2 miliardy. To dawaj, bo my je świetnie zainwestujemy”

## **Kupując derywaty na chiński ryż denominowane wynikami gonitw psów w Seulu w miesiącu październiku.**

– Niewiele pan przesadził.

Ja na to mówię: „Ależ oczywiście, kochany, bardzo chętnie, ale zapłać mi rynkowy procent.” Ale on nie jest tym zainteresowany, bo po cenie rynkowej to ma kapitał wszędzie. On by chciał bez kosztów. „Tobie się marnuje, dawaj” – pada argument.

I to jest narodowość kapitału.

## **I pan wtedy musi?**

– Nie. Bo polski przepis zabrania.

**Czyli na końcu jest to okropne państwo, które się wtrąca, reguluje i przeszkadza kapitałowi wiać, kędy chce.**

– Na szczęście jest.

**Przypływ podnosi wszystkie łodzie. To prawda?**

– Z teorii przypływów tak by wynikało. Ale jak wiadomo, to tak nie funkcjonuje.

**Prywatna firma zawsze działa lepiej niż państwowa. Prawda?**

– Tak. Ale tylko dopóki mamy do czynienia z konkurencyjnym rynkiem.

**Pierwszy milion trzeba ukraść. Prawda?**

– Nie wiem, skąd się to wzięło! Nigdzie nie znalazłem śladu, żebym coś podobnego powiedział, chociaż wciąż m się ten cytat przypisuje. Co przychodzi ktoś na wywiad, to właśnie ten kawałek wyciąga. A skąd to jest? Nie wiem. Zatrudniłem nawet firmę, żeby przejrzała moje stare teksty, wywiady, musiałem zapłacić, bo robili to ręcznie, gazeta po gazecie, po bibliotekach.

**I?**

– Nie znaleźli.

**Niskie podatki są dobre dla wzrostu gospodarczego, wysokie – złe. Prawda?**

– Zależy jak niskie. Bo jak są zbyt niskie, to niedobrze. Podatki poniżej 30 procent dochodu narodowego powodują, że zaczyna się w państwie źle dziać. Obniżenie ich jeszcze bardziej to już abdykacja państwa, na nic nie ma pieniędzy.

**Polska jest państwem nadopiekuńczym?**

– Nie. Wystarczy spojrzeć na liczby. Realizacja wydatków publicznych do PKB, czyli skala redystrybucji wytwarzanego przez państwo bogactwa, to około 41,9 w Polsce, a około 49 w UE. Poziom wydatków socjalnych to u nas 20,9 procent PKB, a przeciętna w UE to 30,4.

**Na koniec chcę zapytać o pegeery, które pan jako premier zlikwidował.**

– No tak...

**Ile ich było?**

– Tysiąc?

**1666. Ilu ludzi utrzymywały?**

– Mogło być pod milion. Były, zdaje się, jeszcze SKR-y i spółdzielnie rolnicze.

## **Były. Jak to się stało?**

– Tę zmianę przeprowadzaliśmy w 1991 roku, więc myślę, że to się odbyło pod hasłem: ograniczyć straty. W sytuacji wielkiej zapaści gospodarczej...

**19 października 1991 roku był pan premierem Polski. Przepis likwidujący pegeery i decydujący o losie pół miliona ludzi ma pięć zdań. „Wykreślenie przedsiębiorstwa z rejestru podmiotów” – to zdanie najważniejsze. Wyście w ogóle pomyśleli, co będzie z ludźmi?**

– Nie pamiętam.

## **Nie?**

– Myśleliśmy, proszę pana, jak odpalić polską gospodarkę, która nam się cały czas kurczyła. I to była myśl dominująca. Nie przypominam sobie większych dyskusji na temat pegeerów. Ale mogę zadzwonić do Tańskiego, zapytać. Chce pan?

## **Później.**

– Po dwudziestu pięciu latach mógłbym się mądrzyć i usprawiedliwiać. Tylko to byłoby nieprawdziwe, nie chcę udawać. Powiem tak: była burza, miałem mało okrętów, starałem się płynąć szybko.

## **Chciałbym usłyszeć od pana na ten temat coś więcej niż cytaty z Herberta.**

– W rządzie Tuska wprowadziliśmy mechanizm oceny społecznych skutków nowych regulacji. Dziś takie sprawy załatwia się inaczej, lepiej.

## **Mnie martwi, że pan nie pamięta.**

– Rozumiem. Ale naprawdę nie pamiętam, nie chcę udawać. Myśmy wtedy podjęli wiele nieprzyjemnych dla ludzi decyzji, to nie była jedyna. Dla mnie trudne było cofnięcie rewaloryzacji dla sfery budżetowej. I obniżenie emerytur o 20 procent.

**Tylko jak się komuś zabiera 20 procent, to jednak 80 procent mu zostaje. A w pegeerach ludzie zostali z niczym. W blokach stojących w szczerym polu. I mnie się wydaje po prostu dziwne, że wyście o tym nawet nie porozmawiali.**

– Z perspektywy czasu to człowiek widzi jasno, jak się powinno postępować. Tyle że wtedy, w pierwszych latach wolnej Polski, nie było tłumów ludzi, którzy wiedzieli, jak to można zrobić lepiej. Owszem, było grono osób – całkiem spore i wpływowe – które mówiło, żeby nie robić nic. „Tego lepiej nie ruszaj, bo będzie krzyk”. „To sobie odpuśćmy lepiej”. I to były te wszystkie mądre rady. A chodzi o to, że nie dawało się

nic nie robić. Po prostu. Wiedziałem, że albo ustabilizujemy kraj, albo pójdziemy wszyscy na dno.

### **Jak z tą ciężarówką.**

– Tak samo. Musiałem COŚ zrobić naraz w bardzo wielu miejscach. I wiedziałem, że muszę to zrobić szybko. Tu się wali, tam się wali. I próbuje pan radykalną decyzją zatrzymać straty. W biznesie to się nazywa *stop lose*.

### **W biznesie. Już zostawmy ten język.**

– Koszty społeczne wszyscy ponosili. Fabryki padały.

**Tylko dlaczego najślabi ponieśli koszty największe? Górnicy dostali dobre odprawy. Emeryci – bo to karny elektorat – dostali w końcu waloryzację. A ludzi z pegeerów zostawiono samych. Wstyd.**

– To nieprawda. W 1991 roku staraliśmy się rozkładać koszty sprawiedliwie, obniżaliśmy emerytury, wstrzymaliśmy waloryzację w sferze budżetowej, co później zakwestionował nam Trybunał Konstytucyjny. Poza tym wcale nie wiem, czy pegeerowcy to była najślabsza grupa. Najślabszą grupą, moim zdaniem, byli ludzie z wielkich przedsiębiorstw państwowych, oni w pierwszym ruchu wrócili na wieś. Do swoich krewnych i rodzin. I nie mieli nic. „Dostosowywanie zatrudnienia” – jak byśmy ładnie powiedzieli.

### **Nie mówmy ładnie.**

– Fabryki w Peerelu wyrywały sobie chłoporobotników, autobusami ich dowoziły i nagle mówią: od dziś zostańcie na wsi. Nikt w 1991 roku nie miał miękkiego lądowania.

**Ci, co potrafili palić opony na ulicach i swoje wyrwać – oni mieli w miarę miękkie.**

– Nie pamiętam, żeby za moich czasów protestami ktoś sobie coś wywalczył.

### **W Polsce? Wyłącznie!**

– Ale nie za moich rządów! Wiceszef OPZZ mówił, że Bielecki nic nie da, nawet jak się go za gardło schwyli.

Demonstracja była codziennie pod Urzędem Rady Ministrów. Codziennie. Urząd nie był wtedy chroniony. Walili w te drzwi i one się, o tak, wyginały. „Zło-dzie-je.” „Zło-dzie-je.” Do górników wyszedłem na ulicę, pogadaliśmy.

**Tak. Pan z tego słynał, że dobrze radził sobie z tłumem.**



– Jeśli 6 tysięcy ludzi wygina drzwi, to lepiej do nich wyjść.

### **Te pegeerowskie wsie, które do dziś się nie podniosły – to pana czasem dręczy?**

– Wiele z nich się podniosło, mamy w tej chwili bardzo prężny sektor rolny.

*Post factum* wszystko wydaje się oczywiste. Gdybyśmy mieli lepszą wiedzę, lepiej zbudowany aparat państwa, to moglibyśmy wiele procesów inaczej przeprowadzić. Ale działaliśmy w warunkach pożaru i ten strażak nie był z amerykańskiego filmu, tylko z polskiego pospolitego ruszenia. Nieprzygotowany. Przypadkowy. W jakichś połatanych portkach.

### **Czyli pan?**

– No ależ oczywiście! Też byłem przypadkowy na tak wysokim stanowisku. Wałęsa wpadł na pomysł, żebym został premierem, to podjąłem rękawicę.

**Tony Judt pisze o was tak: „Na moment w Europie Wschodniej dysydencki powab moralnej niezłomności objął także prawa ekonomii. Miało nie być żadnych kompromisów w sprawie kapitalizmu, który należało wprowadzić w całości”.**

### **Prawda?**

– Nie było w nas takiego myślenia.

Skrajnie wolnorynkowy eksperyment został przeprowadzony w niektórych krajach bardziej na wschód. Bo przecież desant neoliberalnych doradców – „Chicago Boys” – prosto z Warszawy później tam pojechał. I gdzieś tam wprowadzili swoje recepty w całości. Początkowy entuzjazm kapitalizmu, połączony z korupcją, katastrofalną słabością państwa, doprowadzał do upadku tego systemu i się okazywało, że siły rynkowe nie tylko nie działały, ale generowały potężne koszty społeczne.

### **Ukraina?**

– Wzorcowy przykład. Ale Rosja pierwsza. Tam wolny rynek zaaplikowano w całości. Oligarchowie, wilcze prawo rynku i odejście od demokracji.

### **Jeffrey Sachs potem przeproszał.**

– Myśmy na to nie poszli. Nie prywatyzowaliśmy wszystkiego ideologicznie, za wszelką cenę. Miałem nieprzyjemne dyskusje na ten temat we własnym środowisku, że spowalniam, że nie rozumiem ducha rynku. To był zresztą realny dylemat, a nie tylko ideologia: jak robić kapitalizm bez kapitału i bez kapitalistów. W Rosji po prostu pozwalano uprzywilejowanym osobom brać w państwowym banku milionowe pożyczki i kupować za nie państwowe przedsiębiorstwa. Bo prywatne – nawet jeśli towarzyszył temu szwindel – miało funkcjonować lepiej. Widać, jak się to

skończyło. U nas tak to nie wyglądało. Były przy prywatyzacji jakieś wypadki, bo wszędzie czasem trafi się złodziej, ale to nie było powszechne.

### **Pan jest człowiekiem ideowym?**

– Nigdy nie byłem ideowcem.

Dawniej mówiłem o sobie „pragmatyczny liberał”, teraz szukam lepszego określenia, jeszcze nie znalazłem. Nawet za czasów legalnej „Solidarności” nie byłem zbyt ideowy. Koledzy chcieli, żebym wspierał samorządy robotnicze, bo to taka piękna idea. A ja nie bardzo umiałem się zapalić. „No to zrób konkurs na dyrektora” – mówią. I to mi odpowiadało.

### **Konkurs na dyrektora?**

– Chodziło o to, że pracownicy – poprzez rady zakładowe – dostali za czasów pierwszej „Solidarności” prawo wpływania na wybór dyrektora. Opiniowali kandydatów. Miałem opracować rodzaj poradnika, czym się kierować. Żeby niekoniecznie wspierać tego, który jest miły i wszystko obieca. Tylko wspierać ludzi mądrych. Ale i tak nie miało to większego sensu.

### **Bo?**

– Bo ci mądrzy, nawet jak zostawali dyrektorami, to i tak musieli ulegać logice systemu. Okolicznościom. Mądrych zresztą było niewielu. Pracowałem przez kilka lat w Ośrodku Doskonalenia Kadr Kierowniczych. Kiedyś zlecono nam przygotowanie raportu na temat jakości kadry w „wiodącym polskim przemyśle stoczniowym”. Stocznie to była duma Peerelu. Perełka. Rzetelne badania zrobiliśmy, zmierzylśmy im nawet iloraz inteligencji, brutalni byliśmy i testem Wechslera ich traktowaliśmy. Konkluzja wyszła taka: we wszystkich komórkach strategicznych zajmujących się planowaniem pracują osoby najslabiej wykształcone i najmniej inteligentne. A ludzie najbardziej inteligentni pracują bezpośrednio przy produkcji.

### **Kierował idiota?**

– Przy produkcji pracowali młodzi inżynierowie po politechnice bez ideologicznych pleców, trzydziestolatkowie. A w biurach planowania siedzieli ludzie „z wieloletnim doświadczeniem partyjnym”. Ale to naprawdę nie miało większego znaczenia, czy siedział idiota, czy nie. Bo planowaniem i tak zajmował się centralny planista w PZPR. I wiedział lepiej. Można psioczyć na derywaty, kapitalizm kasyna, nierówności. Ale jednak jako tako to wszystko działa, system potrafi się uczyć. A tamten był głupi od początku do końca. I nie uczył się niczego.

**To jeszcze Tony Judt: „Klasycznie zakładano, że kapitalizm dąży do równowagi. Tymczasem on nie tworzy warunków społecznych koniecznych do podtrzymywania własnego istnienia. Trzeba ocalić kapitalizm przed samym sobą lub przed wrogami, których sam sobie robi. Powstrzymać ten system przed tworzeniem gniewnej, zubożałej, żywiącej mnóstwo uraz klasy niższej, która staje się źródłem podziału lub upadku”.**

– Podatnicy na końcu ratują kapitalizm. Klasa średnia. Oni dokładają do tego interesu, spłacają długi banków, płacą za beztroskę prezesów. A bogaci jakby mniej.

W języku, którego tak pan nie lubi, to się nazywa asymetryczność kosztów.

Maj 2014

PS Po wywiadzie Jan Krzysztof Bielecki zadzwonił do Adama Tańskiego w sprawie pegeerów (Tański był w 1991 roku ministrem rolnictwa w rządzie Bieleckiego). Dostałem później następującą notatkę:

„Kiedy przygotowaliśmy ustawę o likwidacji PGR-ów, to wiedzieliśmy, że 2/3 z nich jest zagrożonych upadłością. Upadłością niekontrolowaną, chaotyczną. Ustawa miała uchronić ten sektor przed niekontrolowanym procesem upadłości, który bez niej byłby niezwykle skomplikowany i wydłużony. Bezrobotni i ich rodziny w kolejnych latach byli objęci opieką socjalną ze środków utworzonej przez ustawę Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa. Wystarczy przypomnieć, że w latach dziewięćdziesiątych Agencja opłacała ponad 40 tysięcy stypendiów dla dzieci i młodzieży z rodzin pracujących w PGR. Opieka socjalna dotyczyła nie tylko stypendiów, ale również dożywiania, utrzymania mieszkań i wsparcia w szczególnie trudnych przypadkach. To był mit o szczególnej niedoli byłych pracowników PGR.”

# Tęsknię za facetami w swetrach

---

## Rozmowa ze SŁAWOMIREM SIERAKOWSKIM

**SŁAWOMIR SIERAKOWSKI (1979)** jest socjologiem, publicystą, założycielem i redaktorem naczelnym „Krytyki Politycznej”. Jest także prezesem Stowarzyszenia im. Stanisława Brzozowskiego.

**Oglądasz Jaworowicz?**

– Rzadko włączam telewizor.

**„Do jasnej cholery, dwadzieścia lat po transformacji, a my jesteśmy potrzebni tylko wtedy, kiedy trzeba pójść do urny i wrzucić głosy” – krzyczy wściekła kobieta z Sosnowca.**

– Wściekła, bo?

**Blok zakładowy, w którym od zawsze mieszka, został sprzedany jakiemuś biznesmenowi za nędzne grosze. Czterdzieści mieszkań poszło za 400 tysięcy złotych. W tajemnicy, żeby lokatorzy nie skorzystali z prawa pierwokupu.**

– I to cię dziwi? Przecież to normalka. Fabryka upadła, zostały po niej jakieś bloki, a w nich ludzie, z którymi nie wiadomo co zrobić. Więc się ich sprzedaje razem z blokami. „Nieuchronne koszty transformacji” – taki mamy na to wygodny eufemizm. To trwa od lat.

**Właśnie. Lata świetlne minęły, PKB trzy razy nam wzrosło, weszliśmy do Unii, a w programie Jaworowicz wciąż ten sam pochod ludzi skrzywdzonych przez kapitalizm. Kiedyś mnie ten program denerwował, bo uważałem, że jest populistyczny. A dziś jest mi po prostu wstyd, że takie rzeczy wciąż się dzieją.**

– „Sprawa dla reportera” uchodziła za program egzotyczny i wariacki. Tyle że nikt inny nie chciał tych ludzi potraktować poważnie.

**Lewica na przykład.**

– Gazety na przykład.

**Przesadzasz. Sam w latach dziewięćdziesiątych pisałem reportaże o upadających pegeerach. Sporo się o tym pisało.**

– I co sobie wtedy myślałeś?

**Że transformacja musi boleć.**

– Okrutne.

**Okrutne.**

– Zwróć uwagę: „koszty transformacji” brzmią podobnie jak „koszty rewolucji”. To ten sam niebezpieczny styl myślenia. Dzieją się złe rzeczy, ludzie cierpią, no ale jest to nieuniknione. Bo przecież kiedyś nastanie jutrzeńka i wszystkim się poprawi. Zbyt łatwo przez te dwadzieścia lat zwalnialiśmy się z odpowiedzialności. Pegeery przestały być problemem drugiego człowieka, a stały się bezosobowym „kosztem transformacji”

**A sprawę „czyścicieli kamienic” znasz? Od roku o tym w „Gazecie” piszemy.**

– Znam. Takich spraw jest pełno. Pogadaj z ludźmi „Krytyki”, którzy działają w ruchu lokatorskim.

**Scenariusz jest zawsze podobny. Elegancki bank albo biznesmen przejmują kamienicę z lokatorami...**

– Nie z lokatorami, tylko z „wkładką mięsną”, bo tak się o lokatorach mówi.

**Tak. Z wkładką. Następnie wynajmują pana Ś. i pana Ż. – słynnych poznańskich „czyścicieli” – którzy mają tej wkładki się pozbyć. I się zaczyna: odłączanie wody, gazu, rozbijanie ścian, rozsypywanie na wycieraczkach robaków ze sklepu wędkarskiego, wieszanie zdechłych szczurów na oknach. Albo taki numer: w kamienicy przy Stolarskiej w podłodze jednego z mieszkań „czyściciele” wywiercili dziurę, wetknęli szlauch i zalewali mieszkanie profesora Stanisława**

**Kozłowskiego, które jest poniżej. Bo nie chciał się wynieść.**

– Przepiękstwo, na które jest paragraf.

**Ależ skąd! „Robimy remont i mamy prawo wiercić dziury, gdzie chcemy” – mówią „czyszciciele”. Policja ogląda upoważnienie od właściciela kamienicy i rozkłada ręce. Komendant powiedział lokatorom: „Święte prawo własności”.**

– To kolejne sformułowanie, które nas doskonale tłumaczy z rozmaitych zaniechań. Czym tak naprawdę jest własność? Relacją społeczną. Nie istnieje bez ludzi. Więc mało święte to prawo, raczej świeckie. Żeby sakralizować własność, trzeba najpierw zapomnieć o ludziach.

**Dlaczego nasze państwo pozwala tak krzywdzić własnych obywateli? Dlaczego na to się zgadzamy? Ty to rozumiesz?**

– „Państwo” to w Polsce brzydkie słowo. W słowniku transformacji ustrojowej prawie nieobecne. Państwo powinno nieustannie odchudzać samo siebie. I nie blokować przedsiębiorczości pana Ś. i pana Ż. W efekcie takiego myślenia państwo rzeczywiście mamy słabe i jeszcze robimy z tego cnotę.

**Znasz historię o emerytce i komorniku? Zrobiliśmy z niej czołówkę „Gazety”. W głowie się nie mieści.**

– Mieści się.

**Komornik Ryszard Moryc zajął emerytce konto i zabrał 28 tysięcy złotych – oszczędności całego życia. Przez pomyłkę. Dłużnikiem była inna osoba o tym samym imieniu i nazwisku. Moryc przyznał się do błędu, ale pieniędzy kobiecie nie oddał. Uznał, że to nie jego sprawa. „Jak pani chce, to niech pani wytoczy proces”.**

– I co cię dziwi? Bo mnie nic.

**Jak to możliwe, że facet po studiach prawniczych, który zarabia 36 tysięcy miesięcznie, tak się zachowuje wobec emerytki, którą skrzywdził?**

– W jakim on jest wieku?

**Trzydzieści kilka lat.**

– Czyli należy do pokolenia wychowanego już w wolnej Polsce. Przez cały czas słyszał o konkurencji, a nie o współpracy. O inicjatywie, a nie o pomocy. O własnym interesie, a nie o zaletach sprawiedliwości. Czy on skrzywdził kogoś, kto jest w jego oczach poważny albo istotny? Nie. On skrzywdził „koszt transformacji” – jakąś

bezradną emerytkę. Nie tego skrzywdził, kogo widzi w serialu o klasie średniej, do której aspiruje. To nie jest ktoś, z kim on może mieć wspólną perspektywę. Nie do takich ludzi szacunku go uczono na studiach. Miał szanować biznesmena w krawacie, maklera i znanego aktora.

**A mnie się wydaje, że my po prostu nie mamy empatii. Jest jakaś zatwardziałość serc, która się w Polsce rozpowszechnia.**

– Ależ on powie, że odczuwa empatię! Polacy mają w sobie ocean empatii. Problem polega na tym, że nie używamy jej wobec innych ludzi, tylko wobec ideału w zaświatach. Co jest dziś naszym dobrem wspólnym, dobrem publicznym? Powstanie warszawskie! Słownik wspólnotowy powraca wyłącznie przy tego typu okazjach. Nie tu i teraz w świecie doczesnym, między mną a tobą, sąsiadem, tylko gdzieś tam w historii. To tam jest Polska, tam jest nasze zaangażowanie i nasze współczucie.

**Nie współczujemy komuś z naprzeciwka, tylko małemu powstańcowi?**

– Ogólnie pojętej heroicznej Polsce. Kiedyś. Bo to łatwiejsze. Tak działa nasz ochrzczony kapitalizm – z jednej strony skrajnie wolnorynkowy i indywidualistyczny, a z drugiej konserwatywny obyczajowo. Komu się łatwiej współczuje? Chrystusowi na krzyżu, a nie sąsiadowi. Dziecku poczętemu, a nie kobiecie z naprzeciwka, której grozi eksmisja. Całą swoją dobrą wolę można zdeponować w zaświatowych ideałach i zwalniać się z odpowiedzialności za to, co tu i teraz.

Po upadku Peerelu uznaliśmy, że myślenie o dobru wspólnym pachnie mentalnością komunistyczną. Polaka od dziecka zaczęto uczyć wyłącznie konkurencji z innym. Kreatywność. Innowacyjność. Konkurencja. A gdzie współpraca? Współpraca w szkole kojarzy się ze ściąganiem. Ten komornik prawdopodobnie nie czuje się odpowiedzialny za drugiego człowieka. Brakuje mu słów, pojęć, których po prostu nigdy nie usłyszał.

**Jakich słów?**

– Weźmy na przykład określenie „równość społeczna”. Nie funkcjonuje w polskim słowniku od dwudziestu lat. Idź na przykład do audycji ekonomicznej w radiu i powiedz tam „równość”. Od dyżurnych ekspertów – takich wesołków, bo oni są zawsze niesłuchanie dowcipni – usłyszysz: „Ha, ha, to może też równość żołądków”. Język blokujący jakąkolwiek rozmowę.

**Socjolog Barbara Fatyga w „Gazecie” mówi tak: „Wychowaliśmy pokolenie, które jest dużo lepiej wykształcone, ale nie myśli o swojej elitarniej pozycji społecznej w kategoriach służby, lecz wyłącznie przywilejów indywidualnych. Wydawało się**



**nam, że można zbudować klasę średnią bez etosu. No to ją mamy. Dlatego różne obszary życia tak kuleją”.**

– Zgoda. Klasę średnią budowaliśmy nie tylko bez etosu, ale nawet przeciwstawiając ją etosowi. „Etosowcy” – tak mówiono o tych śmiesznych ludziach w swetrach. Pocziwi „etosowcy” z Unii Wolności kontra „liberałowie” z Kongresu Liberalno-Demokratycznego, którzy są pragmatyczni i rozumieją ducha czasów. Etos stał się częścią anachronicznego słownika. Pojęcie „inteligencja” stało się nagle śmieszne i przestarzałe. Tak samo jak „związki zawodowe”, „redystrybucja dochodów”, „sprawiedliwość społeczną”. To były pojęcia uznane za przeszkody polskiej modernizacji. Przestaliśmy wierzyć, że jako społeczeństwo powinniśmy czuć za siebie odpowiedzialność, i że właśnie w ten sposób zbudujemy sukces transformacji. Uznaliśmy, że takie myślenie to przestarzałe gawędy Jacka Kuronia.

Klasę średnią wychowywano w etyce egoistycznej, a nie altruistycznej. I to jest główna różnica między Polską a Zachodem. Ludzie się chwalać cynizmem. Zauważyłeś to? Wiele osób uważa cynizm za powód do dumy, szpanują w ten sposób.

### **Kto na przykład?**

– Czarzasty na przykład. Urban na przykład. Gra tym także Palikot. Hofman. Kurski ze swoim kłamaniem w żywe oczy i puszczaniem oczka, że „ciemny lud to kupi”. Albo inny przykład, bardzo charakterystyczny: koleś ze związku pracodawców, który „ma w dupie” płacę minimalną.

**„Głęboko w dupie”. Cezary Kaźmierczak, szef Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, napisał to w oficjalnym liście do szefa „Solidarności” Piotra Dudy.**

– Duda domaga się podniesienia płacy minimalnej i ograniczenia umów śmieciowych. I jedyne, co szef związku pracodawców ma w tej sprawie do powiedzenia, to to, że ma to w dupie. Podwyższycie płacę minimalną i każecie nam ograniczyć śmieciówki? To my przeniesiemy biznes za granicę. On tym szpanuje!

**Kaźmierczak pisze do Dudy tak: „Wyjedziemy z firmami za granicę, będziemy zatrudniać wyłącznie na działalność gospodarczą, będziemy zatrudniać na szaro. I co Pan nam robi? Będzie Pan mógł nam na warsztat skoczyć”.**

– Zwróć uwagę, że to nie jest byle kto: prowadzi znaną firmę zajmującą się PR, czyli ma świetne wyczucie, co może powiedzieć i jak jego słowa będą odebrane w środowisku pracodawców, które reprezentuje. Widocznie taka tam panuje atmosfera. Czy któryś z jego kolegów się zdystansował? Odwołali go? Przyklasnęli i pokleпали

po plecach: no, stary, jesteś gościu, świetnie temu Dudzie napisałeś.

**Tyle że oni mają jednak swoje argumenty: „Jak zamierza Pan nas zmusić, żebyśmy zatrudniali ludzi, jeśli przy horrendalnych pozapłacowych kosztach pracy nas na to nie stać?”.**

– Te narzekania na niesamowicie wysokie koszty pracy w Polsce to jest mit. Koszty pracy są u nas poniżej średniej unijnej. Polski pracodawca z każdych 100 złotych przeznaczonych na zatrudnienie pracownika zarabiającego średnią krajową potrąca na składki i podatki 34 złote 30 groszy (raport OECD z 2011 roku). Jesteśmy grubo poniżej europejskiej średniej, gdzie z każdych 100 euro państwo zabiera 41 euro. Niemcy z każdych 100 euro oddają państwu około 50.

Przeczytaj sobie lepiej końcówkę listu Kaźmierczaka do Dudy: „Osiem lat poświęciłem na działalność pod flagą »Solidarności« – jeden rok w więzieniu, siedem lat w podziemiu – co, jak sądzę, daje mi pewien tytuł, żeby się do Pana zwrócić.” I to jest *clou* problemu. Ten człowiek uważa, że lekceważąc postulaty pracownicze, kontynuuje ideały „Solidarności”. Wszystko postawiliśmy w Polsce na głowie! Czy on ma jakieś obowiązki wobec społeczeństwa, w którym zarobił swoje pieniądze? Czy jesteśmy jeszcze wspólnotą – poza obchodami kolejnych rocznic powstania warszawskiego?

**Chyba za dużo wymagasz.**

– Przez dwadzieścia lat mówiono ludziom, że demokracja to prawa człowieka plus wolny rynek bez żadnych zobowiązań społecznych. I tak się nauczyli. Kiedy Balcerowicz – papież polskiej gospodarki – mówił cokolwiek o zobowiązaniach społecznych wobec innych?

**Czyli winny jest tradycyjnie Balcerowicz.**

– Szukanie winnych jest naiwnym przedsięwzięciem. Lewica właśnie tym powinna się różnić od prawicy, że zamiast szukać winnych, stara się wskazywać mechanizmy społeczne.

**Ty znalazłeś mechanizmy?**

– To były idee. Neoliberalizm był niezwykle kuszącą ideą w tej części Europy, a lewica słaba, postkomunistyczna, pełna kompleksów i raczej przyklaskująca. Balcerowicz jest ideowym człowiekiem. I nas skutecznie uwiódł. Po prostu.

Ameryka przez lata była zastępczą ojczyzną polskich neoliberalistów. Ale dość wybiórczo ją kochali. Bo tam każdy, kto się dorobi, natychmiast wyczuwa społeczny przymus dzielenia się sukcesem. Promowaliśmy w Polsce swobodę gospodarczą – ale

dlaczego nie zauważyliśmy, że zobowiązania społeczne bogatych są w Ameryce równie istotne? Ogromna infrastruktura publiczna, dziesiątk uniwersytetów i instytucje kultury są ufundowane przez biznes. W ostatnich latach dużo czasu spędzam w Stanach i widzę, jak wielkie państwo opiekuńcze zbudowali tu sami biznesmeni. Od najmniejszych milionerów po Sorosa, Buffetta, Gatesa – to są tryliardy przekazywane na dobro publiczne, które nie jest synonimem marnotrawstwa, tylko sukcesu i odpowiedzialności. W Stanach jesteś gość nie jak się dorobisz, ale jak się dorobisz i połową podzielisz. A u nas gość to jest pan Kaźmierczak, bo się wypiął dupą do ludzi.

Czy postawy, o których mówię, były promowane kiedykolwiek w Polsce przez ekspertów ekonomicznych, szkołę albo prospołeczny polski Kościół? „Dobro publiczne” wciąż brzmi u nas naiwnie, a na Zachodzie – bardzo konkretnie. Mamy dziś przyzwolenie społeczne na to, żeby dobro publiczne lekceważyć. Czy ludzie chcą, żeby politycy się zajmowali na przykład kamienicami komunalnymi? Nie chcą.

### **Bo ludzie głupie są?**

– Nie są głupie. Tylko żyją w odmóżdżającej atmosferze. Takiej, w której władze stolicy nie wstydzą się powiedzieć, że bary mleczne, gdzie żywią się studenci i emeryci, są „nieestetyczne” i trzeba je zlikwidować. Nazywają to „modernizacją przestrzeni miejskiej”. Kolejny eufemizm. Gronkiewicz może narobić skuch, ile tylko dusza zapragnie, a i tak zawsze na koniec zorganizuje za gigantyczne pieniądze strefę kibica i wygra kolejne wybory.

### **Bo to zła kobieta?**

– Ależ skąd! Na pewno chce dobrze. Tyle że myśli kategoriami: „święte prawo własności”, „modernizacja”, czyli płatne autostrady, a nie instytucje publiczne, „ciepła woda w kranach”. Czego Warszawa potrzebuje według tej logiki? Dróg oraz Stadionu Narodowego w kolorze biało-czerwonym. Za to władze są rozliczane. To interesuje media. A nie to, jak się ludziom żyje, czy mają gdzie mieszkać, czy mają obok bibliotekę i teatr.

### **Zamiast Stadionu Narodowego zbudujmy mieszkania komunalne?**

– Zbudujmy. Stadion kosztował 2 miliardy złotych, sporo by tych mieszkań powstało.

**To policzmy. Przyjmijmy, że średni metraż takiego mieszkania komunalnego wynosiłby pięćdziesiąt metrów kwadratowych Koszt budowy: cztery tysiące złotych za metr, czyli taki sam jak w apartamentowcu w Warszawie, oczywiście**

**bez zysku dewelopera. Zamiast stadionu można było zbudować 10 tysięcy mieszkań komunalnych.**

– Czyli rozwiązać cały ten problem w Warszawie.

**Cały. W kolejce czeka teraz około 5 tysięcy rodzin. Resztę mieszkań miasto mogłoby wynająć na wolnym rynku. Albo zbudować tylko połowę, a resztę tej kwoty przeznaczyć na bezpłatne przedszkola, które Tusk obiecywał.**

– Ludzie nie będą stawiali władzy wymagań, które są nieobecne w świadomości zbiorowej. „Państwo, podatki i związki zawodowe to są rzeczy nienowoczesne” – słyszą. A kto chce być nienowoczesny?

**Lubisz szefa „Solidarności” Dudę?**

– Doceniam. Najlepszy szef „Solidarności” od czasów Wałęsy.

**Widziałem go ostatnio w TVN 24. Przez kilka minut opowiadał o nierównościach społecznych, płacy minimalnej, sypał liczbami. Był merytoryczny i przekonujący.**

– Świetnie.

**I na koniec zapytano go o gejów. „Nie akceptujemy związków homoseksualnych i koniec dyskusji”. Nadal tak świetnie?**

– Znam jego poglądy w tej sprawie. I żałuję, że takie ma. Tylko wiesz co? Przez dwadzieścia lat wolnej Polski związki zawodowe to byli źli ludzie, którzy są przeszkodą dla modernizacji i chcą tylko rozwalać. Jeśli rękę do Dudy wyciągał Kaczyński albo Rydzyk, to związkowcy na ge ów będą mówić tak, jak mówi Kaczyński, a nie jak pisze „Gazeta Wyborcza”. Oni poparcie dostawali dotąd głównie u prawicy.

Pielęgniarki z białego miasteczka, zanim zaczęły chodzić na manifesty, uważały feministki za bezbożne wariatki. A potem dostały pomoc od takich ludzi jak Kazia Szczuka i zmieniły zdanie. I nie usłyszysz od nich, że geje to pedały.

Jedyna droga ujęcia dla frustracji społecznej wiodła w Polsce przez kruchtę. Tak żeśmy sobie wychowali protest społeczny.

**I dlatego w programie Jaworowicz w roli sprawiedliwego występuje senator PiS Stanisław Kogut, a nie ktoś z lewicy.**

– Tak. Kto chciał siedzieć z tymi ludźmi w studiu i słuchać o „rozkradaniu majątku narodowego”? Prawie nikt. No to łąził tam jakiś Wrzodak albo Słomka. Czy Leszek Balcerowicz chciał tam przyjść? Wyobrażasz sobie Balcerowicza omawiającego u Jaworowicz reportaż o ludziach z upadającego pegeeru?

**Nie. Ani ona by go nie zaprosiła. Ani on by nie poszedł.**

– To drugie na pewno.

**Dlaczego lewica robi tak mało?**

– Chodzi ci o polityków? Partie polityczne w Polsce są fikcjami medialnymi. Wyłączasz prąd w trzech telewizjach i partie przestają istnieć. Nie prowadzą ŻADNEJ roboty społecznej ani merytorycznej. W ogóle nie funkcjonują w realu, nie są otoczone siecią organizacji, związków, rozmaitych instytucji samopomocowych. Gdyby pewnego dnia SLD, Ruch Palikota, PO, PiS rozwiązały się i zniknęły z powierzchni ziemi, to ludzie niczego by nie stracili. Jakie instytucje by zniknęły? Żadne.

**PiS ma w terenie Kluby „Gazety Polskiej”.**

– Też nie. Myśmy się temu przyglądali. Poza organizacją spotkań z gwiazdami typu Macierewicz te kluby nic nie robią. Raz na rok ludzie przychodzą zobaczyć kogoś, kogo znają z telewizji. I tyle.

Politycy nie mają już ambicji zmieniania ludzi, tworzenia idei i przekonywania nas do tych idei. Odwrotnie – każda partia chce jak najlepiej dostosować się do tego, co już wisi w powietrzu. Zamówić jak najlepsze badania, przenieść myśli i pragnienia obywateli, a następnie dopasować do tego ofertę.

Praca z ludźmi, zmienianie ich postaw to był etos inteligencki. Śmieszni faceci w swetrach robili to jako ostatni. Później już nikt.

**Przesadzasz. W kółko mówi się o kapitale społecznym i społeczeństwie obywatelskim.**

– Ale ten kapitał społeczny rozumie się w dosyć specyficzny sposób. Zorganizuj stowarzyszenie harfistek, propaguj po wsiach tradycyjne hafciarstwo albo pomagaj chorym dzieciom – oto społeczeństwo obywatelskie. A co z angażowaniem się w politykę? Chodź na sesję rady miasta. Pisz petycje. Kontroluj radnych. Bądź w tym upierdliwy. Władza twierdzi, że popiera społeczeństwo obywatelskie. Owszem, ale pod warunkiem że to będą niepolityczne hafciarki, bo świadomy obywatel byłby uciążliwy.

**Samorządowcy protestują przeciwko zmianie prawa, która ma ułatwić obywatelom zgłaszanie uchwał. Bo podobno na sesje rad miejskich zaczną przychodzić wariaci i pieniacle.**

– Otóż to. Inwestowanie w to, żeby ludzie łatwiej się organizowali, mieli lepszy dostęp do informacji publicznej i zadawali sensowniejsze pytania na sesjach rady miasta, średnio władzę interesuje. Na własne życzenie ma więc wariatów. Bo tylko

takim chce się użerać. Normalni aktywni obywatele dali sobie spokój, nie chcieli wciąż wysłuchiwać, że są niepoważni i że przeszkadzają. W efekcie wiele spraw nie ma rozsądnych rzeczników. I wybuchają dopiero wtedy, jak nic już nie można zaradzić. Tak jak sprawy kamienic, którymi zajmujemy się dopiero wtedy, kiedy mieszkańcy postawią barykadę.

### **Co chcesz zmieniać w Polsce?**

– Postawy, zaangażowanie. Interesuj się. Angażuj. Zbieraj ludzi i buduj z nimi instytucje.

Organizacje pozarządowe odwalają w Polsce całą robotę za partie polityczne. To od nich wychodzą idee, pomysły i programy. Gdy te idee stają się oswojone, a później popularne, to dopiero wtedy zabierają się do tego partie. „Krytyka Polityczna” stara się zmienić atmosferę wokół takich spraw, jak państwo, równość, zobowiązanie społeczne. Nasi ludzie prowadzą świetlice i regularnie działające kluby, są w ruchach lokatorskich i zajmujących się edukacją publiczną. Ostatnio zorganizowaliśmy instytut, na cotygodniowych seminariach uczy się ponad pięćset osób. Tylko że to jest mozolna praca na lata. Mało medialna. A dziennikarze wciąż pytają mnie tylko o jedno: kiedy „Krytyka” wejdzie do polityki?

### **I kiedy?**

– Błagam! Mogę wszystko powiedzieć. „Boję się polityki”, „Nie nadaję się”, „Jestem za mało inteligentny”. Do wszystkiego się przyznam, bylebym nie musiał już tego pytania słuchać. „Chcę być społecznikiem” – to powiem, bo brzmi na tyle czerstwo, że się wreszcie odczepicie.

### **Społecznik.**

– Tak jest.

Masz jedną monetę do wydania. I możesz ją wydać na serię durnych konferencji prasowych, żeby zaistnieć i załapać się do Sejmu, albo możesz w tym czasie zaangażować ileś osób do działania, wydać ileś książek, pomóc iluś ludziom. Ja wolę to drugie. Partyjna polityka nie zmienia już dzisiaj świata.

### **To co zmienia?**

– Użyłem staroświeckiego słowa: „społecznik”. I to jest bardzo dobre, skromne słowo. Żaden wielki „izm” już nie działa. Żadna wspaniała ideologia nie połączy tłumów. Trzeba ludzi angażować człowiek po człowieku. Pokonując mozolnie cynizm, który stał się główną barierą między ludźmi.

## **Cynizm?**

– Rodzaj dystansu. Ludzie dziś uważają, że z bolączkami współczesności właściwie niewiele da się zrobić. Nawet nie próbują. Wolą wykorzystywać swoje talenty i wiedzę do konkurowania ze sobą zawsze i wszędzie, a nie do zorganizowania się, żeby choć trochę poprawić sytuację ogółu. Wierzą w sukces indywidualny, a nie wspólnotowy. Właśnie dlatego tłumy ludzi wykluczonych są jednocześnie tak zatomizowane. Jeśli nawet razem protestują, to po chwili się rozchodzą i nic trwałego z tego nie zostaje. A świat zmienia się wspólnie.

Kwiecień 2013



# Wkurzył się pan? Świetnie!

---

## Rozmowa z KAROLEM MODZELEWSKIM

**KAROL MODZELEWSKI (1937)** studiował historię na UW, gdzie poznał Jacka Kuronia. Na początku lat sześćdziesiątych organizowali studencki klub dyskusyjny, który irytował władzę, bo dyskutanci upominali się o tzw. zdobycze Października. Kuroń z Modzelewskim wylecieli w końcu z partii, napisali słynny „List otwarty” i w 1965 roku po raz pierwszy poszli siedzieć. Potem Modzelewski siedział z powodów politycznych wielokrotnie (w sumie osiem i pół roku). Był jednym z twórców „Solidarności”, wymyślił nazwę związku, choć nie do końca się do tego przyznaje („Ja ją tylko zaproponowałem”). W wolnej Polsce pracował na Uniwersytecie Wrocławskim, potem Uniwersytecie Warszawskim, w latach 2006–2010 był wiceprezesem Polskiej Akademii Nauk. Autor wielu książek na temat średniowiecza. „Zajeżdżymy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca” to tytuł jego autobiografii, która zdobyła nagrodę Nike.

**„My nie stoimy ponad historią, my podlegamy jej prawom. Rewolucja jest nieuchronnym następstwem ogólnego kryzysu systemu” – pisał pan razem z Kuronem w 1964 roku.**

– Nie lubię już tego tekstu.

**„List otwarty do partii”. Tak go nazwaliście.**

– Brzmi okropnie, jak teksty doktrynalne. Oto nowa rewolucja zmiecie władzę partyjnej biurokracji i nastanie jutrzeńka sprawiedliwości. Utopia.

**Tęsknię, żeby ktoś pisał dziś takie manifesty i wymyślał utopie. Żeby ktokolwiek jeszcze wierzył, że świat można urządzić sprawiedliwiej.**

– Doczeka się pan nowych utopii, ale już nie ode mnie.

**Wasze pokolenie zmęczyło się ideologią, a moje zostało z pustymi rękami.**

– To prawda. Ludzie uważają dziś, że świat jest niedoskonały i nic z tym za bardzo nie da się zrobić. Zamiast wspólnie walczyć z niesprawiedliwością, raczej próbują indywidualnie się przystosowywać. Nawet lewica już nie wierzy, że można zmieniać świat. To rezultat przytłoczenia umysłów konserwatyzmem, a także konformizmem wobec neoliberalnej doktryny ekonomicznej, która udaje, że jest prawem matematycznym. Uwierzylimy zbiorowo w nieuchronne prawa rynku. No jeśli są nieuchronne, to co robić? Kopać się z koniem?

**Jak ten wasz lepszy świat miał wyglądać?**

– Pan chce, żebym streścił „List do partii”? Dajmy spokój.

**Kto miał rządzić?**

– No, według naszych z Jackiem rojeń rządzić miała centralna rada robotnicza pochodząca z wyborów w fabrykach. System miał być wolny od cenzury i policji politycznej.

**Fabryki czyje?**

– Publiczne. Wtedy mówiono, że fabryki są własnością ogólnonarodową. A myśmy w „Liście” pisali, że tak naprawdę są własnością wąskiej elity partyjnej, biurokracji, która rządzi robotnikami w sposób dyktatorski. Tezy o biurokracji były zapożyczone od Dżilasa [jugosłowiański pisarz, komunista, współpracownik Tity, usunięty z partii za krytykę władzy]. No nie, już mnie pan w to wciągnął, a ja nie chcę! Jak ma pan cierpliwość, niech pan sam „List” czyta.

**Kto miał powoływać prezesa firmy?**

– Dyrektora. Rada robotnicza każdego zakładu miała go wybierać w głosowaniu. To zresztą w Peerelu funkcjonowało, oczywiście w formie kadłubkowej. Powstały w fabrykach rady robotnicze. Potem „Solidarność” wywalczyła rady pracownicze, które przetrwały cały stan wojenny. Dopiero Balcerowicz sobie z nimi poradził i je zlikwidował.

## **Przecież nie na złość.**

– Jasne, że nie. Budował kapitalizm. Tak wtedy mówiono, nawet Jacek Kuroń używał tego sformułowania. Śmiał się z tego jeden tylko człowiek – Jacek Bocheński – który zauważył, że to kalka z budowy socjalizmu. Aż dziwne, że nikt więcej. W rządzie tak między sobą mówili: budujemy kapitalizm, a Jacek jako minister to podłapał i kiedyś mi przyniósł.

## **Dla żartu?**

– Nie, mówił serio.

## **Zmienił się?**

– A skąd! Jacek był, jaki był. Zawsze taki sam. Jak w coś wchodził, to z całą głową. Kajał się potem wielokrotnie za zaangażowanie w neoliberalne reformy, które skutkowały strukturalnym bezrobociem i innymi nieszczęściami, choć to nie były przecież jego pomysły i nie jego wina. Ale nie chciał się bć w cudze piersi, zawsze wolał we własne. Wywoływał tym straszny dyskomfort u swoich wychowanków, którzy wiarę w neoliberalną doktrynę ekonomiczną i nowy idealny ład przyjęli z czystością młodych serc.

Sprawa rad pracowniczych ma ciekawy epilog. W 2008 roku Polska została zmuszona przez Unię, żeby je w dużych firmach przywrócić – w ramach dostosowywania naszego prawa do cywilizowanych standardów.

**„Nie siedziałbym za kapitalizm nie tylko osiem i pół roku, ale ani miesiąca, ani tygodnia. Nie warto” – powiedział pan na rocznicowym spotkaniu w Stoczni Gdańskiej.**

– Powiedziałem. Był Mazowiecki, ja i Wałęsa, który palnął: „Walczyliśmy o kapitalizm i zwyciężyliśmy”. Po chwili trochę się zacukał i dodał: „ale ludziom tego nie mówiliśmy, boby nie zrozumieli”. Wkurzyłem się.

Za kapitalizm bym nie siedział ani o niego nie walczył. On się sam robi, więc po co?

## **To za co warto siedzieć?**

– Jeżeli nadstawić tyłek, to w imię czegoś, co ma charakter ideału.

Pierwszy raz w 1965 roku siedziałem za utopię, którą przed chwilą pan raczył cytować. Z Jackiem napisaliśmy „List otwarty do partii” w czternastu egzemplarzach maszynopisu. Nawet jeśli dodać do tego trzy egzemplarze ręczne – jeden długopisem pisany, a dwa następne przez kalkę odbite, chyba Nina Karsow przepisała – to było tego siedemnaście egzemplarzy. Z tego bezpieka dorwała od razu pięć.

## **Wyrok?**

– Trzy i pół. Siedzieliśmy trochę krócej – ja dwa lata i pięć miesięcy. Jacek – dwa lata i dwa miesiące. Bardzo cierpiał z tego powodu.

## **Że krócej?**

– No oczywiście.

## **Rywalizowaliście na lata odsiadki?**

– Niech się pan z Jacka nie naśmiewa! Chodziło o wspólnotę losu. Jacek uważał, że jeśli siedzimy za to samo, bo razem tę całą utopię wymyślaliśmy i pisaliśmy, no to wart jest robotnik zapłaty swojej. Solidarnie mamy cierpieć.

## **Drugi raz pan siedział za Marzec. Też utopia?**

– Nie. W 1968 roku byliśmy z Jackiem na musiku. Nie mieliśmy wyjścia.

## **Niby dlaczego? Mogliście się tam nie pchać.**

– Żeby! Byliśmy dla tych młodych ludzi ikonami i poczuliśmy się za nich odpowiedzialni. Pamiętam taką rozmowę, styczeń 1968 roku, już po zdjęciu przez władzę „Dziadów” w Teatrze Narodowym. Adaś Michnik się nas radził, czy mają robić wiec protestacyjny. Chodziliśmy we trzech po Ogrodzie Saskim, tak żeby żaden tajniak nie mógł podsłuchać, i Jacek tłumaczył: „Adasiu, złapią was, posadzą i postawią zarzut: organizacja nielegalna.” „Co ty gadasz!? Jaka niby organizacja?” Jacek mówił z wyżyn doświadczenia, a Adam nie mógł uwierzyć.

Wszystko się sprawdziło.

## **No ale żeście się w końcu dołączyli.**

– Bo musieliśmy. Wyrzucono Michnika i Szlajfera z UW w trybie w ogóle nieprzewidzianym w ustawie o szkolnictwie wyższym. Polska od 1956 roku była jedynym państwem komunistycznym, w którym istniała autonomia wyższych uczelni. Nie było tak nigdzie indziej w bloku sowieckim. Nieusuwalność profesorów i różne inne rzeczy, już nie będę tłumaczył. Nie można też było wyrzucić studenta ot tak, za poglądy, a nie za leserowanie. Myśmy więc nie walczyli w Marcu o żadną utopię, tylko o zachowanie status quo. Broniliśmy marginesów względnej swobody na uczelniach. Dość minimalistyczne cele, prawda? A tym bardziej nie walczyliśmy o kapitalizm. Jakby nam ktoś wtedy tak powiedział, tobyśmy uznali, że jest podły oszczerca.

## **Albo ubek.**

– Tak jest. Tak żeśmy reagowali w czasach „Solidarności”, o której propaganda w kółko trąbiła, że chce powrotu kapitalizmu i wyzysku. „Żołnierz Wolności” to wypisywał.

W czasach wielkiej „Solidarności” pojawiały się różne postulaty. Doszło w końcu do tego, że nikt się nie krępował na posiedzeniach władz związku, a tym bardziej na wiecach w zakładach. Rysowano karykatury niedźwiedzia radzieckiego, a Rozpłochowski wołał, że jak walniemy pięścią w stół, to kremlowskie kuranty zagrają „Mazurka Dąbrowskiego”. I jednocześnie – niech pan uważa – nie padło ŻADNE hasło, żeby przeprowadzić reprivatyzację mienia odebranego w latach 1945–1956. Nie padło ŻADNE hasło o prywatyzacji gospodarki. Nie było niczego takiego. Nie dlatego, że realizm zabraniał. Bo realizm przecież tak samo zabraniał wołać o kurantach kremlowskich. Po prostu to się nie mieściło w aksjologicznym horyzoncie tego ruchu.

To był ruch egalitarny. Jak się pan przyjrzy postulatом ze strajków sierpniowych oraz wszystkich kolejnych, a było ich potem od groma, to strajkujący domagali się większej równości. Jednym z pierwszych strajków po Sierpniu we Wrocławiu był strajk komunikacji miejskiej. Wie pan o co? Zastrajkowali z powodu podwyżki.

## **Chcieli podwyżki?**

– Nie. Dostali, bo realizowano ósmy czy dziewiąty punkt porozumienia gdańskiego. Tyle że najwięcej dostali kierowcy. Od kierowców zależy strajk komunikacji miejskiej, bo to oni stają. Pracowali strasznie ciężko, bo po czternaście godzin świątek – piątek, ale widziałem odcinek Władka Frasyniuka, dostawał na rękę szesnaście tysięcy czterysta złotych.

## **Ile to było?**

– Mniej więcej jak dzisiejsze. Dużo. Ja byłem adiunktem po habilitacji w PAN i zarabiałem jak każdy adiunkt po habilitacji cztery tysiące siedemset złotych. Miał Frasyniuk prawie cztery razy więcej ode mnie. I z sześć razy więcej od sprzątaczk. Kierowcy we Wrocławiu zastrajkowali, że to jest niesprawiedliwy podział podwyżek. Przeciwno sobie. Że trzeba im obciąć, a bardziej podnieść sprzątaczkom i mechanikom.

## **Dzisiaj to brzmi nierealnie.**

– Dzisiaj wyrzuca się grupowo nauczycieli i w ich imieniu nikt nie strajkuje. Nawet inni nauczyciele.

## **A co takiego było w tych kierowcach, że potrafili się tak zachować?**

– Przywiązanie do egalitaryzmu. Oburzająca i skandaliczna była wtedy dla ludzi

nierówność. Rząd nalegał, że płace muszą zachować funkcję motywacyjną i być zróżnicowane, a ludzie chcieli je spłaszczać.

### **Polacy lubią równość?**

– Tak. Ale zależy kiedy. Najbardziej w warunkach zbiorowego uniesienia. Wtedy kiedy górę biorą wartości odświętne.

### **Odświętne?**

– Wszystkie „ości”: miłość, solidarność, lojalność.

**Przyniosłem panu kilka wycinków z „Gazety” z tego roku. O, ten na przykład. W Warszawie prywatny deweloper zabrał szkole boisko. I zamierza na nim zbudować apartamenty. Dzieciaki nie mają wuefu, urzędnicy rozkładają ręce, a deweloper ma to gdzieś.**

– Wstyd, że takie rzeczy się w Polsce dzieją.

**W Polsce, którą nam urządzali Karol Modzelewski z Jackiem Kuroniem.**

– Zgoda. Poczuję się do winy.

**Albo to. Poznański NeoBank kupował kamienice z lokatorami, po czym wynajmował bandytów, żeby się tych ludzi jak najszybciej pozbyć. Rąbanie drzwi, podrzucanie szczurów, wiercenie dziur w ścianach i zalewanie mieszkań fekaliami. Policja przyjeżdżała i rozkładała ręce: „Właściciel kamienicy może robić wszystko, święte prawo własności” – słyszeli lokatorzy. Co się z nami dzieje?**

– AIDS pełnoobjawowe.

### **Czyli?**

– Zanik ciał odpornościowych. Wirusy są zawsze w organizmie, tak jak żli i chciwi ludzie są w każdym społeczeństwie i w każdym czasie. Tyle że dziś panuje atmosfera, w której nikt się na nich nie wkurza, nie łapie ich za rękę i nie krzyczy: „Tak się nie robi!” Deweloper przejął boisko? No trudno, reprivatyzacja. Niech buduje, przecież chce zarobić, każdy by chciał zarobić.

W zdrowym społeczeństwie deweloper wie, że nie wolno zabierać dzieciom boiska. Bo ciała odpornościowe się odezwą i będzie silna reakcja społeczna. A jak nawet zabierze, to prasa mu to wykryje, opisze i nikt tych mieszkań nie kupi. Bo nie wypada.

Podobnie jest ze sprawą NeoBanku i tych kamienic. W zdrowym społeczeństwie bank – przecież instytucja zaufania publicznego – nie może sobie pozwolić na takie prymitywne numery. Może trzeba ogłosić bojkot tego banku? Ktoś próbował?

**Tak. Poznański profesor Stanisław Żerko ogłosił. „Wycofuję pieniądze z NeoBanku, bo wynajmowali czyścicieli kamienic”. Ale niespecjalnie jego akcja jest popularna.**

– Jak się nazywa prezes NeoBanku?

**Francik. Waldemar Francik. Osobiście negocjował cenę jednej z kamienic.**

– Może jego koledzy bankowcy mogliby zareagować? Ciąła odpornościowe powinny spowodować, że ten człowiek nie będzie już nigdy kierował żadną firmą, która wymaga publicznego zaufania. Bo każda rada nadzorcza, wybierając prezesa, kiedy wstuka sobie w internet to nazwisko i dowie się, że ten pan robił takie numery, powinna mu podziękować.

**On będzie prezesem. I jeszcze weźmie premię za skuteczność.**

– To, że instytucje państwa nie reagują i dopuszczają do takich sytuacji oraz że policja rozkłada ręce i mówi: „Święte prawo własności”, to zwykle nie wynika ze złych przepisów, tylko ze złej atmosfery społecznej. Z tego, co mają w głowach sędziowie, policjanci, urzędnicy samorządowi, dziennikarze, my wszyscy.

**A co mamy w głowach?**

– W wolnej Polsce od początku gloryfikowano nierówność. Powtarzano, że rozwarstwienie jest nieodłącznym elementem rozwoju gospodarczego i że temu rozwojowi sprzyja, co jest nieprawdą. Wpajano rodzącej się klasie średniej, że biedni i bezrobotni są sami sobie winni. Że przecież wystarczy wykazać się inicjatywą, otworzyć *small business*. Najbardziej mnie wściekało, gdy tego typu mądre rady wygłaszano wobec ludzi porzuconych w blokach przy dawnych pegeerach. Albo wobec zwolnionych szwaczek w Łodzi. „Weźcie sprawy w swoje ręce”. No jasne. Tak jakby każdy mógł otworzyć firmę niezależnie od okoliczności.

Jest taki wiersz Zbigniewa Herberta „Ornamentatorzy”. Mowa w nim o rozmaitych specach od upiększania, którzy potrafią wymalować w optymistyczne kwiatki nawet plecy więźniów. W wolnej Polsce upiększano rzeczywistość bardzo skutecznie. Szczególnie gorliwie upiększano niski interes materialny, pospolitą chciwość owijano w szczytne hasła. Znam to wszystko na pamięć: że jak bogaci się bogacą, to dobrze dla biednych, bo zawsze im coś skapnie. Albo że przypływ podnosi wszystkie łodzie. I że problemy społeczne rozwiążą się same, wystarczy, żeby rosło PKB. Czyszczenie kamienic z lokatorów też jest odpowiednio upiększane i nazywane na przykład rewitalizacją miasta.

Z triady wolność, równość, braterstwo ponieśliśmy na polu tych dwóch ostatnich



poważną porażkę. Wyszła nam tylko wolność. Ale bez równości i braterstwa jest zagrożona i może ograniczyć się do wolności przepływu kapitału finansowego.

### **Czy wyście z Kuroniem w wolnej Polsce o tym wszystkim rozmawiali?**

– Nie. Na przykład nie rozmawialiśmy nigdy o pegeerach, które odgórnie zlikwidowano i ludzie z tych rejonów nie dźwignęli się do dziś. O bezrobociu też właściwie nie.

### **Nie wierzę.**

– Kiedyś dyskutowaliśmy namiętnie, a po 1989 roku już nie.

### **Dziwne.**

– Bo my dyskutowaliśmy przy robocie, a wtedy już nie działaliśmy razem. Raz go skrytykowałem publicznie w jakimś wywiadzie. Powiedziałem, że filantropia uprawiana przez Jacka Kuronia nie jest lekarstwem na dramat bezrobocia. I się obraził. Świetnie to rozumiem, żałowałem tych słów. Dla niego filantropia to był wyraz prawie obelżywy, zresztą tak samo dla mnie, bo to się kojarzy z charytatywnymi ciotkami, które przyklejają plasterek na ropiejącą ranę, ale przyczyn choroby nie likwidują.

Potem się pogodziliśmy, pisaliśmy nawet wspólne teksty i przy tej okazji dyskutowaliśmy, ale za mało.

### **Rozczarował mnie pan. Myślałem, że kłóciliście się od rana do nocy, co zrobić z odzyskaną wolnością.**

– Żałuję, ale nie. Zresztą ja się zająłem swoją pracą naukową, czyli średniowieczem.

W 1994 roku, zaraz po rozwodzie i wyjeździe z Wrocławia, zatrudniłem się na Uniwersytecie Warszawskim. Od razu ubrali mnie w komisję egzaminacyjną. A ponieważ mam tę egalitarną albo – jak by ktoś powiedział – populistyczną skłonność, to chciałem wiedzieć, ile zdaje młodzieży ze środowisk robotniczych, a ile z chłopskich. W ankietach nie było już pytań o pochodzenie społeczne, ale można tam było znaleźć zawód rodziców. Przejrzałem wszystkie ankiety. Okazało się, że chłopskie dziecko było JEDNO.

### **Na ilu kandydatów?**

– Czterystu. Wydział Historii. Byłem tym wstrząśnięty i zwierzyłem się żonie. Małgosia dobrze zna wieś, wychowywał ją dziadek, który był kowalem wiejskim w Straszęcinie. O, tam za panem wisi jego portret...

## **Który? Ten facet z wąsami?**

– Nie. Ten obok, w austriackim mundurze. Nazywał się Jeleń. Polski dziadek. A tamten z wąsem i w polskim kontuszu to dziadek austriacki, Goetz.

## **Aha.**

– No jak to u nas.

Małgosia wiele lat pracowała w redakcji rolnej w Radiu Wrocław i mi wyjaśniła: „Co się dziwisz? Żeby dziecko posłać na studia, to najpierw musi mieć maturę. A oni nie mają matur”. „A dlaczego nie mają?” „Ano dlatego, że na wsi jedzenie zawsze się znajdzie dla dzieci, natomiast gotówki nie ma. Nie ma na pekaes, żeby dojechały do miasta, gdzie jest liceum. Na głupi bilet miesięczny nie ma”

Profesor Maria Jarosz szacuje, że obecnie na uczelniach publicznych mamy najwyżej 2 procent studentów z ubogich rodzin. 2 procent! Na bezpłatnych uczelniach publicznych studiują głównie dzieci z wielkomiejskich zamożnych domów, które było stać na korepetycje i lekcje angielskiego. Natomiast na gorszych uczelniach prywatnych – które często są szwindlem i handlem dyplomami – studiują ubodzy za pieniądze. Jeśli w ogóle na te kiepskie studia uzbierają. Taką mamy równość szans.

## **Wprowadzić punkty za pochodzenie?**

– To nic nie da. Jeśli dzieciaki z dawnych pegeerów nie mają na dojazd do miasta, w którym jest liceum, to co im po punktach? Trzeba by zbudować tanie bursy przy niektórych liceach, tanie akademiki przy uczelniach, wykupić im obiady i bilety miesięczne. I natychmiast ma pan efekt wyrównania szans.

## **Czyli zrobić to, co prezydent Lula w Brazylii.**

– Mniej więcej. Tylko musi być klimat, nacisk społeczny na władze, na samorządy, że takimi rzeczami mają się zająć. I że na to powinny wydawać pieniądze. Czy pan wie, co ostatnio wkurzyło młodych Brazylijczyków? Manifestowali przeciwko wydatkom na mistrzostwa świata w piłce nożnej. Brazylijczycy! Przecież oni kochają piłkę! Szli pod hasłem: „Nie chcemy nowych stadionów, chcemy bezpłatnych studiów”. W Polsce takiego nacisku nie ma. Lepiej wyremontować rynecek, postawić na nim fontannę, niż zbudować w miasteczku przy liceum bursę dla ubogich dzieci. Lepiej dwupasmówkę przez gminę puścić i jeździć po niej w wypasionych brykach na kredyt. A sprawy społeczne niech załatwiają za nas różne charytatywne ciotki. Otóż ciotki tego nie załatwią, to musi robić państwo, polityka.

**Kaczyński mówi, że to załatwi. Ogłosił właśnie, że będzie w Polsce wyrównywać szanse, obiecał podnieść pensje minimalne, obłożyć wreszcie podatkami**

## **hipermarkety i korporacje finansowe.**

– Mówi. A potem nic nie robi. Jak był premierem, to zlikwidował stawkę podatkową dla najbogatszych.

## **A nie denerwuje pana, że Kaczyński kradnie lewicowe hasła?**

– To niech się lewica po nie schyli. Leżą na ulicy!

Porozumienie PiS z ludźmi poszkodowanymi przez transformację nie polega na nadziei poprawy losu. To wspólnota emocji negatywnych. Moim zdaniem ci ludzie już nie liczą na to, że Kaczyński wprowadzi Rzeczpospolitą Solidarną i coś im załatwi. Liczą wyłącznie na to, że wreszcie pogoni tych skurwysynów, którym się udało. Złodziei, którzy nam zafundowali Polskę taką, jaka jest.

## **Tylko dlaczego to lewica nie czuje komunii serc z tymi ludźmi? Dlaczego nie zaproponuje im czegoś na serio?**

– Dlatego że lewica w warunkach globalizacji uważa, że nic nie może zrobić. Że nie ma instrumentów do realizacji swojego systemu wartości. Formuła Willy'ego Brandta – zrobimy to samo co prawica, tylko lepiej – jest formułą idiotyczną, ale wciąż działa.

## **Zrobimy to samo, czyli co?**

– Czyli będziemy dbali o efektywność ekonomiczną, będziemy likwidować bariery dla przedsiębiorców i sprzyjać rynkowi. I modlić się o wzrost PKB. Niestety, przez ostatnie trzy dekady dokładnie tym się lewica w Europie zajmowała – małpowaniem w sprawach ekonomicznych prawicy.

Projekt socjaldemokratyczny wymaga interwencji państwa w przebieg procesów gospodarczych. W rynek. Bez tego żadna lewicowa polityka nie jest możliwa. A państwo narodowe powoli traci te instrumenty, bo jest coraz słabsze w zderzeniu z globalnym kapitałem. Nie mamy wciąż państwa globalnego, nie mamy globalnej demokracji, globalnego społeczeństwa obywatelskiego ani nawet europejskiego społeczeństwa obywatelskiego. Wszystkiego tego nie mamy. Tylko kapitał jest globalny i dopóki tak jest, to będzie nami wszystkimi rządził. Agencja ratingowa może zachwiać Francją! Pestka. Może sprawić kłopoty nawet Stanom Zjednoczonym! O czym mówimy? Polska lewica może sobie nakukać.

## **Co dalej?**

– Będzie się sporo działo. Tak uważam.

## **Kiedy?**

– Datę mam powiedzieć? Nie wiem.

**Co?**

– Jak jest taka dysharmonia między globalną ekonomią a partykularną polityką, to napięcie musi znaleźć ujście. Ruchy społeczne na razie działają w skali słabnących państw narodowych, ale nie są przez to słabsze, zaczynają nawet przekraczać granice. Lewica jest słaba, no to ktoś inny zajmie jej miejsce.

Spodziewam się prób okiełznania globalnego kapitału przez światową politykę. Kilka państw się musi zejść, dogadać. I będą walczyć o dominację nad światem, żeby znów go poddać kontroli czynnika politycznego. Tylko powstaje pytanie, które to będą państwa i czy będzie wśród nich Unia Europejska.

**A jakaś wizja lepszego świata? Jakaś utopia?**

– Nie mam.

Nosicielem doktryny rewolucyjnej byłem krótko, można powiedzieć, że wychłódko mi w 1968 roku, ale nie z powodu Marca, tylko w sierpniu, z powodu interwencji w Czechosłowacji. Kiedy Polacy poszli walczyć za waszą i naszą niewolę. I od wyjścia na wolność w 1971 roku nie byłem już rewolucjonistą. Nie miałem swojej utopii, wizji Polski idealnej. Miałem już tylko swój system wartości.

Pan naprawdę po utopię do mnie przyszedł?

**Tak.**

– Dlaczego do mnie?

**Dlatego, że jak byłem w liceum, to jednym tchem mówiliśmy Kuroń – Modzelewski. Wyście byli dla mojego pokolenia legendą, bohaterami. Byliście jak tacy kowboje z westernu, którzy walczą ze złem. Świat znowu jest dziś w strasznym zamęcie, no to przyszedłem.**

– Zawsze ta sama śpiewka! Całe życie słyszę, że mam komuś mówić, co złe, a co dobre, doradzać i brać odpowiedzialność za decyzje młodszych ludzi. Tak było w 1968 roku, potem w 1980 roku i w 1981. I nie chcę już tej odpowiedzialności. Zwolniłem się z niej.

**Bo?**

– Najkrócej panu powiem, ale to nie będzie optymistyczne. Zniesie pan to jakoś?

**No.**

– Bo ja za dużo wiem.

Żeby rewolucjonista zaczął mówić rewolucyjnie i chciał realizować z innymi jakąś

piękną utopię, to musi myśleć, że rewolucja jest możliwa. A ja już wiem, że nie jest możliwa. Albo zbyt dużo kosztuje, albo prowadzi do skutków odwrotnych, niż rewolucjoniści zamierzeli. To jest suma moich doświadczeń. Co nie znaczy, że inni do poprawiania świata się nie zabiorą.

**Jakoś ich nie ma.**

– Trzeba być młodszym.

**Jak pan miał czterdziestkę, to co pan robił?**

– Piękny czas! Pisałem książkę „Chłopi w monarchii wczesnopiastowskiej”, którą skończyłem dopiero w więzieniu na Mokotowie.

**Nudne.**

– Superciekawe.

**Pisał pan też list do Gierka. Kolejna utopia?**

– Nie. Napisałem list pragmatyczny, żeby władza i opozycyjny KOR spróbowwały ze sobą porozmawiać. Zdawało mi się, że potrzebują wspólnego języka, i chciałem go obu stronom zaproponować. Sądziłem, że taka rozmowa pozwoli uniknąć gwałtownych konfliktów społecznych, takich jak w 1976 roku.

**A jak się wysyłało list do Gierka? Poczta?**

– Przyjechałem do Warszawy, poszedłem do gmachu KC, tam było takie okienko, zostawiłem list w tym okienku i poprosiłem, żeby mi pokwitowali na kopii.

**Nie miał pan poczucia obciachu?**

– Miałem. Było to lekko śmieszne.

**Sam pan ten list wymyślił?**

– Nikomu nie powiedziałem. Nawet Jackowi.

**I sądził pan, że oni wszyscy tak sobie usiądą i porozmawiają? Aniela Steinsbergowa powie do Gierka: „Panie Edwardzie, niech pan już więcej nie pałuje robotników”. A Gierek na to: „Pani Anielo, już nie będę”.**

– Ha, ha. Mniej więcej.

**Naiwny pan był jako czterdziestolatek.**

– Pewna doza naiwności pozwala działać. Jak już tak się wszystko wie – a dziś wiem wszystko, tak się w każdym razie czuję – to przechodzi ochota na zmienianie świata.

Ten list wywołał konsternację po obu stronach. Ale chyba większą wśród moich przyjaciół w KOR.

### **A Gierek go w ogóle przeczytał?**

– Tak. Spotkałem po miesiącu na uniwerku Jaremę Maciszewskiego, który był wtedy kierownikiem Wydziału Nauki KC. „Wszystko w porządku – powiada – twoje pomysły byłyby nawet do rozważenia, ale raczej nie będą, bo Gierek się wściekł za ten rozdzielnik”

### **Rozdzielnik?**

– Informację na końcu listu, że o jego treści informuję KOR, Episkopat Polski oraz m.in. kierownictwo Włoskiej Partii Komunistycznej.

### **To ostatnie najgorsze.**

– No właśnie! Pan od razu załapał! A ja wtedy nie załapałem. „Że do Wyszyńskiego posłałem kopię? O to chodzi?” – dopytywałem Jaremę. „No skąd! Co nam to szkodzi? Z powodu tych Włochów się wściekł” „Ale przecież to są włoscy komuniści, wasi towarzysze, a nie moi!” Na co Jarema zaczął wykrzykiwać: „Ci cholerni Włosi w kółko nas krytykują! Im się nic nie podoba! My mamy własną politykę!”

### **Przecież wiadomo, że heretycy z własnego obozu największą budzą wściekłość.**

– Zgoda. Głupi byłem.

### **Urodził się pan w Moskwie. Ojca posadzili. Potem wychowywał się pan w sowieckim sierocińcu pod Moskwą. Strasznie tam było?**

– E tam, dobrze! To było w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, do tego sierocińca trafiały dzieci komunistów obcokrajowców. Skutecznie nam tłumaczono, że jesteśmy Rosjanami, nadzieją matki Rosji, która prowadzi śmiertelną walkę z Niemcami. Moim ideałem był szeregowiec Matrosow.

### **Co zrobił?**

– Piersią przykrył wylot bunkra i kule nie miały już takiego impetu, bo grzęzły w Matrosowie, więc czerwonoarmiści mogli zdobyć ten bunkier.

### **Jedzenie?**

– Skromne, ale było. Od święta nawet mielony.

### **Co najlepsze?**

– Jajko i ukręcony kogel-mogel. Opiekunka Katia mi to robiła. I lubiłem się do niej

przytulić.

### **Marzenia?**

– Chciałem mieć rower. I dostałem, ale to już w Polsce, na czternaste urodziny. Rodzice mi kupili.

### **Z przerzutkami?**

– No skąd. Ukraina. To był wtedy superrower. Mój stary przyzwoicie zarabiał, miał pensję dygnitarską i się tego wstydziłem.

### **Wstydziłem?**

– Jako nastolatek wstydziłem się wszystkiego, co mi się wydawało przywilejem materialnym, bo mogłem to porównać ze standardem życia moich kolegów szkolnych. Po pierwsze, była willa na Wawelskiej 14. Dziewięć pokoi! Od 1949 do 1954 roku w niej mieszkaliśmy, wstydziłem się jej jak cholera.

Było nas trzech bardzo bliskich przyjaciół zetempowców. Tadek Gulik, Jędrzek Krzywicki – syn pisarki Ireny Krzywickiej – oraz ja, syn ministra spraw zagranicznych PRL Zygmunta Modzelewskiego. Ojciec Tadka pochodził ze wsi, mieszkali w małym domku fińskim na Polu Mokotowskim i trzymali kozę. No i Tadek Gulik w pewnym momencie postanowił się zbuntować i napisał poemat wierszem, który się zaczynał tak:

*Od dzisiaj nie mam nic wspólnego z wami,  
nie chcę się zadawać z kapitalistami.*

Wyszczególnił swój klasowy gniew z powodu nierówności społecznych. Poszliśmy więc na poważną rozmowę we trójkę do mnie.

### **W te dziewięć pokoi.**

– Niestety. Usiedliśmy w moim pokoju przy biurczku. I Jędrzek Krzywicki, który w naszej klasie był przewodniczącym ZMP, zaczął tłumaczyć Tadekowi, że przecież w Polsce upaństwowiono fabryki, zlikwidowano majątki obszarnicze, że, owszem, są nierówności materialne, ale to nie są nierówności klasowe, bo nie ma już posiadaczy fabryk. „Rozumiesz, Tadek? Nie ma klas społecznych. I to jest lepsze niż cały Zachód do kupy wzięty!” Tadek rozsądnie na to: „No ale Karol ma przecież willę!” Jędrzek był strasznie opanowany, matematyczny umysł, ale cały czas rękami skubał, tak był zdenerwowany. Skubał, skubał po tym moim biurczku, aż w końcu trafił na blaszkę, pochylił się, przeczytał, a tam było napisane: „Inwentaryzacja Ministerstwa Spraw



Zagranicznych” „O, widzisz – mówi do Tadek – nawet to biurko nie należy do Karola.” Tadek spojrział, zbladł i to go przekonało.

### **A pana?**

– Nie byłem przekonany. Wiedziałem, że Tadek w gruncie rzeczy miał rację. Pytałem o to ojca parokrotnie, jego odpowiedzi zawsze wprawiały mnie w dyskomfort. Odpowiadał niezbyt szczerze: „No tak, tak, staramy się, żeby nie było nierówności.” A jak w końcu zdobywał się na szczerłość, to mnie gorszył.

### **Gorszył?**

– Mówił jak wróg!

Po likwidacji systemu kartkowego w styczniu 1953 roku wprowadzono ordynarną podwyżkę cen. Ale gazety napisały, że to „regulacja cen i podwyżka płac”, która spowoduje „wzrost stopy życiowej ludności”. Więc wziąłem kartkę i policzyłem raz, drugi i trzeci. I mi wychodziło, że coś się nie zgadza.

### **Piętnastolatek takimi rzeczami sobie zajmował jasną główkę?**

– Byłem w ZMP i sądziłem, że czegoś nie rozumiem. No to niech stary mi to wytłumaczy, żebym mógł bronić słusznej linii naszej partii. A on spojrział bykiem i powiedział: „Chodzi o to, żeby ludzie mniej jedli, a więcej pracowali”

### **Prawdę.**

– Tak.

Uznałem, że mówi jak wróg. Bo to było takie przedstawienie intencji władzy ludowej, jakby była potworem. Członek KC nie może mówić takich rzeczy! Ostrzegano nas, że wróg wciska się wszędzie, no to może mój własny ojciec jest wrogiem?

### **Pawlik Morozow by doniósł.**

– Na szczęście nie byłem Pawlikiem. Po prostu sobie umówiłem, że tego nie słyszałem.

### **Czy pan kiedykolwiek w dorosłym życiu miał pokusy konsumpcyjne?**

– Czyli jakie?

### **Hawira z basenem. Dobra fura. Modna komóra. No wiadomo.**

– A to miałem. Na początku lat pięćdziesiątych weszły dwa modele samochodów, które mnie zaczęły nęcić. Pierwszy to była Skoda Favorit, a drugi model to był Fiat Cinquecento. Miał taki fajny ścięty tył.

## **I pan marzył o cinquecento?**

– No tak.

## **A udało się zrealizować?**

– No nie. Tak się złożyło, że byłem wtedy po przejściach. Rozstałem się z żoną, poznałem Małgosię i pieniądze musieliśmy wydać na jakieś lokum. To już był 1994 rok.

## **Pan się niczego nie dorobił.**

– Już mi to kiedyś powiedział w szpitalu pewien sanitariusz. Był 1993 rok, Wałęsa właśnie rozwiązał parlament i przestałem być senatorem. „Niczego się pan nie dorobił jako senator? Nawet samochodu?” – podpytywał. „No jakoś nie. Płacili mi w Senacie przyzwoicie, ale bez przesady” – powiedziałem mu na to. Obruszył się: „Przecież nie o pensję pytam! To pan nie wie, jak się robi pieniądze?” I dalej mi wszystko wyłożył: „Teraz jest nowy porządek. Idzie pan do banku po jednej stronie ulicy, ale koniecznie proszę wybrać bank państwowy, siada pan w gabinecie dyrektora i mówi, że nazywa się Modzelewski. Senator Modzelewski. I że pan za wolną Polskę osiem lat siedział, a teraz chce pożyczyć 20 milionów na 3 procent. Ten dyrektor może panu dać taki kredyt, nic mu nie zabrania. Pan to bierze i niesie do prywatnego banku po drugiej stronie ulicy na 30 procent. Po roku pan wraca, podejmuje pieniądze, oddaje pożyczoną kwotę do banku państwowego, a różnicę wkłada do kieszeni. I już ma pan pieniądze na rozruch.” Zadumałem się, zajęło mi to dłuższą chwilę, w końcu mu mówię: „No ale to znaczy, że okradłem bank”

## **A kiedy zarabiał pan najlepiej? Jako senator?**

– Nie. Jako wiceprezes Polskiej Akademii Nauk, którym zostałem w 2006 roku. Zarobek to był dla mnie bardzo wysoki.

## **Ile?**

– Brutto prawie dziewięć tysięcy. Na rękę miałem siedem z czymś. No, ale przecież nie dla pieniędzy tam poszedłem.

## **A po co?**

– Na bramkarza. Przekonali mnie koledzy naukowcy, że czeka nasze środowisko ciężki mecz z rządami PiS, które zbliżały się wielkimi krokami. Miałem stać na bramce i być niekomfortowym przeciwnikiem dla Jarka.

## **I stał pan?**

– Tak. W dodatku musiałem stać dłużej, niż się spodziewałem. Jak rząd PiS upadł i po wyborach przyszedł rząd PO, to uznałem, że niepotrzebny jestem, bo nie trzeba już bramkarza. I był to pogląd mylny.

## **Bo?**

– Inne sprawy bramkarskie się pojawiły.

Jarosław Kaczyński jako premier musiał nam wręczyć nominację. Poszliśmy wszyscy do URM. Podjął nas osobiście herbatką i herbatnikami. I w krótkiej mowie powiedział całkiem szczerze: „Nie będę ukrywał, że środowisko naukowe czekają rewolucyjne zmiany. W programie PiS zawarliśmy postulat likwidacji PAN jako instytucji o stalinowskim rodowodzie, ale ja tak daleko nie idę. Możecie sobie istnieć na takich zasadach, na jakich istnieje Towarzystwo Naukowe Warszawskie, ale wasze instytuty trzeba przekazać pod zwierzchnictwo ministerstwa.” Powiało grozą. Koledzy od razu zaczęli się tłumaczyć, że przecież PAN to nie taka znowu stalinowska instytucja, przecież tylu w niej dysydentów pracowało. A ja – jako ten bramkarz – powiedziałem nieco inaczej. Dokładnie tak jak z Kaczyńskim należy rozmawiać. I radzę to zapamiętać, jeszcze się przyda. „Panie premierze, zapewne pan wie, że środowisko naukowe nie jest wojownicze. Ale o taką sprawę jak niezależność PAN to będzie prawdziwa wojna. Jeśli pan premier chce toczyć wojnę ze środowiskiem naukowym – droga wolna. Odpowiemy. Decyzja należy do pana premiera.” Kaczyński się nieco zasepił. „No tak – powiada – komuniści nie poradzili sobie z profesurą przez czterdzieści lat, to ja nie mam złudzeń, że sobie poradzę przez cztery lata”

## **I co?**

– Oduścił. Zajął się lekarzami. Mieliśmy względny spokój, właściwie nic nam nie zrobili.

## **A ci drudzy z PO, potem?**

– Na wzór unijny zaczęli wszystko komercjalizować. Natychmiast. Była szansa, że pani minister Kudryckiej wychłódną te zamiary, jeśli się zważymy z prezydentem Kaczyńskim i on to zawetuje. No ale prezydent zginął i już nie miał kto wetować.

Najgorsza jest zmiana finansowania nauki ze stałego na krótkookresowe, czyli na granty. Poważniejsze projekty badawcze muszą mieć pewien oddech. Nie wymyśla się teorii względności na grant! Zresztą nikt by nie dał grantu na taką fanaberię albo musiałby to być grant piętnastoletni. A one są na trzy, cztery lata i potem jest niepewność.

Drugą upiorną cechą tego nowego systemu jest coś, co nazywam centralizmem liberalno-biurokratycznym. Konkursy o granty – czyli o pieniądze – odbywają się na zasadach rynkowych, tak jakby badania naukowe to był towar. A nie jest. Natomiast ostatni głos i tak należy do ministerstwa, czyli do biurokracji. I sprawozdawczość jest tak nieprawdopodobnie rozbudowana, że nawet za Hilarego Minca takiej nie było. Nie do uwierzenia! Sprawozdawczość połączona z nieustannym przetargiem powoduje, że na nic innego już nie ma sił i czasu. Naukowcy tracą miesiące na pisanie pierdół biurokratycznych, trzydziestolatki, ludzie w sile wieku i możliwości, szkoda każdej ich godziny. Połączenie biurokracji z wolnym rynkiem jest chyba najbardziej diaboliczną mieszanką.

**Powiedzmy, że dyrekcja tej warszawskiej szkoły, której deweloper zabrał właśnie boisko, zaprosi pana – jednego z ojców założycieli III RP – na rocznicowy apel. I powiedzmy, że jakaś wyszczekana gimnazjalistka wstanie i powie: „Panie Karolu, walczył pan i co? Takie porządki w tej Polsce, że boiska nie mamy!”. Co jej pan odpowie?**

– Że myśli się wyłącznie o świętym prawie własności, ale trzeba pamiętać o braterstwie. I że teraz twoja kolej na poprawianie świata.

**Braterstwo. Śmiesznie to brzmi.**

– Śmiesznie.

Albo wie pan co? Opowiedziałbym im na tym apelu historię Bogdana Lisa. Otóż Bogdan ma na dłoni wytatuowany księżyc i trzy gwiazdki. Oznacza to złodzieja nocnego i takie tatuaże raczej na wolności nie są wykonywane. Jak to zobaczyłem, to zaraz zapytałem: „Bogdan, za co siedziałeś?”. I on mi wyjaśnił, że w jego dzielnicy był pewien nawiedzony społecznik, który został kierownikiem ośrodka sportowego. I ściągnął do uprawiania sportu tak zwaną trudną młodzież z całej dzielnicy. W tej liczbie też Bogdana. Zaczął ich reedukować. Po czym ZMS się zdenerwował, że żadna żulia nie będzie ćwiczyć w ich klubie, i im to zabrali, a instruktora wyrzucili. No to Bogdan namówił się z kolegami i zrobili zajazd. Jak zetemesowcy ćwiczyli, to oni wywalili okna i spuścili im manto. Potem Bogdan dostał wyrok; jak wyszedł, to poszedł pracować do Elmoru, a potem odegrał swoją wielką rolę historyczną w „Solidarności”. Więc może manto trzeba spuścić?

**Manto? Przecież całe życie uczył pan ludzi, żeby zamiast spuszczać manto, pokojowo się organizowali i pokojowo zmieniali świat.**

– A dziś już nie wiem, co lepsze. Może czasem jednak manto?

Ludzie działają, jak się wkurzą. Ze mną też tak zawsze było. Wkurzenie jest głosem sumienia. A sumienie – tak mi powiedział bardzo pobożny człowiek, Seweryn Jaworski z Huty Warszawa, z którym siedziałem w jednej celi – jest głosem Boga. Czyli jak się wściekam, to Pan Bóg mi każe.

### **Kiedy najbardziej był pan wkurzony?**

– W czasie stanu wojennego. Nasza pokojowa rewolucja „Solidarności” skończyła się masakrą w kopalni Wujek. Kolejnymi trupami. Siedziałem w celi i byłem bezsilnie wściekły.

### **Mógł pan wyjść. Przecież proponowali.**

– Proponowali mnie, Kuronowi, Michnikowi, Romaszewskiemu, Wujcowi i sześciu innym osobom z kierownictwa KOR i „Solidarności”. Biskup wynegocjowali to z generałami. Propozycja wyglądała tak: napiszemy list do prymasa, że przez dwa i pół roku będziemy grzeczni i nie rozpoczniemy żadnej działalności opozycyjnej. Prymas to pobłogosławi, podpisze, zaręczy za nas, a władza nas wypuści.

### **I co?**

– Napisaliśmy list z odmową. Grzeczną, bo do prymasa.

### **Proponowali też wyjazd na Lazurowe Wybrzeże.**

– Tak. Przyjechał dyrektor gabinetu sekretarza ONZ – nazywał się Emilio d’Olivares – i w porozumieniu z polskimi władzami obiecywał mi stypendium naukowe na Lazurowym Wybrzeżu.

### **I?**

– Nie.

### **No ale pojechałby pan do Saint-Tropez, wykąpał się w Morzu Śródziemnym.**

– To prawda. W więzieniu słabo z tym było.

### **No to dlaczego? Co takiego jest w człowieku, że nie jedzie na Lazurowe Wybrzeże, tylko zostaje w celi?**

– Mógłbym pieprzyć coś o wzniosłych sprawach. A tak naprawdę ta emocja jest dość prosta: „Nie dam chujom satysfakcji!”

### **Tak właśnie myślałem.**

– Dlatego uważam, że wkurzenie to czasem świetna emocja. Silna. Upraszcza wiele decyzji.

## **I co? Człowiek zostaje w dusznej celi i jest zadowolony, że nie dał satysfakcji Kiszczakowi. Tak?**

– Niby tak. Ale taka słodziutka trucizna pokusy w środku się sący i sący. Bo gdyby człowiek wyszedł, to niczym innym by się nie zajmował, tylko średniowieczem, a to by było fajnie.

## **Średniowiecze znów pana kusiło.**

– Zawsze mnie kusiło. I jeszcze miałbym glejt od prymasa na ten święty spokój.

## **Glejt?**

– No tak. Przychodzi – dajmy na to – jakiś kolega z podziemia: „Stary, zobacz, ulotki, gazetki. Działamy!” A ja mu spokojnie mówię: „No wiesz, chętnie bym dołączył, ale prymas mi zabronił” „Prymas? Co ty pieprzysz!” Na co ja wyciągam ten wynegocjowany list żelazny: „Masz, czytaj, stary, nie powinienem działać przez dwa lata” Supersprawa! Takie rzeczy ta słodka trucizna sącyła w duszę.

Bo wcale nie jest prawdą, że całe życie chciałem być rewolucjonistą. A pan mnie tak czasem pyta, jakbym chciał nim być. Całe życie to ja chciałem być historykiem. Tylko ciągle coś się działo, że człowiek musiał się angażować. Jacek Kuroń mówił o mnie, że jestem politykiem niedzielnym. Że tylko w niedzielę w ten samochód wsiadam.

Średniowiecze to bardzo pracołonna dziedzina naukowa i nie da się nią oraz polityką zajmować równocześnie. Więc jak już w wolnej Polsce było można, to wybrałem średniowiecze.

## **Odpuścił pan.**

– Ale za to napisałem „Barbarzyńską Europę”. Przynajmniej mam pewność, że to jest dobre.

## **Pan sobie pisał, a prezes Francik urządzał Polskę po swojemu.**

– A co pan myśli? Teraz wygra Kaczyński i wbrew pozorom zaraz znajdzie koalicjantów. Już nie skieruje ostrza państwa policyjnego na rozmaitych komuchów, bo to jest passé, tylko na przykład na różnych prezesów Francików. I zrzędzie panu mina.

## **Wychłódnie mi – jak pan mówi.**

– Tak jest. Wychłódnie panu cały ten rewolucyjny zapał, żeby gonić rozmaitych krzywdzicieli. Bo trzeba będzie bronić małych skurwysynów przed większymi skurwysynami, przed procesami dwudziestoczerogodzinnymi, przed politycznym CBA.

**Nie.**

– Tak właśnie będzie.

**Nie. Odmawiam. Nie straszcie mnie już Kaczyńskim. Pan mi to robi, Michnik mi to robi, wszyscy rozsądni ludzie, których szanuję, już dziewiąty rok mi to robią. A potem idę i głosuję na mniejsze zło. I ja już tak nie chcę, wypisuję się z tej zabawy.**

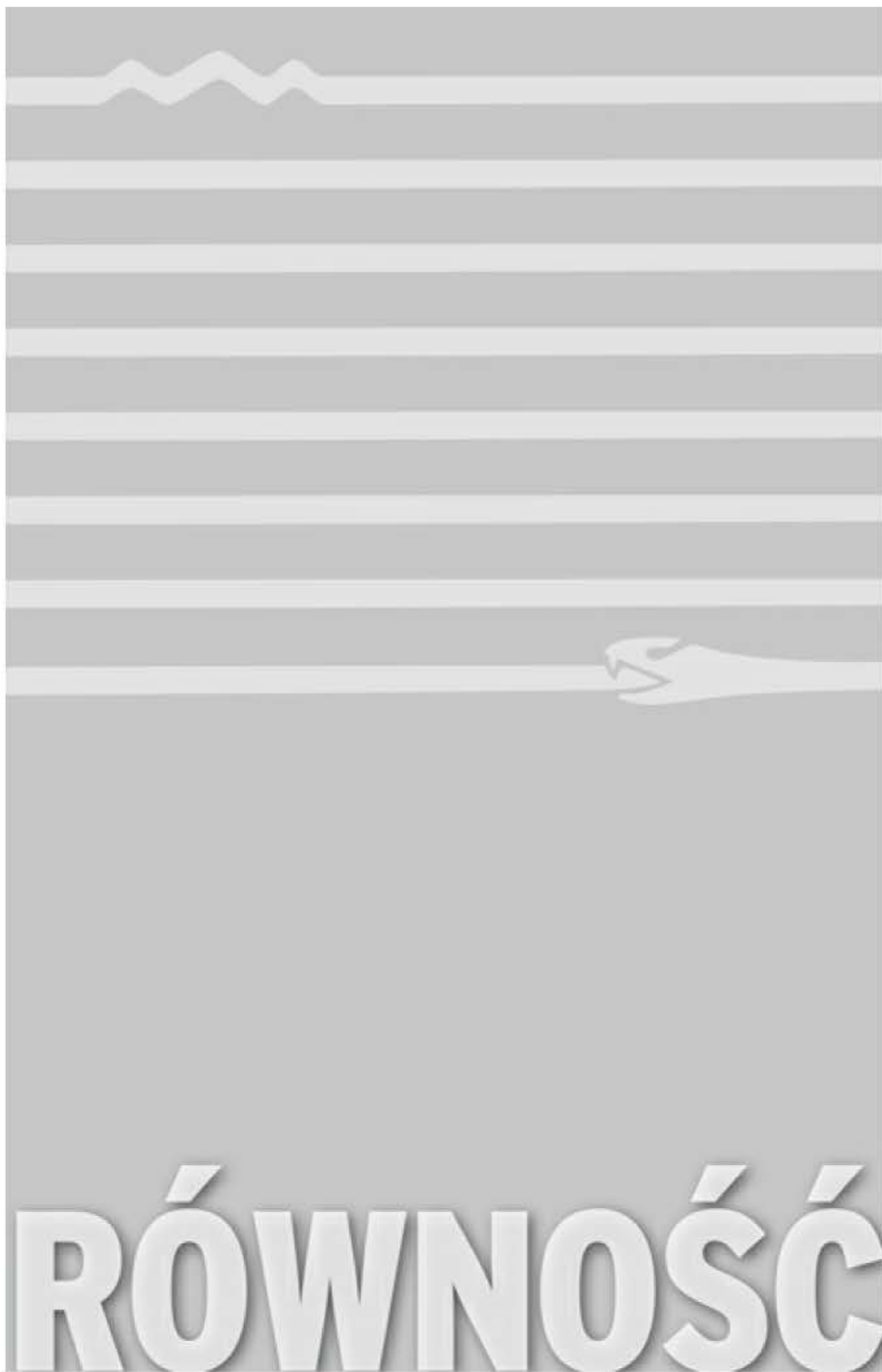
– To będzie pan miał Kaczyńskiego.

**Nie. Pójdę już.**

– Wkurzył się pan. Świetnie. Pańska kolej.

Wrzesień 2013





RÓWNOŚĆ

# Milioner ma wyglądać na milionera

---

## Rozmowa z JANUSZEM FILIPIAKIEM

**JANUSZ FILIPIAK (1952)** jest prezesem jednej z największych polskich spółek teleinformatycznych Comarch (dostarcza programy dla firm, szpitali, urzędów). Ukończył Akademię Górniczo-Hutniczą, tam też pisał doktorat i wiele lat wykładał, kierował Katedrą Telekomunikacji. W latach osiemdziesiątych wyjechał na Zachód, pracował m.in. w Paryżu w laboratoriach France Télécom. Po powrocie do Polski założył Comarch. Kupił też klub sportowy Cracovia. Ma troje dzieci. Jego żona, Elżbieta, jest właścicielką krakowskiego Wierzyńka.

**Tony Judt mówi tak: „Wiele osób mieszka dziś na grodzonych osiedlach, w bogatych enklawach i nie czują żadnej odpowiedzialności za społeczeństwo za bramą”. Prawda?**

– Jeśli pan zakłada, że ja siedzę w enklawie, to jest to założenie mylne. Milionerem zostałem dopiero w wieku lat pięćdziesięciu. Zanim powstała firma Comarch, robiłem różne rzeczy. Byłem dozorcą na budowie, pracowałem w hucie, całe studia musiałem dorabiać. Żyliśmy z żoną w biedzie, sprzedawało się butelki na koniec miesiąca. Pisałem doktorat, mieszkaliśmy w hotelu asystenckim z dwójką dzieci na szesnastu metrach kwadratowych. No, dla dzisiejszej młodzieży to są rzeczy...

**Brzmiało całkiem znajomo.**

– Znajomo? Nie dla pracowników Comarch. Chłopak ma dwadzieścia cztery lata i już

na starcie domaga się etatu, bo chce wziąć kredyt mieszkaniowy.

Życie widziałem ze stron różnych i nie jestem dobrą osobą, żeby się wypowiadać z punktu widzenia jakiejś enklawy. Ja nie jestem enklawa. Mam dom na wsi pod Krakowem, normalnie żyję z sąsiadami, nawet czasem bańkę z nimi wypiję.

### **Duży dom?**

– Tysiąc metrów. Ale mnie prawie w nim nie ma. Najwięcej radości z mojej rezydencji mają ludzie, którzy przychodzą tam sprzątać i kosić trawę.

### **Rolls-royce to jest droga impreza?**

– Pod dwa miliony. Prawie nim nie jeżdżę, po dwóch latach ma tylko 12 tysięcy kilometrów na liczniku. Nigdzie nie można nim zaparkować, bo jest długi na sześć metrów i siedemdziesiąt centymetrów. Niepraktyczny.

### **To po co?**

– Byłem ostatnio w Dubaju robić biznes. Poszedłem z ludźmi do hotelu Armani, pod który podjeżdżają wyłącznie rolls-royce'y. Moimi partnerami w rozmowie byli właściciele samych rolls-royce'ów. Więc też posiadam go sobie i jestem spokojniejszy.

### **Spokojniejszy?**

– Robię biznes z jakimś szejkiem i czuję się równy. Bo wiem, że też mam. Ten samochód stoi w garażu i służy temu, żeby mieć wewnętrzną świadomość. Nie wiem, czy pan to rozumie.

### **Nie rozumiem.**

– No i dlatego pan pieniędzy nie zrobił.

Polaków ciągle traktuje się na świecie jako ludzi gorszych. Jeśli więc robię biznes w wysokiej lidze, tym bardziej muszę mieć wszystkie atrybuty osoby, która gra w wysokiej lidze.

### **Garnitur za ile?**

– Na zwykłe spotkanie biznesowe nie wypada iść ubranym u najlepszego krawca w Mediolanie. Zakładam zwykły garnitur, mniej więcej za tysiąc euro.

### **A do szejka?**

– Trzeba wyglądać bardziej godnie i taki garnitur kosztuje od 10 tysięcy euro wzwyż. Jestem nuworyszem. *Nouveau riche* to po francusku znaczy nowobogacki. Nie wstydzę się tego. Na wszystko patrzę, analizuję i sprawia mi frajdę, że ciągle czegoś się

uczę. Jadę do Mediolanu do krawca i się dowiaduję, jak wygląda kaszmir z jedwabiem i że kosztuje takie pieniądze.

Byłem teraz w hotelu w Como na spotkaniu w sprawie kupna firm włoskich. Odbywało się wesele arystokracji włoskiej. Pan młody był arystokratą włoskim, a panna młoda kaukaską dziedziczką rodu. Jakbym był ubrany skromniej niż oni, to kelnerzy by mnie nie obsłużyli. Na przykład pan wyglądałby w tym hotelu niestosownie. „Co ty tu, facet, robisz? – by pomyśleli. – My tu gramy w swoją grę, dlaczego nagle wchodzisz nie z tej bajki?”

### **Zegarek?**

– Miałem porządny, ale mi go rąbnęli. I to w Szwajcarii. Więc nie mam.

### **A szejka ma!**

– Niech ma. W tym przysłowiowym drogim hotelu nie muszę mieć zegarka na rękę i sprawdzać nerwowo czas. Ciężko iść bez garnituru, w majtkach samych na przykład. Zgodzi się pan?

### **Zgodzę.**

– A zegarek mnie nie rajcuje, to nie mam. Mam tylko te elementy, które są mi potrzebne do wykonywania pracy. Zegarek może kosztować 300 tysięcy euro, a ten, co mi ukradli, kosztował 25 tysięcy euro. Nie był bardzo drogi.

### **100 tysięcy złotych.**

– I więcej nie kupię.

### **Drugi dom ma pan w Szwajcarii. Duży?**

– Mniejszy. Tam nie można mieć rezydencji, bo się płaci za nią horrendalne podatki. Zresztą nie wypada. Dom bogacza i dom zwykłego nauczyciela wyglądają podobnie i mają maksymalnie dwieście metrów. Oni się nie lubią pokazywać. Biznesmeni też. Front jest skromny takiego biznesmena i nawet jak ma w garażu ferrari, to nigdy do fabryki nim nie przyjedzie, żeby pracownicy nie widzieli. Przyjedzie najwyżej autem marki Subaru. Szwajcaria jest wyjątkowa. Kraj równości.

### **Pan to lubi?**

– Mnie to nie przeszkadza. W Szwajcarii też jeżdżę subaru.

### **A w Polsce rollsem.**

– Rzadko. Kierowca mnie wozi busikiem.

Ten rolls nie daje panu spokoju, więc przybliżę to jeszcze inaczej. Jak byłem profesorem AGH i żeśmy założyli Comarch, to przez chwilę Kluska chciał nas kupić. Firma Optimus. Przed wizytą Kluski wszyscy wisieli w oknach, czy on przyjedzie mercedesem S klasy, czy może czymś lepszym. Przyjechał E klasą i było wielkie rozczarowanie. Jaki z tego morał? Ano taki, że Polska jest inna niż Szwajcaria. U nas istnieje wręcz oczekiwanie społeczne, że po milionerze będzie widać, że jest milionerem. A ja nie żyję w próżni.

**Cytat z Güntera Grassa: „Dryfujemy w stronę społeczeństwa klasowego z coraz biedniejszą większością i odgradzającą się od niej warstwą najbogatszych”. Ma rację?**

– No wie pan, Günter Grass... Każda wypowiedź musi być związana z elementem czasoprzestrzeni, w której została wypowiedziana. Kiedy on to powiedział? Po II wojnie światowej?

**Rok temu.**

– To – nie chcę nikogo urazić – stracił kontakt z rzeczywistością.

Społeczeństwa Europy zmierzają wprost do socjalizmu. Zasiłki socjalne, które niby są obcinane w kryzysie, wciąż wystarczają na niezłe życie. Oczywiście nie kupi pan zegarka za 25 tysięcy, ale nie jest to nędza i ubóstwo. Niemcy i Francuzi z powodu zasiłków tracą motywację do pracy.

Żeby uprzedzić kolejną serię pańskich podchwytliwych pytań: nie jestem przeciwnikiem zasiłków. Mam własną teorię na temat społeczeństwa, która jest inna niż do tej pory głoszone. Ale nie wiem, czy to pana interesuje.

**Bardzo.**

– Z moich obserwacji i rozumienia ewolucji wynika, że świat zmierza w takim kierunku, aby podstawowy poziom życia wszyscy mieli zapewniony. Nikt nie będzie głodny, nie będzie mu zimno ani nie będzie nieubrany. Niezależnie od tego, czy pracuje, czy nie pracuje, to będzie mógł pójść do przysłowiowego Carrefoura – czy też w inne miejsce, gdzie można kupić tę chińską odzież – i podstawowe rzeczy dostanie. Za specjalne bony albo z zasiłku.

Natomiast jednostki, które lubią pracować, mają talent i ciągną całe społeczeństwo, będą miały możliwość posiadania kominów płacowych, których nikt się nie czepia.

**Aha.**

– Jednostki pracowite i twórcze muszą dostać premię za szczególny wkład w społeczeństwo. Przecież żeby ta cała grupa ludzi, którzy pracować nie chcą, mogła

godnie żyć, to tamci muszą najpierw zarobić. Dziś nie jest to rozumiane. W Szwajcarii na przykład chcą wprowadzić przepis, że prezes nie może zarobić więcej niż dwanaście średnich pensji w firmie. Na poważnie dyskutują takie absurdy!

### **Czy pan sam doszedł do bogactwa?**

– Tak. To jest dobrze udokumentowane. Jestem pierwszym pokoleniem, które się dorobiło. Od pucybuta doszedłem ciężką pracą i talentem do milionera. I uważam, że na swoją nagrodę zasługuję. Nie biorę niezasłużonych pieniędzy.

**Profesor Elizabeth Warren w amerykańskim Kongresie mówiła ostatnio tak: „Nie ma w tym kraju nikogo, kto doszedł do bogactwa sam. Nikogo! Zbudowałeś fabrykę – to świetnie. Ale powiedzmy sobie szczerze, woziłeś towary po drogach, za które reszta z nas zapłaciła. Zatrudniałeś pracowników, których wykształcono za nasze pieniądze. Byłeś bezpieczny w swojej fabryce, bo za nasze pieniądze pilnowały cię policja i straż pożarna. Miałeś świetny pomysł, wyszło ci coś cudownego – Bóg z tobą. Weź dla siebie kawałek tortu. Ale częścią umowy społecznej jest to, że resztę oddasz następnemu dziecku, które będzie chciało pójść w twoje ślady”. Racja?**

– Po raz kolejny mam problem ze zrozumieniem tego, co pan czyta. Robi się to lekko irytujące. Sam jestem profesorem i wiem, że nie zawsze należy profesorów słuchać, ostatnio jedna z takich osób stwierdziła, że informatyka w medycynie spowoduje większą śmiertelność.

**Warren mówi o społeczeństwie. O dobru wspólnym, które wy – bogaci – macie coraz częściej w nosie.**

– Płacimy podatki na to dobro wspólne.

**Tyle że na Kajmanach. Pańscy koledzy z pierwszej piątki najbogatszych porejestrowali firmy za granicą lub w rajach podatkowych. Kulczyk, Solorz, Sołowow, Czarnecki... Prawie wszyscy.**

– To coraz trudniejsze. Zlikwidowano Luksemburg, Liechtenstein, Cypr... Popieram te nowe porządki, bo podatki płacić trzeba. Natomiast nauka o podatkach powinna być bardziej zniuansowana. Żeby one nie zabijały.

### **W Polsce zabijają?**

– W tej chwili są sprzyjające. Robię biznes w kilkudziesięciu krajach i dokładnie wiem, jakie podatki gdzie się płaci. W Szwajcarii w niektórych bogatych kantonach poziom opodatkowania sięga 73 procent. W Niemczech – 45 procent. U nas znacznie

mniej.

**Dobrze, że pan to mówi. Bo wy wszyscy nieustannie chodzicie po mediach i opowiadacie, jak strasznie dużo musicie tu płacić. I jak niesprawiedliwie was ta Polska doi.**

– Proszę więc wyraźnie zapisać: Filipiak płaci podatki w Polsce.

**To mi kamień spadł z serca.**

– 20 procent od każdej zarobionej złotówki.

**Ale... Zaraz...**

– Więcej niż inni prezesi.

**Ale... Jak to?**

– Co „jak to”? Co się pan znowu jąka?

**Bo dlaczego nie 32 procent?!**

– A skąd pan wziął taką liczbę?

**Górna stawka PIT to jest przecież 32 procent.**

– Ale to nie dotyczy prezesów. Spółka im to wszystko zleca.

**Zleca bycie prezesem?**

– Tak. Zleca zarządzanie.

**O Jezu!**

– Co „o Jezu”?

**Jaki ja jestem naiwny! Czyli prezesi są w Polsce na śmieciówkach?**

– Można tak powiedzieć.

**Nie płacą 32 procent PIT i nie dokładają się do ZUS?**

– Pan się jakoś dziwnie tym podnieca. Powtórzę: płacę 20 procent podatku, czyli więcej niż inni. Bo inni płacą często 19 procent od tych swoich umów.

**Dlaczego pan więcej?**

– Bo mieszkam i w Polsce, i w Szwajcarii. Jestem tutaj tzw. nierezydentem podatkowym, co oznacza wyższą stawkę. A powód mojego mieszkania w Szwajcarii jest jeden – rozwój firmy i dobro Polski. Tam łatwiej negocjować z całym światem,



podpisywać kontrakty po kilkadziesiąt milionów euro.

### **Z szejkiem.**

– Też.

Jedną trzecią czasu mieszkam w Polsce, jedną trzecią w Szwajcarii, a jedną trzecią w samolocie. Taką mam odpowiedź na często zadawane pytanie, gdzie mieszkam.

### **Ten samolot jest własny?**

– Nie mam.

### **A szejka ma!**

– Bezsensowny wydatek, samolot nigdy nie będzie efektywnie wykorzystany.

### **Dokładnie jak rolls-royce.**

– Nie. To są nieporównywalne koszty. Żeby się zamortyzował, to by trzeba nim latać codziennie.

### **Czy w Polsce powinny być dostępne dla wszystkich bezpłatne przedszkola?**

– Tak.

### **A czy zapłaciłby pan na nie wyższe podatki?**

– To złe pytanie. Lepiej postawić inne: kto te pieniądze rozsądniej wyda? Ja czy państwo?

### **Niech zgadnę.**

– Swoje prywatne zarobki inwestuję w kraju. Buduję. Daję na tych budowach zatrudnienie dziesiątkom osób. Mnie posiadanie pieniędzy jako takie nie bawi, tyle tylko, żeby mieć na garnitury i móc wykonywać swoją pracę. Natomiast gdy powstanie dom, to sprawia mi to wielką przyjemność. Oto coś nowego stworzyłem. To zostanie.

Zapewniam pana, że jeżeli dam milion złotych więcej do gminy, to ten milion zostanie roztrwoniony.

### **A może pójdzie na przedszkole? I już za dwadzieścia lat ten czterolatek będzie w firmie Comarch świetnym programistą.**

– Ale jeśli ja zatrudnię architektów, inżynierów i murarzy na budowie, to ich będzie stać na przedszkole dla dzieci! Sami sobie opłacą. Nie trwonię pieniędzy w Monte Carlo, buduję w Polsce nowe domy...

**Sobie! W nich nie powstaną mieszkania socjalne ani przedszkola.**

– Tłumaczę panu po raz enty podstawowe prawa ekonomii: jeśli bogaty wydaje swoje pieniądze, to ludzie mają zarobek. I nie potrzebują mieszkań socjalnych, bo pracują.

Pan snuje takie rozważanie, że na nagrobku można sobie potem napisać „intelektualista”. Nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością! Jeżeli pan podwyższy podatki, to połowa ludzi przestanie pracować, a druga połowa wyprowadzi podatki poza Polskę. Więc taka jest praktyczność w pana rozumowaniu.

**Od dwudziestu lat to słyszę: że was trzeba wspierać i obniżać wam podatki. Tylko zastanawiam się, kiedy wreszcie będzie z czego dołożyć do przedszkoli, służby zdrowia, mieszkań komunalnych i tego wszystkiego, co spowoduje, że będziemy żyć w przyjaznym kraju.**

– A ja od dwudziestu lat buduję w Polsce kapitalizm, utrzymuję miejsca pracy i płacę podatki. Jeśli na cokolwiek w tym budżecie jeszcze starcza, to dzięki takim jak ja.

**Ale zacznijcie się wreszcie bardziej dzielić! Stać was!**

– Wie pan, ja bym proponował ten temat zamknąć, bo się nie rozumiemy. Nie zmusi mnie pan do ciężkiej pracy po dwanaście godzin na dobę przez trzydzieści lat, zabierając mi potem wszystko na podatki.

**Nie wszystko! 32 procent!**

– A ja mam prawo tego nie zaakceptować! System podatkowy powinien szanować prawa człowieka. Pan tak sobie rzuca jakieś procenty z powietrza. To jest nieodpowiedzialne, bo system podatkowy musi być przedmiotem analiz i namysłu.

Ta dyskusja przestaje być ciekawa, powiem panu szczerze. Siódmy raz mówimy to samo.

**Pan mnie nawet ostrzegął przez telefon, że jak będą złe pytania, to przerwie pan wywiad, bo pański czas jest zbyt cenny.**

– I tak długo pan wytrwał.

**Nawet to sobie policzyłem.**

– Co pan sobie policzył?

**Ile jest warta pańska godzina: 6125 złotych, jak podzielić pańskie zarobki. A siedzimy już trzecią.**

– A nie przyszło panu do głowy, jak pan sobie pracowicie liczył i stukał

na kalkulatorku, że ja muszę w ciągu roku zrobić dla firmy 800 milionów złotych przychodów. Czyli to będzie – policzmy – dwieście pięćdziesiąt dni roboczych, 3 miliony złotych dziennie... Godzina mojej pracy jest warta 400 tysięcy złotych. A nie tak jak pan liczy.

### **W jakim sensie?**

– W takim, że muszę tak działać, żeby ta firma w ciągu godziny zafakturowała klientów na 400 tysięcy złotych. Dzięki temu mogę utrzymać 3500 miejsc pracy. I to jest mój punkt widzenia, i on jest prawdziwy.

### **Ale siedzimy, kłócimy się i w tym czasie firma nie fakturuje?**

– Fakturuje. I nawet słuchanie pańskich pytań mi się opłaci. Jestem zobowiązany udzielić panu wywiadu, bo jak ten wywiad zostanie przeczytany i ludzie zobaczą, że sensownie prezes mówi, to nam chętniej dadzą kontrakty. I po to z panem siedzę. Ekwiwalent reklamowy za ten czas dostanę.

### **Zajmuje pan pierwsze miejsce na liście najlepiej zarabiających polskich prezesów. Ponad 12 milionów złotych rocznie, czyli ponad milion miesięcznie. Czy myśli pan czasem o skutkach społecznych tak wysokiej pensji?**

– Skutek społeczny jest taki, że wielu młodych ludzi bardzo ciężko pracuje, bo też ma szansę tyle zarobić. Jakby nie widzieli tej szansy, to by tak ciężko nie pracowali.

### **Jest dokładnie odwrotnie. Skutkiem społecznym takich pensji jest frustracja całej reszty. Nigdy tyle nie zarobią.**

– Ręce mi opadają.

Proszę to wyraźnie napisać, bo po to naszą rozmowę sobie nagrywam, żeby pan ją zapisał dokładnie: każdy człowiek ma prawo do godziwego życia, ale te osoby, które chcą pracować i mają talent, muszą mieć prawo do wysokich zarobków. Nie naruszajmy podstawowych elementów konstrukcji społecznej! Jak pan mówi, że ludzie nie powinni dużo zarabiać, no to jest koniec cywilizacji!

### **Ale nie 12 milionów w biednym kraju!**

– I dekretem mi to pan zarządzi?

To jest ważne, co teraz powiem, proszę słuchać. Zastanawiałem się wiele razy nad swoją karierą, jej źródłami. Otóż cały mój sukces życiowy zawdzięczam temu, że mi się udało w 1982 roku wyrwać z Polski. A wie pan, dlaczego wyjechałem? Bo tu było szaro. Obojętnie, co pan robił, to nie miał pan z tego najmniejszej satysfakcji. I to była największa krzywda, jaką narodowi polskiemu wyrządzono. W 1982 roku ja i moi

koledzy mieliśmy po trzydzieści lat. Wtedy człowiek powinien zrobić w życiu największy skok. A gdzie skakać? Czy się pan narobił, czy nie, to nie mógł pan zostać milionerem, nie mógł wyjechać na wakacje na Karaiby, nie mógł sobie pobyć w drogim hotelu, kupić drogich ciuchów, ekskluzywnego jedzenia. I wie pan co? To ludzi wyjałowiło. Moje pokolenie jest nieaktywne zawodowo, to są przetrącone życiorysy. Ludzie muszą mieć szansę wzięcia dużej nagrody, bo tylko wtedy aktywnie pracują. I tylko wtedy społeczeństwo będzie funkcjonować.

Dlaczego zwykli ludzie z takim zapałem oglądają filmy typu „Dynastia” czy „Dallas”? Bo potrzebują nas, bogatych, w charakterze wzorców. Czasem chodzę sobie po tym przysłowiowym Carrefourze. „TO PAN? BEZ OCHRONY?” – słyszę. Ludzie oczekują, że wśród nich będą też bogaci. Tam, gdzie mieszkam, pod Krakowem, wielu się cieszy, że mają bogacza tuż obok. To jest nobilitacja dla okolicy. Jak jadę rolls-royce’em, to spotykam wyrazy sympatii, zwykli ludzie wyciągają kciuk do góry: „Ale fajne auto”

### **Pan tym autem nakręca spiralę konsumpcji.**

– Bez spirali konsumpcji nie ma progresu społeczeństwa!

Przestaję już pana całkiem rozumieć. Ledwo Polacy się dorobili i znowu mamy mieć wszyscy po równo?

### **Trochę równiej. Troszeczkę.**

– Pańskie myślenie jest niebezpieczne, bo stracimy wtedy mechanizmy rozwoju. Pan chce odebrać Polakom marzenia, że mogą mieć dom w Szwajcarii z pięknym widokiem na jezioro.

### **Bo problem w tym, że nie mogą.**

– Mogą.

### **Pan może. W pułapce na szczury jest tylko jedna przekąska.**

– W mojej firmie kilka osób zarabia powyżej miliona rocznie. A ponad dwieście osób ma pensje powyżej 12 tysięcy złotych miesięcznie. Jest dużo przekąsek.

**Władze Kalifornii chcą ukarać największego amerykańskiego prywatnego pracodawcę, firmę Walmart. Okazało się, że płaci swoim kasjerkom tak niskie pensje, że muszą brać zasiłki. Budżet państwa do każdej kasjerki w Walmarcie dopłaca 6 tysięcy dolarów rocznie.**

– A co mnie Walmart obchodzi? Może tak, może nie.

**Skandal?**

– Nie wiem.

**Pytam o zasadę: czy firma powinna płacić tyle, żeby pracownik z tego wyżył, a nie musiał brać zasiłki?**

– Firma powinna płacić rynkowo.

**Ile wynosi najniższa pensja w pana firmie?**

– Nie wiem.

**Sprzątaczk.**

– Nie zatrudniamy, firma zewnętrzna sprząta.

Comarch jest najbardziej atrakcyjnym miejscem pracy w Krakowie. Wszyscy chcą się u nas zatrudnić. Ale gdybyśmy płacili pensje dużo wyższe niż rynkowe, a klienci nam płacą przecież rynkowe ceny za usługi, tobyśmy zbankrutowali.

**Ile powinna wynosić godna pensja w Polsce?**

– Nie wiem. Ja się martwię tym, żeby utrzymać 3500 miejsc pracy. Nie zawsze jest to rozumiane. Przychodzi pracownik do szefa i mówi, że skoro firma rośnie i ma tyle pieniędzy, to on chce pięćset złotych więcej. Świetnie. Ale jak to przeskalujemy przez 3500 miejsc pracy, to wychodzi wielka kwota, idziemy w dług i bankrutujemy.

**Pięćset złotych razy 3500 pracowników? Policzyłem. Ta wielka kwota wynosi 1,7 mln zł miesięcznie. Trzeba by pewnie jakiś jeden komin płacowy obciąć, żeby to sfinansować...**

– Cały czas popełnia pan bardzo duży błąd, który popełniły władze stanu wojennego. Czyli pan niczym się nie różni od Jaruzelskiego. Wszystkim po równo. I wtedy jest szaro, buro, nie ma progresu i nie ma nic na półkach.

**Po prostu chciałbym się z panem tak dogadać, że pan na przykład bierze 6 milionów pensji, a drugie sześć rozdziela między najstabilniej zarabiających pracowników.**

– A dlaczego ja mam to zrobić?

**Dlatego, że ma pan dobre serce...**

– I z dobrym sercem sobie zbankrutuję, bo jak dam wszystkim po równo, to nikt nie będzie chciał pracować.

**...oraz dlatego, że ze wszystkich poważnych badań wynika, że społeczeństwa o bardziej wyrównanych dochodach żyją dłużej, mniej chorują, są mniej**

**zestresowane i szczęśliwsze.**

– Ale to dotyczy bogatych społeczeństw! Czy pan naprawdę nie rozumie, że Polska wciąż jest na dorobku? Doganiamy! A jak ktoś dogania, to musi biec. Ten wyścig szczurów jest nam potrzebny, żeby coś osiągnąć. Związane z tym rozwarstwienie dochodów też temu służy. Najpierw zapracujemy, a potem będzie co dzielić.

**Nie. Potem to będzie już podzielone.**

– Byłbym złym i nieodpowiedzialnym prezesem, gdybym prowadził rozdawnictwo pieniędzy. Pensje trzeba płacić rynkowe. Inaczej się psuje gospodarkę. Ja płacę pensje według wzorca „rynek plus”. Trochę lepiej płacę, bo mnie stać, ale bez przesady. I wtedy jest porządek w społeczeństwie. Nie ja ten porządek społeczny wymyśliłem.

Zresztą, proszę pana, możemy sobie rozmawiać w nieskończoność. I nic z tego nie wyniknie. Nic.

**No niekoniecznie. Pan zwoła jutro Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy – czyli pójdzie na kawę z żoną – i przegłosujecie, że najniższa pensja w Comarchu wynosi 3 tysiące złotych miesięcznie, a najwyższa 36 tysięcy złotych. Dwunastokrotna różnica. Tak jak chcą wprowadzić władze Szwajcarii.**

– Nie zrobię tego. To jest niebezpieczne, szkodliwe, burzy porządek społeczny. Socjalistyczne pomysły doprowadzą ten kraj do ruiny. Pan jest szkodliwy.

**To przedszkole niech pan chociaż zbuduje.**

– A wie pan, że ten pomysł wraca na zebraniach. Ciągłe ktoś zgłasza.

**Kto?**

– Jeden z dyrektorów. Żeby przedszkole firmowe założyć.

**I co pan o tym myśli?**

– Większość jest przeciwna.

**A ja pana pytam.**

– Dla mnie to jest w zasadzie neutralne.

**Czyli pan by się zgodził?**

– No nawet. Natomiast inni dyrektorzy nie chcą. Ktoś argumentował, że jeśli damy kamerki, to ludzie będą obserwować, co się z ich dziećmi dzieje, zamiast pracować.

**To nie dawajcie kamerki. Dwie sale, cztery panie, mała kuchenka z obiadami.**

– Inny ważny argument ktoś podniósł: mogłyby się zacząć naciski na przedszkolanki,

żeby jakieś dziecko traktowały lepiej. I zamiast rozmawiać o projektach, będziemy rozmawiać o przedszkolu, że jedna pani jest niedobra, a inna dobra.

Nie nasza rola, żeby tworzyć kombinat socjalny jak Huta im. Lenina, i to jest przez wszystkich dobrze rozumiane. Dyrektorzy nie poparli tego pomysłu. Absolutnie.

Sierpień 2013

PS Dzień po autoryzacji wywiadu prezes Filipiak przysłał mi maila. Osobiście sprawdził, że najniższa pensja w jego firmie wynosi 2 tysiące złotych na pełny etat. „Są tylko dwie takie osoby. I tylko trzydzieści osób spośród 3500 zarabia poniżej 3 tysięcy złotych” – napisał.



# Etatów nie będzie

---

## Rozmowa z HENRYKĄ BOCHNIARZ

**HENRYKA BOCHNIARZ (1947)** jest ekonomistką i bizneswoman. Według rozmaitych rankingów to jedna z najbardziej wpływowych kobiet w Polsce. Zasiadała w radach nadzorczych wielu firm (również medialnych, m.in. Agory i TVN), od początku przemian tworzyła organizacje biznesowe. Szefową największej z nich – Konfederacji „Lewiatan” – jest od 1999 roku. W Peerelu była nauczycielką akademicką, pracowała też w Instytucie Koniunktur i Cen. W 1991 roku była ministrem przemysłu w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego. W 2005 roku startowała na prezydenta z poparciem Partii Demokratycznej (ugrupowania kanapowego powstałego na gruzach Unii Wolności). Założycielka Kongresu Kobiet, działaczka feministyczna, od lat zabiega o większy udział kobiet w kierownictwie polskich firm.

**Z waszej strony nieustannie dochodzą jęki.**

– Jęki?

**Że jesteście w Polsce uciemiężeni. W wywiadach najbogatsi Polacy opowiadają, że muszą rejestrować firmy na Cyprze, bo tutaj są niebotyczne podatki i by zbankrutowali, że mamy złe przepisy, słabych pracowników i szkodliwe związki zawodowe. Biznesmeni to grupa, która narzeka bardziej niż rolnicy i górnicy razem wzięci. Tymczasem jeśli spojrzeć na wyniki firm, to się okazuje, że zysk ma 80 procent z nich. W 2013 roku zarobiły na czysto 112 miliardów złotych. Tłuste, znakomite zyski. Więc dlaczego wy w kółko narzekacie?**

– Jedno i drugie jest prawdziwe. Ale na pewno nie narzekamy bardziej niż związkowcy. Czy widział pan członków Lewiatana na ulicy palących opony?

Byłam teraz w Londynie na dyskusji pod tytułem „Czy warto wracać do Polski?”. Dwieście osób na sali, głównie ludzie, którzy w Anglii pozakładali firmy. Zapytałam, czy chcą wracać, i tylko pięć rąk się podniosło. Jeden chłopak mówi: „Od czterech lat prowadzę tu biznes i nie widziałem nigdy żadnej kontroli, żadnego urzędnika, bo zakładają, że to, co robię, jest zgodne z prawem”. W Polsce miał trzy kontrole dziennie: czy wisi kartka, że bhp jest najważniejsze na świecie, albo czy ZUS zapłacił. Jeżeli Polska ma się rozwijać, to ludzi przedsiębiorczych powinna dopieszczać.

### **I dopieszcza.**

– Nie. Cała grupa, którą spotkałam w Londynie, to byli ludzie młodzi, nieskłonni do narzekań. Mówią, że prowadzenie firmy w Londynie i w Warszawie to są dwa światy. My jesteśmy krajem, który ciągle znajduje się na początku drogi rozwoju, i dlatego warunki tutaj muszą być lepsze niż gdzie indziej.

### **I są!**

– Nie są. Niezależnie od tego, jak piękne hasła będzie pan głosił w felietonach o równości społecznej i podnoszeniu pensji minimalnej, to jeśli nie będziemy hołubili ludzi przedsiębiorczych, nic z tego nie wyjdzie, bo zabraknie pieniędzy na sfinansowanie tych haseł.

Niech pan dzisiaj założy w Polsce swój biznes.

### **Firmę się rejestruje w trzy dni.**

– Ale to nie jest problem! Rejestrowanie! To pan robi raz na ileś lat, najważniejsza jest codzienność, zmagania z biurokracją, niestabilnością przepisów...

### **Kim wy właściwie jesteście? Związkiem zawodowym biznesmenów?**

– Lewiatan jest organizacją, która nie skupia się na załatwianiu spraw swoich członków. Podsuwamy politykom projekty reform, analizujemy budżet państwa, organizujemy Europejskie Forum Nowych Idei. Jesteśmy jedyną organizacją przedsiębiorców, która ma swoje biuro w Brukseli. W 2014 roku przedstawiliśmy kilkaset opinii do projektów ustaw. Niech pan wskaże mi inną organizację w Polsce, która wykonuje taką robotę!

**A mnie się czasem wydaje, że to, co opowiadają eksperci Lewiatana, powinniśmy traktować z większym dystansem, dokładnie tak samo jak żądania górników. Reprezentujecie interesy jednej grupy – przedsiębiorców.**

– Nie zgadzam się z tym absolutnie. Przedsiębiorcy w Polsce tworzą ponad 75 procent PKB, są nas prawie 2 miliony i to my odpowiadamy za tworzenie zdecydowanej większości miejsc pracy. Chyba można dostrzec różnicę.

**Pół roku temu ogłosiliście, że polskich przedsiębiorców „duszą wysokie podatki i składki na ubezpieczenie społeczne”. To samo czytam w waszym manifeście zatytułowanym „Czarna lista barier”. Trochę to dziwne.**

– Dziwne?

**Przyniosłem tabelkę pokazującą obciążenia podatkowe w krajach UE wyrażone w procencie PKB. Czy oboje się zgadzamy, że dane Eurostatu to miarodajny wskaźnik?**

– Tak.

**Na szczycie mamy Danię (podatki to aż 50 procent PKB), potem jest Belgia, dalej Niemcy, Luksemburg, Cypr, Malta, Grecja, Estonia i prawie na samym końcu jest Polska – podatki to zaledwie 32 procent PKB. Mamy jedne z najniższych podatków w Unii. I to jest, delikatnie mówiąc, niespójne z tym, co głosicie.**

– 32 procent jest tylko na papierze, w rzeczywistości obciążenia dla przedsiębiorców są wyższe. Ale problem naszego systemu podatkowego to przede wszystkim jego zmienność i stopień skomplikowania. Prawdopodobnie codziennie przedsiębiorca popełnia jakieś przestępstwo, bo nie ma pojęcia, że właśnie wczoraj została wprowadzona zmiana przepisu. Dotyczy to zwłaszcza podatku VAT, gdzie mamy karuzelę. W każdym miejscu dostaje pan inną interpretację podatkową. W województwie mazowieckim jest pan wzorowym biznesmenem, ale w świętokrzyskim za to samo zamkną panu firmę i zlicytują. Przedsiębiorca zatrudniający trzy albo cztery osoby nie będzie w stanie codziennie monitorować przepisów, bo w tym samym czasie musi zadbać o zdobycie kontraktu.

**Po co zwoływać konferencję, na której się opowiada, że w Polsce są wysokie podatki, skoro one nie są wysokie?**

– Są. Wszystko trzeba odnosić do pozycji gospodarki w danym czasie. W naszym momencie rozwoju – czyli ledwie dwadzieścia pięć lat po transformacji, kiedy wciąż budujemy kapitalizm i dobrobyt – musimy być dwa razy bardziej atrakcyjni niż kraje bogate. Potrzebujemy inwestycji, napływu technologii i nowych miejsc pracy. Dlatego obciążenia u nas powinny być jak najniższe.

**Tylko że one już są jak najniższe! Jeżeli je obniżymy jeszcze bardziej, to nie będzie**

**z czego utrzymywać służby zdrowia. To jest proste.**

– Zły przykład. Bo niezależnie od tego, ile byśmy włożyli pieniędzy do systemu zdrowia, to będziemy mieć dokładnie te same problemy, które mamy teraz. To zresztą dotyczy każdej źle zarządzanej firmy, a przecież szpital możemy potraktować jak zwykłą firmę...

**Właśnie nie możemy.**

– Aha. No a ja mogę. Więc jeśli szpital to firma świadcząca usługi dla ludności z zakresu ochrony zdrowia, która jest źle zarządzana i nie potrafi dostosować się do zasad rynkowych, to dawanie jej dodatkowych pieniędzy jest niemądre. Miałam okazję obserwować to z bliska, tam się marnują miliony. Dopóki wreszcie nie pójdą tam menedżerowie z prawdziwego zdarzenia, nie wprowadzą reguł racjonalnego zarządzania, to pieniądze publiczne będą wydawane źle. Bez względu na to, ile ich będzie.

**Cytat z waszej broszurki: „W Polsce podatki są na poziomie zbliżonym do średniej europejskiej, a powinny być wyraźnie niższe”. Przepraszam, na jakim zbliżonym poziomie? Średnia europejska wynosi 40 procent PKB, a my jesteśmy osiem punktów procentowych niżej.**

– No ale 32 procent to blisko 40.

**Nawet nie ocieramy się o średnią.**

– Pan uważa, że się nie ocieramy, a ja uważam, że się ocieramy.

**Nie może pani po prostu przyznać, żeście przesadzili?**

– Nie wydaje mi się. W rankingu Doing Business system podatkowy jest oceniany źle. Polska zajmuje w tej kategorii 87. miejsce. Problem polega na tym, że względna pozycja Polski w różnych obszarach pogarsza się, bo w innych krajach poprawia się szybciej. Ale chodzi przede wszystkim o to, że system podatkowy jest dla przedsiębiorcy nieprzewidywalny. To jest istota problemu.

**To może tak trzeba było pisać: „Podatki są w Polsce dosyć niskie, cieszymy się z tego i dziękujemy w imieniu polskich firm, ale są też bardzo nieprzejrzyste i to trzeba zmienić”. Źle?**

– Nie. Tu się z panem nie zgodzę. Podatki w Polsce są wysokie, zwłaszcza jak pan policzy wszystkie paropodatki, ukryte, które musimy płacić. Czy one są uwzględnione w tej pańskiej tabelce?

## **Unijnej tabelce. To są po prostu dane Eurostatu.**

– VAT, CIT, ZUS. A czy tu są wszystkie dodatkowe obciążenia? Bo ich jest masa! Pan nie prowadzi firmy, więc nie ma o tym zielonego pojęcia.

Czy tu jest na przykład policzony Fundusz Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych, Fundusz Pracy, składka na ubezpieczenie zdrowotne, zakładowy fundusz świadczeń socjalnych? Czy wlicza się trzydzieści trzy dni opłaconego przez pracodawcę wynagrodzenia w razie zwolnienia lekarskiego? Jakbyśmy policzyli wszystko, co formalnie nie jest podatkiem, ale *de facto* nim jest, tobyśmy doszli do obciążeń rzędu 38 procent PKB.

## **Dobrze. Dalszy cytat z waszych dokumentów: „Podatki ograniczają możliwości oszczędzania i inwestowania oraz skłaniają do działania w szarej strefie”. Dziwne.**

– A pan uważa, że to nieprawda? Że jeżeli pan płaci podatki, które – trzymając się naszej tezy – należą do najwyższych, są nieprzejrzyste i nieprzewidywalne, to one nie ograniczają inwestycji?

## **Twierdzenie, że „podatki ograniczają możliwość inwestowania” wydaje mi się całkowicie arbitralne.**

– Pan chyba żartuje! To, że wysokość podatków ma wpływ na inwestycje firm, jest dla mnie niekwestionowanym stwierdzeniem. Pieniądze, które wydam na podatek, nie pójdą na zakup nowej maszyny czy zatrudnienie nowego pracownika.

## **A może uczciwiej byłoby napisać, że dzięki podatkom utrzymujemy szkoły, które darmowo kształcą waszą przyszłą siłę roboczą, że dzięki podatkom budujemy drogi, po których wozicie wasze towary. I tak dalej. Podatki idą między innymi na to, żebyście mogli zarabiać pieniądze w cywilizowanym otoczeniu.**

– No to moglibyśmy godzinami rozmawiać o tym, czy te daniny są wydawane efektywnie.

## **„Daniny”. Właśnie o to mi chodzi.**

– Jeżeli odnajdzie pan Polaków, którzy twierdzą, że podatki są dobrze wydawane, i płacą je z wielką radością, ponieważ idą na drogi, szkoły i szpitale, to się będą cieszyła. Ale obawiam się, że takich ludzi pan nie znajdzie. Częściowo podatki są wykorzystywane słusznie, ale w dużej mierze bez sensu.

## **Ja bym nie napisał takiego zdania o podatkach w oficjalnym dokumencie organizacji, która ma szerzyć lepsze standardy.**

– No a myśmy napisali. I będziemy się tego trzymać. A w następnym raporcie

Lewiatana możemy ogłosić, że jedyną osobą, która uważa, że należy płacić jak najwyższe podatki, bo zostaną one przez państwo fantastycznie wykorzystane, jest pan redaktor.

### **Napiszcie.**

– Ponieważ jeśli spojrzeć na badania profesora Czapińskiego, ewidentne jest to, że przeświadczenie przedsiębiorców o podatkach podziela reszta obywateli.

### **A może Lewiatan powinien zmieniać to myślenie, że podatki są bez sensu?**

– Nic innego nie robimy. Nasi eksperci zajmują się tym, co należy zrobić ze służbą zdrowia, jak racjonalizować wydatki budżetowe, podsuwamy rządzącym pomysły dotyczące budowy infrastruktury i funkcjonowania zamówień publicznych.

**Zgoda. Tylko jeśli piszecie, że służba zdrowia źle działa i powinna być lepsza, że drogi są złe i powinny być lepsze, że sądy są opieszale i powinny działać sprawniej, a jednocześnie w tym samym dokumencie twierdzicie, że podatki są za wysokie i powinny być niższe, to ja nic z tego nie rozumiem. Bo to koncert życzeń jak z programu Samoobrony.**

– Zapewniam pana, że służba zdrowia mogłaby być lepsza, gdyby była dobrze zarządzana. Nawet przy mniejszych środkach, niż obecnie się na nią wydaje.

### **To jest nieprawda.**

– Prawda.

**Wydajemy na służbę zdrowia dwa razy mniej procentu PKB niż Niemcy, mniej niż Czesi i Węgrzy. Wśród krajów OECD jesteśmy pod tym względem na szarym końcu, za nami Meksyk. Nie da się robić tańszej służby zdrowia, przecież pani to musi wiedzieć!**

– Ale da się nią lepiej zarządzać. Proszę spojrzeć na przykłady dobrze funkcjonujących prywatnych i publicznych szpitali.

Jeśli pieniędzy jest mało, to tym bardziej nie możemy ich marnować! Pamiętam czasy, kiedy żyliśmy z mężem z jednej pensji, która nam nie starczała na wynajęcie pokoju. Jak człowiek jest biedny, to dużo uważniej powinien patrzeć na każdą złotówkę, a państwo polskie pod tym względem jest beztroskie. Płacę ogromne podatki, płacę je tutaj i nigdy nie zgodzę się na to, żeby społeczne pieniądze były wydawane głupio.

**Ależ zgoda. Ja bym tylko chciał, żeby w oficjalnych dokumentach największej**

**polskiej organizacji pracodawców nie pisać, że „podatki ograniczają możliwość oszczędzania i inwestowania”.**

– Ale tak jest! Teraz to już nie wiem, o czym rozmawiamy. O ekonomii? Teza, że podatki ograniczają możliwość inwestowania, wydaje mi się bezdyskusyjna.

**Jest dyskusyjna. Wysokie podatki mogą być dobre dla wzrostu gospodarczego, bo pozwalają sfinansować sprawne państwo, a nie dziadowskie, dobrą infrastrukturę, a nie dziadowską, pozwalają zatrudniać rządowi najlepszym prawników, którzy napiszą wreszcie dla was to przejrzyste prawo podatkowe, i tak dalej. To wszystko zwiększa możliwość inwestowania. Mnie nie chodzi o to, żebyście wychwalali podatki. Ale żebyście pamiętali, że dzięki podatkom przedsiębiorca może zarabiać pieniądze.**

– No ale przecież płacimy podatki.

**I jednocześnie piszecie, że są złe i za wysokie. A nie są.**

– To proszę wytłumaczyć pracownikowi, dlaczego dostaje tylko połowę pieniędzy, które przedsiębiorca na niego przeznaczą. Nasze podatki są za wysokie i są złe, bo funkcjonują w systemie, który nie daje przedsiębiorcom możliwości przewidywania i planowania rozwoju. Jeżeli pan chce, żeby pracownicy mieli jakąś perspektywę stabilności, to najpierw musimy zadbać, żeby przedsiębiorcy ją mieli. Bo inaczej niezależnie od tego, jak wzniosłe hasła społeczne i socjalne będzie pan głosił, to tych miejsc pracy nie będzie.

**Ja nie głoszę wielkich haseł. Chciałbym po prostu, żeby polscy przedsiębiorcy przestali wreszcie jęczeć i narzekać.**

– Nie jęczymy! Jeśli narzekamy, to w słusznej sprawie, bo wiemy, jak się prowadzi biznes w innych krajach. Ludzie przedsiębiorczy to jest wątką część naszej struktury społecznej. Jeżeli tym ludziom nie będzie się chciało chcieć, to niestety staniamy się krajem, w którym będzie coraz mniej pracy i coraz mniej dochodu. To wielki sukces, że polscy przedsiębiorcy w kryzysie dali sobie radę. A pan proponuje, żeby teraz ich ukarać i wprowadzić następny podatek. Droga podnoszenia podatków prowadzi donikąd.

**Marzę o takiej sytuacji, kiedy...**

– ...kiedy my się zgłosimy na ochotnika i powiemy: „Podwyższcie nam podatki!”

**Nie. Kiedy Bochniarz, Kulczyk i Sołowow docenią, że dzięki płaceniu podatków mają możliwość prowadzenia biznesu.**

– My nie dyskutujemy z koniecznością płacenia podatków. Ale mamy zastrzeżenia do wszystkich sfer, na które idą podatki – od zdrowia i edukacji zaczynając, na działaniu sądów kończąc.

**Ja też mam. Tylko nie można jednocześnie twierdzić, że państwo jest dziadowskie i że podatki są za wysokie. Albo to, albo to!**

– Mnie się wydaje, że pan ma taką tezę, że jak będą wyższe podatki, to zaczniemy wydawać więcej na edukację, więcej na służbę zdrowia i będziemy żyli w lepszym kraju.

**Tak uważam.**

– A ja uważam, że będziemy więcej wydawali na durne prezenty przedwyborcze typu becikowe dla wszystkich, podwyżki dla wszystkich emerytów i urzędników po 30 złotych, dotacje dla kopalni, żeby górnicy siedzieli cicho, i tak dalej.

**W polskim pejzażu ideowym jest pani bardzo ważną osobą, a środowisko Lewiatana jest jednym z tych, które nadają ton. Jeżeli w kółko opowiadacie, że podatki są złe, to wszyscy będą to powtarzać, bo to dobrze brzmi. Dla zwykłego obywatela też.**

– A gdzie my to napisaliśmy?

Należy się zastanowić, dlaczego ten zwykły obywatel nie lubi państwa i uważa, że podatki są do kitu. A może państwo coś takiego robi, że nie daje się lubić? Może tak funkcjonuje, że nie bardzo pozwala wierzyć, że podatki są wydawane racjonalnie?

**Zgoda. To jest problem.**

– I jeśli ludzie wciąż będą widzieć, jak państwo sobie w różnych sferach nie radzi, to może pan w „Wyborczej” nawet codziennie pokazywać tę swoją tabelkę...

**Nie moją, tylko unijną.**

– ...i udowadniać, jakie mamy niskie podatki. A ludzie i tak nie uwierzą, bo dookoła widzą marnotrawstwo.

Lewiatan postawił sobie zadanie, żeby zmieniać świadomość. W gruncie rzeczy wyręczamy państwo, przygotowujemy projekty reform, które powinny powstawać w ministerstwach. Alarmujemy, że grozi nam zapaść systemu emerytalnego, bo w Polsce władza boi się rozmawiać o realnych problemach, które wybuchną w przyszłości. Już w przedszkolu dzieci powinny się uczyć, że trzeba co miesiąc odkładać choćby 10 złotych na emeryturę.



**Z czego ludzie mają odkładać? Z pensji? Wasza ulubiona pensja, którą chcecie płacić zatrudnianym pracownikom, wynosi 1600 złotych na rękę. To wynika z badań – zapytano was o to i połowa przedsiębiorców wymieniła tak niską sumę.**

– Myślę, że zawsze można coś odkładać, niezależnie od zarobków.

**Pani żartuje.**

– Jeśli chce pan rozmawiać o wynagrodzeniach, to bardzo się cieszę, bo tej dyskusji też nie mamy. Funkcjonuje idiotyczne hasło „śmieciówki”, pejoratywne, od razu ustawia całą rozmowę.

**Oddaje istotę rzeczy.**

– Nie oddaje.

**Tusk o umowach śmieciowych mówił: „Praca odarta z godności”.**

– No i źle mówił. Wrzucanie wszystkich elastycznych form zatrudnienia do jednego worka zafałszowuje rzeczywistość. Trzeba przeprowadzić poważną rozmowę na temat tego, jak rynek pracy będzie wyglądał w przyszłości.

**Polska jest rekordzistką w Unii pod względem liczby umów śmieciowych. Na czas określony, zlecenie, na umowę o dzieło pracuje już 27 procent zatrudnionych. Żaden kraj nie ma takiego wyniku. W liberalnej Wielkiej Brytanii to niecałe 7 procent.**

– A może by pan łaskawie uwzględnił, że dzięki elastycznym formom zatrudnienia poradziliśmy sobie z kryzysem. I to najlepiej w całej Unii.

**Świetnie. To skoro sobie już poradziliśmy, może teraz wróćmy do uczciwych zasad zatrudniania zgodnych z kodeksem pracy.**

– To, że sobie poradziliśmy, nie znaczy, że Polska w następnym roku będzie krajem mlekiem i miodem płynącym. I że polskich przedsiębiorców na wszystko stać.

**No i właśnie to jest to! Zawsze tak się kończy, jak wam pozwolić za wiele! Poluzowaliśmy w kryzysie kodeks pracy, miało być na chwilę, a teraz przy każdej próbie przykręcania śmieciówek będziemy od was słyszeć, że „jeszcze nie czas”.**

– Ale przykręcamy! Zgodnie z nowymi rozporządzeniami od 2016 roku będziemy płacić składki na ZUS od umów-zleceń. Jedyłą organizacją, która to popierała, był Lewiatan. Popieraliśmy to wspólnie ze związkami zawodowymi. Więc nie jest tak, żeśmy krwiopijcy, którzy myślą tylko o tym, żeby wyrwać jak najwięcej pieniędzy od pracowników.

Ale gdyby przykręcić jeszcze bardziej, da to odwrotne efekty, mogą się o duże pieniądze założyć, że będzie się wtedy zwiększało bezrobocie, urośnie szara strefa i zabraknie w budżecie pieniędzy na te pańskie fantastyczne szpitale publiczne. Nie wmawiamy ludziom, że jak dostaną umowy na czas nieokreślony, to będą mogli spać spokojnie. Co jest lepsze dla ludzi: etat w firmie, która za chwilę zbankrutuje, czy umowa-zlecenie w firmie, która będzie się rozwijać?

### **Fałszywa alternatywa.**

– Prawdziwa.

**Przecież cały czas mówimy o kraju, w którym 80 procent firm notuje zyski! I to zyski na wysokim poziomie! To nie jest tak, że jak polskie firmy zaczną zatrudniać zgodnie z kodeksem pracy, to zbankrutują.**

– Te pańskie statystyki zafałszowują obraz rzeczywistości. Nie skupiamy się na czterech tysiącach dużych firm, które rzeczywiście mają się nieźle i zarabiają kokosy. Większość ludzi pracuje w małych i średnich firmach, których właściciele codziennie toczą walkę o przetrwanie.

Żyjemy w świecie, który jest sto razy bardziej konkurencyjny niż kiedyś, w którym dużo trudniej coś na zewnątrz sprzedać. Polska włączyła się do kapitalistycznej gospodarki w bardzo trudnym momencie morderczej konkurencji wszystkich ze wszystkimi na całym świecie. I mimo to nam się udało.

Pan twierdzi, że to jakaś grupa ciemężycieli, że przedsiębiorca przychodzi rano i od razu myśli o tym, jak kogoś zwolnić albo dać mu mniejszą pensję.

### **Nie twierdę.**

– Wie pan co? Ja bym chciała, żeby pan przyszedł raz do pracy i zobaczył, jak to jest zatrudniać w małej firmie dziesięć osób, które pan zna, ich rodziny też pan zna, i właśnie się pan dowiaduje, że firma straciła dwa duże kontrakty. I musi pan połowę tych ludzi zwolnić.

**W „Dużym Formacie” ukazał się reportaż Marcina Wójcika o wielkim koncernie motoryzacyjnym, który zatrudnia w Polsce bez etatów. Robotnicy są przerzucani z jednej agencji pracy tymczasowej do kolejnej, to jest cały łańcuszek, żeby tych etatów uniknąć. Czy to jest normalne?**

– Nie jest. Ale powstaje pytanie, czy ten koncern, gdyby nie miał możliwości elastycznego zatrudniania, zbudowałby tę fabrykę tu czy w Bangladeszu.

**Niech sobie buduje na Marsie, jeśli tak chce się zachowywać!**

– No to ciekawe podejście. Zastanawiam się tylko, czy zatrudnieni tam ludzie wygłosiliby równie beztroską opinię. Czy mając do wyboru tkwienie na bezrobociu i pracę na umowach tymczasowych, woleliby to pierwsze czy to drugie.

**To wszystko jest w reportażu Wójcika. Oni klną na czym świat stoi, ale pracują za te 1200 złotych. Nie mają wyboru. Odkąd wielki koncern zaczął stosować takie praktyki, to inne, mniejsze firmy w okolicy robią dokładnie to samo. Płaciły 1800 złotych, a teraz zaczęły płacić 1200 złotych i zatrudniają czasowo. Dziękuję pięknie za takie inwestycje zagraniczne!**

– Część praktyk stosowanych przez koncerny i korporacje zasługuje na potępienie. Lewiatan wypowiada się w takich kwestiach. Odpowiedzieliśmy na apel „Wyborczej” o zmianę standardów w zakresie pracy tymczasowej. Ale mówienie ludziom, że w dzisiejszym świecie wszyscy mogą mieć etaty, to rozmijanie się z rzeczywistością. Tych etatów nie będzie.

**Słucham? Wy nie jesteście w stanie zatrudniać na etatach?**

– Będzie coraz mniej takich miejsc, w których podpisuje się umowę na czas nieokreślony i tkwi w nich do końca świata. Rynek pracy bardzo się zmienia i musimy się do tego dostosować.

**Nic lepszego dotąd nie wymyślono niż etat. Jeżeli pracownik nie ma poczucia względnej stabilności, jeśli nieustannie poddany jest presji, że z dnia na dzień może wylecieć, jeżeli nie ma prawa zapisać się do związku zawodowego i w ogóle nie wie, czy w następnym miesiącu dostanie pensję, to po prostu nie będzie dobrze pracować. To wynika ze wszystkich badań psychologicznych, tylko wy ich nie czytacie. Dla mnie to przerażające, że szefowa najpoważniejszej organizacji pracodawców w Polsce mówi, że nie jesteście już w stanie dawać ludziom etatów.**

– A dla mnie przerażające jest to, że pan nic nie rozumie. Że przedstawiciel poważnych mediów wciska czytelnikom przestarzały model zatrudniania jako jedyny możliwy i sprawiedliwy. Przez to odsuwamy od siebie wszystkie nowoczesne rozwiązania, które mogłyby przynieść pracownikom bezpieczeństwo i większą stabilność, np. *flexicurity* z krajów skandynawskich. Większość polskiego PKB jest tworzona w firmach usługowych, które mają bardzo duże wahania zamówień. To nie jest przykręcanie śrubek, gdzie można dać etaty i zrobić zmianę od ósmej do szesnastej. To nieustanne wychodzenie do klientów, kontakt z nimi. Etaty powodują, że jest sztywno. Pracodawca nie ma pola manewru, jeśli pojawią się przejściowe kłopoty.

**Martwi mnie, że pani mówi takie rzeczy. Kodeks pracy jest ogromną zdobyczą cywilizowanego świata, od XIX wieku walczone o stabilne zasady zatrudniania nie dlatego, że jakieś związki zawodowe i jacyś komuniści na złość robili fabrykantom, tylko po prostu to było niezbędne, żeby kapitalizm mógł istnieć bez wstrząsów, wojen i rewolucji. Europa Zachodnia zawdzięcza sześćdziesiąt lat pokoju między innymi kodeksowi pracy.**

– Bardzo między innymi.

**Dobrze. Może rzeczywiście przesadzam, ale nie tak znowu bardzo. Państwu socjalnemu zawdzięczamy powojenną stabilizację w Europie Zachodniej i rozwój. Nie rozumiem, dlaczego jest tak, że firmy zarabiają, rośnie PKB, bogacimy się, a wy zrywacie umowę społeczną, mówicie, że nie jesteście w stanie zatrudniać na etatach, że nie jesteście w stanie przyzwoicie płacić. To niebywałe samolubstwo. Jak wezmę kartkę z wynikami firm...**

– Kartkę! Bo pan zna biznes z kartki! Zdecydowana większość firm żyje z miesiąca na miesiąc.

**A w bankach mają 200 miliardów oszczędności.**

– I chwała Bogu, że mają. Bo inaczej byłoby dziś bezrobocie na poziomie 30 procent. Dzięki temu, że polscy przedsiębiorcy zachowali się w kryzysie odpowiedzialnie, że zaoszczędzili, że odłożyli zaskórniaki, mamy jaką taką stabilność gospodarczą. Uratowała nas ich zachowawcza postawa. Nie pożyczają pieniędzy z banków; jeżeli w ogóle inwestują, to ze swoich środków – taka jest mentalność tych ludzi.

W kryzysie zachowawcza postawa to zaleta, ale w normalnych czasach może stwarzać problem. Przez wszystkie lata nasi przedsiębiorcy nauczyli się, że banki są dla wielkich korporacji, a mały i średni biznes powinien się trzymać od kredytów z daleka. Niby mamy dziesiątki instrumentów, które powinny zachęcać firmy, żeby się kredytowały, ale one nie chcą tego robić. Więc jeżeli zależy nam, żeby polskie firmy wreszcie zaczęły zatrudniać, inwestować, to musimy dać im poczucie stabilności, a nie straszyć zaostreniem kodeksu pracy i zabieraniem tych zaskórniaków na podatki.

**27 procent Polaków na śmieciówkach. Czy ten rekord pani nie przeraża?**

– Niech pan nie używa tego określenia „śmieciówka”. Te 27 procent to według Eurostatu inne umowy niż na czas nieokreślony. Przeważająca większość z nich to umowy na czas określony, czyli objęte kodeksem pracy! Mnie przerażają wszystkie sytuacje, w których ludzie są wykorzystywani i nie czują się częścią naszej

fantastycznej zmiany po 1989 roku.

**Dużo ludzi się nie czuje. Powinna pani poczytać reportaże z takich miejsc jak Swarzędz.**

– Czytam. I jestem za tym, żeby organizacje takie jak Lewiatan pokazywały, że absolutnie nie akceptujemy wyzysku. Ale jestem przeciwko temu, żeby budować mur wojenny między tymi, którzy pracują, i tymi, którzy tworzą miejsca pracy.

**Nikt nie proponuje budować muru.**

– No ale to, co pan mówi, buduje taki mur. „Wrócić do etatów” – to nie jest dobra propozycja. Mówienie, że etat jest szczęśliwością, to prowadzenie ludzi na manowce. Niech pan zobaczy, co się stało z tymi, którzy mieli etaty, a dziś nie mają niczego.

**To jest szantaż.**

– Nie. To nieprawda, że elastyczny czas pracy musi być nieszczęściem. Nie musi.

**Dla wielu ludzi jest nieszczęściem: dla kasjerki zatrudnionej piąty rok przez agencję pracy tymczasowej, która musi oddawać tej agencji 20 procent swoich zarobków, dla faceta pracującego przy taśmie montażowej za 1200 złotych. Oni są zwalniani z dnia na dzień, ograbiani z urlopów, nie będą mieli emerytur, a w razie choroby czy innych kłopotów życiowych są skazani na lichwiarzy, bo żaden bank nie da im kredytu na śmiectówkę.**

– Więc trzeba szukać sposobów, żeby tacy ludzie mieli większe prawa. Bo na pewno są miejsca takie, o jakich mówi Tusk, ale stawianie sprawy w ten sposób, że elastyczne formy zatrudnienia z zasady są złe, to fałsz.

Pan widzi tylko jedną stronę, tylko pracowników, którzy nie mają stabilności i nie wiedzą, co ich spotka za tydzień. A ja prowadziłam firmę i wiem, jak to wygląda z punktu widzenia przedsiębiorcy. Ma pan podpisanych dziesięć umów i nagle się okazuje, że ośmiu klientów z takich czy innych powodów się wycofuje.

**Ale zawsze tak było! Zawsze biznes to było ryzyko!**

– Problem polega na tym, że nie jest tak, jak zawsze było. Nigdy nie było tak globalnej gospodarki i możliwości funkcjonowania na każdym rynku, jakim tylko się chce. Przeniesienie fabryki dzisiaj to jest taka (*Bochniarz pstryka palcami*) decyzja.

**Nieprawda.**

– Bardzo pana przepraszam, ale ja to wiem z praktyki, a pan to wie...?

## **Zawsze tak straszycie.**

– Zarówno duzi, jak i mali muszą dzisiaj walczyć z tymi, którzy produkują w Chinach, Indiach i Bangladeszu. Nie było takiej sytuacji jeszcze dziesięć lat temu! Ten koncern motoryzacyjny mógł zbudować fabrykę w Polsce, ale mógł w innym miejscu. Uznał, że opłaca się ją zbudować tutaj, i iluś ludzi ma pracę. To są te wybory. Co nie zmienia mojej opinii, że firmy, które nie traktują swoich pracowników poważnie, z szacunkiem, mają bardzo krótką ścieżkę rozwoju. Tak mogą działać rok, dwa lata, a potem to się zemści. Przedsiębiorcy, którzy traktują ludzi jak meble, powinni być eliminowani przez rynek i piętnowani również przez innych przedsiębiorców.

## **Świetnie.**

– Wymyślmy coś, co jest pośrodku – między etatem a tą śmieciówką, okropne słowo.

## **Rozmontujmy kodeks pracy?**

– Trochę. W Stanach w ogóle nie ma kodeksu pracy i bezrobocie wynosi 5 procent.

## **Żyjemy w Europie.**

– Tak, mamy swoje wartości. I zgadzam się, że te wartości dawały i nadal dają nam szansę na rozwój. Ale trzeba je włożyć w nowocześniejsze ramy, musimy szukać rozwiązań, które z jednej strony dadzą pracownikom poczucie bezpieczeństwa, a z drugiej – pozwolą przedsiębiorcom na większą elastyczność.

## **Z czego musielibyśmy zrezygnować, żebyście powiedzieli, że etaty są OK?**

– Myślę, że najbardziej trudne dla firm są długie okresy wypowiedzenia i konieczność podawania przyczyny zwolnienia.

## **Ale to zwykła kultura, że się podaje przyczynę! Co to w ogóle za problem?**

– Niech pan pójdzie potem do sądu i zobaczy, jak to wygląda.

## **Sądy przywracają?**

– No tak.

## **Może są powody?**

– Czasem są, często nie ma. Prowadzimy swoje badania i wiemy, co się dzieje. To trochę jak z przyznawaniem ojcom opieki nad dziećmi. Teoretycznie w sądach jest równe traktowanie, ale niech pan znajdzie ojca, któremu się udało sprawę wygrać.

„Likwidacja stanowiska pracy” – to jest nieustannie kwestionowane. Albo przypadki,

kiedy pracownicy zachowywali się nielojalnie, oszukiwali firmę, zawyżali koszty delegacji, nawet oczywiste przypadki nie są dla sądów wystarczająco oczywiste.

### **Nie trzy miesiące wypowiedzenia, tylko ile?**

– Nie mam gotowej odpowiedzi. Może dałoby się ten okres uzależnić od kondycji finansowej firmy, można to dogadać. Generalnie trzeba dać więcej przywilejów ludziom na umowach czasowych i na zleceniach, a z drugiej strony ograniczyć nieco przywileje osób zatrudnionych na czas nieokreślony. Żeby nie było takiej przepaści między jednym typem umowy a drugim. Powinniśmy dyskutować o tym, co zrobić, żeby elastyczne formy zatrudnienia dawały ludziom w przyszłości emerytury. I doprowadzić do tego, żeby banki akceptowały umowy na czas określony przy składaniu wniosków kredytowych.

Ważne są też wzorce. Jeśli prezes firmy mówi do ludzi: „Kochani, żeby przetrwać kryzys, tniemy wszystkie zarobki o 20 procent, a zarząd tnie sobie o 30 procent, bo mamy relatywnie wysokie pensje. Musimy zwolnić 10 procent załogi, ale mniej osób będzie też liczył zarząd, chcemy solidarnie przetrwać kryzys” – to jest sytuacja uczciwa. Pracownicy to rozumieją.

### **Nie wiem, czy w Polsce są takie zarządy.**

– No właśnie. I to też jest problem. Pracownicy nierzadko są traktowani jak siła najemna, która nie musi wiedzieć, dokąd zmierza firma i jakie są plany. Skandalem jest to, że z jednej strony w Polsce przez ostatnie lata błyskawicznie rosły pensje menedżerskie, a z drugiej – te same firmy zwalniały ludzi albo pozbawiały ich etatów.

### **I pani to mówi?**

– Tak. Bo kwestia odpowiedzialności korporacyjnej jest jedną z rzeczy, która staje się największym wyzwaniem dzisiejszej gospodarki. Jest coś bardzo niezdrowego w oddalaniu się świata korporacyjnego – zarządów i rad nadzorczych – od pracowników. I wydaje mi się, że tutaj należałoby szukać przestrzeni do rozwiązań racjonalnych. W Szwajcarii mieli na przykład pomysł, żeby ograniczyć pensje prezesów do dwunastokrotności średniej pensji w firmie.

### **I Henryka Bochniarz byłaby za tym?**

– Część środowiska zawyje.

Zarobki zarządzających firmami giełdowymi powinny zostać ograniczone. Tak się zresztą już dzieje w sektorze bankowym, na przykład EBC wprowadził ograniczenia wielkości bonusów do dwukrotności pensji. To, co się zdarzyło w USA i w zachodniej Europie, czegoś nas uczy. Chciwość nie może być kierunkowskazem dla zarządzających.

A była i nadal jest. Firmy chcą za wszelką cenę zadowolić akcjonariuszy, tegoroczna dywidenda i szybki wzrost kursu akcji stały się najważniejsze. Są prezesi, którzy myślą w kategorii roku, góra dwóch, biorą gigantyczne premie, a potem choćby potop.

**Babak Parviz, założyciel laboratorium badawczego Google, zapytany o główną barierę innowacji odparł: „Konieczność pokazania w każdym kwartale zysku”.**

– Otóż to. Jeśli pańska premia 10 milionów dolarów uzależniona jest od tego, żeby firma osiągnęła 30 procent zysku w ciągu najbliższego roku, to pan nakręci ten wynik wszystkimi dostępnymi metodami. Również szkodliwymi w dłuższej perspektywie dla firmy i pracowników. Najlepiej byłoby, gdyby pomysły na wycięcie tych patologii zgłaszały samodzielnie środowiska biznesowe. Jak sami nie zrobimy ze sobą porządku, to przyjdą inni, którzy zrobią to radykalnie i głupio.

**Co będzie dalej?**

– Z Polską? Widać sufit. Polscy przedsiębiorcy to jest armia, która doszła do pewnego etapu rozwoju, ale obawia się inwestować, obawia się iść na inne rynki, obawia się rozwiązań innowacyjnych. Woli robić to, czego się nauczyła – czyli konkurować dzięki niskim kosztom pracy i dzięki własnej ostrożności. To znakomita strategia na kryzys, dlatego jesteśmy zieloną wyspą. Ale to nie jest dobry pomysł na następne dziesięciolecie. Firmy muszą się wznieść na wyższy poziom, mieć większe ambicje niż takie, że zatrudniam rodzinę i kilku krewnych, stać mnie na lepszy samochód, egzotyczne wakacje i dobrze jest. Muszą zacząć współpracować, kilka małych firm powinno się łączyć w większą, podejmować wspólne ryzyko, szukać wspólnie nowych rynków. Na razie nie potrafią podjąć takiej współpracy i bardzo się tym martwię, bo to będzie największa blokada naszego rozwoju.

**Brak współpracy?**

– Tak. Rywalizacja nam wychodzi, to już żeśmy pokazali. A teraz potrzebny jest polskiemu biznesowi gen współdziałania. Musimy pilnować tej roślinki, podlewać ją, bo to początek drogi.

Być może czasem przesadzamy w różnych naszych opiniach, ale to dlatego, że myślimy o przyszłości. Jeżeli przedsiębiorcy poczują, że się im utrudnia i rzuca kłody pod nogi, to nie zrobią tego następnego kroku. Będziemy mieli te rodzinne firmy i jakoś tam będzie się wszystko kitłasiło, raz lepiej, raz gorzej. Pół procent wzrostu.

**Pani powiedziała: „Czasem przesadzamy”.**

– Ale oczywiście, że tak.



## **Z podatkami.**

– Niech już pan to zostawi. Pewne rzeczy pokazujemy w bardziej ostrych barwach, te, które najbardziej denerwują przedsiębiorców. Mamy do tego prawo, jak każda inna grupa społeczna.

## **Górnicy.**

– Nie jesteśmy związkiem branżowym górników! Niech pan już z nas zejdzie.

Jedną z klęsk dwudziestu pięciu lat transformacji jest to, że nie udało się nam zbudować reguła, by rozmaite interesy mogły być gdzieś prezentowane i dyskutowane w sposób otwarty. Bo to, że reprezentujemy różne interesy, nie jest złe. Ale pod warunkiem że sprawy są kładzione na stole, w sposób otwarty się o nich rozmawia i szuka dobrego kompromisu. Tutaj Polska kuleje. Śmiesznie mało było publicznych wysłuchań w parlamencie, kulawą formułą jest Komisja Trójstronna, idiotycznie prowadzone są nasze debaty społeczne, już nie mówię o debatach politycznych. Władza traktuje dialog społeczny jak brzęczącą muchę, od której się trzeba nieustannie oganiać. Jakiej Polski chcemy? Czy chcemy Polski, gdzie wszyscy będą na umowach na czas określony? Czy tylko etat? A jeśli nie, to co w zamian? To jest temat, który każdego powinien interesować. A nie interesuje!

W Polsce właściwie nikogo nic poważniejszego nie interesuje, nigdy nie miałam propozycji, żeby uczestniczyć w rozmowie na ten temat. Więc jak pan przychodzi i wygłasza te swoje irytujące poglądy, to dla mnie mimo wszystko jest to ciekawe.

Tylko, wie pan, zawsze się martwię, że wszyscy lecą za sensacją, w gazetach pokazuje się przykłady skrajne, a nie pokazuje się fantastycznego funkcjonowania firm.

## **Pokazuje się nieustannie.**

– Denerwuje mnie, że u nas wszyscy podejrzewają wszystkich o złe intencje. Nas na przykład nieustannie się podejrzewa, że mamy jakieś nieczyste interesy, żeby pracowników okraść i sponiewierać. Z kolei po naszej stronie głupie rzeczy opowiada się o związkach zawodowych – że są jakimiś siłami zła i zniszczenia. Mam wrażenie, że nie potrafimy w sposób spokojny znieść różnic między grupami społecznymi w Polsce. Moje musi być na wierzchu. Kompromis traktowany jest jako coś złego, oto ktoś kogoś zrobił w bambuko, a ktoś musiał ulec.

Związki zawodowe są u nas silne w firmach państwowych, gdzie chcą mieć i barbórkę, i czternastą pensję, i deputaty węglowe. A jak nie, to przyjadą do Warszawy opony palić. A w prywatnych firmach nie ma związków. Pytanie: dlaczego?

## **Bo zwalczacie.**

– Pan ma gotową odpowiedź! A ja uważam, że związki się okopały w państwowych molochach i nie są zainteresowane wchodzeniem do firm prywatnych.

## **Powinny być?**

– Tak! Powinny też powstawać rady pracownicze.

Biznes często myśli schematami – że związki zawodowe wiadomo, jak działają, i będą z nimi tylko problemy... Może i będą. Tyle że dialog powoduje, że firma może być lepiej zarządzana. Cała zachodnia cywilizacja dlatego się dobrze trzyma, że potrafi sama siebie poddawać nieustannej krytyce. I podobnie jest z firmami. Te zbudowane jak feudalny folwark mogą mieć świetne wyniki krótko, a potem padają.

Luty 2015

## Rozmowa z ELŻBIETĄ MĄCZYŃSKĄ

**ELŻBIETA MĄCZYŃSKA-ZIEMACKA** jest prezeską Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego związaną ze Szkołą Główną Handlową, jako naukowiec badała m.in. przyczyny upadłości przedsiębiorstw i rynek nieruchomości. Współautorka pozapartyjnego projektu „Reforma kulturowa”

### Skąd taki szum?

– Wybuchło. Książka trafiła w coś, co wisiało w powietrzu. Wielką recenzję dał „The Economist”, wszystkie media zaczęły się zajmować problemem nierówności. Thomas Piketty – nieznany szerzej naukowiec – z dnia na dzień został celebrytą, a brukowce wyśledziły, że miał kochankę.

### „Kapitał w XXI wieku” to przecież solidna praca naukowa.

– Cegła. 800 stron. Ale napisana przejrzyście, nie trzeba być ekonomistą, żeby zrozumieć. Na Zachodzie sprzedano pół miliona egzemplarzy. Co prawda „Kapitał...” kupuje się głównie ze snobizmu, użytkownicy wersji elektronicznej docierają przeciętnie do osiemnastej strony. To najbardziej nieczytany bestseller w historii.

### Co właściwie zrobił Piketty?

– To, czego innym dotąd się nie udało lub nie chciało zrobić. Razem z zespołem spędził kilka lat w archiwach całego świata. Badał wykazy majątkowe, sprawy spadkowe i rejestry podatkowe z ostatnich trzech wieków. Zgromadził dane z pięćdziesięciu krajów i policzył, jak kształtują się dochody z kapitału oraz dochody

z pracy.

I?

– Nierówności systematycznie rosną.

### **Nie wiedzieliście tego?**

– Wiadomo było, że coś jest nie tak, ale Piketty dostarczył dowodów. Postawił tezę, że wzrost nierówności to nieodłączna cecha obecnego systemu ekonomicznego. Powszechne odczucie społeczeństw, że rozkład bogactwa stał się skrajnie niesprawiedliwy, dzięki tej książce weszło do poważnej debaty.

### **Przestało być traktowane jak populizm.**

– Piketty ułożył prosty wzór:  $R > G$ . Są już nawet T-shirty z takim nadrukiem.

### **Co oznacza ten wzór?**

– Dochody z kapitału (R) są wyższe od wzrostu gospodarczego (G). Mam objaśnić, jak to działa? To może być przydługi wykład.

### **Objaśnić.**

– Wzrost gospodarczy wyrażamy obecnie wskaźnikiem PKB. Jest to wartość nowo wytworzonych towarów i usług w ciągu całego roku. Żeby policzyć PKB na przykład Polski, powinno się dodać wartość każdego towaru i usługi, odjąć zużyte materiały, oszacować robociznę...

### **Fabryka wyprodukowała tysiąc pralek, które sprzedała za milion złotych. To się liczy do naszego PKB?**

– Liczy, ale nie tak prosto. Od wartości pralek trzeba odjąć na przykład wartość zamontowanych w nich bębnow, które wytłoczono wcześniej, leżały w magazynie i zostały policzone do PKB w poprzednim roku. Silniki ściągnięto z Węgier, więc liczą się do węgierskiego PKB, śrubki z Chin... Można tak rachować w nieskończoność. Pomiar PKB jest trudny, istnieją różne metody, ale według jednej z nich – w uproszczeniu – wystarczy znać dwie wartości: zyski właścicieli kapitału i płace pracowników. Sumuje się zyski z kapitału, czyli to, co zarobili właściciele fabryk, oraz wszystkie płace i w ten sposób szacuje się PKB.

Piketty przyglądał się składnikom tego równania na przestrzeni trzech ostatnich stuleci.

I?

–  $R > G$ .

Raz ustanowiony kapitał powiększa się szybciej niż gospodarka. Jeśli PKB rośnie na przykład o 3 procent, to stopa zwrotu z kapitału wynosi 5 procent. Zawsze więcej. Oczywiście jeden kapitalista zyska, drugi zbankrutuje, ale chodzi o średnią. Wyliczenia Piketty'ego pokazują również, że zyski z kapitału rosną szybciej niż płace. To powoduje dalsze narastanie nierówności, rozziw się powiększa w tempie geometrycznym. Właściciele kapitału to przecież garstka w porównaniu z rzeszą ludzi utrzymujących się z pracy najemnej. W nieliczne ręce trafia coraz większe bogactwo.

Ekonomista polskiego pochodzenia Ignacy Sachs wymyślił metaforę kielicha wstydu (prof. Mączyńska rysuje na kartce coś, co przypomina kielich) – aż tyle spijają najbogatsi, a ta resztkę, która zostaje w nóżce...

**Nie. Prosiłbym, żebyśmy unikali argumentów moralnych, kielichów wstydu itd. Być może działają na Zachodzie, ale w Polsce, kraju zbudowanym przez ludzi dawnej „Solidarności”, wszystko, co wiąże się ze sprawiedliwością społeczną, budzi wesołość.**

– To będę uzasadniać tylko ekonomicznie.

**Cyferkami najlepiej, to u nas trafia.**

– Piketty pokazuje, że poziom nierówności może wkrótce osiągnąć wartości krytyczne. „Kapitał...” przeczytały uważnie elity finansowe i się przestraszyły. W maju 2014 roku, po ukazaniu się książki, moi tego świata spotkali się w Londynie. Szefowa MFW Christine Lagarde podsumowała: „Zaledwie osiemdziesiąt pięć osób, które zmieściłyby się w londyńskim autobusie, zarządza dziś takim bogactwem jak biedna połowa ludzkości. Nie może być tak dalej!” Szefowa FED Janet Yellen powtarza, że nierówności dochodowe w USA są najwyższe od stu lat. Do 1 procentu najbogatszych Amerykanów trafia aż 24 procent PKB. W latach sześćdziesiątych to było 10 procent.

**Zwykły człowiek powie: „Od zawsze to wiedziałem”. Bogaci się bogacą. Czym się emocjonować?**

– Skalą.

Nierówności były, będą i mają być. Nie ma w tym nic odkrywczego. Zasługą Piketty'ego jest to, że policzył, jak rozkłada się bogactwo, i wskazał logiczne następstwa.

**Jakie?**

– Co jest celem gospodarki rynkowej? Wyprodukowanie dóbr i dostarczenie tych

dóbr ludziom, którzy ich potrzebują, sprzedanie. Wtedy interes się kręci. Dziś głównym problemem krajów rozwiniętych jest nadprodukcja. Węgierski ekonomista János Kornai w latach siedemdziesiątych wymyślił słynne określenie „gospodarka niedoboru”, którym podsumował realny socjalizm. Teraz znalazł równie trafne określenie kłopotów współczesnego kapitalizmu – „gospodarka nadmiaru”

### **Bo ludzie nie mają za co kupować tego nadmiaru?**

– Im większe są nierówności dochodowe, tym większa rzesza tych, którzy mało kupują. Powstaje coś, co nazywamy barierą popytu.

Ale bogaci też mają ogromny problem.

### **Jaki?**

– Niech pan spojrzy na swój telefon. Każdy nowy model daje więcej możliwości za podobną kwotę, bo przecież telefony nie drożeją. Mają coraz większą pamięć, robią zdjęcia o wyższej rozdzielczości, szybciej ściągają dane itd. Tak samo mają kapitaliści z maszynami i technologiami. Za tę samą kwotę kapitału mogą kupić coraz więcej potencjału wytwórczego. Jeśli więc  $R$  jest większe od  $G$ , to w ich ręce trafia coraz więcej pieniędzy, za które – z technicznego punktu widzenia – mogliby produkcję podwoić albo nawet potroić. Ale kupić nie ma kto. Ludzie nie mogą zwiększać konsumpcji w takim samym tempie, w jakim następują przyrosty produkcji. Pojawia się luka popytowa, właściwie przepaść. Wpadamy w coś, co w teorii ekonomii jest nazywane pułapką płynności.

### **Czyli?**

– Inwestorzy mają pieniądze, ale nie chcą inwestować.

### **Trzymają?**

– Między innymi z tego powodu narasta spekulacja finansowa. Jeśli brakuje bodźca do inwestowania w realną gospodarkę, to te kapitały muszą znaleźć gdzieś ujście. No i mamy handel wysokiej częstotliwości, spekulacje walutowe, huśtanie rynkami surowców...

### **Albo wydawanie na prywatne odrzutowce.**

– To jeszcze nie byłoby takie złe. Odrzutowiec trzeba wyprodukować, to realna gospodarka. Skoro jednak  $R > G$ , to z czasem góra pieniędzy tak rośnie, że po prostu nie da się jej wydać. Po przekroczeniu pewnego progu zamożności pojawia się zjawisko, które nazywamy malejącą krańcową użytecznością pieniądza. Biedny, gdy dostanie dodatkowy grosz, od razu idzie do sklepu, a bogaty nawet nie zauważy, że mu coś

przybyło. Ile można zjeść kawioru? Ile jachtów kupić? Dwa, pięć? Ale nie 300!

Gdyby podział dochodów był bardziej równy – albo bardziej sprawiedliwy, mówiąc językiem, którego mamy unikać – efekt dla gospodarki byłby całkiem inny.

## **Bo?**

– Powiedzmy, że ja, pan i trzy inne osoby zarabiamy razem milion złotych rocznie. Ale ja mam 900 tysięcy, a pan i pozostałe trzy osoby po 25 tysięcy. Ja – mając co roku tak dużą sumę – wcale nie ruszam z pieniędzmi na rynek. Część ulokuję w zagranicznych funduszach spekulacyjnych, część odłożę, może nawet opłaci mi się tzw. optymalizacja w raju podatkowym. Pozostałe osoby – zarabiając po 25 tysięcy rocznie – ledwo wiążą koniec z końcem, więc kupią tylko to, co najpilniejsze do przeżycia.

Teraz podzielmy ten milion inaczej, czyli równiej: dla mnie 400 tysięcy, dla pana 300 tysięcy, a dla trzech pozostałych osób po 100 tysięcy złotych rocznie. Drastycznie inny efekt dla rynku! Mój zarobek to nadal bardzo dużo, ale jednak nie tyle, żeby ryzykować spekulacje walutowe. Pańskie 300 tysięcy to sporo, być może kupi pan większe mieszkanie, co nakręci koniunkturę, bo potem są kafelki, meble itd. Pozostali – mając po 100 tysięcy rocznie – zrobią remonty, kupią nowe ubrania, ktoś zmieni samochód, inny pójdzie do dentysty, na którego poprzednio brakowało. Kapitalizm na bardziej równym podziale tylko skorzysta.

## **Czy świat dotąd nie wiedział, jakie są efekty nadmiernych nierówności?**

– Wiedział, ale uważał, że problem sam się rozwiąże. Większość ekonomistów wierzyła w krzywą dzwonową Kuzneta. Wygląda tak (Mączyńska rysuje wykres przypominający kształtem dzwon). Amerykański noblista Simon Kuznets ogłosił w latach sześćdziesiątych, że nierówności dochodowe najpierw szybko narastają, ale wraz z rozwojem gospodarczym, kiedy zostaje osiągnięty pewien poziom dobrobytu, różnice majątkowe się zmniejszają. Bogaci się bogacą, ale rośnie też klasa średnia i biednym przybywa.

## **Przyptyw podnosi wszystkie łodzie.**

– Na obliczeniach Kuzneta i tym hasle zostało zbudowane nasze myślenie o gospodarce. Trzeba dbać przede wszystkim o wzrost PKB – myślimy. Bogactwo spłynie w dół drabiny społecznej, byle nie przeszkadzać wolnemu rynkowi. To dobry przykład, jak dużą rolę odgrywają rozmaite teorie w życiu społeczeństw. Zwłaszcza te błędne.

## **Przecież Kuznets skądś to wziął. Zmyślił?**

– Nie. Ale popełnił dość typowy błąd – stworzył swój wykres w złotej erze kapitalizmu, tuż po wojnie. Europa w obawie przed powrotem demonów faszyzmu budowała państwo opiekuńcze i pilnowała, żeby nierówności nie narastały zbyt gwałtownie. Ameryka wprowadziła wysokie progresywne opodatkowanie dochodów i inwestowała w przemysł. Kuznets opisał więc prawdę, ale dotyczącą wyjątkowego momentu.

### **Piketty swoje obliczenia robi także w wyjątkowym momencie – kryzysu.**

– I po to właśnie zbierał dane z trzystu lat, żeby uniknąć tego błędu.

### **Biednym ubywa?**

– To nie takie proste. Wtedy byśmy się szybko zorientowali, że system nie działa. Biednym przybywa. Jeszcze niedawno głodowało półtora miliarda ludzi, teraz niespełna miliard. Można odtrąbić postęp.

### **To gdzie jest haczyk?**

– Mówiłam: w nadmiarze kapitału w nielicznych rękach.

Dyskusje koncentrują się na najbiedniejszych, którym odrobinę czasem skapnie. A nie tu leży główny problem systemu. Zagrożeniem jest erozja klasy średniej i sytuacja młodych ludzi, którzy nie mają szans do klasy średniej dołączyć. Bo narastanie nierówności wycina środek, zostają dwa bieguny – astronomicznie bogaci i względnie biedni, którzy co prawda coraz rzadziej będą głodować, ale nie mogą liczyć na wiele więcej. Tymczasem to klasa średnia zapewniała stabilność i spójność modelowi społeczeństwa, jaki znamy.

W latach 1979–2006 dochody najbogatszych Amerykanów wzrosły o 256 procent, podczas gdy rodzinne dochody przeciętnych obywateli po uwzględnieniu inflacji w ogóle się nie zmieniły.

### **Jak to się ma do Polski?**

– W Polsce bagatelizuje się problem. Pod koniec lutego Komisja Europejska opublikowała cenzurkę dla Polski. Zostaliśmy mocno skarceni za lekceważenie spraw społecznych, za umowy śmieciowe. „Rekordowa segmentacja rynku pracy” – tak o nas piszą, bo mamy już prawie 30 procent umów czasowych i śmieciówek. Krytykują nas też za rosnącą rzeszę tzw. biednych pracujących, czyli ludzi, którzy chociaż mają pracę, nie są w stanie wiązać końca z końcem. Tak mało się im płaci.

Procesy światowe nas nie ominą. Problem nierówności również. Kłopoty, z którymi zmagają się dziś kraje bogatsze, dylematy rozważane na Zachodzie, są również naszymi dylematami.



## **W jakim punkcie jest świat?**

– Piketty używa metafory balonu, który zbyt mocno napompowany w końcu pęka. Jego wyliczenia pokazują, że za każdym razem, kiedy nierówności rosły zbyt mocno, wybuchała wojna albo rewolta społeczna.

## **Balon jeszcze wytrzyma?**

– Nikt nie wie. Mieliśmy solidny kryzys globalny, więc trochę ciśnienia zeszło.

Jeszcze jeden element w tej układance jest ważny. Banki. Niemiecki ekonomista Wolfgang Streeck napisał znakomitą pracę. Uważa, że mamy do czynienia z przekształcaniem tradycyjnego modelu „państwa podatków” w „państwo długów”

## **Czyli?**

– Od trzech dekad spadają wpływy do budżetów z tytułu podatków dochodowych. Doktryna mówi, że aby pobudzać gospodarkę, trzeba obniżać podatki, ten proces poszedł daleko w USA i w prawie całej Europie. Ubytek wpływów budżetowych trzeba jakoś załatać, więc rządy muszą pieniądze pożyczać w bankach. W ten sposób więzi państw z sektorem finansowym się zacieśniają.

## **Im niższe podatki, tym bardziej rząd jest zależny od banków.**

– Po latach działania tego mechanizmu państwa przygnięcione górą długów wracają do punktu wyjścia – znowu na wszystko brakuje, bo raty od zaciągniętych długów pożerają coraz większą część budżetów. Zadłużone państwa zaczynają się więc chaotycznie wycofywać ze swoich obowiązków, ubierając to w hasła rozmaitych „reform”, które sprowadzają się często do mechanicznych cięć i pogarszania jakości świadczeń publicznych. To z kolei napędza wzrost kredytowania gospodarstw domowych.

## **Dlaczego?**

– Jeśli z powodu cięć budżetowych szkoła rejonowa w pańskiej dzielnicy staje się słabsza, pobliski szpital źle działa, a kolej się spóźnia, to co pan robi?

## **Wysyłam dzieci do szkoły prywatnej, kupuję pakiet w Lux Medzie i przesiadam się do samochodu.**

– Otóż to. A ponieważ na to wszystko klasy średniej już nie stać, więc ludzie biorą kredyty. Za pieniądze banków obywatele zaczynają wyręczać państwo w jego zadaniach. Im bardziej państwo zaniedbuje usługi publiczne, tym więcej ludzi idzie do banków, żeby zachować dotychczasowy poziom życia. To zjawisko ekonomiczne

określają terminem „prywatny keynesizm”.

Przekształcanie modelu „państwa podatków” w „państwo długów” sprawia, że zarówno obywatele państw, jak i rządy – niezależnie zresztą, kto je sprawuje – są silnie uzależnieni od sektora finansowego. Pomoc, której wiele państw w czasie kryzysu udzieliło instytucjom finansowym, jeszcze bardziej zacieśniła te więzy. Decyzjom polityków towarzyszy dziś pytanie: „Co powiedzą rynki?”. Pytanie demokratyczne: „Co powiedzą obywatele?”, przestało być najważniejsze.

**Czyli Balcerowicz ma rację: państwo powinno zacisnąć pasa i nie pożyczać aż tyle.**

– Zgoda. Tylko pojawia się kolejny problem. Obowiązki państw rosną z przyczyn naturalnych, ludzie żyją dłużej, systemy emerytalne i służba zdrowia wymagają większych nakładów. Czy mamy nie leczyć starców, bo to drogie? Przez powojenne dekady wrażliwość moralna ludzkości jednak wzrosła, prawa człowieka i godne warunki życia państwa demokratyczne wpisały do swoich konstytucji. Cywilizowane państwo nie torturuje, nie skazuje bez prawa do obrony, ale też dba o teatry i zabytki oraz nie pozwala, żeby starcy grzebali w śmietnikach.

**I im bardziej jesteśmy ludźmi, tym więcej to kosztuje.**

– Otóż to. A wpływy nie rosną. Toną tysiące uchodźców u wybrzeży Sycylii, więc Włosi – znając swój gigantyczny dług publiczny – powinni ich kijami odpychać od brzegów. A jednak ratują tych ludzi. Palacze chorują na raka, leczymy ich, chociaż budżet NFZ trzeszczy. I tak dalej.

**Gdybyśmy opuścili się moralnie, to wszystko by grało?**

– Wtedy można by wreszcie obniżyć globalnie podatki, zrównoważyć budżety, państwa stałyby się lokalnymi komisariatami umożliwiającymi prowadzenie interesów. I niestety możliwe, że świat zmierza w tę stronę.

**Obywatele się nie zgodzą.**

– Obywatele mogą nie mieć wiele do gadania. Wygląda na to, że demokracja, jaką znamy, przestała być systemem preferowanym przez wolny rynek.

**Bo?**

– Kapitałowi finansowemu bardzo sprzyjają internet i nowoczesne technologie. Pieniądze w ciągu doby mogą kilka razy okrążyć kulę ziemską. Masz wolny miliard dolarów? Wrzucasz na giełdę w Azji, kupujesz jena, a rano przelewasz do Brazylii i kupujesz papiery powiązane z wahaniami cen ziarna kawy. Program komputerowy może handlować przez dwadzieścia cztery godziny. Kapitał finansowy jest

przyzwyczajony do tak zawrotnej prędkości inwestowania. Natomiast systemy demokratyczne są powolne. Żeby podjąć decyzję, trzeba się zebrać, podyskutować, znaleźć konsensus, wysłuchać różnych opinii. To wydłuża proces. Dlaczego Singapur ma tak dobre wyniki ekonomiczne? Tam nie ma demokracji, decyzje są podejmowane przez technokratów.

Stoimy przed ważnymi pytaniami. Czy to my mamy się dostosować do turbokapitalizmu, czy może turbokapitalizm ma się nagiąć do demokracji? Czy chcemy szybciej podejmować decyzje, czy jednak wolimy prawa człowieka?

### **Dyktator mówi: firma X od jutra może szukać łupków w moim kraju.**

– Na przykład.

Szybkość podejmowania decyzji, którą może zaoferować demokratycznie wybrany rząd, jest dużo mniej atrakcyjna dla turbokapitału niż ta, którą może zaoferować dyktator.

### **Putin.**

– W Rosji sprawy komplikuje powszechny bałagan, tam tak naprawdę władza albo w ogóle nie jest sprawowana, albo jest sprawowana niechlujnie. Ale powiedzmy, że byłby to sprawny dyktator USA. Bez Kongresu, który debatuje, wtrąca się, stosuje obstrukcję. Mamy przecież Singapur, mamy Chiny z ogromnym postępem – model niedemokratyczny, a bardzo sprawny. Dotąd się łudziliśmy, że te państwa są w okresie przejściowym, bo wolny rynek w naturalny sposób prowadzi również do wolności obywatelskich i demokracji. Tymczasem być może to nam, krajom rynkowej demokracji, grozi tamten model.

Model niedemokratyczny jest dla kapitału pod wieloma względami bardziej efektywny. Protesty ekologów? „Zniknie się” ekologów. Konsultacje społeczne w sprawie łupków? Nie ma konsultacji, wjeżdża ciężki sprzęt. W naszych powolnych demokratycznych systemach trzeba zapytać ekspertów, lokalne społeczności mogą ciągnąć koncerty po sądach, proces decyzyjny może trwać pięć lat. Z punktu widzenia kapitału parlamenty złożone z partii, które uchwalają prawo poprzez głosowanie, są irytująco powolne.

Jeśli nic nie zrobimy z problemem  $R > G$ , kapitał będzie rósł w coraz większe oligarchie. I coraz trudniej będzie kontrolować wpływ tych oligarchii na kształt świata. Za sto lat wcale nie musi to być świat demokratyczny.

### **Od jak dawna znane jest w ekonomii pojęcie „krańcowa użyteczność pieniądza”?**

– Pierwsze prawo Gossena znane jest mniej więcej od połowy XIX wieku.

## **A „pułapka płynności”?**

– Zwracał na to uwagę już Keynes, a przed II wojną światową Robertson.

## **Czyli od zawsze wiedzieliście, jakie są zagrożenia.**

– Gdy w 2014 roku „Kapitał w XXI wieku” wyszedł po angielsku, Piketty’ego nazwano nowym Marksem. Zarzucano mu, że wszystko, co pisze, było już wiadomo. Różnica jest jednak zasadnicza. Marks mówił o nieuchronnej śmierci kapitalizmu, natomiast Piketty mówi o konieczności ratowania kapitalizmu. Pokazuje, że dzisiejszy system sam sobie strzela w stopę.

## **Poprzez nakręcanie nierówności?**

– Tak.

## **Przecież ekonomiści od dawna to wiedzieli!**

– Ale zapomnieli.

## **Dlaczego?**

– Nie znam odpowiedzi. Brytyjcy studenci i naukowcy założyli stowarzyszenie, które ma walczyć z dominacją na uniwersytetach jednego nurtu ekonomii. Piketty zresztą podpisał deklarację w tej sprawie, podobnie Krugman i kilku innych znanych ekonomistów. Ekonomia akademicka została zawłaszczona przez doktrynę neoliberalną, a inne nurty, np. ekonomia behawioralna czy keynesizm, były przez lata marginalizowane.

## **Na SGH również?**

– Prowadzę zajęcia dla starszaków, czyli studentów, którzy podstawowe przedmioty już zaliczyli. O wielu książkach nie słyszeli. Czwarty rok nic nie wie o noblistach Akerlofie czy Shillerze...

## **Ale o Friedmanie słyszeli?**

– Tak. Ekonomie neoklasyczną i neoliberalną wałkują od pierwszego roku. Trudno powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Wykładowcom nikt nie nakazuje promowania akurat tego nurtu.

## **Czy w książkach Friedmana jest coś pociągającego?**

– To doktryna wygodna dla biznesmenów i polityków. Nie masz pracy? Trudno, taki mamy rynek pracy. Słabo ci płacą? Co robić, tak działa rynek. Nic się nie da zrobić, więc nie trzeba nawet próbować.

## **Że dla biznesu i polityków to wygodne – rozumiem. Ale co uwiiodło wykładowców akademickich? Czy ta teoria z punktu widzenia naukowca ma jakiś urok?**

– Urok polega na prostocie. Podstawą teorii neoliberalnej jest hipoteza o efektywności i nieomyślności rynku. I jeśli się w to uwierzy, to świat sympatycznie się upraszcza. Trochę jak w marksizmie. Dostajemy jeden obiektywny mechanizm, którym da się objaśnić skomplikowaną rzeczywistość. I całe życie można z tego żyć. Nie popadając w wątpliwości i nie zmieniając poglądów ani na jotę.

Teraz pojawia się owczy pęd w drugą stronę. W 2008 roku na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos – już po wybuchu kryzysu – nagle niemal wszyscy stali się wyznawcami Keynesa. To zdumiewające. Napisałam tekst, że nie ma w ekonomii jednej jedynie słusznej teorii. Na łące jest ładnie, gdy kwitną różne kwiaty.

## **Czy Piketty – poza ogłoszeniem, że nierówności narastają – coś proponuje?**

– Coś, co już kiedyś się sprawdziło, czyli solidną progresję podatkową. Zarabiasz powyżej kilku milionów dolarów, płac 80 procent podatku.

## **To nie przejdzie.**

– No właśnie, charakterystyczna reakcja. Jeszcze w latach siedemdziesiątych w ojczyźnie wolnego rynku – Stanach Zjednoczonych – podatki dla najbogatszych sięgały 80 procent. I nie było jęków. Płacili. Przecież taka stopa podatkowa nie dotyczy całości dochodów, lecz jedynie kwoty powyżej określonego wysokiego progu. To nie dramat.

## **Podnieść podatki, stara śpiewka.**

– Piketty nie chce podnosić podatków. Część książki poświęcił analizie obecnego tzw. poziomu redystrybucji. Ten poziom w krajach rozwiniętych wynosi około 40 procent.

## **Oddajemy państwu 40 procent?**

– Średnio. Tyle państwa pobierają od nas w formie podatków, składek emerytalnych, zdrowotnych i w formie innych danin. Piketty pisze, że to jest dość. W Polsce płacimy mniej – około 32 procent, bo podatki u nas należą do najniższych w Europie. Zresztą netto płacimy jeszcze mniej, przecież jeśli korzysta pan z publicznej drogi, a pańskie dzieci chodzą do publicznej szkoły, to dostaje pan zwrot swojej inwestycji w państwo.

Piketty nie proponuje podnoszenia podatków, chce inaczej rozłożyć ich ciężar. Tak aby bogaci płacili najwięcej. Nie po to, żeby komuś przyłożyć podatkami, tylko żeby wywołać określone procesy społeczne i rynkowe.

## **Jakie?**

– Złagodzić działanie zasady  $R > G$ . Przestać pompować balon nierówności.

Piketty proponuje globalny podatek od wartości majątków w wysokości 2 procent rocznie. Chodzi o to, żeby nadwyżkę w zyskach z kapitału – zwykle są one o blisko 2 punkty procentowe wyższe niż wzrost gospodarczy – zniwelować. Ale zaraz w tym samym rozdziale pisze, że globalny podatek to utopia. Bo wszyscy musieliby się dogadać, cały świat. Solidarnie.

## **Czyli nic z tego nie będzie.**

– Kto zaczął myśleć, zrobił połowę.

Świat powinien zmienić sposób myślenia o podatkach. CIT – czyli podatek od zysków przedsiębiorstw – to znikający punkt w dochodach budżetowych. Im większe i bardziej globalne przedsiębiorstwo, tym łatwiej unika tego podatku, nie chce płacić nawet naszych 19 procent, choć to podatek bardzo niski. Guzik do garnituru sprowadza się z Wysp Marshalla i wykazuje, że to najdroższy składnik garnituru, czyli dochody są wykazywane tam, a nie w Polsce. Sposobów są tysiące.

## **Co to znaczy „opodatkować majątek”?**

– Na przykład ziemię i domy – to tzw. podatek katastralny, czyli od wartości nieruchomości. Jak ma pan trzy domy, to płaci co roku 2 procent ich wartości. Trudniej przed takim podatkiem uciec, domów pan nie schowa do kieszeni ani nie wyśle na Kajmany. W Polsce od dziesięciu lat leży w Sejmie projekt wprowadzenia podatku katastralnego, moi studenci napisali już kilkanaście prac na temat tego projektu.

## **I?**

– Politycy się boją. Bogaci, którzy mają te nieruchomości, będą wściekli.

## **Przed wszystkim będą wściekli emeryci. I tego politycy się boją.**

– Tak. Krążą opowieści, że staruszka mieszkająca na stu metrach przy Noakowskiego w centrum Warszawy – takie mieszkanie warte jest jakieś 1,5 miliona – co roku będzie musiała płacić 30 tysięcy podatku, więc umrze z głodu.

## **Będzie musiała?**

– No skąd! Emerytkę można zwolnić. Pierwsze mieszkanie w rodzinie można zwolnić, pierwszy dom tak samo albo opodatkować bardzo nieznacznie. To wszystko jest do ustalenia. Straszanie niedolą emerytów to zasłona dymna, żeby nic nie robić i mieć święty spokój. Bo zmieniając system podatkowy, politycy jednak komuś muszą

się narazić.

Na świecie dyskutuje się o problemie nadmiernego opodatkowania pracy. W Polsce też mamy z tym kłopot, przecież ludzie utrzymujący się z pracy płacą składki emerytalne, zdrowotne, chorobowe, podatki dochodowe. W sumie kilkadziesiąt procent pensji brutto. Natomiast właściciel dziesięciu mieszkań w Warszawie, który żyje z ich wynajmu, płaci dużo mniej – tylko 8,5 procent. Podobnie ktoś inwestujący na giełdzie – zaledwie 19 procent. System wspiera rentierów, a zdziera z pracujących.

Piketty uważa, że złe systemy podatkowe wzmacniają nierówności i pchają świat z powrotem w stronę kapitalizmu dziedzicznego. Buffett, Gates, Bloomberg i inni mądrzy miliarderzy nie zostawiają dzieciom spadków. Wydzielili im kwoty, solidne, ale nie aż tak duże, żeby pozwalały na rentierskie życie. Resztę zapisują rozmaitym fundacjom. Nie dlatego, żeby dokuczyć potomkom. Uważają, że jeżeli jest za dużo pieniędzy, to nie ma bodźca do działania.

### **Co w tym złego, że dzieci Kulczyka odziedziczą po nim firmę wartą 15 miliardów złotych?**

– Grupa amerykańskich miliarderów domaga się od prezydenta Obamy, aby wprowadził bardzo wysoki podatek spadkowy od fortun takich jak te, które posiadają. Jeśli wartość imperium biznesowego wynosi miliardy dolarów, to trzeba by zapłacić podatek spadkowy w wysokości na przykład 80 procent wartości. To oznacza, że dzieci będą musiały podzielić imperia po rodzicach na kilka mniejszych firm, a następnie je sprzedać, żeby zapłacić podatek. I o to chodzi. Bo wtedy w tym londyńskim autobusie z bogaczami pojawi się kilka osób więcej. Wysokie podatki spadkowe to jeden z mechanizmów, które mogą powstrzymać tworzenie biznesowych oligarchii.

### **Wystarczy zmienić podatki i będzie dobrze?**

– Nie ma jednej odpowiedzi, co należy robić. I to też jest odpowiedź. Całe lata zachodnia ekonomia wykazywała się niebywałą pychą i twierdziła, że zna jedyne słuszne reguły. Nazywano ten zestaw konsensusem waszyngtońskim: prywatyzacja, deregulacja, niskie podatki, odchudzanie państwa.

### **Czyli zestaw, który wprowadziliśmy w Polsce po 1989 roku.**

– U nas na szczęście zadziałał, choć oczywiście nie wszystko wyszło idealnie. Ale w Rosji czy na Ukrainie wprowadzenie tych samych recept przez tych samych ekspertów – Jeffrey Sachs prosto z Warszawy poleciał do Moskwy – doprowadziło do katastrofy. Do dziś głównym lękiem przeciętnych Rosjan i paliwem dla Putina jest strach, żeby nie wróciły lata dziewięćdziesiąte. W krajach Ameryki Łacińskiej

konsensus waszyngtoński również dał bardzo różne wyniki: raz pomagał gospodarce, ale innym razem prowadził do krachu lub gigantycznego rozwarstwienia. Nie ma gotowych recept, które wymyśli jakieś światowe centrum mądrości i roześle łaskawie na peryferia. Coraz więcej gremiów światowych, w tym Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy, zaczyna to rozumieć i odchodzić od propagowania sztywnych reguł. Każdy kraj powinien sobie uszyć garnitur ekonomicznych recept na własną miarę.

### **Nie trzeba oszczędzać?**

– Trzeba. Reformy polegające na racjonalizowaniu wydatków państwowych są konieczne. Europa będzie musiała na nowo wymyślić umowę społeczną, w sytuacji gdy populacja się starzeje. Na to nas stać, a na tamto nie – trzeba będzie podjąć trudne decyzje. Ale to musi być przeprowadzone przy podniesionej kurtynie i na zasadzie solidarności. Na razie proces toczy się chaotycznie, polega na odbieraniu klasie średniej etatów, opieki zdrowotnej i nieustannym straszeniu, że emerytur nie będzie, bo kasa pusta. Jednocześnie koncerny mają najlepsze w historii zyski i żadnej ochoty, żeby bardziej dokładać się do wspólnych spraw.

Wiele wskazuje na to, że nadchodzi czas ponadnarodowej debaty dotyczącej skrócenia czasu pracy. Po pierwszej wojnie światowej Piłsudski wprowadził u nas normę czterdziestu ośmiu godzin, teraz mamy czterdzieści godzin. Tylko osiem godzin różnicy mimo upływu stu lat! Dynamika skracania czasu pracy jest dużo wolniejsza niż przemiany technologiczne.

### **Będziemy mniej pracować, to mniej zarobimy.**

– Niekoniecznie. W postindustrialnym modelu gospodarki coraz bardziej liczy się kreatywność. Niech pan weźmie do ręki jakikolwiek poradnik zarządzania albo tygodnik biznesowy. Pełno tam tekstów o potrzebie kreatywności, o tym, że pracownik musi szukać nowych rozwiązań, nieustannie się uczyć i rozwijać. Jednocześnie cały system działa tak, że na to nie pozwala.

### **Bo?**

– Nie daje czasu. Kiedy ludzie mają się doksztalać? Kiedy wymyślać nowe koncepcje? Do kreatywności potrzebne jest bujanie w obłokach. Archimedes leżał w wannie, kiedy odkrył swoje prawo; to oczywiście legenda, ale pokazująca coś istotnego. System korporacyjny wpaja ludziom, jak wielką cnotą jest uczenie się przez całe życie, ale jednocześnie odbiera im czas, który mogliby na to przeznaczyć. Skrócenie tygodnia pracy może pobudzić gospodarkę. W czasie wolnym człowiek



pójdzie do kina, na zakupy...

**Jeżeli będzie miał za co.**

– Być może bardziej racjonalne rozłożenie pracy spowoduje wzrost wydajności? Może wtedy da się obniżyć podatki? Jak przestaniemy harować, to może mniej będziemy chorować, być może dzieci i rodziny będą bardziej zadbane...

**To „być może” jest pisane patykiem na wodzie.**

– Zgoda. To nie musi się sprawdzić. Ale powinniśmy rozmawiać o nowych pomysłach i ideach. Powinniśmy odzyskać zdolność do myślenia, również utopijnego. Obecny system pilnie wymaga korekt. Powtarzanie, że musi być, jak jest, to żadna odpowiedź.

Czerwiec 2015

# O czym myślą polscy bogacze

---

## Rozmowa z KRZYSZTOFEM JASIECKIM

**KRZYSZTOF JASIECKI (1960)** jest profesorem w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Bada kapitalizm w państwach posocjalistycznych, elity polityczne i gospodarcze, lobbying, zamożność i bogactwo, a także wybrane zagadnienia integracji Polski z Unią. Jego ostatnia książka to „Kapitalizm po polsku. Między modernizacją a peryferiami Unii Europejskiej”

### Co wiemy o najbogatszych Polakach?

– Niewiele. W polskim kapitalizmie prawie nie bada się kapitalistów. Właściciele dużych firm, top menedżerowie, bankowcy „nie wpadają do próby”. A jeśli nawet zostaną wylosowani – nie mają czasu lub odmawiają rozmowy z ankieterem.

Zapytałem prezesa GUS o dane dotyczące najwyższych dochodów. Potwierdził, że nie dysponujemy dokładnymi informacjami. Również opracowania międzynarodowe nie oddają dokładnie stanu rzeczy w Polsce. OECD podaje na przykład, że stosunek dochodów najbogatszych Polaków do dochodów najbiedniejszych wynosi 8:1 (na przykład w Chile 27:1). Tymczasem z innych danych cząstkowych – jak porównanie wynagrodzeń menedżerskich i płac pracowniczych w przedsiębiorstwach – można wnioskować, że skala nierówności jest u nas znacznie większa.

### Na Zachodzie badają to dokładniej?

– Próbują. W warunkach globalizacji badanie bogactwa nie jest łatwe, choćby

z powodu transferu kapitału do rajów podatkowych, ale opracowań jest sporo. Trwający od 2008 roku kryzys gospodarczy spowodował wzrost zainteresowania tą problematyką. W USA poziom nierówności dochodowych – najwyższy wśród państw wysoko rozwiniętych – wywołuje burzliwe dyskusje i protesty, których przejawem było okupowanie Wall Street. Intelktualiści apelują, żeby odbudować klasę średnią, a miliarder Warren Buffett stwierdza: „Trwa wojna klas, moja niesłusznie wygrywa”, i domaga się wyższych podatków dla bogatej elity.

W Polsce tematu nierówności społecznych się wstydzimy. W okresie dwudziestu pięciu lat reform rynkowych problematyka koncentracji bogactwa i faktycznych różnic w dochodach jest na marginesie zainteresowań badaczy i elit. Tak samo jak problem gigantycznej rozpiętości płac w firmach.

### **Bo ludzie kulturalni na takie tematy nie rozmawiają.**

– Nie wypada, bo to populizm jak z „Faktu”

Unikanie tematu to szczególnie sytuacja, ale zrozumiała. Z licznych sondaży wiadomo, że Polacy są za większą równością w polityce dochodowej i społecznej. Łatwiej o akceptację władzy i ogólnego kierunku zmian, jeśli klasy niższe nie znają skali dystansu, jaki dzieli je od klas wyższych. O taką akceptację byłoby trudniej, gdyby powszechnie wiadano, że porównanie wynagrodzeń dyrektorów dużych firm z zarobkami szeregowych pracowników wskazuje na rozpiętości w skali 1:300.

### **To dużo?**

– Idziemy w stronę standardów amerykańskich, gdzie płace top managementu w stosunku do płac szeregowych pracowników dochodzą do poziomu 1:365. Zaledwie 0,1 procent najbogatszych Amerykanów zarabia siedemdziesiąt siedem razy więcej niż 90 procent pozostałych. Tyle że tam jest to bolączką i mówi się o tym nieustannie.

**I co z tego, że się mówi? Prezes Walmartu, w którym kasjerki zarabiają tak mało, że dostają zasiłki z opieki społecznej, wziął właśnie 21 milionów dolarów premii.**

– Zgoda. Dyskusja nie zmieni świata szybko, ale jednak drażni skałę. Zmienia klimat debaty publicznej, a z tego może powstać nacisk obywateli na konkretne rozwiązania. W Polsce na razie śpimy.

### **Może nie ma o czym rozmawiać?**

– Jest. Według OECD pod względem skali zróżnicowań dochodowych przed wejściem do Unii zaliczaliśmy się do czołówki – za Meksykiem, Turcją, USA, a przed Portugalią. Późniejsze dane są nieco lepsze, ale nadal jesteśmy powyżej unijnej średniej. Nie da się wyjaśnić tak dużych dystansów dochodowych jedynie przebiegiem

lub logiką transformacji. W Czechach czy na Słowacji przemiany ustrojowe były podobne, a jednak nierówności dochodowe są tam znacznie mniejsze.

## **Dlaczego?**

– Wpływa na to między innymi klimat ideowy polskiego kapitalizmu.

Badaniem elit zajmuję się od dwudziestu lat. Kiedyś skupiałem się na elicie politycznej. Było to ciekawe, ale zorientowałem się, że deklaracje polityków mają coraz mniejsze przełożenie na rzeczywistość. Pośła – z zawodu nauczyciela czy lekarza – pytałem o gospodarkę, prywatyzację, politykę społeczną. Coś oczywiście uważał na wszystkie te tematy – tylko co z tego? Odkąd zająłem się elitami biznesu, widzę, że poglądy tej grupy mają o wiele więcej wspólnego z tym, co się naprawdę dzieje w Polsce. Warto więc wiedzieć, co bogaci ludzie mają w głowach.

## **I co mają?**

– Złote lata dziewięćdziesiąte – tak to najkrócej można ująć. Duża część polskich elit biznesu tkwi w schematach myślowych z czasów, kiedy zdobywali fortuny.

## **„Wychowaliśmy klasę egoistów” – powiedział pan kiedyś.**

– Przede wszystkim indywidualistów – to widać w wielu ankietach. Moja firma. Mój sukces. Mój zysk. I z nikim się nie będę dzielił. Cała logika transformacji została ustawiona pod kątem indywidualnego sukcesu.

## **To im dawało parę.**

– Na początku tak, bo pozwalało na mobilizację – zaciskam zęby i do przodu. Ale z biegiem czasu ten typ myślenia stał się anachroniczny, teraz zaczyna być dla Polski obciążeniem.

Na początku transformacji wielu liderów biznesu błyskawicznie awansowało na wysokie pozycje, więc uważają, że wszyscy inni też tak mogą. A przecież liczba miejsc jest ograniczona. Kiedy byłem w Finlandii, w jednej z dużych firm wisiały pamiątkowe portrety menedżerów i robotników. Obok siebie. U nas też są takie korytarze – z portretami szefów.

## **Sukces firmy zasługą właściciela i prezesa?**

– Tak. I owoce sukcesu należą się tylko jemu. Przez indywidualistyczne myślenie elit biznesowych mamy przestarzałe strategie zarządzania, które coraz bardziej różnią się od stosowanych w państwach europejskiego rdzenia. Te strategie demobilizują, bo wyłączają z sukcesu polskich firm całe grupy pracowników.

**Zapytałem kiedyś Janusza Filipiaka, najlepiej zarabiającego polskiego prezesa – ponad milion złotych miesięcznie – czy wie, ile w jego firmie wynosi najniższa płaca. Nie wiedział.**

– Polski biznes wciąż myśli, że od płac jest księgowy i szef kadr. Gdyby menedżerowie przyswoili sobie współczesne standardy zarządzania, toby się interesowali, czy ludzie mają szansę przeżyć za pensję. I wiedzieliby, jak to wpływa na motywację.

Tyle że pożegnanie z niektórymi mitami może być nieprzyjemne.

## **Bo?**

– Bo trzeba by zacząć nieco inaczej dzielić zyski. Polski biznesmen uważa, że gigantyczne różnice w dochodach są nieodłącznym elementem wolnego rynku i mają działanie motywujące.

## **A nie?**

– Wszystko zależy od skali. Jeśli różnice są zbyt duże, stają się przepaścią nie do przeskoczenia i rodzą frustrację. To nie jest wiedza tajemna. Jeśli tzw. współczynnik Giniego, który wyraża rozkład nierówności dochodowych (skala od 0 do 1), przekracza 0,4 – co jest typowe dla krajów Trzeciego Świata – to mamy bardzo konkretne dolegliwości społeczne. Na przykład wzrost przestępczości. W zbyt rozwarstwionym społeczeństwie wszystkim żyje się gorzej, i biednym, i bogatym.

## **Ile jest u nas?**

– W 2005 roku przekroczyliśmy wartość 0,35. Rosło nam bardzo szybko. Później współczynnik Giniego zaczął spadać – do 0,31 w 2011 roku – między innymi dlatego, że rolnicy, czyli jedna z najbiedniejszych grup społecznych, dostali zastrzyk gotówki w postaci dopłat, a do setek tysięcy polskich rodzin zaczęły przychodzić transfery pieniędzy z Anglii. Niestety kryzys i cięcia budżetowe uderzają przede wszystkim w ludzi o niższych dochodach, więc rozwarstwienie dochodowe w Polsce może znowu zacząć rosnąć.

## **Co polscy bogacze sądzą o kapitalizmie? Poza tym, że go pewnie lubią.**

– Tu znowu mamy problem z dziedzictwem lat dziewięćdziesiątych. Z rozmaitych badań wynika, że polski biznes utożsamia zdrowy kapitalizm z modelem neoliberalnym. Tymczasem w Europie to nie jest główny nurt myślenia. Można się o tym przekonać, przeglądając choćby raporty „The Economist” na temat Niemiec czy krajów skandynawskich, których modele gospodarcze uważane są za bardziej adekwatne do wyzwań obecnej fazy rozwoju kapitalizmu w Europie.

To, że polskie elity biznesu utknęły w neoliberalizmie, jest historycznie zrozumiałe. Kiedy wprowadzano u nas reformy rynkowe, prawie całemu światu wydawało się, że ten model zwycięża i że historia to rozstrzygnęła za nas. Moja najnowsza książka dotyczy Polski na tle różnorodności kapitalizmu w Europie. Pisząc ją, wróciłem do tekstów z początku lat dziewięćdziesiątych, gdy uważano, że modelowo „nieliberalne” kraje, jak Niemcy czy Szwecja, wkrótce upadną. Poważni ekonomiści to ogłaszali w poważnych gazetach. Upłynęło dwadzieścia pięć lat i świat się nieco zmienił. Kryzys zweryfikował wiele poglądów. Niedawno amerykański ekonomista Joseph Stiglitz odwiedził Szwecję i zapytał ministra finansów, jak to możliwe, że tak świetnie sobie radzą. „Bo mamy wysokie podatki” – usłyszał. Pieniądze podatników dobrze inwestują w obszary strategicznego rozwoju. Tyle że oni mają sprawne państwo współdziałające zarówno z biznesem, jak i klasą pracowniczą.

**Polski biznes o podatkach rozmawiać nie chce. Tydzień temu Związek Przedsiębiorców i Pracodawców ogłosił, że w razie podwyżki przedsiębiorcy przestaną po prostu je płacić. Prezes tej organizacji – Cezary Kaźmierczak – na postulat zwiększenia płacy minimalnej zareagował tak: „Przedsiębiorcy mają to w dupie, najwyżej zaczniemy zatrudniać na czarno”. Pan to rozumie?**

– Biznes broni modelu zarabiania odziedziczonego po latach dziewięćdziesiątych. Wprowadziliśmy wtedy strategię konkurencyjności bazującej na taniej i dość dobrze wykształconej sile roboczej, na solidnym podwykonawstwie.

**Skręcanie włoskich pralek.**

– Na przykład. Jeżeli chce się kontynuować ten typ konkurencyjności, to sposób argumentowania pana Kaźmierczaka jest funkcjonalny. Ale teza, nad którą dyskutuje się od lat w środowiskach akademickich, jest taka, że ten model stracił nośność. Polska musi iść dalej. Nie możemy bazować na taniej sile roboczej, która ma tę przypadłość, że nie generuje popytu wewnętrznego. Ludzie, którzy mało zarabiają, mało też kupują. Dlaczego rząd Angeli Merkel w umowie koalicyjnej umieścił zapis, że minimalna godzinowa stawka ma wynosić 10 euro? Bo sięgają po keynesowskie sposoby pobudzania rynku wewnętrznego.

Jeśli Polska nie rozwinie takich instytucji, jakie rozwijają obecnie państwa unijnego rdzenia – Niemcy, Beneluks i kraje skandynawskie – to będziemy peryferiami.

**Jakie to instytucje?**

– Trzeba mieć sprawne państwo i dobrze działający wymiar sprawiedliwości – to oczywiste. I to kosztuje. Ale te instytucje to również rozwinięty dialog społeczny,

partycypacja pracownicza, udział pracowników w zyskach firm, nowoczesne i sprawne związki zawodowe w prywatnych firmach, a nie okopane w firmach państwowych. I o tym biznes nie chce dyskutować.

**„Może nam pan na warsztat skoczyć” – to prezes Kaźmierczak w oficjalnym liście do szefa „Solidarności”.**

– I co się pan dziwi? Ludzie biznesu są pragmatyczni i wiedzą, na co sobie można w Polsce pozwolić. Jakby czuli nacisk mediów, ruchów społecznych, żeby wprowadzać nowoczesne style zarządzania, to może myśleliby inaczej. Są znane badania pokazujące, jak rośnie efektywność pracy, jeśli ludzie coś z tego mają.

**Premię.**

– Nie. Premia w wydaniu polskim jest uznaniowa. To kolejny element podejścia indywidualistycznego – jak zasłużysz, to szef łaskawie ci da. Chodzi o jasne zasady dzielenia się sukcesem finansowym firmy, które są zapisane w umowie zbiorowej wypracowanej z udziałem przedstawicieli pracowników. Wypracowaliśmy 10 procent zysku, więc określoną część z tego przeznaczamy na premię dla wszystkich, łącznie ze sprzętaczkami. To sprzyja też pewnej powściągliwości w płacach top menedżerów, niewypłacaniu tych słynnych kominów. Na Zachodzie takie podejście działa, u nas uchodzi za socjalistyczny przeżytek.

To, co ma w głowach duża część polskich pracodawców, to narracja z przeszłości, na której nie da się już budować konkurencyjności przedsiębiorstw.

**Wtedy mieli rację, ale dziś już nie.**

– Można tak powiedzieć.

Jeśli biznes płaci niskie pensje, trzyma ludzi na śmieciówkach i twierdzi, że na tym ma polegać nasza przewaga konkurencyjna, to nie ruszymy dalej. Firmy tak zarządzane nie będą czuły presji, żeby szukać innych sposobów zarabiania. Po co stawiać na innowacje, jeśli mam masę wyrobników na umowach śmieciowych i zarabiam dzięki temu, że mogę im mało płacić? Przecież nie uciekną, bo u innych też dostaną mało.

Możemy sobie dyskutować o polityce prorodzinnej i becikowym, ale dla wzrostu demograficznego to pensje są ważne. Jeśli pozostaną na obecnym poziomie, to nie oczekujemy, że młody człowiek na śmieciówce weźmie kredyt hipoteczny na czterdzieści lat, kupi mieszkanie, zdecyduje się na dzieci i jeszcze zacznie odkładać na emeryturę. Nie będzie tych dzieci.

Dyskusja w Polsce na wiele tematów jest utrudniona, bo ma przyczepioną łatkę

populizmu. Dziwne standardy panują u nas pod tym względem. Podam przykład ze Szwajcarii, gdzie odbyło się niedawno referendum nazywane „12 do 1”

### **Czyli?**

– W Szwajcarii szef zarabia średnio siedemdziesiąt trzy razy więcej niż jego pracownik. W referendum głosowano nad przepisem, żeby nikt w firmie nie zarabiał w ciągu roku mniej, niż szef tej firmy zarabia w ciągu jednego miesiąca. Czyli żeby różnica w pensjach była maksymalnie 12:1.

### **Państwo chce ograniczać pensje w prywatnych firmach? Szaleństwo.**

– No widzi pan! U nas – szaleństwo, u nich – rozważana możliwość. Nie przeszło, bo tylko 34 procent Szwajcarów było za. Dyskutowali na ten temat i najwyraźniej doszli do wniosku, że nierówności płac na tle innych krajów nie są u nich aż tak wysokie, co zresztą jest prawdą.

Jeśli się pyta o to polską elitę biznesu, to oni na ogół nie widzą potrzeby ograniczania wysokości zarobków w jakikolwiek sposób. Często samą rozmowę o tym traktują jako złośliwość. „To jest populizm”. A przecież nie chodzi o to, żeby im złośliwie coś zabrać. Czas poszerzyć w Polsce społeczne zaplecze gospodarki rynkowej, zwiększyć partycypację ludzi w efektach finansowych firm, co, jak pokazują przykłady wielu krajów zachodnich, pozwala właśnie skutecznie przeciwdziałać populizmowi.

Związki zawodowe nie zaszczepią innego myślenia, bo są traktowane u nas jak emanacja oszołomstwa. Proszę zauważyć, że w roli ekspertów występują w mediach prawie wyłącznie przedstawiciele biznesu.

### **W książce „Kapitalizm po polsku” pisze pan o fascynacji naszych elit politycznych i biznesowych wskaźnikiem PKB. O co chodzi?**

– To ważny element świadomości elit. „Nie mamy kryzysu, bo przecież PKB rośnie”. Ubóstwienie wskaźnika PKB pozwala uciekać od niektórych problemów.

Nie mamy kryzysu? Zależy, co pod tym pojęciem rozumieć. Jest przecież źle na rynku pracy, mamy niskie wskaźniki innowacyjności, kulejącą politykę społeczną, źle działającą służbę zdrowia. To wszystko jednak składa się na kryzys.

Myślenie zamożnych elit dość mocno przekłada się na politykę. Można się odwołać do Kisiela, który mówił: „To nie jest kryzys, to jest efekt”. Zaniedbanie wielu dziedzin życia w Polsce jest odbiciem podejścia, w którym poza wzrostem gospodarczym nic właściwie się nie liczy. Rośnie PKB, czyli wszystko gra. A tak nie jest. Jeśli nasze elity biznesowe dostrzegają problemy społeczne, to starają się je indywidualizować. Lepiej nie dostrzegać, że coś jest uwarunkowane systemowo. Szefowie przedsiębiorstw żalą



się, że nie mogą zdobyć dobrych pracowników. Dlaczego? – pytam. Wyliczają cechy tych ludzi – że są leniwi, niesamodzielnii, „nie nadają się”, „są niekompetentni”. Innymi słowy, traktują problem jako przypadłość osobniczą, w najlepszym razie pokoleniową. Rzadko widzą ten problem szerzej, nie pytają na przykład o system edukacyjny.

### **Bo gdyby zaczęli pytać, to ktoś mógłby im odpowiedzieć: to może podnieśmy podatki i doinwestujemy szkolnictwo, chcecie?**

– Tak. O wyższych podatkach biznes nie chce rozmawiać, ale to może się zmienić. Polscy przedsiębiorcy coraz częściej widzą, że bez sprawnego państwa i sprawnych, doinwestowanych instytucji trudno się rozwijać. W wielu badaniach pojawia się wspólny wątek: chcą od państwa czytelnej strategii rozwoju. To wyraźna zmiana, bo w latach dziewięćdziesiątych wszelkie strategie rządowe kojarzyły się z centralnym planowaniem i gospodarką socjalistyczną. Na to, żeby państwo miało czytelną strategię gospodarczą, najmocniej naciska sektor finansowy. Finansiści to jeden z nielicznych segmentów społeczeństwa, gdzie się myśli w perspektywie długookresowej. Bo jak ktoś udziela kredytu, to chce wiedzieć, czy ściągnięcie pieniędzy za czterdzieści lat będzie możliwe. Chodzę na spotkania dotyczące finansowania energetyki jądrowej i na konferencje dotyczące eksploatacji łupków. Wszędzie tam pojawiają się menedżerowie z banków i mówią na boku tak: „Atom? Niech będzie atom. Łupki? No to łupki. Ale żeby rząd miał te priorytety, a nie, że nic nie wiadomo. Za chwilę przyjdą do nas po pieniądze, a my nie będziemy wiedzieć, czy warto je dać”

### **Słabo w Polsce z planowaniem?**

– Bardzo słabo. Unia Europejska wymusiła co prawda opracowanie długookresowej strategii rozwoju, bez tego nie moglibyśmy otrzymywać funduszy, ale działanie państwa idzie tu opornie. Profesor Jerzy Hausner powiedział kiedyś, że w Polsce władza potrafi jedynie administrować, ale nie umie zarządzać. Trafne. Zarządzanie wymaga strategii, a administrowanie – doraźnych rozwiązań, partyzantki, w której jesteśmy mistrzami.

Dwa lata temu rząd ogłosił raport „Polska 2030”, który dobrze pokazywał nasze problemy. Łącznie z problemem głównym, czyli wchodzeniem kraju w fazę dryfu rozwojowego. Raport zalecał, żeby wybrać nowy model rozwoju, który miałyby charakter innowacyjno-inwestycyjny, wykorzystujący możliwość unowocześnienia kraju dzięki zwiększeniu inwestycji publicznych i fundusze europejskim. I co się dzieje z proponowanymi tam reformami i z autorem raportu Michałem Bonim? Koncepcja reform została wypchnięta ze struktur władzy, podobnie jak Boni.

Polscy biznesmeni mówią w ankietach o kontaktach z korporacjami międzynarodowymi: „To jak zderzenie mrówki ze słoniem”. Jeśli mają wytrzymać to starcie, potrzebują od państwa wsparcia. Sprawnych instytucji, które tworzyłyby regulacje wspierające gospodarkę, rozbudowywałyby gwarancje kredytowe lub dostarczałyby dobrze wykształconych pracowników. Wiele z tych rzeczy mogą organizować tylko instytucje publiczne i biznes zaczyna to rozumieć.

**Tylko dlaczego polski biznes nie widzi, że powinien na to sprawne państwo płacić porządne podatki? Płaci jedne z najniższych w Europie i jęczy, że to koszmarnie dużo.**

– Wielokrotnie się zastanawiałem, czy chciałbym obecnemu państwu powierzyć wyższe podatki. Otóż nie chciałbym, bo jest ono dalekie od standardów wiarygodności skandynawskiej czy niemieckiej. Podobnie myśli biznes. Popularność podejścia neoliberalnego w Polsce – zarówno wśród elit, jak i klasy średniej – bierze się między innymi z niesprawności instytucji państwa. Myślimy o państwie tak, jak biznes międzynarodowy myśli o rządzie Ukrainy. Dać im pieniądze, to wszystko przepadnie. W związku z tym ludzie są neoliberalni instynktownie. Żeby to zmienić, trzeba dać Polakom inne wzorce.

**Pokazać, że coś państwowego może dobrze działać.**

– Niech to będzie chociaż jedna rzecz. Najlepiej coś z zakresu usług publicznych – szpitale, kolej. Patrzcie: dofinansowaliśmy, wspólnie z podatków zadbałiśmy, mądrze zarządzamy i proszę, działa! Bardzo by nam się przydało takie doświadczenie, bo go w Polsce praktycznie nie znamy. Zawsze to, co państwowe, było byle jakie.

**Właściwie dlaczego mamy państwo dziadowskie? Bo niedofinansowane?**

– To nie jest główny powód. Kiedy przyjrzeć się państwom nowoczesnym i dobrze działającym, to widać pewną prawidłowość: dużą partycypację obywateli w rządzeniu. Władza w takich krajach nie uważa, że wie najlepiej, tylko pyta obywateli. Na przykład szeroko konsultuje zmiany i nie wprowadza ich po partyzancku. Tak samo jest w firmach. Te sprawnie zarządzane wiedzą, że wciąganie pracowników do procesów decyzyjnych pozwala uniknąć zasadniczych błędów.

**„Konsultacje społeczne to zawracanie głowy. Przychodzi do urzędu banda wariatów, zadają głupie pytania i wszystko blokują” – tak mi tłumaczył pewien samorządowiec.**

– Otóż to. To jest typowe podejście naszej władzy do aktywności obywatelskiej. W imię rzekomej sprawności i szybkości chce ona wszystko robić sama. Nie konsultuje

decyzji albo traktuje te konsultacje niepoważnie, nie słucha. I w efekcie popełnia idiotyczne błędy.

Mnie – naukowcowi angażującemu się w rozmaite projekty społeczne – państwo polskie na każdym kroku mówi, żebym się nie wtrącał. Trzeba przesłać ustawę do konsultacji? No to standardowa procedura jest taka, że w piątek po południu przychodzi mailem projekt rządowy z adnotacją, że w poniedziałek upływa termin konsultacji społecznych. I muszę ściągnąć ekspertów – często bardzo zapracowanych ludzi – w weekend, żeby się z nimi naradzić.

Weźmy likwidację OFE. Ustawę pisano w pośpiechu, przepchnięto przez Sejm w szaleńczym tempie, a przecież robi to rząd, który urzęduje najdłużej ze wszystkich! Miał na to sześć lat! Pamiętam świetnie, że członkowie rady nadzorczej ZUS już kilka lat temu mówili, że trzeba coś zrobić z OFE. Ale kiedy przedstawiciele organizacji pracodawców pytali na rozmaitych spotkaniach z rządem, czy coś jest na rzeczy, to słyszeli: „Tego nie dotykajmy, bo to bardzo trudny problem.” I tak sobie trwało.

### **Niech się babcia nie denerwuje.**

– Tak. Zupełnie jak przy świątecznym stole, gdzie nie można porozmawiać na trudne tematy, żeby nie psuć atmosfery. Tyle że w normalnych rodzinach święta się kończą i jednak rozmawia się o problemach.

### **A ja się rządowi specjalnie nie dziwię. Bo jak w końcu zaczął mówić o zmianach w OFE, to organizacje biznesu podniosły larum, że to będzie „kradzież pieniędzy jak za Bieruta”. Jak w takiej atmosferze można rozmawiać?**

– Ma pan rację. Wokół OFE rozpętano histerię, tylko problem polega na tym, że to jest właśnie efekt odwlekania trudnej dyskusji. Sposób załatwiania większości spraw w Polsce taki właśnie jest.

Przywódstwo polityczne jest widziane w kategoriach personalnych. Mamy lidera, który nie informuje własnej partii, jakie ma koncepcje. Koalicjant – czyli PSL – dowiaduje się w trakcie *exposé*, jakie będą zmiany w rządzie i co rząd zamierza nowego zrobić. Taki styl pokazuje, że władza nie ma chęci włączania szerszych grup społecznych do decydowania o państwie, skoro nawet koalicjanta nie potrafi do tego włączyć. I stąd te wszystkie nerwowe ruchy, bo co chwila jakieś środowisko jest czymś w Polsce zaskakiwane.

Związki zawodowe odmawiają udziału w Komisji Trójstronnej z takich samych przyczyn, z jakich organizacje biznesu reagują tak przesadnie na zmiany w OFE. Czują się lekceważone. Żeby dialog społeczny mógł funkcjonować jako element rządzenia, trzeba poważnie traktować partnerów tego dialogu.

Widzę to lekceważenie jako uczestnik Obywatelskiego Forum Legislacyjnego przy Fundacji Batorego. W liście do premiera Tuska zaproponowaliśmy, żeby zmienić regulamin pracy Rady Ministrów, wprowadzić obowiązek konsultacji na jak najwcześniejszym etapie przygotowywania ustawy. Chodziło nam o to, żeby nie wybuchały awantury wokół projektów, które wychodzą z Rady Ministrów. Władza się boi takich konsultacji, bo z góry zakłada, że wszyscy partnerzy dialogu – na przykład biznes albo związki zawodowe – chcą ciągnąć wyłącznie w swoją stronę i nie biorą pod uwagę dobra publicznego.

### **Często nie biorą.**

– Sposób podejmowania decyzji w Polsce sugeruje coś całkiem odwrotnego: to właśnie organa władzy publicznej biorą pod uwagę wyłącznie bieżące interesy budżetu państwa, bo „się nie domyka”. Jeśli ktoś w budżecie wpisał 1,5 miliarda złotych wpływów z nowych radarów, to tym samym legitymizuje protesty przeciwko ich instalowaniu, bo pokazuje, że nie chodzi mu o bezpieczeństwo, tylko o kasę. To natychmiast rodzi bunt społeczny i nikt nie chce dyskutować o meritum. Takich spraw jest pełno. Weźmy ostatnie wybory parlamentarne. Czy ktoś wspominał, że zaraz po wyborach władza zechce podnieść wiek przechodzenia na emeryturę? Gigantyczna zmiana dotycząca milionów ludzi! Miesiąc po wyborach obywatele zostali zaszokowani, bo to nie było przedmiotem kampanii wyborczej. No, jeśli tak będziemy uprawiać politykę...

### **Pan żartuje. Przecież by ich nie wybrali, podniesienie wieku emerytalnego to skrajnie niepopularna zmiana.**

– No i co z tego? Polityk jest od tego, żeby przekonywać do swoich racji. Jak nie umie, to niech nie kandyduje. Zgodnie z tym sposobem myślenia żadne istotne kwestie nie powinny być przedmiotem debaty w okresie kampanii wyborczej.

### **I nie są.**

– Tak. Kampanie mają charakter zastępczy, dotyczą tematów drugorzędnych, a potem dziwimy się, że partie, które wygrywają wybory, wkrótce tracą poparcie społeczne. Dlaczego ta reforma była niepopularna? Między innymi dlatego, że nikt o niej nie rozmawiał. Wiadomo od lat, że to musimy zrobić – to nie była żadna tajemnica, bo demografia jest jedną z najbardziej przewidywalnych nauk. Solidna debata o podniesieniu wieku emerytalnego pozwoliłaby włączyć ekspertów, na przykład lekarzy, i zastanowić się wspólnie, jak rozbudować instytucje służby zdrowia, skoro ludzie mają dłużej być sprawni zawodowo. Można było się zastanowić, co zrobić, żeby

było więcej ofert pracy dla ludzi po sześćdziesiątce. To wszystko są rzeczy trudne, ale możliwe do rozwiązania. I można było na koniec ludziom powiedzieć: proponujemy wam pakiet przemyślanych zmian. Ale władza nie chce słyszeć żadnych rad, bo z góry zakłada, że one będą głupie, uciążliwe i wprowadzą tylko zamęt.

Kiedyś czytałem relację ze spotkania Margaret Thatcher z polskimi politykami w latach dziewięćdziesiątych. Zapytała ich: „Jakie macie poparcie dla waszej koncepcji reform?” Nie wiedzieli. „No to jak chcecie te reformy robić?” Zaczęli jej tłumaczyć, że poparcie jest niewielkie i że lepiej o pewnych sprawach ludziom nie mówić, bo nie rozumieją. A reformy są słuszne. Może były słuszne. I co z tego? To jest dość typowa postawa polskich elit: „Lepiej o tym nie mówmy, bo ludzie nie rozumieją”. I stąd wiele kłopotów. Większość problemów, które jawią się dziś jako straszliwe dylematy bez wyjścia, to są rzeczy znane od lat. Tylko nie podjęto próby publicznej dyskusji.

### **Napisaliście ten list do Tuska w sprawie regulaminu obrad rządu i co?**

– Standard. Zero odzewu przez cztery miesiące, aż pojawiła się sprawa ACTA, wybuchły protesty i wtedy przyszedł list z kancelarii premiera: „Serdecznie zapraszamy na spotkanie”. Poszliśmy, wysłuchało nas aż dwóch członków rządu: „Jesteśmy bardzo zainteresowani”. Pełna kurtuazja.

### **Pogadaliście sobie i tyle.**

– No tak. Chociaż w tym wypadku stanęło nawet na obietnicy dalszych konsultacji i uwzględnienia niektórych postulatów.

Bo co może robić akademik? Gadać. Tłumaczyć, że z moich analiz takich i siakich wynika to i to. „Aha, no tak, tak”. I to jest reakcja władzy. Naukowcy gadają swoje dyrdymały, a my wiemy lepiej, jak rządzić.

### **Tony Judt mówi tak: „Wiele osób mieszka dziś na grodzonych osiedlach, w bogatych enklawach i nie czuje żadnej odpowiedzialności za społeczeństwo za bramą”. To pasuje do polskich bogatych?**

– Pasuje. Odpowiedzialność społeczna elit biznesowych sprowadza się do tego, żeby firma płaciła podatki i nie łamała prawa.

### **To źle?**

– To okropnie mało. Zaraz po wojnie w społeczeństwach zachodnich wdrażających plan Marshalla takie zachowania elit biznesowych – odgradzanie się i egoizm – byłyby traktowane jako coś ohydneho.

### **Bo elity zostały nastraszone.**

– Tak jest. Jak się nie podzielicie, będziecie mieli faszyzm. Albo komunizm. Dzisiaj na szczęście nie ma tego typu straszaka, ale okazuje się też, że mechanizmy korygowania złych zachowań dużej części środowisk gospodarczych są zbyt słabe.

### **Da się najbogatszych Polaków przekonać do większej równości społecznej?**

– To trudne. Odniesieniem dla polskich elit są elity amerykańskie, gdzie ten punkt widzenia nie dominuje, mówiąc delikatnie. Republikanie są w stanie doprowadzić do krachu państwa i zablokować budżet tylko po to, żeby nie wprowadzić rozwiązań łagodzących nierówności w dostępie do służby zdrowia. Rozwiązań, które są standardem w Europie. Tony Judt, którego pan przywołał, zastanawiał się, jak to możliwe, że niezamożni Amerykanie głosują na partię, która pogorszy ich warunki materialne, bo obetnie program „Obamacare”. To fascynujący problem, którego nie mogą dobrze wyjaśnić socjologowie amerykańscy. Najbogatsze elity zdołały tak nagiąć dyskurs publiczny w swoją stronę, że ludzie z niższych warstw głosują wbrew własnym interesom.

### **George W. Bush mówił: „Są ludzie, których można mamić w nieskończoność. I na nich właśnie zamierzam się skoncentrować”.**

– W Polsce również mamy sytuację, że część elit powieli skrajnie indywidualistyczne myślenie, które nie służy większości, chociaż jest popularne w klasach średnich.

Żeby się nadal rozwijać, a nie tylko żyć z inwestorów zagranicznych i pieniędzy UE, które po 2020 roku się skończą, musimy zacząć doceniać dobro wspólne. Wspólnotę. I to nie tylko narodową, ale też wspólnotę regionu, osiedla, szkoły i firmy. Tymczasem na uczelniach wciąż kształci się przyszłych menedżerów pod kątem indywidualnie definiowanego sukcesu. Wystarczy zajrzeć do programów nauczania. „Inwestuj w siebie” – to główne hasło.

Nasz świat został zaprogramowany pod koniec lat dziewięćdziesiątych i trzeba się z tym wreszcie pożegnać jak ze starym, powolnym komputerem. Jestem przekonany, że to w końcu zrobimy, tylko lepiej za pięć lat niż za dziesięć. Bo jak za dziesięć, to kolejny milion ludzi może być za granicą i wtedy sobie porozmawiamy w klubie emerytów.

# Zaufamy lub przegramy

---

## Rozmowa z JERZYM HAUSNEREM

**JERZY HAUSNER (1949)** to jeden z najbardziej znanych polskich ekonomistów. W 2001 roku został ministrem pracy w rządzie Millera, był też ministrem gospodarki i wicepremierem. W 2005 roku odszedł z SLD i próbował reanimować Unię Wolności w powstałej wtedy Partii Demokratycznej (był wiceszefem). Od 2010 roku jest członkiem Rady Polityki Pieniężnej. Po ujawnieniu nagrania rozmowy, w której prezes NBP Marek Belka zgadza się wspomóc rząd w walce politycznej, Hausner oświadczył, że narusza to wiarygodność nie tylko samego Belki, ale też NBP. Wezwał go, by nie kandydował na kolejną kadencję. Pracuje na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie, jest żonaty, ma dwie córki.

### **Jest raczej dobrze czy raczej źle?**

– Raczej dobrze. Może nawet zdecydowanie dobrze, ale tylko na razie. Polska przez dwadzieścia pięć lat rozwijała się w sposób molekularny, za chwilę to przestanie wystarczać.

### **Molekularny?**

– Określenie „rozwój molekularny” wymyślił Janusz Czapiński, bardzo mi się spodobało, bo wyjaśnia istotę problemu. Rozwijamy się za sprawą aktywności indywidualnej w ramach mikrostruktury, którą można nazwać społeczną molekułą. To rodzina, grupa znajomych, osoby sprawdzone. Polacy ufają sobie wyłącznie w ramach tych mikrostruktur, które nie służą już do załatwiania mięsa czy uszczelki do kranu jak w czasach Peerelu, ale stały się podstawą wszelkiej naszej aktywności. Również

gospodarczej.

Niech pan spojrzy na domy – wyglądają zupełnie inaczej niż za komunizmu. Są kwiatki, ogródki, tu klombik, tam żywopłot i tak dalej. Tego nigdy nie mieliśmy, wszystko przecież było szare. Ale co z drogą do tego domu? Co ze śmieciami w pobliskim lesie? Wszystkie polskie problemy zaczynają się za ogrodzeniem.

### **Do ogrodzenia jest cudownie.**

– Tu znakomicie sobie radzimy, przejawiamy niespożyta przedsiębiorczość i aktywność. Indywidualną. I jednocześnie zgrzytamy zębami na to, co się dzieje poza naszą molekułą, ale uważamy, że ktoś ma to za nas załatwić. Jakiś samorząd, który wybraliśmy, jakiś premier.

### **Jednocześnie kompletnie nie wierzymy, że załatwią.**

– Molekuły produkują pewien typ kapitału społecznego – socjologowie nazywają go wiążącym. Chodzi o zaufanie do konkretnej osoby, a nie zaufanie w ogóle.

### **Kocham ludzkość.**

– To znaczy, że kocham członków rodziny i kilku znajomych. I to cała moja ludzkość. Molekuły mają swoje zalety – ludzie bezwarunkowo się w nich wspierają, co pozwala przetrwać najtrudniejsze okoliczności. Dzięki temu po 1989 roku bez wahania rzuciliśmy się w system wolnorynkowy, nie baliśmy się wziąć spraw w swoje ręce. Pamięta pan pewnie te wszystkie łóżka polowe, nagle zaczęły handlować całe rodziny. Ale bardziej cenny typ kapitału społecznego to nie jest coś między mną a panem, że sobie ufamy: udzieliłem panu wywiadu i wiem, że pan nie poprzekręca i da mi tekst do autoryzacji. Kapitał społeczny jest wtedy, kiedy się kompletnie nie znamy, a mimo to sobie ufamy. Z zasady wierzę temu nieokreślonemu innemu – komuś spoza mojej molekuły. Wierzę, że ludzie nieznanymi raczej są uczciwi, nie traktuję ich jako niebezpieczne źródło zakłóceń w moim życiu. Wtedy pojawia się atmosfera niezbędna dla nowoczesnego kapitalizmu – rywalizacja nie eliminuje współdziałania.

### **Rywalizacja i współdziałanie nie są sprzeczne?**

– Absolutnie nie!

U nas jest albo-albo. Albo rodzina, molekuła, gdzie wszyscy powinni ze sobą trzymać sztamę i nie rywalizować. Albo jest obcy spoza tego kręgu, potencjalny wróg, z którym trzeba się ścigać, wszystkie chwytły dozwolone. W konkurowaniu do upadłego jesteśmy świetni. Tymczasem wielkie cele można osiągać tylko dzięki współpracy zabarwionej rozsądną rywalizacją.



## **Czyli rywalizujemy głupio?**

– Doraźnie.

Z sytuacją Polski jest trochę tak, jakbyśmy lecieli rakieta, która odpaliła jeden mocny silnik – trajektoria lotu na razie wciąż się wznosi, ale pęd zaczyna słabnąć. Żeby nie spaść i wejść na orbitę, trzeba odpalić kolejne silniki.

## **Czyli?**

– Zaufanie. Molekuły muszą zacząć się otwierać, współpracować z innymi molekułami, łączyć.

Polska wisi z jednej strony na wielkim kapitale zagranicznym, to są te wszystkie montownie pralek czy samochodów, a z drugiej strony mamy nieprawdopodobną aktywność Polaków przejawiającą się w drobnej i średniej przedsiębiorczości. Molekuły dały gospodarce wielki dynamizm, konkurują między sobą jak szalone. Tyle że są konkurencyjne doraźnie.

## **Co to jest konkurencja doraźna?**

– W przypadku firmy to znaczy, że mam niskie koszty i mogę konkurować ceną.

## **To źle?**

– Jestem molekułą, która konkuruje z inną molekułą za pomocą niskich kosztów, a nie nowych pomysłów. Trzymam niskie pensje, zatrudniam ludzi na umowy śmieciowe, osiągam swój cel, bo potrafię przetrwać na rynku. Ale nie mam szans awansować do ligi światowej.

## **Bo?**

– Żeby awansować, musiałbym zmienić filozofię postępowania i zamiast oszczędzać na tzw. kapitale ludzkim, zacząć w niego inwestować. Albo dogadać się z inną firmą – jedną, drugą – i połączyć siły, połączyć kapitały.

Weźmy firmę PESA. To przecież jeden z dawnych peerelowskich zakładów naprawy taboru kolejowego. Co się stało z większością z nich? Upadły. A PESA miała właściciela, który nie chciał brać tylko zleceń od państwa, stukać młotkiem w stare wagony i drzeć, że jeśli w PKP Cargo wymienią prezesa, to zlecenia dostanie ktoś inny i trzeba będzie zwijać interes. Ludzie z PES-y postanowili wyjść z molekuły, ruszyli na uczelnie i zaczęli ściągać m.in. designerów tuż po ASP. Wymyślili, że będą produkować wagony ładniejsze od włoskich i sprzedawać je na całym świecie.

## **A co w głowie takiego prezesa musi przeskoczyć?**

– Zaufanie. Tych, którzy potrafią się otworzyć, różni od ludzi z molekuł poziom

zaufania. Ich filozofia życia nie brzmi tak: zabezpiecz się, bo wszystko na zewnątrz jest wrogiem, pracownicy chcą cię okraść, więc traktuj ich jak w folwarku, inne firmy chcą cię oszukać, więc na wszystko miej dziesięć kwitów. Często ma to cechy samospełniającej się przepowiedni, bo jeśli w ten sposób myślę, to nieświadomie wybieram ludzi, którzy mój spójny obraz świata będą potwierdzać.

Właściciel firmy otwarty na świat chce być prawdziwym przedsiębiorcą.

### **Czyli zarobić.**

– Zysk w przedsiębiorczości jest sprawą wtórną. Bycie przedsiębiorcą to ważna rola społeczna. Ktoś taki znajduje inne zastosowanie dostępnych czynników wytwórczych, nie chce ich przechwycić, zawłaszczyć i zmonopolizować, tylko stworzyć z nich coś nowego. Dopiero potem to coś może się okazać korzystne ekonomicznie. Najpierw musi być ryzyko. „Nie chcę rutyny” – myśli ktoś taki. Czy taka osoba musi działać jako prywatny właściciel? Niekoniecznie. To może być społeczny przedsiębiorca i motyw zysku będzie wtedy żaden. Siostra Małgorzata Chmielewska jest przedsiębiorcą społecznym, tak samo Tomek Sadowski z Barki, który zakłada spółdzielnie socjalne. Przedsiębiorczość nie jest przypisana do biznesu, choć tam ma być jej najwięcej.

### **W raporcie o stanie polskiej gospodarki piszecie: „Poprzez niskie płace krystalizuje się mechanizm, który pomagał koniunkturalnie, ale szkodzi strukturalnie”. Czyli?**

– Właściciele polskich firm zauważyli, że swoją konkurencyjność mogą poprawiać przez zatrudnianie na czas określony i dużą rotację pracowników, a nie poprzez innowacje. Jest to korzystne doraźnie, ale w dłuższej perspektywie osłabia firmy, bo nie są w stanie konkurować przy bardziej złożonych produktach.

Pełne uelastycznienie pracy, które nie daje pracownikom bezpieczeństwa, na dłuższą metę firmom się nie opłaca. Tyle że taka refleksja nie pojawia się, niestety, samoistnie, dopiero zmiana warunków zewnętrznych dramatycznie ujawnia tę słabość.

### **Kryzys.**

– Też. W naszym ostatnim raporcie pokazujemy, jak bardzo innowacyjność firm powiązana jest z poziomem opłacania wydajności pracy. Jeżeli firma słabo opłaca wydajność pracy, to zarazem ma bardzo niską innowacyjność. Wydajność pracy w Polsce szybko rośnie...

### **A płace?**

– Wolno. Gdyby rosły w takim samym tempie jak wydajność, to byłaby ona opłacana w 100 procentach. My opłacamy wzrost wydajności pracy nisko – w mniej więcej 40 procentach.

## **60 procent zabiera właściciel?**

– Tak. Kapitał – czyli inwestycja właściciela w maszyny i materiały – jest opłacany dużo lepiej niż praca.

## **To źle?**

– Jeżeli Polska chce wejść na wyższy etap rozwoju, to musimy lepiej opłacać pracę. Bez tego nie będziemy mieli dobrych pracowników, którzy mogliby wymyślać te wszystkie innowacyjne produkty i technologie. Najbardziej wartościowym kapitałem firmy są ludzie. Ale to nie może być hasło, które pan sobie wpisze w firmowej misji i wywiesi w internecie. Takie mydlenie oczu uprawia co druga firma.

## **Trzeba spojrzeć w siatkę płac i powiedzieć „sprawdzam”?**

– Nie tylko w siatkę płac. Chodzi po prostu o to, czy ludzie w takiej firmie mają poczucie sensu swojej aktywności zawodowej. Zarząd może myśleć o firmie w kategoriach fordowskiej produkcji, taśmy albo myśleć o rozwoju, gdzie komponent kreatywny jest fundamentalny. I wtedy musi rozumieć, jak bardzo wymiar etyczny – uczciwość wobec pracowników – związany jest z dobrym biznesem. Ale biznesem rozumianym nie jako zysk z jednego kwartału czy jednego roku, tylko jako wartość firmy w długim okresie. Dlaczego firma ma wartość? Bo są w niej twórczy ludzie.

## **Pan mówi o firmie jak o jakiejś wspólnotce.**

– Raczej jak o instytucji, która ma swoją aksjologię. Jeśli menedżer skraca przerwy śniadaniowe i doprowadza do tego, że kasjerki siedzą w pampersach, to oznacza nie tylko to, że prawdopodobnie jest złym człowiekiem, ale też to, że jest fatalnym menedżerem, bo ograbia własną firmę z wartości rynkowej w dłuższej perspektywie. Taka firma nie będzie dobrze funkcjonować. Choć oczywiście doraźnie jego działania mogą podnosić wydajność.

Skoro mój biznes może polegać na tym, że ludzie szybciej dokręcają śrubki, a ja przechwytyuję zyski, to po co kształcić i mieć lepszych pracowników, po co ściągać do siebie najlepszych absolwentów uczelni, po co wymyślać nowe technologie? Takie firmy nie mogą rozwinąć innych sposobów produkcji, bo ich ludzie nie będą twórczy.

## **Twórczy nie pójdą do firmy, która kiepsko płaci?**

– Nawet jak pójdą, to przestaną być twórczy, skoro cała firma myśli tylko w kategoriach kwartalnego zysku i tego, jak oszczędzić na kosztach pracy.

## **Czyli zbyt niskie płace rozleniwiają polski biznes?**

– W pewnym sensie. Ale nie mówię o tym, że powinno się mechanicznie podnieść płace. Mówię o relacji płaca – wydajność, to bardzo ważna różnica. Powinniśmy dbać, by nadal rosła w Polsce wydajność pracy i żeby jednocześnie podążały za nią płace, dużo szybciej niż obecnie. Żaden rząd tego nie nakaże, podnosząc pensję minimalną, bo są tysiące sposobów, żeby to obejść.

### **To co?**

– Dialog. Trzeba uzmysławiać firmom, że jeśli poprzestaną na takim sposobie funkcjonowania jak obecnie, to przegrają z międzynarodową konkurencją. Musimy stworzyć warunki, żeby polski biznes się zreflektował.

Przedsiębiorcy pomstują na państwo, że nieustannie coś zawala, utrudnia. Zgoda, ale popatrzcie, jak sami wyglądacie! Macie te domy samochody, wakacje – ale jakie macie drogi dojazdowe, szkoły i przychodnie? Zrozumcie, że to także wasza wspólna sprawa, i nie wołajcie, że problemy załatwi wam – w zależności od opcji światopoglądowej – tylko państwo albo tylko wolny rynek. Weźcie odpowiedzialność za to, co na zewnątrz waszych molekuł.

### **Skąd właściwie mamy tę skłonność do molekuł?**

– Pewnie z historii. Po co to wałkować? W wolnej Polsce mogliśmy zadbać, żeby zacząć to zmieniać, ale niestety odpuściliśmy. Niech pan popatrzy na mapę polskiego miasta. Osiedle Miasteczko Wilanów – coś karygodnego. Czy tam może się pojawić jakikolwiek kapitał społeczny? Jakaś wspólnotowość? Nie ma przestrzeni, za którą ludzie mogliby poczuć odpowiedzialność i być w niej razem. Jeśli skomercjalizowaliśmy przestrzeń miasta, zlikwidowaliśmy przestrzeń otwartą, odgradziliśmy urzędy, bo wszędzie są bramki, kontrole, to nie ma warunków sprzyjających budowaniu zaufania. Przestrzeń w wolnej Polsce została zawłaszczona lub skomercjalizowana.

### **Park?**

– Albo dom kultury! To pojęcie brzmi dziś śmiesznie, pachnie Peerelem. Biblioteka osiedlowa – tak samo. Ale nie chodzi o zakurzone pomieszczenie z nieczytanymi książkami, tylko o centrum aktywności obywatelskiej. I deweloper ma za to zapłacić. Chcesz zarabiać na mieszkaniówce? To tak buduj, żeby mogła powstać wspólnota obywateli.

### **Wymusić?**

– To nie jest wymuszenie, tylko uczciwy *deal*. Przestrzeń miejska – nawet jeśli ma prywatnego właściciela – jest przestrzenią wspólną. Nie wolno jej całkowicie

zawłaszczą. Nie może być tak, że jedynymi publicznymi miejscami, gdzie ludzie mogą się spotykać, są w Polsce supermarkety i kościoły.

**Polska chwali się tym, że eksportuje na potęgę, wysyłamy za granicę masę nowoczesnych towarów. Pan w raporcie ostrzega, że mamy „eksport o niskiej wartości dodanej”. Co to znaczy?**

– Żeby coś wyprodukować – np. samochód, bo to jeden z naszych hitów eksportowych – najpierw musi być jakaś idea, pomysł, który przekształca się w projekt, potem są różnego rodzaju części składowe, wreszcie jest montowanie, a na końcu dystrybucja i marketing. I największą wartość dodaną, czyli największy zwrot z poniesionych nakładów, uzyskuje się w pierwszej fazie tego łańcucha i w ostatniej. Najmniej opłacalny jest środek, czyli montowanie.

**Opłaca się tworzyć ideę, patenty, projektować, a potem zajmować reklamą już gotowego produktu?**

– Tak, w uproszczeniu. A my jesteśmy wciąż w środku. Początek produkcji i koniec są zawsze gdzieś na zewnątrz.

**Może jesteśmy dobrzy w montowaniu i powinniśmy się z tego cieszyć?**

– Jesteśmy mistrzami w dokręcaniu śrubek – tak napisaliśmy w raporcie. Trzeba tylko pamiętać, jakie są konsekwencje. Co z tego, że teoretycznie możemy się pochwalić, że produkujemy cały samochód, skoro daje nam to mały dochód? Eksportujemy bardzo dużo, jeśli uwzględnić wartość towaru albo tonaż, bo samochód kosztuje co najmniej kilkadziesiąt tysięcy złotych i swoje waży, ale nasz prawdziwy udział jest tak naprawdę niewielki. Międzynarodowe centrum zysku dzieli się na końcu ze wszystkimi uczestnikami procesu, ktoś dostaje pieniądze za wymyślenie konstrukcji auta, ktoś za opatentowanie nowego typu wtryskiwacza, ktoś za design. Duże pieniądze idą na opracowanie kampanii reklamowej. Montażyści dostają niewiele.

Niebezpieczny efekt jest też taki, że to utrwała nasz wzrost zależny. Czy można w pół roku przenieść montownię samochodów gdzie indziej? Można. Przecież te fabryki do nas skądś przywędrowały.

**Co to jest wzrost zależny?**

– Chodzi o to, że nasza względnie dobra kondycja w dużym stopniu jest zależna od tego, czy kapitał zagraniczny nie znajdzie gdzieś korzystniejszych warunków i nie odpłynie. „Środek” produkcji samochodu łatwo przechwycić. Wyobraźmy sobie, że Juszczenko po pomarańczowej rewolucji okazałby się ukraińskim Balcerowiczem

i przeprowadził reformy: państwo prawa, ukrócenie korupcji, to by wystarczyło na początek. Do tego niskie pensje, małe wymagania pracowników – i montownie byłyby już tam. Mamy coraz mniej czasu, żeby się uwolnić od takiej zależności.

### **Może im szybciej się wyniosą, tym lepiej, bo nas zmuszą do innowacji, główkowania?**

– Nie. To by nas bardzo dużo kosztowało. Ale trzeba z nimi rozmawiać. Stawiać nowe warunki. Nie wiem, czego wicepremier Piechociński chciał od Fiata poza tym, żeby jakieś samochody nadal były tu produkowane, co wydaje mi się postulatem nieco minimalistycznym. Żeby skutecznie negocjować z kapitałem zagranicznym, trzeba mieć własną strategię gry z biznesem.

### **„To my dziękujemy, przenosimy się do Rumunii” – powiedzą.**

– Jeśli taka byłaby postawa kapitału zagranicznego, to tym bardziej musimy polegać na kapitale krajowym.

Nie możemy już brać wszystkiego jak leci, nie na tym etapie rozwoju. Powinniśmy przyciągać tylko określony kapitał zagraniczny. Nasze specjalne strefy ekonomiczne długo działały na zasadzie łapanki – kto chce, niech przybywa, dajemy grunty, przywileje podatkowe, dotacje, bylebyś cokolwiek w Polsce montował i zatrudnił ludzi, choćby za minimalną płacę. Pewnie na początku tak należało postępować, ale rzeczywistość się zmieniła. Niestety, ideowo utknęliśmy w poglądach z lat dziewięćdziesiątych. Wciąż słychać opinie ekspertów, że stawianie warunków kapitałowi zagranicznemu to jakieś fantasmagorie, sabotowanie inwestycji itd. Jako wicepremier byłem wściekle krytykowany, że nie doprowadziłem do otwarcia fabryki Kii w Polsce. Wiele razy się spotykaliśmy, koreańscy inwestorzy dostali bardzo dobrą propozycję, a po wszystkich negocjacjach zapytali: „Panie premierze, my już wiemy, co macie do zaoferowania, a teraz chcemy wiedzieć, co macie do zaoferowania więcej. Bo jedziemy na Słowację i tam będziemy pytać o to samo”. Nie chciałem tej fabryki za wszelką cenę.

### **A o co im chodziło?**

– No jak to? O pieniądze! O wpłacony przez państwo bonus inwestycyjny, dodatkowy przywilej, grant. Można to nazywać na wiele sposobów. Zbudujemy u was fabrykę, ale za nią zapłaćcie.

### **Kogo ściągać do Polski?**

– Specjalne strefy ekonomiczne powinny nas przesuwać w łańcuchu produkcyjnym bliżej początku.

## **Bliżej idei?**

– Tak. Możemy ściągać przedsiębiorstwa określonych branż i wtedy powstaje tzw. k aster. Albo wpuszczajmy na dobrych warunkach tylko te firmy, które mają określony poziom zaawansowania technologicznego i będą chciały współpracować z naszą branżą naukowo-techniczną. „Dajemy wam ulgi, ale macie część rozwiązań technicznych kupować na miejscu”

## **A Fiatowi, który już tu jest, co powiedzieć?**

– Rozmowa z Fiatem nie powinna się sprowadzać do ogólnych deklaracji: kochajmy się, produkujmy itd. Powinna być bardzo szczegółowa: „Czy możecie podjąć współpracę z ośrodkami wzornictwa? I z którymi ośrodkami? Czy możecie współpracować z uczelniami? I z którymi uczelniami?”. Wszystko sprowadza się do rozsądnej rozmowy. Tylko żeby prowadzić szczegółowe rozmowy z trudnym partnerem, trzeba dokładnie wiedzieć, czego się chce.

## **A my nie wiemy?**

– Nie bardzo. Raz chcemy tego, a raz tamtego. Tak ogólnie chcemy, żeby dobrze było. Niestety, „tak ogólnie” to się nie da nic załatwić. Państwo nie ma prawdziwej strategii długoterminowej, tylko kolejne rządowe dokumenty nazywane strategiami.

Kapitał zagraniczny kieruje się wyłącznie własnym interesem, trudno mieć o to pretensje, ale nie można też mieć złudzeń. Warto cały czas z nimi rozmawiać.

## **O czym?**

– Dlaczego u siebie macie związki zawodowe, a w Polsce robicie wszystko, żeby ich nie mieć? Proszę, wytłumaczcie to! Dlaczego w statutach waszych korporacji matek wychwalacie partycypację pracowniczą, a w Polsce blokujecie wszelkie starania, żeby powstała reprezentacja załogi?

**Jakby byli szczerzy, to by odpowiedzieli: „Właśnie dlatego przyszliśmy do Polski, że te wszystkie dyrdymały związkowe i pracownicze uznawaliście za socjalistyczny przeżytek. I mogliśmy trzymać związki zawodowe za mordę, a kasjerki sadzać w pampersach”.**

– To nie znaczy, że mamy na to się zgadzać! Trzeba naciskać. I włączać do dialogu duże stowarzyszenia biznesu, organizacje pracodawców. Niestety, one niechętnie ze sobą współpracują. W Polsce źle funkcjonuje dialog społeczny, więc wiele tematów wybucha dopiero w formie konfliktu, kiedy trudno cokolwiek rozsądnego ustalić, bo nastąpiła już eskalacja niechęci. Najpierw trzeba zbudować zdolność

do komunikowania się, a do tego potrzeba minimum zaufania. Strony mają swoje racje, interesy i trzeba je umieć kojarzyć. Mamy Komisję Trójstronną, która od roku nie działa, bo związki zawodowe poczuły się lekceważone i odeszły od stołu. Czy związkowcy rozmawiają gdziekolwiek z pracodawcami? Rzadko.

### **Jak zmieniać świat?**

– Najpierw trzeba zadać sobie pytanie: „Po co?”, „W jakim celu?”. W dzisiejszej Polsce o to nie pytamy, krzążemy się nerwowo wokół sposobów i sposobików osiągnięcia celu, a o samym celu wiemy coraz mniej.

Moim zdaniem celem Polski nie powinien być ani rynek, ani państwo, ani magiczny wzrost PKB, chociaż to oczywiście ważne. Celem jest jakość życia. Ludzie są zadowoleni nie wtedy, kiedy każdego stać na wypasionego SUV-a i tkwi w nim w korku na Puławskiej, tylko kiedy każdy ma dostęp do wspólnego parku, dobrej komunikacji publicznej, taniego i bezpiecznego metra, czystych chodników, ma blisko żłobek, przedszkole, szkołę i w miarę sprawną służbę zdrowia, w pracy traktują go po ludzku, a nie jak poddanego w folwarku.

Nie da się niczego osiągnąć bez dobrego przykładu. Metodą nakazową niewiele się zmieni, więc staram się zmieniać świat metodą pokazową.

### **Gadaniem.**

– Też. Nie ma nic skuteczniejszego od głoszenia idei, jeśli trafia w swój czas.

Uważam, że profesor szkoły publicznej ma publiczne obowiązki i ponosi publiczną odpowiedzialność. Nie chodzi tylko o to, że powinienem porządnie kształcić studentów, rozwijać kadrę. Na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie stworzyłem dwadzieścia jeden lat temu nowy kierunek: gospodarka i administracja publiczna. I to nadal jest mój najważniejszy projekt życiowy. Buduję zespoły naukowe, które generują wiedzę społeczną, wiedzę dla państwa, dla polityków, łącznie z projektami przepisów. Chciałbym, żeby to było ogólnodostępne dobro publiczne. Raport, o którym dziś rozmawiamy, dotyczy konkurencyjności polskiej gospodarki. Wcześniej przygotowaliśmy raport o innowacyjności. A jeszcze wcześniej – na zlecenie Ministerstwa Kultury – trzy opracowania o reformowaniu kultury w Polsce. Ale to był ostatni raz, kiedy coś robiłem na zamówienie rządu.

### **Bo?**

– Bezcelowe.

Minister Zdrojewski ogłosił to na swoich stronach, ale nic nie wykorzystał. No, może 2 procent.



## **Przeczytał?**

– Tak. Nawet powtarzał, że to jest wreszcie to, czego potrzebuje polska kultura. Do czasu, aż presja jego własnych urzędników spowodowała, że zaczął się wycofywać.

Zmiana świata zawsze zaczyna się od zmiany perspektywy, mentalności. Dlatego uważam, że te raporty, opracowania – to „gadanie”, jak pan to nazwał – coś jednak zmieniają.

## **Państwo polskie jest...**

– Leniwe. Przestało eksperymentować. To jest wyraźna różnica wobec Polski, którą mieliśmy na początku transformacji. Pamiętam swoje czasy rządowe, kiedy byłem wicepremierem. Myśmy próbowali zmieniać świat, a nie wyłącznie dostosowywać się do zastanej rzeczywistości.

## **Ile udało się zrealizować z planu Hausnera?**

– Tę nazwę wymyśliła pana koleżanka z redakcji, ja jej nie używam. To był program naprawy finansów publicznych. Niezbędny.

## **Ile? Procentowo.**

– Połowicznie. Wystarczająco, by zatrzymać szybkie narastanie długu publicznego, i niewystarczająco, by trwale naprawić finanse publiczne.

## **50 procent?**

– Tak, czysto rachunkowo tyle mniej więcej wyszło, bo udało się zaoszczędzić połowę sumy, którą zakładaliśmy. Jeśli natomiast rzecz mierzyć moim poczuciem sensu, to wynik będzie gorszy. Ale to dlatego, że większość zmian później zneutralizowano.

Obszar administracyjny – z tych zmian nie zostało nic. Zmniejszyłem liczbę członków gabinetów politycznych, żeby nie upolitycznić ministerstw – wycofano. Zmniejszyłem liczbę „erek” – wycofano. Wprowadziłem rozwiązania zmniejszające zatrudnienie w administracji wojewódzkiej – wycofano.

Ale były obszary – finansowanie armii, weryfikacja zasiłków – gdzie zmiany zostały zachowane.

## **30 procent się udało?**

– Można tak powiedzieć.

**Jak to się dzieje, że w Polsce ze 100 procent zawsze się robi 30 albo jeszcze mniej? Takie doświadczenia ma bardzo wielu ludzi, którzy wchodzili do rządów,**

**do administracji publicznej i próbowali coś zmieniać. Jeden z ministrów porównał aparat polskiego państwa do galarety, która potrafi zamortyzować każdy ruch. „Uderzam pięścią, galareta chwilę się trzęsie, a potem wszystko zamiera”.**

– Ja nazywam ten proces koleinowaniem: niby jedziemy w inną stronę, ale w końcu trafiamy w te same koleiny.

Gdyby aparat państwowy akceptował dziś ludzi, którzy przychodzą z propozycjami – może nie rewolucji, ale jakichkolwiek ważnych zmian – i zostawałoby z tego 30 procent, byłbym spokojny o Polskę. W okresie pionierskim pewnie musiało być więcej, Balcerowicz i terapia szokowa to momentami było 100 procent. Potem może trzeba było mieć wynik 50 procent – i za moich czasów udawało się to czasem osiągnąć. Teraz wystarczyłoby 30 procent, a niechby 20, tyle że nikt nie próbuje, nie ma żadnego wysiłku reformatorskiego. Państwo polskie, które kiedyś wykazywało sporą inwencję w poszukiwaniu nowych dróg i rozwiązań, zupełnie przestało to robić.

### **Gdzie ten zapal znikną? Gdzie jest czarna dziura?**

– Nie ma czarnej dziury. Jest machina państwa, która ma swoją część biurokratyczną i część polityczną.

### **To najpierw o biurokratycznej.**

– Ona kieruje się logiką przetrwania, najczęściej są to rozmaite strategie zabezpieczania się w urzędach. Zmiany są neutralizowane, bo po prostu mogą być niebezpieczne.

### **Przychodzę do rządu pełen pomysłów i?**

– Zostaje pan ministrem, wysyła sygnał: „Zróbmy to”, a ze studni wraca odpowiedź: „Nie da się”. Następnie echo to powtarza.

Na początku bez przerwy słyszałem „Nie da się”. Jestem uparty, to jedna z moich cech podstawowych, więc jak coś takiego słyszę, to tym bardziej nie ustępuję. Ale żeby być skutecznym, muszę dokładnie wiedzieć, do czego zmierzam.

### **No jak to do czego? Żeby wygrać kolejne wybory.**

– Nie! Mnie to kompletnie nie zaprzętało głowy.

To nie jest tak, że przychodzi pan do rządu i wszystko zaraz wie; teraz będzie nowy pontyfikat, bo jestem światły, poznałem prawdę. Przychodzi się do rządu lepiej lub gorzej przygotowanym i przede wszystkim warto sprawdzić, co jest w ministerialnej agendzie, a co w realnym życiu. I czy te dwa światy w ogóle się widzą.

### **W agendzie?**

– Czy to, co panu przynoszą na biurko, jest spójne z tym, co pan widzi na zewnątrz budynku.

### **I jaki jest procent zgodności?**

– Na początku prawie zero. Zamulanie. To aż zaskakujące, czym minister według podległej mu biurokracji powinien się zajmować, bo na pewno nie realnymi problemami widocznymi w życiu obywateli. Musiałem odwrócić proporcje – 70 procent spraw to był mój wybór, a tylko 30 procent brałem z tego, co podsuwała hydra.

### **Czyli z biurka.**

– Hydra najpierw pana dokładnie ogląda. Jak przyszedłem do Ministerstwa Pracy, to poprosiłem Jacka Kuronia, żeby mnie wprowadził. On powiedział sporo ciepłych słów, potem ja palnąłem mowę, w której padło określenie „nasze ministerstwo”. Jedna z urzędniczek biegała potem po korytarzu: „Nasze ministerstwo? Co on sobie myśli! On jest tu na moment, przejściowy. To jest nasze ministerstwo. NASZE”

### **Miała rację.**

– Świetna dyrektorka, bardzo kompetentna, jak się potem okazało. Do tego miała ostry język i dużo odwagi cywilnej, a to cechy nie do przecenienia w biurokratycznym aparacie.

Nieustannie zderza się pan z bardzo rzeczowymi i rozbudowanymi uzasadnieniami, że czegoś się nie da zrobić. „A jeśli rozporządzenie nr 102/98 zmienimy, to wtedy się da?” – pyta pan. „Tak, ale wtedy trzeba by też zmienić rozporządzenie nr 105/99, a to już nie leży w gestii naszego ministerstwa”. Argument nie do odparcia. „No dobrze, a jak uda się dogadać z drugim resortem i oba rozporządzenia zmienić?” „No tak, ale wtedy to będzie w kolizji z ustawą”. I tak dalej. Na końcu okazuje się, że nie trzeba zmieniać żadnych rozporządzeń, bo obowiązujące prawo jest wystarczające dobre, żeby wprowadzić jakiś pomysł, tylko trzeba chcieć.

### **Wicepremier w Polsce nie może aparatowi wydać polecenia?**

– Jeżeli jest rutynowe, to może. Ale jak nie jest rutynowe, to na samym początku będzie wyłącznie „NIE”. Ewentualnie – jeśli aparat się pana boi – podejmowane są działania pozorowane, a to jeszcze gorsze, bo jest pan oszukiwany, że coś się dzieje, i tylko czas leci. Jeśli zupełnie „się nie da”, no to czasami trzeba dopuścić ludzi z zewnątrz. Cała reforma emerytalna była przygotowana przez specjalne biuro, Andrzej Bączkowski je stworzył, bo nigdy struktura urzędnicza nie byłaby w stanie wygenerować takiego konceptu, nie miałoby kompetencji i czasu.

Czasem aparat nie sabotuje co prawda reform, ale stosuje strategię przerabiania ich na własną korzyść. Jak byłem w rządzie, to wprowadzałem rozmaite formy aktywnego zwalczania bezrobocia, m.in. program „Pierwsza praca” dla absolwentów. Program najbardziej doceniła administracja publiczna, w tym urzędy pracy – brali absolwentów na staże: oni robili całą robotę papierkową, następnie wywalano ich i brano następnych.

Po wejściu do Unii pojawiła się jeszcze inna strategia: „Zwal wszystko na Brukselę”. Tworzy się niepotrzebnie skomplikowane przepisy, które zabezpieczają hydrę urzędniczą przed podejmowaniem decyzji i odpowiedzialnością. „Bo Unia tego wymaga” – tłumaczy urzędnik konieczność wypełniania jakiejś idiotycznej tabelki, która jest czysto polskim wkładem.

### **A druga część hydry – ta polityczna?**

– Są różne typy polityków, ale podział z grubsza od zawsze był taki: jedni są od zdobywania władzy, drudzy od rozwiązywania problemów. W każdej formacji politycznej muszą być ludzie, którzy są mistrzami marketingu politycznego i PR. Jak mówi klasyk Grzegorz Kołodko: „Nie wystarczy mieć rację, trzeba mieć 50 procent plus jeden”. Ale muszą też być w polityce ludzie od rozwiązywania problemów.

### **Teraz w polityce są wyłącznie ci od marketingu?**

– Nie wyłącznie, ale proporcja się zmieniła. Na początku wolnej Polski dominowali ludzie, którzy na marketingu politycznym kompletnie się nie znali, natomiast chcieli rozwiązywać problemy państwa, i stworzono strukturę, która to umożliwiała. Nasz system polityczny stopniowo zmieniał się w taki sposób, żeby neutralizować znaczenie osób od rozwiązywania problemów, a wzmacniać tych od zdobywania władzy. I władza stała się celem samym w sobie. Jest nie po to, żeby zmieniać świat, tylko po to, żeby jej nie oddać. Lęk przed oddaniem władzy to obecnie najsilniejszy motor w polskiej polityce. Temu jest wszystko podporządkowane.

### **Lęk?**

– Większość polityków jest święcie przekonana, że jak straci władzę, to pójdzie do więzienia. Przyjdą oponenti i nas powsadzają. I to jest strach realny.

### **Przecież w Polsce jeszcze nikt nikogo nie wsadził.**

– To nie jest lęk, że nas powieszają na latarni, ale że nas wyrzucą, będą ciągać po sądach, a na pewno oplują. Jak odszedłem z rządu, to w jednej sprawie rozważono postawienie mi zarzutu – sprawa marginalna, szybko się skończyła, bo nie miała żadnego faktycznego uzasadnienia – ale w pięciu chodziłem ciągle zeznawać jako

świadek. Nie mam o to pretensji, nikt mnie nie ścigał medialnie. Ale teraz byłaby nagonka. To jest taki lęk i ja go rozumiem.

### **Zawdzięczamy tę atmosferę PiS-owi?**

– To prawidłowa odpowiedź, ale nie do końca. Bo nazwa PiS czy nazwisko Kaczyński to są tylko personifikacje. Po prostu w Polsce system demokratyczny jest tak zbudowany, że mamy do czynienia z plemionami. Dzisiaj walczą akurat takie dwa plemiona, ale jakby nie one walczyły, to prawdopodobnie byłyby jakieś inne. Bo Polacy tak chcą.

### **Mamy dwie wrogie gigantyczne molekuły.**

– Coś w tym rodzaju. W dodatku jedna z nich – ta bardziej nasza – wyznaje idiotyczną zasadę, że nie wolno krytykować rządu PO, bo po nim przyjdzie faszyzm. Jeden z polskich intelektualistów – redaktor naczelny – palnął mi taką oto mowę: „Jeśli krytykujesz rząd, to jesteś pożytecznym idiotą, przyczyniasz się do upadku naszej republiki. Upadnie jak Republika Weimarska”. Myślałem, że spadnę z krzesła. To znaczy, że mamy do czynienia z sytuacją, w której polskie elity uważają – mówiąc brutalnie – że trzeba stulić pysk. A przecież zdrowe życie publiczne jest wtedy, gdy mając wątpliwości, mogą je swobodnie wyrażać. W Polsce właściwie nie powinienem tego robić, bo głosząc na przykład w sprawie OFE inny pogląd niż rząd, doprowadzam do faszyzmu, jak się okazuje.

Ponieważ grozi nam Kaczyński, to nie dyskutujemy i nic nie róbmy – to jest najgorsze. Jeśli zaczniemy cokolwiek w państwie na serio reformować, to zrazimy do siebie ludzi, zaczną głosować na Kaczyńskiego i będzie faszyzm.

Uważam, że ludzie próbujący sprowadzić sytuację do takiego wyboru – Tusk albo nieszczęście – doprowadzają do nieszczęścia. Demokracja, w której zaczyna brakować rzeczywistej alternatywy programowej, zaczyna zmierzać w kierunku systemu półautokratycznego z Tuskiem w roli jedyne go możliwego wyboru.

Powiem przykład zdumiewający, ale go wykreślę w autoryzacji.

### **To nie chcę.**

– No to ogólnie: w czerwcowym orędziu prezydent Komorowski powiedział, że jeśli nie przyspieszymy reform, to Polska trwale spowolni. Święta prawda i oczywista oczywistość. Jaka jest reakcja? „Ale o co mu chodzi?” „Dlaczego on nas atakuje?” W obozie władzy jest złość, poczucie, że to szkodzi. Prezydent szkodnik, bo ma jakieś uwagi, a kto nie z nami, ten przeciwko nam.

Często mówię: „Jeśli tak się boicie »faszyzmu«, to pilnujcie instytucji

konstytucyjnych, które utrudnią waszym ewentualnym następcom autorytarne rządy. Pilnujcie reguł. Nie próbujcie podporządkować sobie Narodowego Banku Polskiego, bo wtedy tamci będą mieli ułatwione zadanie. Pilnujcie niezależności Trybunału Konstytucyjnego. Traktujcie prezydenta poważnie, jako strażnika konstytucji, i nie wymuszajcie na nim, żeby podpisywał ustawy niezgodne z konstytucją.”

Brak alternatywy politycznej – że po nas tylko potop, po nas nieszczęście, faszyzm, katastrofa – usprawiedliwia sytuację, w której z jednej strony jest zaniechanie, a z drugiej chaotyczne działania doraźne, kombinowanie, łatanina.

### **Dzisiaj wsadzamy Trynkiewicza, a jutro łapiemy pijanych kierowców.**

– Spece od PR świetnie wyczują, że z Trynkiewiczem należałoby coś zrobić, bo inaczej „tabloidy oszaleją i nas zjedzą”, ale jak to zrobić rozsądnie i zgodnie z prawem – tego już nie wiedzą. Nie od tego oni są. A ludzi od załatwiania problemów z polityki wymiotło. Sprawy załatwia się z doskoku, co oczywiście powoduje pogłębiający się bałagan.

Na jednym ze spotkań omawiających nasz raport Andrzej Malinowski, kierujący jedną z większych organizacji pracodawców w Polsce, powiedział do rządzących polityków mniej więcej tak: „Podnieśliście minimalne wynagrodzenie, zmieniliście ważny parametr, na podstawie którego firmy budowlane kalkulowały ceny w przetargach, a jednocześnie nie dorzuciliście ani grosza do systemu zamówień publicznych. I umowy państwa z firmami nie podlegają negocjacom.”

### **To może pan Malinowski i jego koledzy właściciele firm budowlanych muszą nieco zejść ze swoich dochodów?**

– Jeżeli dochód mieli wkalkulowany.

### **Bo budują z dobrego serca.**

– Traktuje ich pan protekcyjnie, a na to nie zasługują. Do czego to prowadzi, widać na przykładzie upadłych przedsiębiorstw budowlanych. Jak to możliwe, że przy tak wielkim programie publicznych inwestycji drogowych i nie tylko, przy całej tej wielkiej unijnej kasie udało nam się położyć sektor budownictwa? Położyliśmy go koncertowo. Wyjaśni to pan? To nie jest jeden czy drugi przykład, sektor popadł w głęboką recesję, gdy w całej gospodarce mamy ciągły wzrost.

### **Wina państwa?**

– Ależ oczywiście. Wina systemu zamówień publicznych. Nie chodzi tylko o prawo, ale głównie o jego praktyczne stosowanie. Urzędników przestały interesować

konsekwencje ich działań.

### **Ogłaszam przetarg, w którym decyduje kryterium ceny, i mam z głowy.**

– A kiedy droższą materiały budowlane, to urzędnik mówi firmom: „Podpisaliście umowy, musicie je realizować” I ma gdzieś, czy autostrady za tę cenę mogą powstać.

### **Bo?**

– Bo jakby wdał się z firmami w negocjacje, to zaraz byłoby podejrzenie: „O, łapówkę wziął!” Po prostu boi się okrzyków nagonki „łapaj złodzieja”

Państwo, żeby móc sprawnie realizować duże projekty, musi mieć jasne reguły, ale w ramach reguł – jakiś luz decyzyjny. I dobrych urzędników, żeby z tego luzu korzystali. Podejmujesz decyzję, więc bierzesz odpowiedzialność również za jej konsekwencje. Ale masz prawo do ryzyka.

### **A urzędnik u nas podejmuje decyzję i umywa ręce?**

– Nie. On nie podejmuje decyzji, tylko uruchamia procedurę. A potem patrzy, czy w ramach tej procedury nikt mu niczego nie zarzuci i nie będzie ciągał go po sądach. Ale za to, że potem są źle zbudowane drogi, opóźnienia i bankructwa, nie odpowiada. To nie jest jego problem.

### **To Tuska wina.**

– Jakiejś mitycznej władzy. Ale w mojej molekułe, na moim biurku papierki się zgadzają i mam uładzony, miły świat. Niech pan zobaczy, co się dzieje w tych naszych polskich molekułach.

### **Świetnie się dzieje.**

– Tak. Ale co to oznacza? Dlaczego Polacy uważają, że oni sami sobie dobrze radzą, tylko państwo sobie nie radzi? Dlaczego u siebie jesteśmy szczęśliwi, a jako wspólnota – nie bardzo? Bo za rzeczy bliskie chętnie wzięliśmy odpowiedzialność, nie boimy się jej. Radzimy sobie raz lepiej, raz gorzej, ale radzimy. Natomiast całkowicie uciekamy od odpowiedzialności za rzeczy dalsze niż na wyciągnięcie ręki. I to jest ucieczka wszystkich. I rządzących, i rządzonych. Trzeba nam więcej odwagi i zaufania, wtedy góry można przenosić.

### **Bo Polak potrafi.**

– Potrafiłby dużo więcej, gdyby mógł i potrafił zaufać drugiemu.

# Mamy za dużo kasy

---

## Rozmowa z PIOTREM KUCZYŃSKIM

**PIOTR KUCZYŃSKI (1950)** pracuje jako główny analityk Domu Inwestycyjnego „Xelion”. Ukończył Politechnikę Gdańską (Wydział Elektroniki). W Peerelu pracował w państwowej Merze-Błonie, w 1981 roku był sekretarzem Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”, potem został szefem firmy polonijnej. W wolnej Polsce aktywny inwestor giełdowy. Pracował m.in. w Euromoney, Bankier.pl, „Pulsie Biznesu”. Żonaty (żona też jest magistrem inżynierem elektroniki), ma syna (również Piotra).

**Pan jest dziwny.**

– Bo?

**Główny analityk zatrudniony w dużej firmie inwestycyjnej krytykuje sektor finansowy. Pisze na blogu, że bankierzy zepsuli nam świat, że kosmiczne pensje prezesów są szkodliwe dla gospodarki i że trzeba walczyć o większą równość społeczną. „Różowy Kuczyński” – mówią o panu koledzy.**

– To oni są dziwni. O kogo powinien dbać bankier? O swoich klientów, czyli o klasę średnią. A klasie średniej najlepiej się żyło w Europie, kiedy nią rządziła idea państwa opiekuńczego. Bankierzy i finansiści powinni z całych sił wspierać państwo opiekuńcze, promować solidarność między ludźmi i płacić wysokie podatki, bo porządne państwo kosztuje. A nie wyznawać neoliberalną wizję taniego państwa-kadłubka, które nic nie może, kolebie się od kryzysu do kryzysu i zostawia klasę średnią na pastwę losu.



## **W Polsce co wyznają?**

– Polska to ideowy grajdoł. Już chyba tylko u nas i w kilku krajach postkomunistycznych elity są tak ograniczone w poglądach ekonomicznych. Na świecie nastąpił powrót myśli Keynesa, ekonomiści na nowo odkrywają istotną rolę państwa w gospodarce. My tkwimy mentalnie w epoce sprzed kryzysu. Zwłaszcza media. Jak ktoś wystaje z głównego nurtu myślenia, to jest oszołom i różowy.

## **Ten główny nurt to jest co?**

– Neoliberalizm. Krąży to wszystko wokół poglądów Leszka Balcerowicza w wersji nieco zwulgaryzowanej: prywatyzacja wszystkiego, co się da, łącznie ze służbą zdrowia, deregulacja zawodów, niskie podatki, które niby pobudzają gospodarkę, elastyczny rynek pracy. I wieczna mantra, że państwo trzeba odchudzać, bo to jakiś marnotrawny potwór. Związku między tym odchudzaniem i niedoinwestowaniem wielu dziedzin a słabą jakością usług publicznych neoliberalowie jakoś nie widzą. To wszystko okraszone pogodnymi bajeczkami dla ludu, że jak bogaci się bogacą, to biedni też, bo bogactwo przecieka w dół. Widziałem kiedyś rysunek w amerykańskiej gazecie: „Zatamowaliśmy już ten przeciek” – mówi hydraulik. Tak to wygląda.

## **Bogactwo nie przecieka w dół?**

– Przecieka, tyle że po kropelce, bo 90 procent zysków zgarniają ci, którzy już są bogaci. To główny problem dzisiejszego świata – gigantyczny wzrost nierówności. Walka klas toczy się obecnie między tymi, którzy posiadają, a tymi, którzy posiadają jachty. A reszta się przygląda i frustruje.

Rozwarstwienie dochodów w USA osiągnęło poziomy z czasów Wielkiego Kryzysu. Zaprzepaszczono kilkadziesiąt lat wysiłków, żeby między ludźmi panowała większa spójność i solidarność. W Stanach w latach siedemdziesiątych prezes dużej firmy zarabiał czterdzieści razy więcej niż średnia zarobków w firmie. Dzisiaj zarabia czterysta czterdzieści razy więcej! Po raz pierwszy w historii można stać się bogatym człowiekiem, nie inwestując i nie ryzykując własnych pieniędzy. Wystarczy dwie kadencje побыć prezesem czegokolwiek, co ma związek ze światem banków czy funduszy inwestycyjnych, i jest się ustawionym do końca życia. Oczywiście mówię o USA i Europie Zachodniej, u nas pensje wciąż na szczęście nie poszybowały. Dick Fuld, prezes zbankrutowanego Lehman Brothers, uzbierał w formie premii pakiet akcji wart 500 milionów dolarów. Pół miliarda! Wyobraża pan sobie te pieniądze? To chore. Nie można rozsądnie kierować firmą, jeśli się tyle zarabia.

## **Bo?**

– Człowiek, który ma przed oczami wizję takich premii, łąduje w kosmosie, przestaje realnie oceniać rzeczywistość. To niszczy jego, ale niszczy też firmę. Zbyt duże zarobki menedżerów wypaczają priorytety zarządzania. Krótkoterminowe cele stają się bardziej istotne niż długoterminowa strategia. Jeśli w kontrakcie menedżerskim mam obiecaną 5 milionów dolarów rocznej premii – a jest to umiarkowana kwota na Wall Street – to osiągnę wynik wszelkimi możliwymi sposobami. Zarządzając ryzykownie, inwestując zbyt agresywnie pieniądze klientów i pompując kolejną bańkę spekulacyjną na giełdzie albo na rynku surowców. Wezmę premię i niech się wszystko wali.

Jest też coś, co zabrzmia staroświecko – poczucie sprawiedliwości. Kosmiczne zarobki kadry zarządzającej psują atmosferę między ludźmi. Jakikolwiek porozumienie między kasjerką w okienku a prezesem staje się niemożliwe. A kiedy brakuje spójności wewnątrz firmy, zaczyna ona źle działać. Budzi się duch rywalizacji, ale nie tej rozsądnej, nastawionej na budowanie kariery, tylko marzącej o błyskawicznym bogactwie. Szybko. Nie za dziesięć lat. Jak się postaram, już za rok mogę być bogaty! Psychiczny koszt wariackich premii jest ogromny.

### **Dobry prezes musi dużo zarabiać, inaczej pójdzie do konkurencji.**

– Bzdury. Niech pan obniży pensje amerykańskim prezesom dużych firm z miliona dolarów miesięcznie do 200 tysięcy dolarów i zobaczy, czy nie ustawi się kolejka chętnych z dyplomami dobrych uczelni i wybitnymi kompetencjami. Otóż ustawi się. To bajki, że trzeba aż tyle płacić. Nie ma żadnego rozsądnego powodu, oczywiście poza interesem członków tego klanu.

### **Pan dobrze zarabia?**

– A co to znaczy dobrze?

### **W Polsce? Powiedzmy 10 tysięcy złotych na rękę.**

– W takim razie zarabiam bardzo dobrze. I czuję się w Polsce doskonale, bo to jest kraj dla zamożnych ludzi.

### **Dlaczego?**

– Władza bardzo się o nas troszczy. W 2007 roku zostały wprowadzone przez minister Gilowską obniżki podatków. Zamiast trzech są dwa progi podatkowe i dwie stawki – 18 i 32 procent. Do tego doszła obniżka składki rentowej. Wiem, ile na tym zyskałem razem z żoną, bo policzyliśmy: 2 tysiące miesięcznie. Żyć, nie umierać! A przeciętny Polak zyskał 150 złotych. I tak jest z większością zmian podatkowych. Fundujemy sobie w niezbyt zamożnym kraju reformy, w wyniku których ja – człowiek

w miarę zamożny – staję się bardziej zamożny. Nożyce się rozwierają.

### **A sprawiedliwej byłoby jak?**

– O nie! O sprawiedliwości społecznej nie będę mówił. To jest w dzisiejszej Polsce tabu. Jak pan powie gdziekolwiek „sprawiedliwość społeczna”, to słycać śmiech na sali albo oskarżenia o mentalność peerelowską. Pilnuję się i gryzę w język. Używam zamienników.

### **Jakich?**

– Na przykład mówię: „równość szans”, „równy start dla wszystkich”. Te określenia nie wyłamują się z neoliberalnego dyskursu. „Równość szans” kojarzy się przecież z tym, że każdy może zostać milionerem, wziąć udział w wyścigu na wolnym rynku. Trzeba się tak nauczyć mówić, żeby odbiorca chciał słycać, nawet jeśli nie podziela pańskich poglądów. I nie wkładał pana do szufladki z napisem „czerwony”.

### **Peerel pan pamięta?**

– Spędziłem w nim dwie trzecie życia. Mam sześćdziesiąt trzy lata. Peerel zarażał ludzi złymi rzeczami, a e zarażał też czasem dobrymi. W szkole na przykład uczono mnie, że szacunek należy się sprzątacze, robotnikowi i profesorowi.

### **Gadanie.**

– Ależ oczywiście, że to były propagandowe pozory, ale pozory też tworzą klimat. Teraz ludzie przestali dbać nawet o nie. Prosty przykład: ochroniarzowi na dole zawsze powiem „dzień dobry”, ale pańscy rówieśnicy – czterdziestolatkowie, którzy w wolnej Polsce zrobili kariery – nie mówią. Traktują ochroniarzy jak powietrze. Inny obrazek: znajomy VIP podjeżdża pod McDonalda i ani „dzień dobry”, ani „dziękuję”. Ta dziewczyna z okienka dla niego nie istnieje.

### **Cham, i tyle.**

– Nie, to ma głębsze przyczyny. Rywalizacja stała się istotą naszego życia. Jak ktoś jest niżej, nie wygrywa w wolnorynkowej rzeczywistości, to dla zwycięzców nie istnieje.

### **Co pan robił w Peerelu?**

– Pracowałem w przedsiębiorstwie Mera-Błonie. Mój zespół skonstruował pierwszy polski komputer na mikroprocesorach Mera 200. Niech pan sam zobaczy (*Kuczyński grzebie w necie dłuższą chwilę, w końcu pokazuje zdjęcie czegoś, co wygląda jak skrzyżowanie szafy dwudrzwiowej z pianinem*).

## **Imponujące.**

– W dodatku powstawał w tajemnicy, bo nie wolno nam było robić komputerów.

## **Dlaczego?**

– Zgodnie z rozdzielnikiem komputery robiło Elwro myśmy mieli robić tylko drukarki. Centralne planowanie.

## **No właśnie. Ma pan ten swój socjalizm.**

– Z totalitaryzmem Peerel miał sporo wspólnego, z brakiem wolności gospodarczej – też wiele. Ale z socjalizmem niewiele, więc tak tego nie nazywajmy.

A potem mnie wywalili z Mery-Błonie i trafiłem do firmy polonijnej. Też komputerowej.

## **Wywalili za co?**

– Za „Solidarność”. Byłem sekretarzem w Regionie Mazowsze, organizowałem też związek w Merze. W stanie wojennym dyrektor z automatu mnie zwolnił. Musiał. Wciąż trzymam dokument, w którym w rubryce „Powody wypowiedzenia” jest wpisane: „Odmówił zdjęcia znaczka »Solidarności« z kłapy marynarki”

## **Po 1989 roku wielu marzyło, żeby mieć taki papier.**

– Jakoś nigdy się nie przydał.

Zmienialiśmy system, wahadło odbiło się w drugą stronę. Wszyscy młodzi ludzie w okresie transformacji kształceni byli w duchu rywalizacji. Konkurencją, a nie współpracą. Wyścig. Licz tylko na siebie, a nie na bliźnich. Wspólnota – czyli państwo – tylko przeszkadza i marnotrawi podatki. Trzeba więc państwo maksymalnie ograniczyć, sprowadzić do roli nocnego stróża. Tak wytresowani ludzie mają teraz około czterdziestki i właśnie zaczynają nami rządzić – w firmach, w polityce.

Ostatnio słyszę wciąż zbitkę „elastyczny rynek pracy”. Rzecznicy tych szkodliwych pomysłów powołują się na przykład Danii – tam w ramach walki z kryzysem rozluźniono kodeks pracy i nazwano to *flexicurity*, czyli połączenie słów „elastyczność” i „bezpieczeństwo”. W Polsce ma być niby to samo, ale nie będzie, bo weźmiemy sobie połowę tego hasła. Będzie tylko *flexi*, bez *security*. Proszę bardzo, zróbmy jak w Danii, że można zwolnić pracownika z dnia na dzień, ale przez rok dostaje on od państwa to samo wynagrodzenie i urząd pracy szuka mu roboty. Szuka naprawdę, a nie każe górnikowi zostać fryzjerem i odhacza statystyki. Tyle że za to się płaci. Podatkami. Nie ma nic za darmo. U nas panują mity, że można skutecznie walczyć z bezrobociem, a jednocześnie mieć niskie podatki i ograniczone

państwo.

Drugi mit, który jest w Polsce niesłuchanie rozpowszechniony, to taki, że niskie podatki służą rozwojowi gospodarczemu. Co właściwie zrobiła minister Gilowska?

### **Obniżyła podatki. Panu.**

– No właśnie. Mamy z żoną te dodatkowe 2 tysiące co miesiąc. Co możemy z nimi zrobić? Wydać na pierdoły, luksusy w ogóle niepomagające polskiej gospodarce, bo cygar i zegarków się u nas nie robi. Albo możemy odłożyć, czyli nakręcić spekulację.

### **Spekulację?**

– Zbyt duża koncentracja kapitału w rękach zamożnych osób powoduje nadmiar oszczędności. Gdzie te pieniądze lądują? Na przykład w zagranicznych funduszach inwestycyjnych. Fundusze kupują akcje. Akcje idą w górę. Bańka rośnie. Im więcej mają bogaci, tym większa bańka. Biedny – jak mu coś skapnie – to zaraz wyda. Na lepsze jedzenie. Albo robi remont łazienki, który planował od lat, kupi polskie kafelki.

### **Czyli pan nie jest zadowolony?**

– Jestem. Kto by nie był? Ale z punktu widzenia gospodarki dodawanie zamożnym jest bez sensu. Zwłaszcza jeśli naszego państwa na tyle rzeczy nie stać. Jakbyśmy mieli żłobki, przedszkola i finansowaną na przyzwoitym poziomie służbę zdrowia, to sobie obniżajmy podatki bogatym. Proszę bardzo, skoro taki mamy kaprys.

Uważam, że to, co dodano mnie i mojej żonie, powinno pójść do wspólnej państwowej kasy i trafić – na przykład w formie publicznych usług – do dziesięciu osób niezamożnych. Pobudziłoby to popyt i zmniejszyło nierówność.

Dodawanie pieniędzy ludziom zamożnym prowokuje sektor finansowy do nieodpowiedzialnych działań. Fundusze, do których płyną miliardy oszczędności, ścigają się w inwestowaniu ich w coraz wymyślniejszy sposób.

### **Na przykład?**

– Broker funduszu X w Londynie zakłada się z kolegą z funduszu Y, że cena chińskiego ryżu w ciągu tygodnia zmieni się w stosunku do ceny kauczuku o 40 procent. I inwestuje w ten zakład pieniądze klientów, coraz więcej, potem dołączają inni brokerzy, więc cena rzeczywiście się zmienia. Ale nie mają te wahania nic wspólnego z rzeczywistymi zbiorami ryżu czy z zapotrzebowaniem przemysłu na kauczuk, jedynie z tym, o co się założyło kilku spryciarzy z City. To się nazywa „instrumenty pochodne”

## **Ropa naftowa jest podstawą siedemdziesięciu instrumentów pochodnych.**

– Wszystkie surowce. Weźmy złoto, ostatnio mieliśmy mały krach – jego cena spadła o 15 procent. A jednocześnie prawie nie było transakcji na rzeczywistym rynku! Rozumie pan? Cena złota leciała na łeb na szyję, wyprzedaż, prawie panika, ale tak naprawdę nikt tak ostro złota nie sprzedawał. Jak chciał pan je kupić w realu, to nie mógł. Czysta spekulacja. Rynek instrumentów pochodnych jest potężny, a przecież zaczął się rozkręcać dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych. To typowy produkt neoliberalnej deregulacji rynków finansowych. Rozrósł się jak rak. Dziś w instrumenty pochodne zaangażowanych jest 700 bilionów dolarów.

## **Ile to jest?**

– To dwunastoletnie PKB całego świata. Nie ma takich pieniędzy! Kapitały nadmiernie skoncentrowane w rękach bogaczy gdzieś muszą płynąć. Za dużo kasy fruwa w powietrzu.

## **Tyle że to państwo wydrukowało tę kasę. Między innymi Obama.**

– I dobrze. Tylko dlaczego całą tę górę oddano mojemu sektorowi? Za mało trafiło do zwykłych ludzi, realnej gospodarki, a za dużo do banków. Hydraulik po raz kolejny zatkał przeciek. W efekcie ja i moi koledzy w Stanach mamy się dobrze. Tak samo jak wcześniej mieliśmy się dobrze.

Niech pan spojrzy na ten wykres – to są giełdy od czasu wojny do lat osiemdziesiątych XX wieku. Powolne pięcie się do góry. A potem nagle fruuu, piętnaście lat hossy, jakiej świat nie widział. Efekt neoliberalnych reform. A potem g gantyczna zmienność. I to są właśnie nasze czasy: raz w górę, raz w dół, potem znowu w górę i znowu w dół. Tak wygląda neo iberalizm, który targa światem od kryzysu do kryzysu. Zanim zwykli ludzie zdążą zaleczyć rany i przestaną się bać giełdy, to znowu wszystko się wali. I ja – jako pracownik sektora finansowego – po prostu tego nie chcę. Nie chcę, żebyśmy pchali kasę w tak ustawione rynki, bo budujemy następną bombę. W jednym roku szalone zyski, a w następnym zjazd poniżej kreski. Bez sensu.

## **Co to jest godziwy zysk?**

– Kiedyś – w świecie sprzed reform neoliberalnych – powiedziałbym, że to zysk dwa razy większy od sensownej lokaty bankowej w danym kraju.

## **Czyli u nas byłoby to dziś 7 procent rocznie?**

– Mniej więcej. Ale teraz nie ma takiego pojęcia jak „godziwy zysk”. Nie ma słowa

„wystarczy”. Dziś ludzie mają nadzieję, że w ciągu roku zarobią 100 procent zainwestowanych środków.

### **Dlaczego zwariowaliśmy?**

– Jeszcze raz niech pan spojrzy na wykresy giełdowe. Szalona zmienność. To ona powoduje pompowanie kłamstwa do naszych głów. Rośnie jakiś rynek o 70 procent. Media pieją o tygrysach gospodarki albo o cudzie sektora internetowego. A potem jest zjazd o 80 procent. Ale ludziom koduje się w głowach, że to 70 procent zysku jest możliwe. Bajki zostają, kłamstwem, ułuda. Wie pan, na czym polega dźwignia finansowa?

### **Że mogę grać na giełdzie kilka razy większymi pieniędzmi niż własne.**

– Kilka razy? Lehman Brothers tuż przed bankructwem stosował trzydziestokrotną dźwignię finansową, czyli inwestował za pożyczone pieniądze trzydzieści razy więcej, niż miał własnego kapitału. Ale to jest nic, na rynku walutowym może pan stosować dźwignię jeden do pięciuset.

### **Słucham?**

– Wykłada pan 2 tysiące dolarów i może grać milionem w obie strony – na wzrost kursu jakiejś waluty lub na spadek. Tak działa rynek forex. Kurs się wahnie o ułamek procentu i zarabia pan 100 tysięcy dolarów. Albo traci.

### **Czyli na forexie mogę na przykład obstawić, że w ciągu miesiąca dolar osłabi się o 5 procent? A jak się sprawdzi, to zarabiam?**

– W ciągu miesiąca? Pan żartuje. Tam się ludzie zakładają, że w ciągu dziesięciu minut dolar spadnie albo wzrośnie o 0,002 procent. Nawet co minutę może pan obstawiać kurs.

### **Hazard.**

– Tak jest.

### **Kasyno.**

– Dokładnie.

### **Szkodliwe?**

– Oczywiście. Może głowę urwać.

### **I dobrze. Jak ktoś głupi i w to kasyno się bawi, to niech mu urywa.**

– Pan jest naiwny. Często nie temu głowę urywa, kto obstawia, tylko wieśniakowi gdzieś w kraju rozwijającym się, który nawet nie wie, co to jest ten forex.

## **Bo?**

– Bo jak ktoś do tego wesołego kasyna wrzuca miliardy dolarów i skutecznie obstawia spadek o 40 procent jakiegoś dinara albo taki bengalskiej, to ten wieśniak za tydzień może stracić oszczędności i nie mieć co do garnka włożyć.

## **Można tak doprowadzać do ruiny małe kraje?**

– Małe i duże. Zależy, ile ma pan kasy. Jeśli dostatecznie dużo, to całkiem porządną wojnę walutową może pan prowadzić. Grać na zwyczaj albo osłabienie. Szwajcaria powiedziała, że nie dopuści do dalszego umocnienia franka. I będzie go drukować w nieograniczonej ilości. No i przez jakiś czas gonili spekulantów. Ale Szwajcarię stać na taką odpowiedź.

Proszę, wykres złotego z 2008 roku. Tu pan widzi kurs 2 złote za dolara, a pięć miesięcy później – 4 złote za dolara. Dwa razy drożej. Czy coś się zmieniło w tym czasie w polskiej gospodarce? Nic. To wahnięcie kursu akurat nam pomogło, bo staliśmy się bardziej konkurencyjni w czasie kryzysu. Ale w innych warunkach mogłoby nas rozłożyć.

## **A kto wymyśla, że na tym forexie dźwignia jest jeden do pięciuset?**

– Samo się wymyśla. Platformy, na których się handluje walutami, to są przecież prywatne firmy. Jedna mówi: u nas można mieć dźwignię jeden do stu. Druga na to: u nas jeden do dwustu. I tak dalej. Nakręca się.

Jeden z moich znajomych porównał inwestowanie w rynek akcji do pilotowania kukuruźnika, a inwestowanie w forex do lotu F-16. I takich też rozmiarów mogą być szkody.

## **Zamknąć to kasyno.**

– Pięknie. Ale kto ma zamknąć? Nie ma prezydenta świata finansów. Nie ma cesarza.

## **Sam pan pisze na blogu, że pracuje w sektorze, który rządzi światem. No to się ogarnijcie, dogadajcie i zarządzcie: „Zamykamy forex, bo to szkodliwe”.**

– Zbyt duże pieniądze. Na rynku forex obraca się w ciągu tygodnia równowartością rocznego światowego handlu wszystkimi towarami. Spekulacje dają szybko zarobić. Po roku dobry trader dostaje wielomilionową premię.

Zresztą nie ma się kto zebrać, dogadać i zarządzić. Jest wolny rynek i deregulacja. Jak jeden kraj coś zamknie, to drugi otworzy. Sektorem finansowym nikt nie rządzi. Naprawdę. Chyba że pan wierzy w międzynarodowy spisek.



## **Byłoby wszystko prostsze.**

– Byłoby.

Zamknąć – to nie. Rynek walutowy jest potrzebny. Tyle że miał służyć nie do gigantycznych spekulacji, tylko do wyceny walut. Wymyślono nawet sposób, żeby okiełznać to wariactwo – tak zwany podatek Tobina. Byłby minimalny, ale płaciłoby się go od obrotu. Wtedy ktoś, kto próbowałby grać za pożyczony miliard dolarów, trzy razy by się zastanowił, bo od tych wirtualnych pieniędzy musiałby zapłacić 0,002 procent, czyli 2 miliony. I nagle spadają obroty, spekulanci słabną, jest większa stabilizacja.

## **No to wprowadźcie ten podatek. Szybko.**

– Wszyscy musieliby się dogadać. Cały świat. Bo jak ktoś podatku nie wprowadzi i ogłosi się rajem, to spekulacje będą nadal kwitły.

Zmiany nastąpią dopiero wtedy, kiedy ja i pan wyciągniemy kopyta. Trzeba przeczekać dwa pokolenia. Przeczekać tę zepsutą elitę. Wszystkich, których wychowały miraż zwaremowanych zysków i nieograniczonego wzrostu. Wszystkich, którzy nauczyli się, że chciwość popłaca. Wyznawców przenoszenia zasad wolnego rynku i konkurencji nawet do szpitali i szkół. Obecne elity już się nie zmieniają. Bo po co mam zmieniać poglądy? Przecież wyznawane idee doprowadziły mnie do pieniędzy, doprowadzą więc też moje dzieci, wnuki i prawnuki.

Forex nie jest jeszcze najgorszy. Proszę spojrzeć, to wykres rentowności dziesięcioletnich obligacji włoskich. Widzi pan strach? O tutaj: skok do 7,3 procent pod koniec 2011 roku. Gdyby rosło dalej, Włosi poszliby z torbami, odsetki zjadłyby im cały budżet. Tego typu atak jest naprawdę groźny dla państwa. Rynek obligacji pozwala międzynarodowemu kapitałowi wywoływać panikę i zmieniać rządy.

## **Bo są nieudolne. Jak grecki.**

– A co to ma do rzeczy? Od zmiany rządów są wyborcy, a nie maklerzy giełdowi i prezesi banków. Chyba że przyznamy oficjalnie, że skończyła się demokracja. I że prezes banku lepiej wie, czego trzeba Grekom.

Na razie ludzie robią wszystko, co im każemy robić. Grecja, Hiszpania... Kto zmieniał premierów? Rynki. W czerwcu rok temu wybory w Grecji mogła wygrać lewicowa Syriza. Bez przerwy były opowieści, że na rynkach finansowych będzie kataklizm. I wystraszone Greców, zagłosowali inaczej.

Najprostszy sposób na doprowadzenie kraju do bankructwa to CDS, czyli instrument pochodny służący do przenoszenia ryzyka.

## **Jak to działa?**

– CDS to taka polisa. Powiedzmy, że robi pan pierwszy duży interes z firmą X. I na wszelki wypadek kupuje pan ubezpieczenie od plajty tej firmy, żeby w razie czego ubezpieczyciel pokrył pańskie straty.

## **To rozsądne.**

– Tak. Można też kupić taką polisę na wypadek krachu w jakimś kraju.

## **Jeśli mam ulokowany w tym kraju biznes i chcę się zabezpieczyć przed stratami?**

– Na przykład. Załóżmy, że ma pan miliard dolarów i zaczyna ostro kupować takie polisy – czyli CDS-y – Bangladeszu. Ich cena zaczyna rosnać. Analitycy myślą: „Oho, chyba w Bangladeszu szykują się jakieś kłopoty, skoro ktoś wykupuje CDS-y”. I zaczynają pozbywać się obligacji rządowych tego kraju. Rynek na to chwilę patrzy, obserwuje, potem wszyscy ruszają do działania. Spirala się nakręca. Cena CDS-ów, które zaczął pan kupować pierwszy, rośnie coraz szybciej, bo teraz wszyscy chcą je mieć. A nikt nie chce mieć rządowych obligacji. Bangladesz leży.

## **A co z moim biznesem w tym Bangladeszu?**

– Przepraszam, ale z jakim biznesem?

## **No przecież po to zacząłem kupować te CDS-y, żeby zabezpieczyć swój biznes w tym kraju.**

– Ależ skąd! Nie musi pan tam mieć żadnego biznesu.

## **Ubezpieczam się od bankructwa kraju, z którym nic mnie nie łączy? W jaki sposób?**

– Bardzo prosto. Idzie pan do banku X w Londynie i pyta: „Przepraszam najuprzejmiej, czy wystawiacie CDS-y dla Bangladeszu?” „Wystawiamy”. „To ja na początek poproszę za miliard”. I tyle. To tu jest biznes, a nie w realu. W spekulacji. Czasem kilka miliardów wystarczy, żeby uruchomić sprzężenie zwrotne i zatrzęść rynkiem.

## **A na końcu kto za to płaci?**

– Na końcu Bangladesz musi ogłosić bankructwo i zebrać w MFW o pożyczkę. Finansowane jest to wszystko z naszych podatków.

## **Czyli de facto solidarnie zrzucamy się na zysk cwaniaka, który zaczął kupować te CDS-y?**

– Pośrednio.

Powinniśmy zmienić świat. Zgoda. Tyle że do zmieniania świata potrzeba nowych idei. A dominująca dziś idea brzmi tak: świat jest, jaki jest, i niewiele da się z tym zrobić. Ten pogląd ma szalone wzięcie, bo rozgrzesza absolutnie ze wszystkiego.

### **Aż się wszystko zawali.**

– Do krachu niewiele trzeba. Wystarczy, żeby stanęły kolejki pod bankami na całym świecie. Już raz było blisko.

### **Jesienią 2008 roku, jak upadał Lehman Brothers?**

– Tak. Naprawdę bałem się, że obserwuję koniec świata, jaki znamy. Któregoś dnia wieczorem poszedłem do bankomatu i wypłaciłem 3 tysiące złotych na wypadek, gdyby upadły banki. Całe szczęście, że 99 procent ludzi nie rozumiało, co się dzieje. Wystarczyło, żeby spanikował co dziesiąty klient i ruszył do kolejki. Doszłoby do implozji sektora bankowego.

### **Bo?**

– Banki nie mają na wypłaty. Trzymają średnio kilka, kilkanaście procent depozytów swoich klientów.

### **No to się zawiesi wypłaty.**

– Tak to można w jednym banku zrobić. Ewentualnie w jednym kraju. Ale we wszystkich naraz się nie da. A jak się już zamknie okienka, to nie ma jak ich potem otworzyć. Zostaje zamrożony obrót pieniędzmi i pada światowa gospodarka.

A co potem? Nie ma żadnej gwarancji, że taki krach zaowocowałby rozwiązaniami dobrymi dla ludzkości. Na razie neoliberalne siły wykorzystują kolejne kryzysy, żeby dokręcać śrubę, oszczędzać, demontować państwo socjalne. Przyzwyczajają się obywatela, żeby już na nic nie liczył. Bo ma być tylko konsumentem, który wszystko sam sobie kupi na wolnym rynku: od osobistej ochrony, poprzez łóżko w szpitalu, aż po emeryturę na starość.

### **Co tym wszystkim rządzi? Chciwość?**

– Można to tak nazwać. Jak ma pan milion, to chce mieć trzydzieści. I to już. Natychmiast. Nikt nie myśli w dłuższej perspektywie. Jedyne, co jest pewne w dzisiejszym świecie, to stan niepewności, czyli przekonanie, że za chwilę będzie jakaś zmiana. Od kryzysu do kryzysu. Co będzie jutro? To się będziemy jutro tym martwić. Na razie wszystko się jakoś kręci.

### **Zasada Scarlett O'Hary nami rządzi: „Pomyślę o tym jutro”?**

– Tak. Beztroska.

**Amerykański miliarder Warren Buffett mówi: „Trwa wojna klas. Moja niesłusznie wygrywa”. I domaga się wysokich podatków dla najbogatszych. Czy w Polsce by to przeszło?**

– Nie.

**A gdyby na przykład taki Solorz coś takiego powtarzał? Albo Kulczyk?**

– A po co im to? Ani inni bogacze temu nie przyklasną, ani biedni tego nie poprą. Neoliberalizm – zestaw poglądów służących zamożnej elicie – stał się w Polsce religią również warstw niższych. Wbrew ich oczywistym interesom. Niech pan wsiądzie do taksówki: „Państwo jest dziadowskie” „Podatki to złodziejstwo” „Bezrobotni sami sobie są winni, trzeba im zabrać zasiłki” „Na państwową emeryturę lepiej nie liczyć” Polski populizm nie ma już twarzy socjalnej, tylko neoliberalną. Po co mi państwo polskie? Po co mam się do niego dokładać? Dam sobie radę sam! Nic dziwnego, że polscy bogacze unikają podatków i rejestrują firmy w rajach, skoro to obecnie chwalebna zaradność.

**Co czeka Polskę?**

– Musimy przestać być montażownią i call center dla Europy.

**A co w tym złego? Dobrze nam to wychodzi. Solidnie te pralki i samochody im skręcamy. Cała Europa chwali.**

– Tylko jak długo jeszcze pozwolą nam te pralki składać? Tego typu działalność można zwinąć w trzy dni. Wystarczy, że Azja jeszcze bardziej obniży podatki, nie wprowadzi płacy minimalnej i nie będzie tam żadnej wojny. Albo Afryka. Ostatnio jest modna wśród międzynarodowych korporacji, bo można tam płacić dolara dziennie. Przyjeżdża do Polski tir, pakuje tę całą montownię i tyle go widzieliśmy.

Przez taki model gospodarki jesteśmy uwiązani na lata do niskich kosztów pracy. Wysokie wykształcenie i słabe płace – oto polskie przewagi konkurencyjne. Jak tylko zechcemy wejść na wyższy pułap, na przykład płacowy, to przestaniemy być atrakcyjni.

Tego problemu nie załatwi wolny rynek. Państwo musi wspierać badania, łożyć na naukę, dopłacać do innowacyjnych technologii. I zachęcać ludzi do współpracy, a nie do konkurowania. Od szkoły.

Gdybym był w pańskim wieku, to wszystko strasznie by mnie martwiło. Na szczęście za trzy lata idę na emeryturę. Jeszcze się załapałem.



# Coś się zapchało

---

## Rozmowa ze STANISŁAWEM OWSIAKIEM

**STANISŁAW OWSIAK (1946)** od lat jest związany z Akademią Ekonomiczną w Krakowie. Zajmuje się polityką fiskalną, sektorem finansowym i polską transformacją. Był wiceprzewodniczącym Rady Strategii Społeczno-Gospodarczej przy premierze (a dokładniej – przy kolejnych sześciu premierach w latach 1994–2004, twierdzi jednak, że większość pomysłów tego szacownego grona lądowała w koszu albo szufladzie). Był też członkiem Rady Polityki Pieniężnej (2004–2010). Jego prace naukowe należą do najczęściej cytowanych publikacji polskich ekonomistów.

**Na kolegiach redakcyjnych ostro kłócimy się o ekonomię.**

– I co w tym dziwnego?

**Dawniej się nie kłóciliśmy. Była w „Gazecie” dość powszechna zgoda, co w ekonomii rozsądne, a co nie.**

– Takie dyskusje toczą się teraz na całym świecie. Niech pan pomyśli, jak się czują urzędnicy Międzynarodowego Funduszu Walutowego, kiedy ich nowa szefowa Christine Lagarde bez ironii cytuje Marksa i ogłasza, że trzeba walczyć z nierównościami dochodowymi. Klimat ideowy bardzo się zmienił.

**Na jaki?**

– Nie do końca wiadomo.

Żyjemy w okresie *interregnum*. Dawna doktryna ekonomiczna umiera, a nową

jeszcze świat nie znalazł. W niebyt odchodzi rozumienie rynku jako mechanizmu działającego w każdych warunkach efektywnie, skutecznie i absolutnie. Wszyscy ze wszystkimi się o to kłóca, to są zresztą debaty, które moim zdaniem warto toczyć, a nie bać się ich.

**Jednego dnia drukujemy komentarz Witka Gadomskiego, że gospodarkę Europy duszą państwowe długi i trzeba mocniej oszczędzać. A następnego dnia Marek Beylin pisze, że gospodarkę Europy dusi polityka nadmiernego oszczędzania i trzeba wreszcie poluzować gorset. Potem jakiś czytelnik dzwoni, że robimy mu wodę z mózgu. Co by mu pan radził?**

– Czytelnikowi to nie wiem, co radzić. Ale mogę powiedzieć, co mówię studentom w takich sytuacjach: że ekonomia to nauka miękka, podatna na idee i doktryny. Jeszcze lepsze jest porównanie do religii – wszystko zależy od tego, w co pan wierzy. Nie ma w ekonomii obiektywnych praw, takich jak prawo ciężenia w fizyce.

**Żadnych?**

– Właściwie poza prawem popytu i podaży cała reszta to są idee, poglądy. I mody.

**Czyli Gadomski w poniedziałek ma rację, Beylin w środę też ma rację?**

– Każdy z nich, pisząc felieton, wyraża pogląd, a nie prawdę naukową. Z długami nie ma co przesadzać, ale nie powinno się ich również demonizować.

**120 procent PKB we Włoszech. Nie demonizować?**

– No i co z tego? Amerykanie mieli więcej niż 120 procent w czasie II wojny. Jakby się tym przejmowali, to zabrakłoby im na zbrojenia i rządziłaby dziś Europą partia o nazwie NSDAP.

**Czyli nie martwić się długami?**

– Martwić. Ale ich nie fetyszyzować. Ortodoksi angielscy w XIX wieku chcieli wieszać ministrów skarbu, jeśli wydali funta więcej, niż mieli wpływów z podatków. Dziś dług stał się żelaznym wilkiem do straszenia całych społeczeństw i wymuszania polityki korzystnej głównie dla wielkiego biznesu.

**Skąd się biorą te długi budżetowe? Z rozbuchanego socjalu?**

– To jest popularna odpowiedź, ale tylko w połowie prawdziwa, a więc właściwie fałszywa. Rzeczywiście społeczeństwa Zachodu starzeją się, mają kłopot z demografią, co powoduje napięcia w systemach emerytur czy opieki zdrowotnej. Ale jest też druga połowa odpowiedzi. Przez ponad trzydzieści lat – od czasów reaganomiki

i thatcheryzmu – trwa obniżanie podatków dla korporacji i dużego biznesu. Od lat osiemdziesiątych postępowało to w USA i właściwie w całej Unii. Pod wpływem doktryny zaczęto uważać, że jedyny luz budżetowy, jakiego można szukać, znajduje się po stronie wydatków państwa. Jeśli brakuje pieniędzy na ważne społecznie cele, to trzeba z nich rezygnować, ciąć, oszczędzać, ale podatków podnosić nie wolno. Dopiero teraz Komisja Europejska konstatuje, że trzeba się wreszcie przyjrzeć dochodom budżetów. No bo jak to jest, że korporacje mają się wyśmienicie, ich zyski rosną, a jednocześnie jest coraz mniej pieniędzy na sferę publiczną? Może przyjrzymy się Luksemburgowi i Liechtensteinowi? Może sprawdzimy, co to jest ta słynna kanapka irlandzko-holenderska, która pozwala nie płacić? Może każmy ujawnić przepływy finansowe między oddziałami firm, sprawdzimy, gdzie księgują koszty, a gdzie dochody?

**MFW wciąż obniża prognozy. Ostatnio ogłosił, że tempo wzrostu gospodarczego na świecie jest rozczarowujące, ożywienie znów może się nie udać. Dlaczego nic nie działa na gospodarkę? Ani cięcia budżetowe, ani dosypywanie pieniędzy.**

– Nic nie działa – mówiąc tak, pan przesadza. Amerykanie po kryzysie 2008 roku dosypali do pieca, dodrukowali dolarów, a Europa wciąż cięła i oszczędzała. I w USA wzrost jednak powrócił. Natomiast rzeczywiście nie tak szybko, jak myśleli Amerykanie, i zupełnie nie taki, jak by chcieli.

**Małpa nie skacze już do starych melodyjek.**

– Trochę skacze, ale niemrawo. Główna zmiana polega na tym, że nawet jeśli pojawia się wzrost gospodarczy, to jego owoce nie trafiają do zwykłych ludzi, tylko gdzieś po drodze zostają. Kiedyś tak nie było.

**Co się stało?**

– Sięgamy do fundamentalnych kwestii.

Mieliśmy na całym świecie długi okres wiary w ekonomię monetarną, która zakładała, że cykliczność gospodarki można łagodzić instrumentami pieniężnymi. Należy kontrolować stopy procentowe, inflację, podaż pieniądza i to wystarczy, żeby kierować wzrostem gospodarki. Czyli jak pojawia się jakiś kryzys, to kilku ludzi – u nas to będzie Rada Polityki Pieniężnej – zbiera się, ogłasza nowe stopy procentowe, no i wszystko znowu gra. Nie trzeba uruchamiać programów społecznych, angażować w to państwa, planować inwestycji publicznych, męczyć się i dręczyć.

**Wygodne.**

– Bardzo. Monetaryści podsunęli politykom wspaniałą wymówkę, żeby się



ekonomią społeczną właściwie nie zajmować. Wystarczy niezależny bank centralny, grupa ekspertów od stóp procentowych, resztę zrobi rynek. Politycy mogli z czystym sumieniem zająć się uprawianiem wojny kulturowej. Żeby debatować o aborcji, moralności i seksie zamiast o emeryturach i podatkach, znać się na niczym nie trzeba. Każdy to umie. Łatwiej też organizować wściekłość wyborców wokół różnic światopoglądowych, bo te sprawy łatwiej ludzi rozpalają niż polityka społeczna.

**I?**

– Działo się. Zbierały się ciała eksperckie, podnosiły albo obniżały stopy, kręciło się – gospodarka sobie, a polityka sobie. Ale przestało. Coś się w tym mechanizmie zatarło, coś się zapchało.

**Co?**

– Nie do końca wiadomo. Ja uważam, że mechanizm nie działa, bo nie ma co działać. Wydajność pracy wzrasta, a płace stoją. I po prostu nie ma popytu, bo ludzie nie zarabiają wystarczająco dobrze i nie kupują. Jednocześnie uleciał ze społeczeństw optymizm.

Udział płac w wartości wytwarzanych dóbr na świecie systematycznie spada. W 1980 roku płace brutto w krajach rozwiniętych stanowiły 70 procent PKB, a obecnie to zaledwie 55 procent, w Polsce jeszcze mniej. To jest gigantyczna różnica. Gdyby amerykańska płaca minimalna rosła w takim tempie jak wydajność pracy, to powinna wynosić 22 dolary za godzinę, a wynosi zaledwie 7,25 dolara. Więc nawet jeśli pojawia się wzrost PKB, to dla większości ludzi niewiele z tego wynika.

**Dlaczego płace stoją?**

– Bo nikt już nie naciska, żeby rosły.

Kapitalizm to nie jest system, w którym szczęśliwość i pomyślność same się robią, jak będziesz ciężiej pracował, to więcej zarobisz. To jest system dość brutalnego wyzysku, który dopiero za pomocą kagańca można na tyle okiełznać, żeby nie zżerał własnego ogona. Zdjęto ten kaganiec. Rozmontowano mechanizmy nacisku na biznes, które zmuszały do podnoszenia płac proporcjonalnie do wzrostu wydajności pracy. Bezzębność związków zawodowych, które przestały strajkować. No i globalizacja. Zawsze na drugim końcu świata znajdzie się jakiś tyran, który spacyfikuje strajkujących robotników, odpady chemiczne pozwoli wylewać wprost do rzeki, czyli zaoferuje międzynarodowym koncernom „dogodne warunki do prowadzenia biznesu.” I tam się wyniosą. Albo mogą straszyć, że się wyniosą, bo często wystarczy sama groźba, żebyśmy w Europie obniżali pracownikom standardy.

Ten trójkąt – pracodawcy, związki zawodowe i państwo jako arbiter – zniknął. To znaczy niby jeszcze funkcjonuje, ale coraz słabiej. I to jest zjawisko powszechne, tylko w niektórych sektorach związki się bronią, np. w służbach lotniskowych.

### **Słabość związków jest niedobra dla pracowników, ale powinna być chyba dobra dla światowego wzrostu gospodarczego?**

– Okazuje się, że nie. To były złudzenia. Według modelu neoliberalnego, jak są niskie podatki, jak nie ma tych koszmarnych związkowców, nie ma konieczności negocjowania zwolnień, to biznes może się rozwijać szybciej, ma większy zysk, szybciej rośnie PKB i na końcu wszyscy zyskują, bo jest praca. Ładny model, który nie działa, ale daliśmy sobie go wmówić.

W USA dzięki górze pieniędzy dosypanych do gospodarki wzrost sięgnął ostatnio 4,6 procent. Ale większość Amerykanów uważa, że wciąż trwa recesja. Co się okazało? Realne pensje liczone z uwzględnieniem inflacji rosną tylko w przypadku 5 procent najbogatszych. Jak ludzie mają mieć poczucie, że im się poprawia? Amerykanie, porównując swoje pensje sprzed dwudziestu lat z obecnymi, widzą dwa światy. Kiedyś żona nie pracowała, córka nie dorabiała i z jednej pensji wystarczało na życie. A teraz, żeby utrzymać podobny standard, wszyscy muszą pracować.

Ale jest jeszcze coś: dookoła kipi cały ten kolorowy świat reklam, festiwal konsumpcji, ogląda pan w telewizji „Z kamerą u Kardashianów” i czuje, że na nic pana nie stać. Więc co pan robi?

### **Idę po kredyt.**

– Otóż to. Bańka złych długów wzięła się między innymi z wciskania kredytów ludziom, których nie stać na przyzwoite życie z własnej pracy. Innymi słowy: system nie podnosi ludziom płac realnych, ale za to na lewo i prawo rozdaje im kredyty. Kredyt zamiast podwyżki. Kiedy w końcu bańka pęka, wmawia się ludziom, że to ich wina, bo byli rozrzutni.

Przedsiębiorcy są konserwatywni, nie podniosą płac sami z siebie, bo wiedzą, że za rok, dwa sytuacja się może pogorszyć, no to mam odłożony kapitał w banku albo na rynku finansowym, obracam nim. Obecnie na całym świecie widać skłonność biznesu do bardzo wysokiej akumulacji zysków.

### **Czyli odkładania coraz większych kapitałów?**

– Tak. Z różnych powodów. Częściowo to wynika z natury człowieka, że jest chciwy. W dużej mierze wynika z błędnej polityki podatkowej i dochodowej państw. Ale jeszcze coś ważnego bym dodał: czynniki psychologiczne. Pojawiają się zjawiska

wyimaginowane, ludzie po prostu zawsze coś sobie wyobrażają.

### **A dziś co sobie wyobrażają?**

– Zabrakło optymistycznych scenariuszy na przyszłość. Przestaliśmy wierzyć, że świat zmierza w dobrym kierunku, to widać w wielu badaniach, na przykład już ponad połowa Europejczyków uważa, że ich dzieci będą miały gorzej w życiu niż oni, będą miały mniejsze zarobki. To powoduje bardzo konkretny efekt.

### **Jaki?**

– Małpa nie będzie skakać na dźwięk ulubionych melodyjek, bo się po prostu boi. A jak się pan boi, to najpierw myśli o sobie. Zagarnia pod siebie, ile się da, robi zapasy, płaci jak najmniej pracownikom, odkłada tyle, żeby dla dzieci i wnuków też starczyło, bo przecież będzie tylko gorzej. Na czarną godzinę. Im więcej niepewności, tym mniejsza skłonność ludzi do dzielenia się.

### **Czyli kiedyś inwestowali i płacili, bo wierzyli w przyszłość, a teraz odkładają?**

– To jeden z powodów.

Pamięta pan, że w 2003 roku w Polsce obniżono gwałtownie stawkę podatku korporacyjnego CIT z 27 do 19 procent?

### **Tak. Miller to zrobił. Do dziś się chwali, że fantastycznie zadziałało.**

– Wszyscy wokół to robili – Słowacy, Ukraińcy – taka była moda. Bo lobby biznesowe krzyczało: „Nie mamy pieniędzy na inwestycje, obniżcie nam podatki, to zbudujemy nowe fabryki!” Wie pan, co się stało? Stopa inwestycji, jak stała przed obniżką podatków, tak samo pozostała martwa przez kilka następnych lat, a pieniądze wylądowały na rachunkach bankowych. Rynek nie zachował się tak, jak jest napisane w podręczniku.

### **A dlaczego w życiu nie jest tak jak w podręczniku?**

– Pan tego nie rozumie, ja tego do końca nie rozumiem, chociaż jestem profesorem ekonomii, i nikt tego nie rozumie. To jest dokładnie tak, jakby pan pytał, dlaczego ludzie czytają „50 twarzy Greya” albo nagle zaczynają jeść sushi. Oczywiście, możemy to zbadać ankietami i mieć jakieś intuicje, ale wzoru matematycznego na popularność „50 twarzy Greya” nie da się wyprowadzić. I z ekonomią jest podobnie. Niestety, część ekonomistów przez ostatnie dekady zachowywała się tak, jakby te wzory ludzkich zachowań posiadała.

Pogląd, że niskie podatki zawsze są dobre, bo pobudzają wzrost gospodarczy, jest kompletnie z sufitu. Raz to działa, ale innym razem nie działa. Przy czym ostatnio

częściej nie działa.

**Trochę nie wiem, co na to powiedzieć. Bo pan mówi takim tonem, jakby to było oczywiste. Przecież przez dwadzieścia pięć lat opowiadaliście – wy, ekonomiści – że są święte zasady. I że w ekonomii, jeśli zrobić A, to na pewno będzie B, tylko trzeba być wystarczająco konsekwentnym. „Obiektywny mechanizm rynkowy” – mówiliście. A teraz nagle na wszystkich waszych kongresach słyszę: „To były tylko teorie”. Nikt nie czuje się odpowiedzialny za zrobienie wody z mózgu milionom ludzi.**

– Ja nie opowiadałem, że ekonomia to obiektywny mechanizm.

**Pańscy koledzy.**

– Niektórzy.

**Większość.**

– Transformacja w Polsce zaczęła się w bardzo specyficznym okresie. Kapitalizm właśnie osiągnął sztywny kształt ideowy, w świecie zachodnim królowała doktryna neoliberalna: państwo na bok, jak najmniej ingerencji. Thatcheryzm i reaganomika w pełnym rozkwicie. Deregulacja w Ameryce. Wolność dla rynków finansowych. Chciwość jest dobra, bo służy wszystkim. „Ekonomia, głupcze!” I na to się nałożył upadek komunizmu. Razem z innymi krajami bloku postsowieckiego poszliśmy za tym w ciemno, za poglądami, za doktryną właściwie.

**A dlaczego wyście siedzieli cicho?**

– Bo system kojarzony z socjalizmem kompletnie się skompromitował, więc argumentów za bardzo nie było. A jak nawet człowiek zgłaszał pewne wątpliwości, to od razu: „stare myślenie”, „niereformowalny”. Etykiety. Trudno było z czymś innym wyjść.

**Zawsze jest trudno z czymś innym wyjść. Takie życie.**

– To prawda, nie jest to wystarczające usprawiedliwienie.

Pamięta pan prof. Tadeusza Kowalika? Świetny naukowiec, ekonomista ceniony na świecie, a w Polsce uchodził za dziwaka. Kto nie śpiewał w chórze, skazywał się na marginalizację. Ale mimo to było wiele głosów odrębnych, było „Życie Gospodarcze”, potem „Nowe Życie Gospodarcze”, cały czas coś tam pisaliśmy.

**„Coś tam pisaliśmy”. Dobre określenie. Dlaczego, jak włączę jakąkolwiek telewizję, to debaty ekonomiczne polegają na mówieniu, że państwo jest złe,**

## **podatki za wysokie, a biznes uciemniony?**

– Bo ludzie lubią piosenki już raz słyszane.

Gdy ktoś chodzi po mediach jako tzw. ekspert, to ma ogromną pokusę, żeby mówić, że podatki są złe. Wszyscy to chcą usłyszeć! Zarówno bogacz z listy stu będzie zachwycony pańskimi występami, potem na przyjęciu poklepie po plecach, ale szaraczek na forum internetowym też pochwali: „Tak, państwo nas gnębi! Za dużo płacimy!”. Więc jeśli ktoś lubi błyszczeć w mediach, to będzie nieustannie takie rzeczy opowiadać.

Na temat podatków panują szkodliwe mity, co ciekawe, szkodliwe przede wszystkim dla warstw społecznych, które je wyznają. Klasa średnia na przykład dała sobie wmówić, że fantastyczny byłby podatek liniowy, no, niestety rząd go nie wprowadza, bo jest głupi, a mogło być tak cudownie. Tymczasem przy obniżaniu podatków i wprowadzeniu liniowca w tyłek dostaje w pierwszej kolejności klasa średnia: zaraz brakuje pieniędzy na szkoły, zaraz są gorsze drogi, szpitale, usługi publiczne. Bogaci, jak szkolnictwo w Polsce zrobi się bardzo złe, wyślą dzieci do Londynu, a jak w drogach będzie za dużo dziur, kupią sobie helikoptery, to średniacy są skazani na sektor publiczny. I jednocześnie klasa średnia bezmyślnie powtarza: „Obniżajmy podatki”

## **A dlaczego?**

– Media. Kochana „Wyborcza” też. Na jednej stronie piszecie o wysokim fiskalizmie, ciemieniu biznesu, a dwie strony dalej o tym, że likwiduje się wiejskie szkoły i nie ma łóżek geriatrycznych w szpitalach. Brakuje połączenia między tymi informacjami. To jest trudne, ale trzeba przekonywać obywateli, że podatki to wspólna kasa i wspólne inwestycje w przyszłość.

Po I wojnie światowej toczyła się w Polsce debata na temat podatków, Grabski chciał stworzyć spójny system, państwo przeciw się rozłaziło. I był opór. Dochodziły zewsząd skargi fabrykantów, że zbankrutują albo będą się musieli wynieść za granicę. Te same argumenty co dziś. Grabski odpowiedział im tak: „Jak to jest? Płaciliście zaborcom podatki dużo wyższe, a na ojczyznę płacić nie chcecie?”. Nikt się nie poczuwał do inwestowania w dobro wspólne.

Pewien student mówi mi tak: „W Polsce są tak wysokie podatki, że zabierają 118 procent dochodu”. No, zaciekał mnie, jak to możliwe, że państwo zabiera więcej, niż obywatel zarabia. Chłopak tłumaczy: „45 procent idzie na ZUS, 19 procent na CIT, 32 procent na PIT i 22 procent na VAT. To razem jest 118 procent dochodu”

## **Dlaczego on tak myśli?**

– Naczytał się. Gnębieni przedsiębiorcy, państwo okrada biznes, to, siamto, owamto, wszystko, co związane z państwem, jest złe. To wielkie wyzwanie dla władz i dla mediów, żeby to zacząć odkręcać.

### **A może dla was?**

– Też.

Podatek się postrzega jako haracz. Natomiast ja uważam, że to jest inwestycja.

### **Tylko że takie myślenie jest możliwe, jeśli obywatel wierzy, że państwo rozsądnie wyda te pieniądze.**

– I tu jest kłopot. Kierowca pewnej instytucji wiezie mnie na jakieś spotkanie i mówi tak: „Idę na zieloną trawkę”. Nawet nie boi się bezrobocia, bo obrotny jest i coś znajdzie. Ale ta instytucja funduje pracownikom pakiet zdrowotny w prywatnej przychodni. „Jak mnie zwolnią, to będę bezradny, bez żadnych szans na leczenie”. Czyli on uważa, że jak nie będzie miał tego pakietu, to państwo mu niczego nie zapewni. I to jest pogląd szerszy.

### **Co z tego wynika?**

– To, że możemy się pożegnać z nadzieją, że państwo będzie uznawane za warte płacenia podatków, jeśli większość obywateli myśli jak ten kierowca. Nikt nie wierzy, że może być inaczej, nawet urzędnicy państwowi za bardzo nie wierzą w sferę usług publicznych. Ma to niestety wszelkie cechy samosprawdzającej się przepowiedni. Politycy nie wierzą, że publiczna służba zdrowia może być sprawna, chociaż na świecie są na to liczne przykłady, więc poważnie się tym problemem nie zajmują, tylko uprawiają łataninę. Jednocześnie po cichu uważają, że prywatne szpitale to ziemia obiecana, do której należy pielgrzymować, na razie powoli, bo obywatele są jeszcze za mało uświadomieni. W tym bałaganie dochodzi do skrajnej niesprawiedliwości, ja i pan nie musimy czekać do lekarza, zawsze jakoś to sobie załatwimy, a – powiedzmy – bezrobotna szwaczka z Łodzi czeka rok. Trwa też dzika prywatyzacja sektora zdrowia w Polsce, która pogłębia nierówności w dostępie do leczenia i jest skandalem na miarę światową. Będziemy to kiedyś odkręcać i zgrzytać zębami ze złości, że byliśmy tak niemądrzy.

### **Wiceprezes Banku Światowego Kaushik Basu mówi tak: „Mamy dane pokazujące, że światowy wzrost gospodarczy został spowolniony przez rosnące nierówności dochodowe”. Prawda?**

– Prawda. Tylko pojawia się problem – mówię to po to, żeby pan zrozumiał, jak w środowisku ekonomistów toczony są dyskusje – że każdy ma swoje dane.

## **Słucham?**

– Niestety. Inny ekonomista panu powie: „Rosną nierówności? A ja mam dane, że nierówności maleją”. Pamiętam pewną konferencję, na której właśnie tak wyglądała dyskusja, każdy miał swoje liczby. „Proszę pokazać metodę pańskich wyliczeń”. „Nie, najpierw niech pan pokaże swoją metodę wyliczeń”. Taka była rozmowa.

## **Ale kto ma rację?**

– W sprawie nierówności? Rosną. Od trzydziestu lat bardzo istotnie rosną, pokazują to dane OECD czy Banku Światowego. W Polsce jest pewien problem, bo Eurostat zmienił metodę pomiaru i wyszło, że w ostatnich pięciu latach nierówności u nas spadły. Ale tak naprawdę one się nie zmieniły, co widać, jak się weźmie tabele GUS. W Polsce nierówności dochodowe są stosunkowo wysokie, zwłaszcza na tle innych krajów regionu: nasz wskaźnik Giniego wynosi około 34, w Czechach i na Słowacji – 28. Ale jest inne niepokojące zjawisko: duża liczba ubogich pracujących. Ludzi, którzy nie mogą zaspokoić swoich podstawowych potrzeb, mimo że mają pracę. Szacuje się, że to 11 procent zatrudnionych. Dostają tak niskie pensje, że nie mogą z pracy żyć. To nie jest zjawisko typowo polskie, ten problem narasta także w innych krajach.

## **Jaki jest mechanizm wzrostu nierówności?**

– Ideowy. Obniżanie podatków i wycofywanie się państwa spowodowało, że nie ma mechanizmów korygujących.

Gospodarka rynkowa faluje, chodzi cyklami. Jeżeli za bardzo przyspiesza, to perspektywa zapłacenja, powiedzmy, 70 procent od każdego zarobionego ponad ustalony próg dolara działa jak chłodnica w rozgrzanym silniku. Dzięki temu bańki spekulacyjne są mniejsze, a kryzysy nie takie głębokie. Dodatkowo wysoki podatek zniechęca korporacje do zagarniania pod siebie, jeśli mają tyle zapłacić, to już wolą dać więcej swoim pracownikom. Ale zaczęto skalę podatkową spłaszczać, bo ideologia mówiła, że trzeba więcej swobody, więcej zysku. Aż w końcu się okazało, że jeśli pieniądze ulegają zbyt dużej koncentracji, to wszystko się zapycha.

## **Bo?**

– Coś z tym nadmiarem pieniędzy bogacze muszą robić. I zwykle to „coś” jest szkodliwe dla całej reszty.

## **Jachty?**

– Nie chodzi o jachty, niech je sobie mają, maserati i inne gadzety. Chodzi o to, że jeśli odbiera się zwykłym pracownikom coraz większą część wytworzonego przez

nich zysku i zostawia go korporacjom, właścicielom firm, to oni albo te nadwyżki trzymają na kontach, albo wpuszczają w rynki finansowe, gdzie pieniądze się kręcą, czyniąc rozmaite spustoszenia. Tu dochodzimy do problemu finansjalizacji, mojego ulubionego, tym się zajmuję naukowo.

### **Finansjalizacja?**

– To proces, który oddala pieniądze od rzeczy użytecznych, od towarów i usług. I od pracy. Polega głównie na kreowaniu rozmaitych instrumentów finansowych. To są najdziwniejsze rzeczy. Jak się zaczyna rozmowę z ekonomistą o instrumentach finansowych, to on zaraz mówi: „Przepraszam, ale ja się na tym nie znam, ja tego nie rozumiem”.

### **Pan rozumie?**

– Nie zawsze, bo tam są rzeczy dziwne. Na przykład można obstawić, czy człowiek wyląduje na Marsie, poważne instytucje finansowe tworzą takie instrumenty. Albo handlują śmiercią. Ktoś skupuje od niezamożnych ludzi polisy na życie, w zamian wypłaca im co miesiąc rentę i zakłada się, ile delikwent pożyje. Im krócej, tym lepiej, bo zgarnia się wtedy wypłatę z jego polisy. Te polisy się łączy w pakiety – tzw. CDS – i taki produkt bank sprzedaje jako fantastyczną bezpieczną inwestycję.

### **A co to szkodzi?**

– Szkodzi.

Jeśli jest pan biznesmenem i ma wolne 50 milionów dolarów z zeszłorocznego zysku, to może pan to zainwestować w budowę nowej fabryki, powiedzmy w Polsce, albo wsadzić w finansowe kasyno. I okazuje się, że kasyno jest bardziej pociągające.

### **Dlaczego wolę kasyno?**

– Przychodzi do pana facet z funduszu hedgingowego i mówi: „Panie prezesie, słyszałem, że pańska firma chce inwestować w nową fabrykę, ale ja mam lepszy pomysł. Po co się użerać z robotnikami w Polsce i mieć potem zwrot z kapitału na poziomie 5 procent rocznie? Tu mam fantastyczny CDS, ten instrument pozwoli panu zarobić 20 procent rocznie!” To się tak odbywa. Takim naganiactwem zajęły się poważne banki. Jak przychodzi do pana cwaniak z funduszu o nazwie w stylu „Superprofit”, no to czerwone światło się w pańskiej głowie zapali, trzy razy się pan zastanowi. Ale jeśli naganiacz jest pracownikiem szacownego banku, z którym od lat pan współpracuje? Banki poszły w instrumenty pochodne, zamiast zajmować się swoim powołaniem i udzielać firmom kredytów na inwestycje w realną gospodarkę.

Gdyby instrumenty finansowe funkcjonowały w sferze abstrakcji, to byłoby jeszcze



pół biedy. Problem polega na tym, że kiedy następuje nakłucie bańki spekulacyjnej – a na rynkach finansowych bańki zdarzają się ciągle – to wtedy wirtualne pieniądze kierują się w sferę realną. Spekulanci chcą zamienić gwałtownie te dziwaczne aktywa na cokolwiek trwałego.

### **Czyli jak trwoga, to do realnej gospodarki?**

– Właśnie. Kupują złoto, siarkę, surowce, ryż, ropę. I następuje zaburzenie cenowe w realnym świecie, co może rozhuścić całą gospodarkę. Jedne ceny gwałtownie rosną, inne spadają, nieruchomości tanieją, sektor budowlany pada, ludzie zostają z niespłacalnymi kredytami. Tysiące rodzin lądują na bruku. Nad tym zbyt szerokim strumieniem kapitałów przepływających w panice przez rynki finansowe nie ma żadnej kontroli.

Tradycyjna ekonomia, taka, której mnie uczono, mówiła, że gromadzenie kapitału sprzyja rozwojowi firm. „Akumulacja kapitału napędza wzrost.” I coś się w tym mechanizmie zatarło. Kapitał nadmiernie pęcznieje, a gdy pojawia się go za dużo w jednym miejscu, to jest kierowany nie w tę stronę, co trzeba. Mniej więcej czterokrotnie za dużo idzie w finanse zamiast w realną gospodarkę.

W podręczniku student przeczyta, że rynek kapitałowy jest ważnym elementem kapitalistycznej gospodarki. Jaki jest argument? „Rynek kapitałowy sprzyja optymalnej alokacji zasobów.” Pięknie. Tylko żadne badania prowadzone na świecie nie udowodniły, że jest coś takiego jak efektywność informacyjna rynku. Czyli że wiem, że rynek wycenia właściwie jakieś akcje, i mogę tam swoje oszczędności ulokować. Rynki są nieodporne na wstrząsy, histerie, jest „efekt poniedziałku”, „efekt weekendu”, „efekt stycznia” i czort wie czego jeszcze. Wszystko wprowadza zaburzenia.

### **Czyli mamy znakomitą teorię, ale w realnym życiu wszystko jest wyjątkiem od tej teorii?**

– Tak. Z neoliberalnym kapitalizmem jest trochę jak z realnym socjalizmem. On działa znakomicie w podręczniku. Piękna utopia.

### **Ale co z tego dla nas wynika?**

– Że jak się rynki i banki wypuszcza spod nadzoru, to stają się szkodnikami. A na końcu zabijają same siebie. Niszczą kapitalizm, niszczą demokrację. To tak naprawdę oznacza, że kapitalizm nie tworzy warunków do własnego przetrwania.

### **Czy pan jest optymistą, czy pesymistą?**

– Umiarkowanym optymistą.

## **Co robić?**

– Żeby dobrze było? Na świecie czy w Polsce?

## **W Polsce.**

– Poprawić jakość działania państwa; to nie jest łatwe. Budować inny klimat wokół podatków, przecież one wracają do społeczeństwa, do gospodarki, czego nie rozumieją doktrynerzy. Ich ulubiony zwrot: „Wydatki publiczne obciążają budżet państwa”. No dobrze – to po co ten budżet jest? Państwo musi być skuteczne i musi mieć pieniądze, bez pieniędzy państwowość jest tylko na papierze. I trzeba to ludziom wytłumaczyć.

Rozmawiałem kiedyś z posłem Szejnfeldem na temat różnych pomysłów Platformy, chodziło o jakąś reformę, która była bez sensu. I wywoływała ogromny opór środowiska. On powiedział tak: „Proszę pana, im większy opór środowiska, tym bardziej reformę trzeba wprowadzić”. Takie myślenie.

## **Im bardziej boli, tym lepsza reforma.**

– Nasze elity tak uważają. Gdy udaje się osiągnąć kompromis ze związkami, to komentatorzy piszą, że to kapitulacja, nic niewarte.

Nigdy nie doszło do debaty nad modelem sektora publicznego, zdrowia, edukacji. Co powinno nam zapewnić państwo, a co musimy sami sobie zapewnić? Unikamy tej rozmowy jak ognia. Bo to znaczy, że trzeba skończyć z fikcją i stwierdzić, że na coś państwa też nie stać. W sposób jasny powiedzieć obywatelom: „Tyle płacisz podatków, tyle się możesz spodziewać”

## **Trzeba podnieść podatki?**

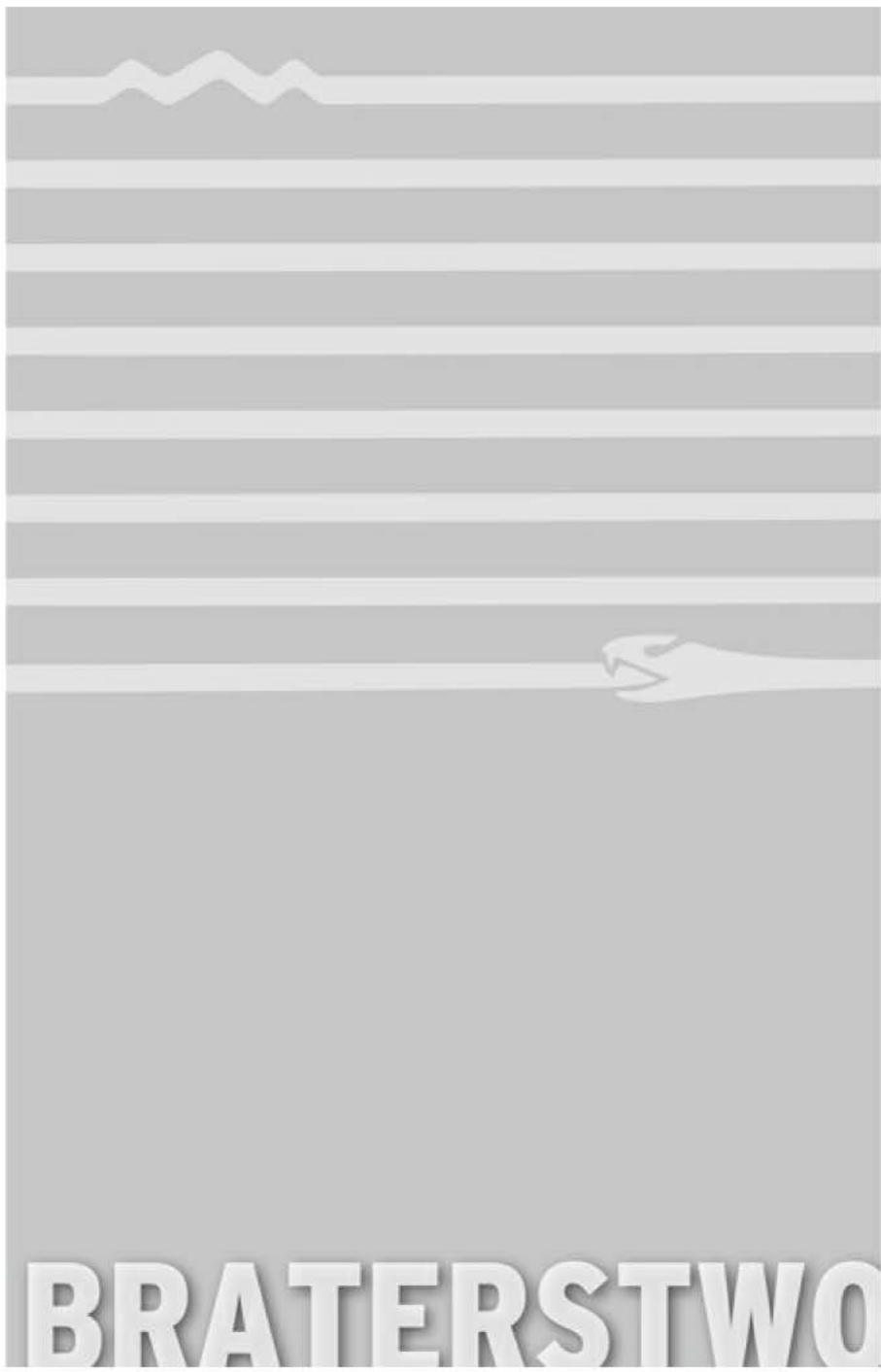
– Żeby doinwestować państwo, trzeba mieć pieniądze. I myślę, że trzeba będzie podnieść podatki dochodowe. Przywrócić w Polsce skalę trzystopniową w PIT. To pozwoliłoby obniżyć stawki VAT – podatku niesprawiedliwego, który najbardziej obciąża biednych. Wielkim wyzwaniem dla całej Unii Europejskiej są wyłudzenia zwrotów fikcyjnego VAT, co przecież też przekłada się na deficyty budżetowe i długi publiczne. Trzeba bardziej obiektywnie spojrzeć na przyczyny nierównowagi w polskim budżecie, a nie tylko szukać ich w wydatkach socjalnych. Polska powinna też lepiej kontrolować dochody korporacji i transfery pieniędzy do rajów podatkowych.

## **Wszyscy mówią, że się nie da.**

– Da się.

To, co się da, a co nie, zależy od klimatu ideowego. A ten można zmieniać.





# Czy jesteś dobrym człowiekiem?

---

## Rozmowa z JANINĄ OCHOJSKĄ

**JANINA OCHOJSKA (1955)** jest szefową Polskiej Akcji Humanitarnej. Z wykształcenia – astronom.

**Dawać?**

– Nie dawać.

**A jeśli żebrze dziecko?**

– Też nie. Dziecko jest wykorzystywane, żeby cię wzruszyć i wyciągnąć pieniądze. Zarabia ktoś inny, to są całe gangi. Znajomy, który jest przeorem jednego z krakowskich klasztorów, obserwuje żebrzących pod kościołem, zarabiają niezłe pieniądze. W ciągu dnia można uzbierać 300 złotych i to jest miejscówka, którą się kupuje. Siedzi matka z dzieckiem, wydaje się potwornie biedna. I pewnie jest. Ale ktoś ją tam stawia, ktoś zbiera haracz. Przeor widział kiedyś, jak facet po skończeniu zebrania odjechał taksówką.

**Wszyscy lubimy takie historie.**

– Ta jest prawdziwa.

**W ten sposób polska klasa średnia zwalnia się z odpowiedzialności. „To wszystko cwaniacy, którzy chcą nas naciągnąć” – powtarzamy sobie i mijamy żebrzących obojętnie.**

– Przyjaźnię się z siostrą Chmielewską, która ma odmienne zdanie: że dawać. Bo jeśli dziecko nie przyniesie wieczorem pieniędzy do tego gangu, to poniesie karę, zostanie zbite. Może tak być. Ale jeśli dam pieniądze, też poniesie karę, bo nadal będzie na żebry wysyłane.

Wrzucając 2 złote, niczego nie zmieniasz w życiu takiej osoby. Nie pomagasz. Jedyny efekt jest taki, że trochę łatasz swoje sumienie: oto coś zrobiłem, nie przeszedłem obojętnie.

### **Sumienie też ważne.**

– Ważne, żeby pomagać, a nie załatwiać sobie spokój sumienia.

### **Co twoim zdaniem lepsze: znieczulić się na żebrzących, mijać ich obojętnie i nic nie dawać czy jednak czasem dać 2 złote?**

– To już lepiej nic nie dawać.

### **Trudno mi się z tym zgodzić.**

– Rzeczywiście, ludzie, którym się w Polsce powiodło, bywają znieczuleni na biedę. Przypisują sukces wyłącznie własnym zdolnościom i uważają, że nie są nikomu nic winni. Elementem tego samozadowolenia jest często pogląd, że jak ktoś znalazł się w życiowych tarapatach, to pewnie zasłużył. „Nie ma biedy, tylko ludziom się robić nie chce” – to wyznanie dużej części klas wyższych. I moja kategoryczna rada – nie dawać – może być takim ludziom na rękę. Tak samo jak opowieści o żebraczych gangach i odjeżdżaniu taksówką po zakończeniu zebrania.

### **No właśnie.**

– Więc sprecyzuję: nie chcę Polaków zwalniać od odpowiedzialności, ale niech ich wrażliwość owocuje czymś rozsądniejszym niż dawanie drobnych na ulicy. 2 złote!? Tanim kosztem próbujesz sobie kupić spokój sumienia! Będiesz całe życie rzucał drobne i się oszukiwał, że nie jesteś obojętny na los bliźniego. Lepiej nie dawaj, niech twoje wrażliwe sumienie trochę pocierpi i może w końcu każe ci zrobić coś poważnego. Wyrzuty sumienia mogą być bardzo twórcze.

Mój przyjaciel Wojtek Bonowicz zadał mi kiedyś trudniejsze pytanie: „Słuchaj, idę ulicą z synem, którego próbuję wyedukować społecznie. Żebrze kobieta w ciąży. I co mam zrobić? Przejść obojętnie? No to dziecko będzie się uczyło obojętności. Wrzucić pieniążek? Też niedobrze.” Wojtek od lat z całą rodziną uczestniczy w pomocy niepełnosprawnym, uczy własne dzieci wolontariatu. I chce się zachowywać przyzwoicie również w sytuacjach ulicznych, żeby nie pokazywać moralnej schizofrenii.

## **Co mu poradziłaś?**

– Żeby nauczył dzieci, że w takiej sytuacji, zamiast wrzucać pieniędzy na odczepnego, trzeba okazać zainteresowanie. To najlepsza reakcja.

## **Zainteresowanie?**

– Wejść w kontakt. „Gdzie jest twoja mama?” „Dlaczego stoisz na ulicy?” „Skąd jesteś?” Oczywiście ten kontakt nie będzie łatwy, bo żebrzący może tego nie chcieć, coś nieprzyjemnego odburknie. Może nie znać polskiego, jeśli to rodzina Romów z Rumunii. Ale trzeba próbować dowiedzieć się, jaka jest sytuacja tej osoby. A swojemu dziecku możesz powiedzieć: „Wiesz, Maciusiu, są pogotowia opiekuńcze i różne organizacje, jak tylko wrócimy do domu, to do którejś zadzwonimy i spróbujemy coś zaradzić”. Sprawdzacie w necie na przykład „Mokotów – pogotowie opiekuńcze” albo „Mokotów – pomoc dzieciom”. Dzwonisz: „Przy alei Niepodległości 80 żebrze dziecko, czy możecie jakoś pomóc?”. Przecież to dziecko jutro też tam będzie stało.

## **A oni rozkładają ręce, że nie są od tego. I że nic się nie da zrobić.**

– Jasne, że tak. Nie licz, że zadzwonisz, a oni się rozcwierkają: „Ach, ach, jak to szlachetnie, że pan dzwoni! Ach, już biegniemy!” Na tym polega różnica między rzuceniem 2 złotych na odczepnego a prawdziwym zaangażowaniem, że to drugie bywa niewdzięczne i wymaga uporów. W pierwszym miejscu powiedzą, że nie ich sprawa. Ale może będą wiedzieć, gdzie się zwrócić, i dadzą kolejny telefon. A jak nie, to dalej szukasz w necie. Starasz się dotrzeć do organizacji, która zna rejon i obieca, że sprawdzi sytuację tego dziecka i jego rodziny. Po kilku dniach jeszcze raz dzwonisz, czy udało się coś ustalić. I właśnie teraz jest miejsce na sięgnięcie po portfel. Takich organizacji – dużych i małych – jest sporo i mają nieustannie problemy finansowe.

Gdybyś zapytał pierwszego z brzegu człowieka, czy zna jakiegokolwiek organizację niosącą pomoc w swojej dzielnicy albo w swoim mieście, to ręczę, że nie umiałby wymienić żadnej. A człowiek zamożniejszy tym bardziej, bo żyje na zamkniętym osiedlu. Polacy są żałośnie nieświadomi obecności instytucjonalnej pomocy. Co robią ludzie, gdy nagle znajdują się w tarapatkach? Piszą do Owsiaka, Dymnej, Ochojskiej i do telewizji. To wszystko, co im przychodzi do głowy. Poszłam kiedyś do programu Elżbiety Jaworowicz, w którym pokazywano dziewczynę zagrożoną eksmisją na bruk. Takich przypadków jest coraz więcej, bo sądy zaczęły beztrąsko wydawać takie wyroki. Dookoła – potworny bałagan, porozrzucane szmaty. Zapytałam: „Czy pani nie mogła chociaż uprzątnąć? Żeby jakikolwiek wysiłek z pani strony był widoczny”. Nie. Ona CZEKAŁA na pomoc od telewizji. Pracownicy miejscowych instytucji twierdzili, że ta

kobieta w ogóle się do nich nie zgłosiła, a przecież na takie przypadki mają pieniądze.

Telewizja tak naprawdę szkodzi, bo potrafi rozkręcić każdą pomoc w sposób niemalże nieograniczony. Ktoś potrzebuje 1000 złotych, żeby popłynąć dalej o własnych siłach, a dostaje nagle 100 tysięcy. Po powodzi w 2001 roku media publikowały prywatne konta poszkodowanych, nikt pieniędzy nie kontrolował. Budowaliśmy razem z „Gazetą” domy dla powodzian i pewna pani dostała od ludzi dodatkowo ćwierć miliona na konto. Była często pokazywana, rzeczywiście miała bardzo trudną sytuację. Kupiła sobie świetny samochód, ruszyła w Polskę i nie mogliśmy jej zastać w tym nowym domu. Dzieci trafiły pod opiekę siostry. Taka niekontrolowana pomoc może być zgubna, bo nie każdy potrafi zrobić z niej rozsądny pożytek. Uważam, że lepiej przekazać pieniądze jakiejś lokalnej organizacji, instytucji, która ma konto i może to nadzorować. I zrobi tyle, ile jest potrzebne, a resztę pieniędzy przeznaczy dla kolejnej osoby.

Polacy uwielbiają pomagać bezpośrednio. Najbardziej lubią wpłacać komuś na prywatne konto albo dawać do ręki. Wyobraźmy sobie to dziecko z ulicy, że spada na nie niezwykła hojność, dostaje jednego dnia 10 tysięcy złotych. Czy myślisz, że dostanie nowe buty? Albo konsolę do gier? Smartfona, o którym pewnie marzy? Zeszyt? Książkę?

**„Nigdy nikomu nic nie daję, bo wszyscy oszukują” – mówi mój znajomy.**

– Nieszczęśliwy człowiek.

**Nasz wywiad go w tym utwierdzi.**

– Ale, przepraszam, kto ponosi winę za nieodpowiedzialną pomoc? Za to, że niektóre organizacje robią machlojki? Wiem, że na to, co teraz powiem, wiele osób się zachnie, ale problem leży w ofiarodawcy! Gdyby ofiarodawca chciał rozliczenia, interesował się, jak jego pieniądze będą wydane, to takich sytuacji byłoby mniej. Przyszedł do nas pan i dał milion złotych na studnie w Sudanie. Ale podpisaliśmy cały kontrakt, dostał pełne rozliczenie: 10 tysięcy poszło na uszczelki, 20 na łóżyska do pomp i tak dalej. I to powinien być standard.

Jeżeli dajesz byle jak, to te pieniądze będą byle jak wydane. Jeżeli dajesz dobrze, to zostaną wydane dobrze. A co znaczy dobrze? To wymaga wysiłku, chodzenia, sprawdzania, interesowania się. Zaangażowania. A nie udawania wielkich gestów, rzucania kwot z odruchu serca, bo mnie sierotka w telewizorze wzruszyła. Uważamy, że dawanie jest samo w sobie takie szlachetne, że zwalnia z jakiegokolwiek dodatkowego wysiłku. Wystarczy dać i cały świat powinien być szczęśliwy i bić nam brawo.



Posiadanie pieniędzy to jest odpowiedzialność. Komuś się poszczęściło w życiu i ma obowiązek się dzielić. Mądrze dzielić.

### **Poszczęściło?**

– Celowo używam tego słowa. Oczywiście, można powiedzieć tak: jestem zdolny, pracowity, no to mam. Ale to nie jest cała prawda o życiu. Bo wielu dostało na starcie prezent: lepsze miejsce urodzenia, dom rodzinny pełen książek, kapitał kulturowy, a może rodzice mieli znajomych, którzy załatwili mi pracę, a potem dzięki inteligencji i zacięciu zrobiłem fantastyczną karierę... Tak czy siak ktoś dostał wiele razy szansę. A są ludzie, którzy tej szansy nie dostają albo mają niezwykle ograniczone możliwości. Byli zdolni, pracowici, a mimo to nie udało się.

Mnie na przykład bardzo się w życiu poszczęściło, dostałam od losu w prezencie strasznie dużo i traktuję to jako dług.

### **Dostałaś też od losu chorobę w prezencie.**

– Polio okazało się dla mnie szansą. To, że jestem szefową PAH, wynika ze splotu przypadków związanych z tą chorobą. Pojechałam do Francji, bo lekarz, który dostał od pewnej siostry zakonnej dramatyczny list w mojej sprawie, zwrócił się do francuskiego Ministerstwa Zdrowia i nagle właściwie z nieba spadły pieniądze na leczenie. We Francji zetknęłam się z organizacją humanitarną EquiLibre, która w stanie wojennym wysyłała konwoje z pomocą do Polski. I od tego się zaczęło.

Oczywiście z polio związane są też rozmaite nieprzyjemności, będę miała prawdopodobnie coraz większe ograniczenia, ale na szczęście tylko fizyczne. Duchowo to mogę wszystko.

### **Jesteś zadowolona z tego, kim jesteś?**

– Bardzo. To jest poczucie siły. Mogę wszystko. Jak popatrzę na dom, z którego pochodzę, biedny, bardzo biedny...

### **Biedny? Ojciec przecież był górnikiem.**

– Ale pił. Przepijał.

Dzięki mnie i moim współpracownikom z PAH pół miliona ludzi w Afryce ma dostęp do wody, bo przez dwadzieścia lat aż tyle zrobiliśmy. Więc czuję własną siłę. Zmieniłam kawał świata.

### **Czy w ten sposób załatwiasz coś sobie psychologicznie?**

– Tak. Chyba tak. Poczucie bycia potrzebną. Gdybym się czuła niepotrzebna, byłaby to dla mnie sytuacja bardzo trudna psychicznie. Natomiast na pewno nie załatwiam

sobie spokojnego sumienia. Bo pomaganie to jest selekcja, wybór. Czasem okrutny.

## **Selekcja?**

– Pierwszy raz taką decyzję musiałam podjąć w Sarajewie, byliśmy tam z konwojem, załatwiałam coś na mieście i już mieliśmy wyjeżdżać, wracam do samochodu, a w środku siedzi kobieta z chłopcem i dwiema walizkami. Błaga, żeby ją wywieźć z Sarajewa. No i wiesz... musiałam ją z samochodu wyrzucić. Bo jeśli by na jednym z serbskich posterunków to się wydało, to już nigdy do Sarajewa nasza organizacja by nie wjechała z żadną pomocą. Więc wyrzuciłam ją na śnieg, zostawiłam z dzieckiem w środku wojny. Często myślę o tej kobiecie, czy przeżyła. I o tym chłopcu. Wiesz... ona... klęczała na śniegu... błagała mnie. I ja...

## **Płaczesz. W ogóle to do ciebie nie pasuje.**

– Pamiętam jej płaszcz. I że miała ciemne włosy. Pamiętam klęczącą i całującą mnie po nogach. Dosłownie. I ten chłopczyk, który tam krzyczy... błaga...

Pomaganie nie jest bajką, to rozumiałam. Nie będzie miło, trzeba być psychicznie silnym.

## **Okrutnym.**

– Możesz tak to nazwać. Ja wolę słowo „asertywnym”. Do pomagania potrzeba czegoś, co wydaje się pozornie sprzeczne z tym etosem – takiego właśnie chłodu. Dystansu.

## **Słyniesz z tego. Zawsze mnie dziwiło, że bywasz taka chłodna, kiedy opowiadasz o ludziach, którym pomagasz.**

– Trzeźwa.

Nie mogę pomagać wszystkim. Trzeba wybierać. I to, co się wybrało, robić jak najlepiej.

**Na wyrzucenie tej kobiety z auta może sobie pozwolić tylko ktoś taki jak ty. Bo robisz inne ważne rzeczy. Ale ja nie mógłbym sobie na to pozwolić bez dewastacji moralnej. I tak samo nie mogę ze spokojem mijać na ulicy żebrzących i nie wrzucać im pieniędzy. To jest właśnie ta różnica między nami.**

–To zacznij coś robić! Zaangażuj się!

Świetnie to brzmi, że tak się moralnie chcesz zachować i czujesz te straszliwe dylematy, mijając żebrzących. Wrażliwość, empatia i tak dalej. Ale to są tak naprawdę emocje słabe i niekoniecznie przydatne w prawdziwym pomaganiu. Pamiętam dziewczynę, przeszkoloną, przygotowaną, ale jak zobaczyła dzieci z gołymi pupami

w podartych koszulkach, które biegły za nią i krzyczały „daj funta”, to zaczęła rozdawać nie tylko cukierki i funty, ale wręcz wszystko, co miała przy sobie. Szlochając. Wzięliśmy ją do bazy i wycofaliśmy z Sudanu. To nie był kraj dla niej.

### **Czyli taką osobę musicie w pewnym sensie znieczulić?**

– Możesz tak to nazwać. Ja bym powiedziała: urealnić.

Ludzie wyobrażają sobie, że jak dadzą dziecku cukierka, to będzie zadowolone. Ale za nimi przybiegnie chmara dzieci i też będą chciały. Zaczną się bić o cukierki, jakies dziecko się przewróci, zobaczy to miejscowy dorosły i uzna, że „biały kolonizator” chce coś złego dzieciom zrobić. Tragedia gotowa.

Opowiadał mi kiedyś znajomy, że pojechał na wycieczkę do Indii i jak zobaczył tamtejszą biedę, to się oczywiście niesłychanie wzruszył. Empatia, odruch serca i inne wzniosłe uczucia, które tak lubisz. W turystycznym miejscu spotkał ładną miłą dziewczynkę w podartej sukience, zaprowadziła go do swojego domu, porozmawiał z jej rodzicami. Nie chcieli pieniędzy, ale marzyli o własnym małym straganie i potrzebowali do tego wozu z wołem. Kupił im.

### **To chyba rozsądna pomoc?**

–Tak. Można powiedzieć, że zachował się wręcz modelowo. Dał wędkę, a nie rybę. I... padł ofiarą oszustów. Wspecjalizowali się w naciąganiu bogatych turystów, ale wiedzieli, że prosić o pieniądze stało się podejrzane, więc wymyślili historię ze straganem. Można powiedzieć, że dostosowali swoją rynkową ofertę do wyobrażeń wyedukowanego społecznie zachodniego turysty. Oczywiście natychmiast odsprzedawali ten wóz z wołem, to było z góry umówione z handlarzem.

### **I co z tego? Przecież na pewno i tak byli biedni.**

– Oczywiście. Ale w ten sposób uczą się, że na oszustwie można zdobyć pieniądze. I to ich psuje. Nikt mi nie powie, że oszustwem wyłudzona pomoc może zaowocować jakimkolwiek dobrem.

### **Co powiedziałaś temu znajomemu od wołu?**

– „Sam sobie jesteś winien. Wzruszyła cię obdarta dziewczynka, a nie dowiedziałeś się niczego o tej rodzinie. Ja bym czegoś takiego nie zrobiła. Przecież są sąsiedzi, rozmaite lokalne organizacje, mogłeś najpierw zasięgnąć języka, czy tamci naprawdę potrzebują takiego wsparcia.”

**Żeby to sprawdzić, musiałby się odłączyć od wycieczki i zostać dwa dni dłużej. Niekoniecznie w all inclusive.**

– Otóż to. Zainteresować się NA SERIO. A my często chcemy naprawiać świat, realizując jakieś swoje chwilowe wzruszenia.

**Słyszałaś o turystyce wolontaryjnej? Podobno jest to najszybciej rozwijająca się gałąź biznesu turystycznego.**

– Słyszałam. Jedzie się do Kenii na safari, a potem na dwa dni do slumsów Kibery, żeby zobaczyć „prawdziwą” biedę. I rozdaje się trochę cukierków, jakiemuś dziecku można wsunąć pieniądze, bo ładna dziewczynka i miała takie duże oczy. Bieda w roli atrakcji turystycznej. No, jeden dzień pobawiliśmy się z dziećmi w slumsach, strasznie się tam żyje, ale za to będzie co opowiadać znajomym przy kolacji.

**Biura podróży reklamują te wycieczki hasłem: „Urlop wolny od poczucia winy”.**

– Genialne. I wstrętne.

**Przyjmie się w Polsce?**

– Oczywiście. Myślę, że są ludzie, którzy mają pieniądze i nie wiedzą, co z nimi robić. I chętnie pozbędą się wyrzutów sumienia przy okazji urlopu.

**Jedna z ofert: tydzień na plaży na Haiti, drugi tydzień – odbudowywanie domów ofiar powodzi. Może ma to sens?**

– Nie ma. Bo potem miejscowi muszą poprawiać krzywe ściany postawione przez wzmorzonych moralnie turystów. No, chyba że wysyłamy wycieczkę cieśli i murarzy.

PAH stawia domy dla ofiar ostatniej powodzi na Filipinach. Nigdy nie wzięłabym kogoś stąd po to, żeby tam je stawiał. Mamy dwie koordynatorki, które zajmują się finansami, kupują materiały, sprawdzają, gdzie trzeba budować. Są też na miejscu inżynierowie, którzy przygotowali projekt na podstawie lokalnych wzorców. Przecież zarówno na Filipinach, jak i na Haiti są ludzie, którzy potrafią domy stawiać!

**Czy Polacy są dobrymi ludźmi?**

– Ludzie raczej nie są źli, tylko czasem brakuje im wiedzy. I jak im wyjaśnić, to się chętnie zmieniają. „Aha, no tak, teraz to oczywiste!” I zaczynają się zachowywać przyzwoicie.

**Wrocław, plac zabaw, chora na autyzm Natałka pociągnęła w trakcie zabawy jakiegoś chłopca za koszulkę. Ojciec chłopca robi dziką awanturę. Matka Natałki przeprosza i tłumaczy, że córka choruje na autyzm. On wrzeszczy: „Niech pani stąd idzie! Jeśli pani dziecko jest chore, to niech nie chodzi w miejsca publiczne i nie przeszkadza w zabawie zdrowym dzieciom”. Jak byś temu człowiekowi wyjaśniła,**

## **że robi źle?**

– Spokojnie. Awantura z takim człowiekiem nic nie da. Spróbowałabym z nim zwyczajnie porozmawiać, żeby się zastanowił, gdzie jest granica kalectwa, którą akceptuje. Czy dziecko bez ręki mogłoby się bawić z jego synem, czy nie? No jeśliby mogło, to czy dziecko upośledzone też może? Dobrze odbić piłeczkę w stronę tego człowieka. Niech on wyznaczy granicę. Szybko zobaczy, że stawianie takich granic jest absurdalne. Ludziom trzeba dać się zastanowić.

## **A może lepiej wyjechać mu z bańki?**

– Nie.

**Matka Natalki zrobiła komórką zdjęcie temu mężczyźnie i opublikowała na Facebooku z opisem całej sytuacji. Ten gość teraz krąży po sieci, wszyscy go sobie pokazują jako potwora. Dobrze?**

– Nie. Zrobiła mu krzywdę. Ja w takich sytuacjach myślę najpierw o tym, żeby nie zrobić komuś krzywdy.

**To dziwne, że myślisz najpierw o krzywdzie tego faceta. A krzywda tej kobiety, chorego dziecka?**

– No tak, ale on już tę krzywdę im wyrządził. To się już stało. Nie trzeba dodawać kolejnej. Co poczułeś, oglądając zdjęcie tego gościa?

**Złość. „Co za skurwysyn!”.**

– Czyli fotografia wywołała złe emocje w iluś tysiącach ludzi, którzy to sobie rozesłali. A być może on wcale nie jest skurwysynem. Może jest tylko głupi? Niewrażliwy?

**Nie uważasz, że głupota jest odmianą zła?**

– Dużo ludzi mogłoby tak samo zareagować, bo nie wiedzą, co to jest autyzm. Wiesz, co mi przyszło do głowy? Może pomyślał, że to jakaś choroba zakaźna? A może jest człowiekiem, którego razi widok „nienormalnego” dziecka, bo tak został przez kogoś niemądrze wychowany? W czasach mojego dzieciństwa dość powszechnie uważano, że dzieci kalekie powinno się zamykać w ośrodkach specjalnych, żeby nie raziły normalnych ludzi.

**Czułaś to jako dziecko?**

– Pokazywano mnie palcami: „Taka ładna, a taka kaleka!” Wychowywałam się poza domem, byłam w różnych szpitalach, ośrodkach, sanatoriach, co miało też dobre strony,

bo myśmy tam sobie dawali niesamowite wsparcie i śmialiśmy się z dzieciaków normalnych. Nie miałam żadnych kompleksów. Kiedy poszłam do normalnej szkoły, to dzieci w klasie ustawiały się w kolejce, żeby pochodzić o moich kulach. Imponowałam im. Dzięki kulom miałam w rękach taką siłę, że chłopaków kładłam. Teczkę za mną nosili.

Ojciec z wrocławskiego placu zabaw w tej jednej sytuacji zachował się źle. Ale może za chwilę w innej sytuacji zareaguje wspaniale. Gdybym oceniała ludzi po jednorazowych głupich wypowiedziach, tobym nic w życiu nie mogła zrobić. „A czemu Murzyni w Sudanie nie wykopią sobie sami tych studni?” – pyta mnie wykształcony i w sumie dość fajny człowiek. To są reakcje wynikające z niewiedzy, a nie z tego, że ktoś jest złym człowiekiem.

### **I co odpowiedziałas?**

– „Po pierwsze, nie mówi się Murzyni. Po drugie, studnie są głębokie na sto metrów. I nikt nie wykopie tego łopata.” Zamieściliśmy na YouTube film z Sudanu, jak się robi taką studnię, można zobaczyć.

**Szkoła podstawowa, klasa V, wulgarny Przemysławek dokucza innym dzieciom, pluje i nieustannie przeklina. Rodzice organizują zebranie i piszą petycję do dyrekcji, żeby Przemysławka przenieść do szkoły specjalnej, bo „nasze dzieci nie mogą się w spokoju uczyć”. Kartka z podpisami krąży po sali, trafia w końcu do ciebie. Co robisz?**

– Absolutnie bym nie podpisała tej petycji, bo pozbycie się Przemysławka to nie jest rozwiązanie. Ale nie wiem, czy jest sens, żebym w tej sprawie się mądrzyła. Mogę to robić tam, gdzie mam jakieś doświadczenie. W wierceniu studni w Sudanie – mam. A w takich sprawach nie bardzo. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji i pewnie nie będę, bo nie mam dziecka.

### **Pytam cię jako osobę, której zmysł moralny bardzo szanuję.**

– Jeśli miałabym postępować zgodnie z wyznawanym katalogiem wartości, to próbowałabym namówić rodziców, żeby rozwiązać problem inaczej. Załatwić Przemysławkowi dobrego psychologa, który będzie z nim regularnie pracował. Znaleźć dojdzie do rodziny chłopca i spróbować im pomóc, bo na pewno tam jest jakiś problem. A może on nigdy nie był zaproszony przez żadnego z kolegów do domu? Może powinien zobaczyć jakąś inną rzeczywistość? Przemysławek może się zmienić tylko w normalnej społeczności. Jak się go karnie odeśle do szkoły specjalnej, to będzie wiedział doskonale, dlaczego go odesłano, i w tamtym miejscu zacznie się za to

mścić. Będzie próbował swoją krzywdę przemienić w siłę. Rozwiązaniem najlepszym jest pozostawienie go w naszej społeczności.

**Tyle że Przemysławek nie przemieni się w aniołka po dwóch rozmowach z psychologiem. To są miesiące pracy. Może rok. I przez ten rok wszystkie inne dzieci będą musiały cierpieć agresję, kuksańce, skakanie po ławkach w czasie lekcji. I być może w teście szóstoklasisty będą mieć przez Przemysławka gorsze wyniki, a to teraz główne zmartwienie rodziców. W imię czego?**

– Pomocy temu dziecku. Czy musi być jakiś inny powód?

**Ile razy Przemysławek podbije oko twojemu synowi przez ten rok w jednej klasie?**

– A może nie podbije? Zresztą, powiedzmy sobie szczerze, dzieci często się szarpią, mają kolana poharatane, to nie koniec świata.

**No to na przykład ma inną zabawę: łapie dziewczynki i udaje, że z nimi kopuluje. Twoja córka wraca z płaczem, bo zerwał jej bluzkę i przy całej klasie obmacywał. Dwunastolatka. Płacze w nocy, a rano wymiotuje ze strachu przed szkołą.**

– Eskalujesz. Utrudniasz mi sytuację.

**Życie zwykle utrudnia.**

– To prawda. Zachować się przyzwoicie jest czasem niezwykle ciężko... Nie wiem, co bym zrobiła... Może to ja bym zmieniła szkołę w takiej sytuacji i przeniosła córkę, co oczywiście jest ucieczką. Nie podpisałabym tej cholernej petycji także dlatego, że zbyt bym się tego przed samą sobą później wstydziła.

**Renomowane gimnazjum dwujęzyczne organizuje wycieczkę do Paryża. Trzech rodzin na to nie stać, na zebraniu słyszą od innych rodziców: „To po co pchaliście dzieci do szkoły dwujęzycznej? Jak was nie stać na takie wyjazdy, to zmieńcie szkołę”. Jesteś na tym zebraniu. Co robisz?**

– Świństwo.

**Wstajesz i zaczynasz na nich krzyczeć?**

– Nie. Po co ludzi obrażać? „Proszę państwa, albo wszystkie nasze dzieci jadą, albo nie. To może niech nikt nie jedzie? Ale w związku z tym, że to nie jest jakaś gigantyczna kwota, to proponuję ją zebrać”. Ile to pieniędzy?

**Troje dzieci po tysiąc złotych, czyli 3 tysiące.**

– No to co to jest dla reszty rodzin zebrać taką kwotę?

### **Te trzy biedniejsze rodziny nie chcą jałmużny.**

– Świetnie to rozumiem. Nie chodzi o to, żeby się zrzucić i dać im pieniądze. Zróbmy jakąś akcję, zbierajmy puszki, surowce wtórne, zorganizujemy kiermasz, koncert. Niech nasze dzieci razem coś zrobią. Są dziesiątki rozwiązań. Rodzice mogą ciastka piec i je sprzedawać na kiermaszu, dzieci mogą wycinać ozdoby choinkowe. Niech wszyscy zasuważą. I nie będzie w tym klimatu jałmużny.

### **Te rodziny będą się wstydzić, że tyle hałasu robi się wokół pieniędzy dla nich.**

Nie dla nich! Nie tak stawiamy sprawę. Jest wspólna pula na wycieczkę i brakuje nam 3 tysięcy. NAM. Bo to wspólna sprawa.

### **Czy jest jakaś ogólna rada, żeby obdarowywany nie czuł się upokorzony?**

– Pamiętam sytuację z dzieciństwa, kiedy do klasy wchodziła pani z opieki społecznej i mówiła: „No, będziemy kupować ubrania dla biednych, Ochojska nie ma kurtki, to dla niej kurtkę, a dla Kowalskiej spodnie”. Czułam się strasznie. Gdybym więc miała dać jakąś jedną radę, to brzmiałaby ona: nie pokazuj palcem.

PAH finansuje obiady w szkołach w ramach akcji „Pajacyk”. I podstawowym warunkiem, który stawiamy szkołom, jest to, że dzieci muszą jeść takie same obiady. Biedne dziecko nie może być naznaczone tym, że dostało tylko ziemniaki z buraczkami, a zamożniejsze przy tym samym stole wcina schabowego. A tak bywa w polskich szkołach. Szkoła od zamożniejszego dziecka, za które płaci rodzic, dostaje powiedzmy 7 złotych za obiad. A od biedniejszego, za które płaci pomoc społeczna – 4 złote. I zamiast wrzucać wszystko do jednego kotła i gotować jednakowe obiady, niektóre szkoły wprowadzają segregację w stołówkach. My zawsze w takich sytuacjach interweniujemy, media to nagłaśniają i zwykle szkoła wycofuje się z tych pomysłów.

**A czy zastanawiałaś się, jak to w ogóle możliwe, że w polskich szkołach dzieją się takie rzeczy? Szkoła to nie jest przecież jaskinia troglodytów, jest w niej dyrektor, nauczyciele, oni wszyscy skończyli studia, przeczytali jakieś książki, choćby Dickensa. I nagle jakaś zbiorowa głupota w nich wstępuje i wpadają na pomysł segregacji stołówkowej. Ty rozumiesz ten mechanizm?**

– On jest dość prosty. Na szkoły coraz większy wpływ mają rodzice. I ci, którzy płacą pełną kwotę za obiad, mówią: „Ja chcę, żeby moje dziecko jadło dobry obiad, przecież płacę”. Zamożniejsi nie chcą wspólnego kotła, bo przecież te ujednolicone obiady będą nieco gorsze.

**To są źli ludzie?**



– Nie. Tylko nie pomyślą. „Ja chcę, żeby moje dziecko...” Moje dziecko najważniejsze.

### **Klimat w Polsce taki jest?**

– Tak. Wielu uważa: skoro się dorobiłem, to widocznie innemu się nie chciało. I sprawiedliwość polega na tym, że teraz moje dziecko ma lepszy obiad.

### **Darwinizm społeczny.**

– Rozpowszechniony. I nawet jest siła polityczna, która na tym próbuje zbijać kapitał. Nie chcę, żeby to nazwisko tutaj padło. Na tym, że biednemu dziecku kotlet się nie należy, bo jego rodzice pewnie są leniwi i nie chciało im się na tego kotleta zarobić, więc teraz będzie kara. To świetnie łączy z poglądem, że wolny rynek sam wszystko najlepiej wyreguluje, po co się wtrącać. A tymczasem jak się nie wtrącać, to właśnie tak się kończy – segregacją w szkolnych stołówkach. Już nie chcę nawet myśleć, czego uczy my dzieci jedzące obiady w takiej stołówce, jakie wartości im wpajamy. Przede wszystkim tym, które jedzą te lepsze obiady.

### **Co sądzisz o polskiej klasie wyższej?**

– Brak jej zaangażowania społecznego. To widać po wpłatach. Po cyklonie na Filipinach wpływają sumy po 20–50 złotych.

### **Zawsze coś.**

– Oczywiście. Ale chodzi mi o to, że ludzie zamożniejsi raczej nie wpłacają. Emerytowana nauczycielka spod Płocka wpłaci 20 złotych, bo przeczytała reportaż o Filipinach w „Polityce” czy „Tygodniku Powszechnym”. I raczej przeczytała go w bibliotece, bo na kupowanie tygodników jej nie stać.

To moja osobista klęska, że właściwie nie udało mi się dotrzeć do zamożniejszych. Do prawdziwych bogaczy też się nie udało. Próbowалам, organizowałam jakieś spotkania, uderzałam do BCC, do Lewiatana, odzew był właściwie żaden. Z listy pięciuset najbogatszych nikt nie jest naszym ofiarodawcą.

### **Dlaczego?**

– Zwykle słyszę, że już coś robią. Najczęściej wspomagają kulturę, bo to jest bardziej *cool*. I sport, bo na tym można zarobić. Jestem przez to środowisko traktowana lekko protekcyjnie. „Fajne rzeczy robi Janina Ochojska, takie ma dobre serce, że się tymi biednymi Murzynami zajmuje” – docierają do mnie komentarze. Kiedyś PAH zwróciła się do bardzo bogatego biznesmena – potrzebowaliśmy szybko pieniędzy na duży projekt – spotkał się, był miły, coś tam obiecał, ale po tygodniu oświadczył: „Pani Janino, no ja sam potrzebuję pieniędzy! No nie mam!?” Miliarder.

Ludzie, którzy czerpią zyski z surowców w Afryce, mają obowiązek coś dla tych społeczności zrobić – tak uważam. Ale oni tak nie uważają.

Myślę, że Polacy w ogóle nie mają świadomości tego, jak wiele mogliby zrobić. I mają złe pojęcie o pomocy.

## **Złe?**

– Czułostkowe, pocziwe i anachroniczne. Kiedy PAH próbuje dotrzeć do właścicieli małych i średnich firm – sądząc po samochodach, to również bardzo zamożni ludzie – zwykle słyszymy: „My już pomagamy w domu dziecka”. Tymczasem dzisiaj prawdziwa pomoc jest czymś zupełnie innym niż wożenie konserw z kończącym się terminem ważności i słodyczy do sierocińców. Dzieci mają przed świętami dziesiątego Mikołaja, dostają rzeczy, których nie potrzebują. Kiedyś „Wyborcza” ogłosiła akcję kupowania węgla i kurtek dla domów dziecka. Napisałam wściekły list do redakcji.

## **Janka! Oni tego węgla po prostu nie mieli!**

– Od czego jest państwo? Mamy państwowy dom dziecka, więc albo sobie powiedzmy, że państwo nie jest w stanie go nawet ogrzać, i niech ludzie wezmą na siebie utrzymanie sierot, albo wymagajmy od państwa, żeby dało dziecku kurtkę, opał i inne niezbędne rzeczy. Ja mogę dać takiemu dziecku na łyżworolki, na fajny rower albo kupić najnowszego iPhone’a.

## **Kupić iPhone’a? I to byłby rozsądny wydatek?**

– Oczywiście! Żeby ktoś z domu dziecka miał w szkole te same gadżety co jego rówieśnicy z normalnych domów. Żeby się nie wstydził. To bardzo ważne.

## **Interesuje cię ekonomia?**

– Nie rozumiem ekonomii. Nie potrafię na przykład zrozumieć obiegu pieniądza. Ani tego, skąd ta cała radosna szczęśliwość wzrostu PKB. Po co komuś czwarty jacht albo piąty dom? Bo że ktoś chce mieć jacht, no to jeszcze jakoś rozumiem. Ale kolejny? I na jakiej zasadzie nieustanne kupowanie ma napędzać gospodarkę?

**Jeszcze pięć lat temu powszechnie wierzyliśmy, że wzrost gospodarczy powoli wyciągnie wszystkich ludzi z biedy, zniknie głód na świecie, byle nie przeszkadzać prawom ekonomii. Czy ty byłaś kiedykolwiek taką optymistką?**

– Takich złudzeń nie miałam, bo znałam fakty. Codziennie umiera 26 tysięcy ludzi z głodu. A jednocześnie żywności produkuje się coraz więcej tylko po to, aby bogaci mogli więcej i więcej wyrzucać. Bogaci – czyli również my.

System zjada własny ogon. Globalne koncerny puchną ponad miarę i zyskują

nieprawdopodobną władzę. To widać zwłaszcza w Afryce. Obejrzyj sobie film o produkcji fasolki szparagowej w Kenii, strąki muszą być równej długości, proste, jak jest lekko skręcony, to się go wyrzuca, żebyśmy w supermarkecie w Europie kupowali ładną fasolkę. I tanią, bo siła robocza ma być tania.

**Ale dzięki temu ludzie w Kenii mają pracę. Jeremi Mordasewicz z Lewiatana by ci wyjaśnił, że bez fasolowego koncernu nie zarabialiby nic.**

– To nie takie proste, że lepsze jest cokolwiek niż nic. Drobni właściciele ziemi w Afryce – i to proceder znany – są rugowani przez państwo, które sprzedaje ziemię wielkim koncernom pod taką właśnie produkcję. Chce ściągnąć kapitał, więc daje ulgi, niskie podatki i tanią ziemię. Niektóre koncerny kupują taką ziemię jako zabezpieczenie kapitałowe i ona leży odłogiem. Jednocześnie pozbawia się kawałka ziemi miejscowych, którzy mogli sobie tę żywność produkować. Łatwo ich wyrzucić, bo ziemia użytkowana jest nieformalnie, uprawiali ją latami, ale bez tytułu własności. Zabrano im słabą ziemię, na której ledwo wegetowali, to prawda. Ale dano jeszcze słabszą pracę dla koncernu. Dobra zmiana? To jest rozwój?

**A co powinno się zrobić?**

– Zostawić im ziemię i ich wspomóc. Uprawa ananasów? Świetnie. Ale dlaczego ma to robić koncern? Niech wioska połączy siły, nawodni ziemię i uprawia ananasy. To wymaga wsparcia i ludzi, którzy pokażą, nauczą, potrzebne są też mikrokredyty.

Małe społeczności są ograbiane przez koncerny z dobrych możliwości zarabiania na nas, bogatych Europejczykach. Dlaczego ma zarabiać koncern, a nie wioska? Lokalne rozwiązanie polegałoby na tym, że zamiast koncernu mamy tysiąc wiejskich spółdzielni produkujących ananasy, które są wysyłane do Europy.

**Utopia.**

– Nie. W Sudanie Południowym uruchomiliśmy farmę, która należy do wioski i produkuje nasiona. Nauczylismy ich tego. Bo w Sudanie ludzie zjadają często ziarno na zasiew nie dlatego, że są głupi, ale z powodu przedłużającej się pory suchej. Dzięki naszym studniom zaszła gigantyczna zmiana, mają wreszcie wody pod dostatkiem i zamiast ciągle po nią chodzić, mogą uprawiać coś dodatkowo, bo mają po prostu więcej czasu. W 2007 roku w Bor na targowisku można było kupić rarytas za 2 euro – pomidora z Kanady lub z Ugandy. Towar ten był przeznaczony dla ludzi z organizacji międzynarodowych, którzy mieli już dość jedzenia fasoli. Niezmiernie ubogo to wyglądało. Budowa studni przez PAH i inne organizacje spowodowała niesłychany rozwój uprawy warzyw, jeśli dziś pójdziesz na targ w Bor, to właściwie możesz

wszystko kupić. Tylko ogórków nie ma.

Dzisiejszy model kapitalizmu powoduje, że ziemia jest wykorzystana, owszem, efektywnie, ale tylko z ekonomicznego punktu widzenia. Skrawki zostają skomasowane przez wielki koncern, który je nawodni i będzie uprawiał ananasy dla połowy Europy bardzo tanio i niezwykle efektywnie. Ale czy zawsze powinniśmy się kierować efektywnością? Czy efektywnie to na pewno znaczy dobrze?

### **Co będzie ze światem?**

– Będzie takim, jakim go uczynimy. Musi dojść do jakiegoś samoograniczenia w zamożniejszych częściach świata.

### **Czyli będzie lepiej wtedy, kiedy nam – w zamożnej Europie – będzie gorzej?**

– Tak. Ale czy odmówienie sobie dziesiątej pary butów to jest gorzej?

### **Jak przestaniemy kupować, to cały interes przestanie się kręcić.**

– No i właśnie tego nie rozumiem! Jak to działa?

Ludzie żyją przekonani, że posiadanie starego telewizora to tragedia. A jak już mam płaski, to muszę mieć jeszcze bardziej płaski za chwilę, większy, z dostępem do internetu. Masz dom, to jeszcze musisz mieć domek na wsi, a jak jesteś bogatszy, to w Toskanii albo Prowansji. Naturalna kolej rzeczy. Czytam u fryzjera, że znana para bierze rozwód i kłóć się o siedem domów! I zaczynam sobie wyobrażać, że gdybym miała siedem domów, to musiałabym też mieć samolot, żeby między nimi się przemieszczać. W każdym domu musiałabym mieć te same ciuchy, bo chcę założyć na przykład czarne spodnie, a czarne są akurat tylko w Krakowie. Ile tych rzeczy!? I czy byłabym w stanie skorzystać z tych wszystkich dóbr w siedmiu domach tak, żeby usprawiedliwić ich istnienie? Jeśli „Czarodziejska góra” to moja ulubiona książka, a jestem akurat w domu na Bahamach, to powinnam samolot po nią wysłać do Krakowa?

**Ekonomista powie, że jak kupisz sobie siedem egzemplarzy „Czarodziejskiej góry” do każdego domu, siedem par czarnych spodni i siedem lodówek, to nakręcisz koniunkturę. Biedni w Bangladeszu też na tym skorzystają, bo pewnie produkują klej introligatorski do tych książek.**

– Ale to prowadzi do absurdu! Robi się produkty coraz mniej trwałe. Rzeczy są po to, żeby służyły człowiekowi do wygodniejszego życia, chyba lepiej mieć lodówkę długo, niż wymieniać co pięć lat, bo się psuje, i zamiast zajmować się poważnymi rzeczami, trzeba ją naprawiać albo wymieniać. Ekonomiści mówią, że na tym zarabia cały świat. Ale jeżeli ludzkość ma przetrwać tylko dzięki temu, że będzie produkowała

coraz więcej przedmiotów, to cała ekonomia jest postawiona na głowie. Zwiększona produkcja żywności wcale nie powoduje, że mamy mniej ludzi, którzy głodują. Więcej wyrzucamy!

### **PAH to jest istota twojego życia?**

– Uzależnienie.

### **A co byś robiła, gdybyś tego nie robiła?**

– Pracowałabym w Polskiej Akademii Nauk. Pewnie bym napisała w końcu doktorat.

### **Z czego?**

– Z analizy widmowej gwiazd. Jako naukowiec wiele lat temu badałam bardzo szczególne linie pozwalające określać odległość gwiazd. Ale nie miałam w sobie pasji, żeby tylko temu się poświęcić. Pamiętam kolegów astronomów, którzy siedzieli całymi dniami tylko w gwiazdach i byli szczęśliwi, a ja ciągle uciekałam do ludzi. Byłabym więc astronomem sfrustrowanym.

Sierpień 2014

# Muszę się trochę kurczyć

---

## Rozmowa z PIOTREM IKONOWICZEM

**PIOTR IKONOWICZ (1956)** pochodzi z rodziny inteligencji pracującej. I to pracującej na całym świecie, bo jego ojciec Mirosław był korespondentem zagranicznym PAP. Razem z siostrą (Magdą Gessler) wychowywali się w Sofii, Hawanie i Madrycie. Piotr skończył prawo na UW. W stanie wojennym działał w podziemnej „Solidarności”, za co kilkakrotnie siedział. W 1987 roku był w grupie osób reaktywujących Polską Partię Socjalistyczną, potem był jej przewodniczącym, odszedł w 2001 roku. Dwa razy był posłem na Sejm (PPS weszła w koalicję wyborczą z SLD). Od ponad dziesięciu lat jest poza Sejmem. Prowadzi Kancelarię Sprawiedliwości Społecznej, która udziela darmowych porad prawnych osobom ubogim.

### **Dzieci?**

– Czwooro. Julka, Karol, Karolina. I jeszcze Paweł – mój przybrany, syn Agaty.

Julka jest w Kraju Basków. Tam, gdzie mieszka, nie można odczytać żadnej nazwy banku, bo ciągle są zamazywane. Nie lubią tam banków. Kiedy w kryzysie zaczęły się samobójstwa z powodu eksmisji, to samorządy baskijskie przeniosły pieniądze publiczne do tych banków, które nie eksmitują. Inny świat.

### **Co Julka tam robi?**

– Skończyła w Madrycie szkołę dla pracowników socjalnych, zajmuje się dziećmi imigrantów. Ostatnio przez dwa miesiące opiekowała się Muna, dziewczynką z Sahary Zachodniej. Kiedy Muna dostanie ciastko, to odłamuje połowę i oddaje innemu

dziecku spotkanemu na ulicy. Tak samo dzieli się kieszonkowym. Ma obyczaje ludzi biednych.

### **Ludzie biedni się dzielą?**

– Empatia rodzi się z wyobraźni. Jeżeli nigdy nic podobnego mnie nie spotkało, to ja to odrzucam. Uważam, że biedy nie ma. Albo że jest zawiniona.

### **Zawiniona?**

– To powszechne przekonanie wśród polskiej klasy średniej: biedni są sami sobie winni, bo leniwi i niezaradni. Jeśli za wszelką cenę chcę wierzyć, że to, co mam, słusznie mi się należy, i nie zamierzam się z nikim dzielić, to wygodnie uznać, że tamci nie mają, bo się nie postarali. Wtedy mój świat jest poukładany. Znika poczucie winy. Ten mechanizm działa zwłaszcza wśród naszych elit, które się nachapały.

### **Już zaczynasz...**

– Co zaczynam?

### **Mówić Kaczyńskim.**

– Dlaczego mam brzmieć inaczej? Za dużo złodziejstwa widziałem.

### **Wszyscy kradną. To znam.**

– Wy nic nie rozumiecie. Nic. I sprowadzacie wszystko do populizmu, który potem wyśmiewacie. Tymczasem na dole wzbiera ludowa skarga na państwo, które jest niesprawiedliwe. Dla wielu grup społecznych Polska jest złą macochą. Poczytaj sobie własną „Gazetę”: teksty Żytnickiego o poznańskich czyścicielach kamienic. Albo o pracodawcy, który zamiast wypłacić pensję, bije pracownika. To nie są incydenty. Do Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej, którą prowadzimy z Agatą, ciągle zgłaszają się ludzie z podobnymi kłopotami.

Biedak za niespłacenie pożyczki idzie siedzieć na podstawie oskarżenia o wyłudzenie kredytu. Natomiast pracodawca, który go zatrudnił na czarno i potem nie wypłacił półrocznej pensji, nie siedzi. „Więzienie to miejsce dla głupich i biednych” – powtarzał facet, z którym ostatnio siedziałem w jednej celi. Usłyszał tę sentencję od policjanta, który go doprowadzał do aresztu.

To wszystko jest klasowe.

### **Klasowe?**

– Sędzia poluje i gra w brydża z miejscowym biznesmenem, który trzęsie miastem. I ten sędzia ma instynkt klasowy. Kiedy widzi przed sobą człowieka, który ma być

eksmitowany na bruk za niepłacenie czynszu, to nie czuje z nim żadnej wspólnoty. Nie będzie się w jego sprawę zagłębiał, bo należy do innego środowiska. To jest jeden z głównych mechanizmów polskiej niesprawiedliwości. Kulturowy. „Nie mam takich znajomych.” Klasy społeczne w Polsce przestają się znać i rozumieć.

Napisaliśmy ostatnio projekt nowelizacji kodeksu pracy, żeby pracownik nie był karany za zatrudnienie się na czarno, lecz jedynie pracodawca. Teraz jest tak, że ludzie oszukani przy wypłacie boją się poskarżyć, państwo czyni ich współnikami własnych ciemieżców. Nad projektem dyskutowano na posiedzeniu klubu Palikota, wszystko pięknie. Ale potem idziemy na papierosa i jeden z posłów mówi na boku: „Kurczę, Piotrek, ja nie znam żadnego pracownika, wszyscy moi znajomi to pracodawcy. Zabiją mnie, jeśli to poprę.”

### **Co to za facet kręci się po twoim mieszkaniu?**

– Stefan.

### **Rodzina?**

– Nie. Oni z nami tylko mieszkają. Stefan, Natalia i ich jedenastoletnia córka Małgosia.

### **Dlaczego?**

– Stracili dom, wylądowali z dzieckiem w noclegowni we wspólnej sali, więc opieka zagroziła, że zabierze Małgosię do bidula. Wtedy uciekli i zaczęli nocować we trójkę w samochodzie. Tak trafili do nas.

### **Nie mogli zarobić i czegoś sobie wynająć?**

– Zarabiają. On rozwozi obiady, a ona jest opiekunką. Ale z dochodów nie udałoby się wynająć mieszkania na wolnym rynku i przeżyć, kupić jedzenia. Zatrudnienie dające jaki taki zarobek wymaga zameldowania. Jak masz w dowodzie brak meldunku – a oni tak mają – to dostajesz najgorsze prace po 5 złotych za godzinę. Poza tym oboje są pod pięćdziesiątkę, ludzi w tym wieku rzadko zatrudnia się w Polsce za przyzwoite stawki.

### **Od dawna są w twoim mieszkaniu?**

– Już rok. Ale to nie jest moje mieszkanie.

### **Agaty?**

– Też nie. Jadę na jednym wózku z moimi klientami z Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej i nie mam mieszkania. Różnica jest taka, że mogę zarobić i co miesiąc opłacić wynajem.



## **Trzy pokoje w bloku na Goławiu. Ile?**

– Dwa tysiące.

## **Jak zarabiasz?**

– Mam stałe felietony w „Uważam Rze”, „Faktach i Mitach” i londyńskim „Gońcu Polskim”. Publikuję też w „Rzecie”. No i jestem tłumaczem.

## **Ile znasz języków?**

– Siedem. Bułgarski, serbski, rosyjski, hiszpański, włoski, portugalski, angielski.

## **Mógłbyś nieźle zarabiać.**

– I czasem się udaje. Mam wyliczone, że aby na wszystko starczyło – wynajem mieszkania, opłaty, rachunki, żarcie, książki, benzynę – muszę zarobić 7 tysięcy miesięcznie. Na cztery osoby. A właściwie na pięć – pomagam też trochę Julce w Hiszpanii.

Często nie udaje się tyle zarobić i wtedy zalegam.

## **Teraz zalegasz?**

– Za ciepłą wodę. Tu mieszka w sumie osiem osób, więc uzbierało się 20 tysięcy. Dwa razy wyłączyli nam prąd, bo żeśmy nie mieli kasy. Trzeba było to jakoś dzieciom wytłumaczyć, więc teściowa wpadła na pomysł, że to taka zabawa jak w dawnych czasach, kiedy świece były. Oczywiście szybko uruchomiłem prąd, bo mam jednak to całe zaplecze, mogę od znajomych pożyczyć, skołować. I to jest ta różnica. Ludzie naprawdę biedni są zwykle samotni, oni nie mają od kogo pożyczyć.

## **Pożyczasz od swojej siostry Magdy Gessler?**

– Nie. I nawet nie dlatego, że się unoszę honorem. Po prostu ludzie bogaci mają nieustannie potrzeby finansowe i wydają więcej, niż zarabiają.

## **1 maja 1982 roku działacz podziemnej „Solidarności” Piotr Ikonowicz organizuje niezależne obchody Święta Pracy. Wbrew „Solidarności”, która ogłosiła bojkot pierwszomajowych pochodów.**

– Zwołaliśmy komitet porozumiewawczy lewicy rewolucyjnej – trockiści, anarchiści, socjaliści – rozwiesiliśmy odezwy, żeby iść na pochód niezależny. Byłem w ekipie podziemnego Radia Solidarność i w miejsce, gdzie nagrano wezwanie do bojkotu, wkleiliśmy „Czerwony sztandar”, czyli hymn Polskiej Partii Socjalistycznej. Obywatelskie nieposłuszeństwo! Pokazaliśmy, że 1 maja to nie jest wcale komusze

święto, tylko nasze. Maciek Guz, trockista, robotnik, szedł na przedzie z obrazem Matki Boskiej za kratami, a za nim dwadzieścia tysięcy ludzi. I ani jednego zomowca, bo byli kompletnie zaskoczeni. Dopiero 6 maja mnie wsadzili i internowali w Białołęce, ale tylko na kilka miesięcy.

### **Ideowo kim wtedy byłeś?**

– Socjalistą, ale takim z PPS-Lewica. Czyli hardcore’owym, jednolitofrontowym. Nieodżegnującym się od komunizmu, jeśli jest szczerzy. Z Józkiem Piniorem napisaliśmy tekst o rewolucji demokratycznej, w którym przewidzieliśmy koniec PRL-u.

Wchodziliśmy do fabryk na lewe przepustki, robiliśmy wiece strajkowe. Znałem Polskę po zakładach. Wiedziałem, gdzie jest „nasza” fabryka i gdzie można przenocować.

W 1984 roku walczyliśmy z eksportem polskiego węgla do Wielkiej Brytanii. Robiliśmy ulotki dla dokerów w Szczecinie, żeby nie ładowali węgla na statki. Nasi współpracownicy w Londynie rozdawali ulotki z przeprosinami i wyrazami wsparcia dla brytyjskich górników.

### **O co chodziło?**

– O solidarność. Brytyjscy górnicy prowadzili strajk generalny przeciwko Margaret Thatcher, która zamykała kopalnie i wywalała ludzi na bruk. Strajkowało ponad sto czterdzieści tysięcy ludzi, wielkość urobku spadła o 75 procent. I wtedy dzięki pomocy socjalistycznej Polski i eksportowi naszego węgla udało się złamać strajk. Byliśmy na komunę wściekli. Zespół Miki Mausoleum śpiewał o tym tak:

*Brytyjscy górnicy nie mają już sił,  
przez prawie rok walczyli o swe prawa,  
brytyjscy górnicy nie mają już sił,  
bo walka z polskim węglem to niełatwa sprawa.  
Śląskie pieruny są uparte w pracy i włożą w dupę pani Thatcher,  
by pomóc załatwić swych brytyjskich braci.*

Edek Mizikowski, z którym w 1988 roku wchodziłem na gmach KC [między świętami a Nowym Rokiem powiesili na KC transparent „Uwolnić więźniów politycznych”], w czasie wizyty Thatcher witał ją w bramie kościoła św. Stanisława Kostki. Podał jej rękę, podziękował za wszystko, co zrobiła dla naszej wolności, a drugą ręką rzucił nad głowę ulotki „Chleba i pracy dla polskich i brytyjskich górników”

**To był 1988 rok. Wtedy już nikt nie wierzył w socjalizm. Ani Miller, ani Kwaśniewski, ani nawet Jaruzelski. Ty wierzyłeś?**

– Wierzyłem. Jako jedyny dobrze poinformowany.

**Dobrze poinformowany?**

– Wiedziałem, co się zaraz będzie działo. Plan Balcerowicza to miało być tylko kilkaset tysięcy bezrobotnych – było kilka milionów. Miała wzrosnąć produkcja, a spadła. Majątek fabryk rozkradziono. Od początku byłem przeciw.

Zanim rozpoczęła się w Polsce neoliberalna okupacja i zaczęto realizować plan Balcerowicza, zasięgnięto rady szwedzkich socjalistów, co sądzą o tym zestawie reform. Przysłali miążdzący raport, którego konkluzja brzmiała: nie idźcie tą drogą. W Polsce to przeczytano i schowano do szuflady. I właśnie dlatego Mazowiecki był taki przerażony i zemdłał w czasie swojego *exposé*...

**Piotr...**

– Taka jest moja teoria.

**Był zmęczony i tyle.**

– A znasz nową wersję dowcipu: „Ilu trzeba Polaków, żeby wkręcić żarówkę”?

**Nie znam.**

– „Ani jednego. Rynek to zrobi za nich.” Tak się z nas śmieją na Zachodzie. Śmieją się, że Polacy dali się zbajerować neoliberalnej ideologii najbardziej w całej Europie. Uwierzyliśmy w bujdy, że wolny rynek jest lekarstwem na wszystko, a problemy społeczne rozwiążą się same. Byle rosło PKB.

**Co ci się najbardziej dziś w Polsce nie podoba?**

– Nowy rodzaj faszyzmu. Po to, żeby bić Żydów, trzeba było w niemieckiej wyobraźni zbiorowej sprowadzić ich do istot nieludzkich, odebrać im człowieczeństwo. Stali się niegodni, aby żyć – *unwertes Leben*. I dzisiaj ludźmi *unwertes Leben* są ludzie niezamożni. Wróciły czasy pogardy. Ta pogarda dotyczy każdego, kto sobie nie radzi na wolnym rynku.

**Gdzie ty to widzisz?**

– Na każdym kroku. W sądach, w urzędach, w mediach. Szczególnie w mediach.

**To włącz sobie choćby TVN. W co drugich „Faktach” leci wzruszający kawałek o samotnej matce, której trzeba pomóc.**

– Zgoda. Tyle że istotą wszystkich tych programów jest to, że one usypiają. Nie odbywa się po nich żadna poważna dyskusja systemowa. Jest epatowanie krwią, łzami, potem i nieszczęściem indywidualnym. INDYWIDUALNYM. Bieda jest pokazywana jako problem niezaradnych jednostek, a nie kłopot społeczny, któremu trzeba zaradzić systemowo.

82 procent Polaków nie ma żadnych oszczędności. I każda z tych osób może się błyskawicznie osunąć w biedę. Bo jak straci pracę, to zasiłek nie wystarczy na kupienie jedzenia, opłacenie czynszu. Trzeba wtedy wybierać. Przestajesz płacić czynsz, zalegasz z ratami kredytu i lądujesz na bruku. Znam historie ludzi zamożnych, firma, willa i dobre samochody, którym noga się powinęła i tak wylądowali. Mamy straumatyzowane, przerażone społeczeństwo, w którym powszechną chorobą jest depresja.

### **I w którym ponad 80 procent ludzi twierdzi, że są szczęśliwi. To wynik z ostatniej „Diagnozy społecznej”.**

– No jasne. Polacy w badaniach ankietowych odpowiadają, że są szczęśliwi i że ich sytuacja ekonomiczna jest niezła. Dlaczego? Bo wykreowany przez media wizerunek biednego jest taki, że on pije i jest leniwy. Więc wstyd się przyznać do klęski.

U mojego syna w szkole na przedmiocie podstawy przedsiębiorczości uczono, że bezrobotny to taki człowiek, któremu się nie chce pracować. Tak jakby nie istniało bezrobocie strukturalne polegające na tym, że nie możesz znaleźć pracy, choćbyś na głowie stawał.

### **Poszedłeś do szkoły z awanturą?**

– Nie poszedłem, bo nie mogę wszędzie walczyć.

Polak zapytany, czy należy do najbiedniejszych, odpowie, że nie należy, i będzie się zakłamywał, bo najbiedniejsi to przecież lumpy. Banki, analizując te opowieści o dobrobycie i powszechnej szczęśliwości, wiedzą, że ci sami ludzie nie mają zdolności kredytowej, więc jak ich sytuacja materialna może być dobra? Negocjuję z bankierami porozumienia kredytowe i wiem, jak oni myślą. I jak oceniają rzeczywistą sytuację polskich rodzin.

### **Dużo negocjujesz z bankami?**

– Sporo. U nas, niestety, nie ma prawnego nakazu łagodzenia warunków kredytowania, jak ktoś ma kłopoty. Nakazu negocjacji. Odwrotnie – banki natychmiast zaostrzają warunki. Tracisz pracę, nie płacisz kilku rat i zaraz stawiają klauzulę wykonalności. Nie dają oddechu.

Do kancelarii zgłosiła się kobieta, która miała 100 tysięcy długu. Jej mąż umarł na raka. Zbyt długo umierał jak na polskie warunki i wpadli w długi, bo przecież pielęgniarki, pampersy, masaże na odleżyny – to wszystko w Polsce jest za grube pieniądze. Ta kobieta już nic nie miała, ani mieszkania, ani zarobków, tylko cienką rentę. Napisałem pisma i uświadomiłem to trzem bankom. Umorzyli. Znam wiele przypadków, kiedy choroba prowadzi Polaka do bankructwa.

### **Co takiej osobie z długami radzisz?**

– Po pierwsze, żeby zmieniła numer telefonu. Ludzie biedni często uważają, że zasłużyli na te wszystkie obelgi w słuchawce: „Ty złodziejko”, „Już cię nie ma, załatwimy cię”. To są teksty, które Polacy słyszą od przedstawicieli bardzo znanych banków, międzynarodowych szanowanych korporacji. U siebie te firmy nie pozwoliłyby sobie nawet na ułamek tego, co robią w Polsce.

### **Długi trzeba spłacać. Zgodzisz się.**

– Zgodzę. Tyle że jeśli Anglik albo Francuz traci pracę i ma kłopot z przeżyciem do pierwszego, to idzie po zasiłek. A Polak musi iść do lichwiarza po pożyczkę.

### **Są zasiłki.**

– Udawane! Niskie! Jałmużna! Nie można wytwarzać sytuacji, w której jedynym sposobem przeżycia dla osoby tracącej pracę jest zaciąganie na paskarski procent kolejnych pożyczek. Znam ten korkociąg na pamięć. Tracisz pracę, zaczynasz pożyczać po rodzinie, a jak rodzina już nie ma, to idziesz do lichwiarza i w ten sposób oddalasz moment katastrofy.

Opowiem ci historię z ostatnich miesięcy. Kobieta z dzieckiem dostała eksmisję na bruk...

### **Z dzieckiem? Można eksmitować w Polsce dziecko na bruk?**

– Oczywiście. Dzięki drobnym zmianom w kodeksie postępowania cywilnego wprowadzonym trzy lata temu. Jeśli w wyroku eksmisyjnym nie jest oznaczone dziecko, lecz jedynie dłużnik, czyli na przykład matka, to komornik ją eksmituje „ze wszystkimi rzeczami i osobami”, czyli również z dziećmi. Dawniej na widok dzieci komornik musiał odstąpić od eksmisji, poinformować sąd rodzinny, co pozwalało ustalić uprawnienie do lokalu socjalnego. Teraz kamienicznicy wykorzystują zmianę prawa i w pozwie o eksmisję nie informują o dzieciach, żeby szybciej się pozbyć ludzi.

### **I co z tą kobietą?**

– Napisaaliśmy odwołanie, sąd przyznał jej lokal socjalny i zawiesił eksmisję.

Następnego dnia administrator upewnia się, że wyszła do pracy, rozwała zamki i zaczyna wywozić rzeczy. Sąsiadka wszczyna alarm. Przyjeżdżamy na miejsce, blokujemy drogę dwoma samochodami, żeby nic nie wywieźli. Wzywamy policję. Pokazujemy wyrok sądu. Tymczasem administrator zaczyna gliniarzy przekonywać, że wyrok sądu jest niesłuszny. I dyskutują. Robią sobie na podwórku sąd nad sądem.

Policjanci w efekcie są skołowani. Siedzimy tak do wieczora, aż w końcu po moich nerwowych telefonach przyjeżdża szef warszawskiej prewencji i dopiero na jego rozkaz administrator wnosi rzeczy z powrotem.

### **Dlaczego policjanci nie reagowali od razu? Przecież mieliście wyrok o wstrzymaniu eksmisji. Czarno na białym.**

– Tak. Ale jednocześnie administrator pokazywał im upoważnienie od właściciela kamienicy i akt własności, który w Polsce jest czymś w rodzaju licencji na zabijanie. Święte prawo własności – tak się przecież mówi. Sakralizowaliśmy w Polsce własność.

Przyjeżdżam do mieszkania, w którym dwóch obywateli Ukrainy wyjęło właśnie drzwi z futryny i z tymi drzwiami na plecach biegnie przez podwórko. W mieszkaniu przerażona staruszka. Wchodzi do niej mafioso, który wyłudził akt notarialny. Wiadomo, że jest złodziejem. Wszyscy to wiedzą. W „Gazecie” Kolińska o nim kilka razy pisała, znają go w sądach, wyłudza mieszkania od lat razem z podstawioną panią notariusz. Wzywamy policję, a oni rozkładają ręce, bo ten facet pokazuje im akt własności.

### **I co?**

– Dzwonię do komisariatu na Żytniej i tłumaczę, że ten gość z dwoma osiłkami wywalił drzwi. Bez komornika, nielegalnie. A zastępca komendanta mówi na to: „No tak, chłopaki oszczędzają na kosztach komorniczych”

### **Taki żart?**

– Nie wiem. Mafia dla wiceszefa komisariatu to są „chłopaki”

### **I co dalej?**

– Jest taka komórka w policji, bardzo słaba, ale jest: rzecznik praw człowieka przy komendzie wojewódzkiej. I trzeba o tym wiedzieć. Ja takie rzeczy na szczęście wiem, zadzwoniłem tam i oni wreszcie pomogli. Mafioso staruszki nie wyrzucił, sprawa o unieważnienie aktu notarialnego jest w sądzie.

**Byłeś posłem przez dwie kadencje. Przejrzałem twoje przemówienia sejmowe z 2000 roku: „W gminie Dębe Wielkie cztery rodziny mieszkające w podupadłym**

**dworku zostały sprzedane wraz z dworkiem”. Albo: „Pan B. kradł samochody i za to kupił osiedle zakładowe”. W kółko mówiłeś o eksmisjach.**

– Pamiętam pana B., on miał cały gang i był ścigany listem gończym. Jednocześnie sąd wynajmował od niego pomieszczenia. Facet skupował dawne osiedla zakładowe za bezcen i gnębił lokatorów niemiłosiernie.

**Dlaczego zajmowałeś się takimi sprawami?**

– Bo to przeżywałem. Wkurzało mnie, że w Polsce takie rzeczy się dzieją. A potem, kiedy ciągle o tym głądziłem z trybuny sejmowej, ludzie sami zaczęli się do mnie zgłaszać po pomoc. Dużo jeździłem, bo rozkręcałem PPS i chciałem, żeby komórki partyjne powstały w całej Polsce. Miałem wtedy nieograniczone zapasy energii. Jeździłem do miejsc całkiem zapomnianych, których od lat dwudziestu nie odwiedził żaden polityk, ludzie czekali na mnie w stodole. I często to byli skrzywdzeni ludzie. Napatrzyłem się na biedę.

**Ile eksmisji zablokowałeś?**

– Osobiście byłem na co najmniej dwustu. Jako poseł miałem immunitet i to było skuteczne, bo siadałem w drzwiach i nie można mnie było ruszyć.

**A pamiętasz, kto wprowadził możliwość eksmisji na bruk w Polsce?**

– Lewica. Tak zwana lewica.

**A dokładnie rząd SLD-PSL i minister budownictwa Barbara Blida. Byłeś wtedy posłem w klubie SLD.**

– I od nich odszedłem.

Pamiętam kolację z posłami SLD w knajpie sejmowej, było nas siedemnastu, policzyłem. W całej tej grupie tylko ja nie byłem pracodawcą. Siedzimy, pijemy i poseł Henryk Długosz z Kielc – ten od późniejszej afery starachowickiej – opowiedział anegdotę następującą: „Przyszedł do mnie taki cizio na budowie i powiedział, że założy w mojej firmie związek zawodowy. To ja mu na to, że od dzisiaj kołki w stropy będzie wkręcał ręcznie, a nie wiertarką. I wiecie co? Nie ma związku zawodowego. Ha, ha, ha.” I wszyscy się śmieją! Jeden poseł lewicy drugiemu takie żarciki zasuwa. Taka to u nas była lewica.

Zapytałem kiedyś w klubie SLD, dlaczego nie zajmujemy się biednymi. I uzyskałem od Krzysia Janika bardzo treściwą odpowiedź: „Bo oni nie głosują.”

**Prawdę powiedział.**

– Prawdę.

**W 2000 roku kandydowałeś w wyborach prezydenckich. Pamiętasz swój wynik?**

– 0,22 procent.

**Słabszy był tylko facet od wkładek ortopedycznych.**

– Ale relacje medialne trzeba było zobaczyć, mnie w ogóle nie pokazywali. A wtedy istniało tylko to, co jest w telewizji.

**Media winne? Piotr!**

– No i to, co Janik powiedział. Biedni chętnie brali ode mnie pomoc, ale nie było to wystarczającym powodem, żeby szli na wybory. Pamiętam takie osiedle bloków zakładowych, kilka tysięcy ludzi sprzedanych prywaciarzowi, oni byli w kompletnej dupie. Sporo dla nich zrobiłem. Dostałem tam dwa głosy.

**A dlaczego?**

– Nie wiem. Na obrońcę ludu wyrósł Lepper.

**Może dlatego, że ty ze wszystkimi po drodze się kłóciłeś. Z Piniorem, z Lipskim. Twoja kariera polityczna to kolejne podziały.**

– Wszystko albo nic – trochę tak ze mną było. Zgoda. Ale jak przejrysz historię ruchu robotniczego, to znajdziesz tam gorące, płomienne polemiki i wynikające z poglądów rozłamy. Bo to jest dialektyczne. Nie można wierzyć w dwie sprzeczne rzeczy naraz.

**Czyli człowiek ideowy musi być kłótlivy.**

– Nie o to chodzi. Po prostu człowiek ideowy nie będzie się schylał do ziemi w imię kompromisu. I uważam, że to jest wartość.

**Bezkompromisowość.**

– Oczywiście.

**Przecież na tym polega społeczeństwo, że są kompromisy. Że jest jakaś droga pośrodku.**

– Pośrodku to jest gówno po kotku. Nie może być kompromisu między koniem a jeźdźcem. Z każdym można współpracować, jeżeli jest jakiś punkt wspólny, wspólna idea.

**Z PiS na przykład? Bo Kaczyński w sprawach społecznych mówi podobne rzeczy jak ty. „Sięgnąć do głębokich kieszeni”. „Opodatkować korporacje”.**



– Kaczyński nie rozumie dość podstawowej rzeczy – że ma do czynienia z kapitalizmem, a nie ze spiskiem. On jest szkodliwy. PiS w imię zaradzenia zła społecznemu, które – nie przeczę – potrafi dostrzec, odbierze nam kawał demokracji jakby co.

### **Ty nie odbierzesz jakby co?**

– Nie. Bo jestem marksistą demokratą. Wolna wola. I wolne wybory. Ale słusznie, że pytasz. Bo idzie mój czas.

### **Twój czas?**

– Od lat mówię językiem interesów grupowych i to zaczyna być wreszcie zrozumiałe dla zwykłych ludzi. Zanikają konflikty zastępcze, których byłem ofiarą, bo nie chciałem w nie grać. Nie ma już podziału na solidaruchów i komuchów. Podział na mohery i lemingi też przestaje być aktualny. Dziś na pierwszy plan w całej Europie wysuwa się wreszcie prawdziwy podział: na biednych i bogatych. Nierówności społeczne osiągnęły na świecie rozmiar niespotykany od lat trzydziestych ubiegłego wieku. I w Polsce też wreszcie zaczynamy dyskutować o realnych problemach: pracy za grosze, stawkach minimalnych, umowach śmieciowych, nieuczciwych pracodawcach, którzy nie płacą pensji, korporacjach, które nie płacą podatków i puchną od nadmiaru gotówki. Jeśli polskie elity nie wezmą się na serio do niwelowania nierówności społecznych, to zmiecie je fala nienawiści i frustracji. Innymi słowy: albo w Polsce będziemy mieli porządną europejską lewicę z prawdziwym programem socjalnym, albo koalicję Macierewicza z narodowcami. I ja właśnie próbuję budować prospołeczną lewicę, działając wśród prostych ludzi na samym dole.

### **I co dalej? Partia? Sejm?**

– Chętnie. Ale przez najbliższe pięć lat nie mogę, bo mam wyrok.

### **Na własne życzenie. Mogłeś zapłacić grzywnę i dawno mieć to z głowy.**

– Mogłem. Tylko jak się dowiedziałem o wyroku skazującym, to byłem nieprawdopodobnie oburzony.

### **Uderzyłeś tego faceta?**

– To się działo w czasie blokady, ten człowiek był właścicielem, który chciał eksmitować lokatora. I ktoś go rzeczywiście zahaczył. Ale nie ja. Byłem więc przekonany, że zostanę uniewinniony. Dostałem wyrok: prace społeczne, czyli zmiatanie liści.

### **I trzeba było pozamiatać.**

– No, ale jestem, jaki jestem. Mam swoje silne emocje: „Nie dam się! To niesprawiedliwe!” No i w końcu musiałem iść siedzieć. Ogłosiłem w więzieniu głodówkę, był z tego dym w mediach. I dobrze, bo zaczęto przy okazji mówić o naszym projekcie ustawy zakazującej eksmisji na bruk osób ubogich.

### **Po dwóch tygodniach zapłaciłeś grzywnę i wyszedłeś.**

– Bo Agata była chora. Nie będę się wygłupiał jej kosztem.

Chęć brylowania dawno we mnie wygasła. Zmieniłem się. Wiem, że mam skłonność do wypełniania sobą całej przestrzeni i jeśli nie nauczę się trochę kurczyć, to będę sam.

Grudzień 2013

# Nie wszystko zrobisz sam

---

## Rozmowa z LEOKADIĄ OREŹIAK

**LEOKADIA OREŹIAK (1954)** jest specjalistką w dziedzinie finansów międzynarodowych, rynku finansowego i integracji europejskiej. Jest profesorem zwyczajnym w Szkole Głównej Handlowej oraz na Uczelni Łazarskiego w Warszawie. Napisała między innymi „Finanse Unii Europejskiej” i „Euro – nowy pieniądz”. Ostatnio – razem z Dariuszem Rosatim – była redaktorką książki „Kryzys finansów publicznych”. Dla Sejmu RP przygotowała opinię do ustawy wprowadzającej w 2011 roku zmiany w OFE. Nie jest związana z żadną partią. Uczestniczyła w debacie na temat OFE zorganizowanej w Sejmie przez PiS, a wcześniej w podobnej debacie zorganizowanej przez SLD.

**Do sali wykładowej wchodzi prof. Leszek Balcerowicz i oznajmia studentom: „Jeśli rząd zlikwiduje OFE, to postawi pod znakiem zapytania waszą przyszłość”. Godzinę później do tej samej sali wchodzi prof. Leokadia Oreźiak i mówi: „OFE trzeba jak najszybciej zlikwidować, to fundamentalna sprawa dla waszej przyszłości”. Oba wykłady odbywają się w Szkole Głównej Handlowej. I oboje podajecie niezbite argumenty. Studenci nie głupieją?**

– Student ma dużo zdrowego rozsądku i sobie poradzi.

**Ja głupieję.**

– Bo dał pan sobie wmówić, że ekonomia to nauka ścisła, w której wszystko musi się zgadzać.

## **A nie?**

– Skąd! To nauka społeczna niesłuchanie miękka, pełna intuicji i hipotez. Przyzwyczailiście się traktować ekonomistów jak głosicieli matematycznych twierdzeń i prawd udowodnionych raz na zawsze. „Nieuchronne prawa rynku” – to jedno z bardziej złudnych sformułowań, jakie znam. Dla ekonomistów taka nobilitacja jest nawet przyjemna, ale dla reszty ludzkości szkodliwa.

## **O co tak naprawdę kłóćcie się między sobą?**

– O idee. Głównie o nie.

## **Nie o liczby? Przecież ciągle pokazujecie twarde liczby i oznajmiacie przed kamerami, że jak wzrośnie X, to spadnie Y.**

– Tak. Liczby są twarde. Tyle że ich interpretacja wynika z idei, które ekonomista wyznaje. To nie jest tak, że znamy idealne modele matematyczne, wystarczy powkładać w nie dane i wiemy, jak zareaguje rynek. Gdyby tak to działało, ekonomiści potrafiliby przewidzieć kryzysy i inwestorzy nie traciliby fortun na giełdach. A tracą.

Ekonomiści mają różne sposoby widzenia świata i różne wrażliwości. Grupa społeczna, z której ktoś się wywodzi, też jest ważna, bo on na przykład widział biedę na własne oczy albo nie widział. Toczy się między nami spór światopoglądowy. Po prostu.

## **Spór między czym a czym?**

– Na podstawowym poziomie dotyczy on tego, w jakim świecie chcemy żyć.

Ciekawe, że zaczął pan od OFE. Na zajęciach ze studentami ten temat budzi zażarte dyskusje. Bywa, że po godzinie fruują marynarki, dochodzi do kłótni. „Jak to? Przecież wszystko miało być inaczej!” – wołają. W gronach profesorskich jest podobnie. Zaraz pojawiają się emocje.

## **Skąd te emocje?**

– Sprawa OFE dotyka czegoś bardzo podstawowego w dzisiejszym świecie. I ludzie intuicyjnie to wyczuwają. Jesteśmy na ideowym rozdrożu, a nasz stosunek do emerytur pokazuje dwa główne kierunki.

## **Świetnie. To proszę mi je pokazać.**

– A od czego mam zacząć?

## **Najlepiej od początku.**

– Czyli od idei.

Zwolennicy OFE, czyli prywatyzacji emerytur, za swój główny sukces uważają to, że składki nie idą już do wspólnego worka w ZUS, lecz na nasze imienne konta. „To będą wreszcie wasze pieniądze” – słyszeliśmy.

Tyle że ten pozorny sukces jest tak naprawdę zrywaniem więzów łączących nowoczesne społeczeństwa. Na czym polegają emerytury? Pracujące pokolenie zgadza się oddawać część swoich dochodów tym, którzy pracować już nie mogą. Aktualnie pracujący utrzymują aktualnych emerytów. Przez całe stulecie ludzie wpłacali pieniądze do wspólnego worka – w Polsce ten worek od 1934 roku nazywa się ZUS – i z tego worka wypłacane były bieżące świadczenia. Dziś próbuje się nam wmówić, że takie szlachetne gesty są niepotrzebne i szkodliwe. Niech każdy odkłada wyłącznie na swoją emeryturę, składki zapiszą się na indywidualnym koncie, ile zbierzesz, tyle dostaniesz. Zamiast się solidarnie składać, lepiej mieć pieniądze na tych indywidualnych kontach i grać nimi na giełdzie.

## **Co złego w tym, że każdy ma indywidualne konto w OFE?**

– To powoduje fundamentalną zmianę w naszym myśleniu o społeczeństwie. Zmianę na gorsze. Solidarność międzypokoleniowa była mocnym spoiwem społecznym. Dziś wygrywa samolubny indywidualizm. Zamiast mówić ludziom, że jesteśmy wspólnotą i powinniśmy razem nosić swoje ciężary, mówi się: „Obywatelu! Sprawdź, ile się uzbierało na twoim indywidualnym koncie w OFE”. Na każdym kroku uczy się ludzi, żeby za bardzo nie liczyli na solidarność społeczną, nawet w tak podstawowej sprawie jak emerytura.

## **„Prywatyzacja trosk” – tak to nazwał Zygmunt Bauman.**

– To samo dotyczy publicznej służby zdrowia, która jest niedoinwestowana, byle jaka, więc kto tylko może, próbuje z niej uciec za pomocą prywatnych ubezpieczeń i różnych pakietów w Lux Medach. Klasa średnia zaczyna powoli uważać, że może liczyć już tylko na siebie. I że wszystkie zabezpieczenia – zdrowotne, emerytalne, rentowe – trzeba sobie wykupić na wolnym rynku. Dla rynku to oczywiście świetny interes. Ma nowych, dobrze zmotywowanych strachem klientów. Gorzej dla państwa, które opiera się na klasie średniej i jej podatkach. Ludzie tak zmanipulowani mają coraz mniejszą ochotę je płacić. No bo po co? I tak nic z tego mieć nie będą.

Kiedy rozmawiam ze studentami o OFE, ich wiedza ogranicza się do tego, że to MOJE PIENIĄDZE. Są niesamowicie przywiązani do idei, że kiedyś będą mogli je sobie wziąć. Od kogoś usłyszałam, że jeśli jego ojciec umrze, to on składki po nim

odziedziczy. „A mam kredyt do spłacenia” – powiedział. Pamiętam, że kiedy w 1999 roku wprowadzano reformę emerytalną, kuszono ludzi nie tylko palmami, ale też dziedziczeniem: będziecie mogli te pieniądze przejąć po najbliższych. Dla mnie to szokujące, bo wywraca zasadę zabezpieczenia społecznego do góry nogami. Polega ona na tym, że składają się wszyscy, a biorą tylko aktualnie potrzebujący. A nie ich spadkobiercy. Właśnie po to, żeby pieniędzy starczyło.

Ten gigantyczny zamęt, który ludziom zrobiono w głowach, jest groźny. Od studentów słyszę, że nie chcą się dokładać do ZUS, bo to okropny moloch, który wszystko marnotrawi. „Powinno być tak, że każdy sobie sam odkłada na emeryturę. To jest sprawiedliwe.” Moje, moje, moje.

### **Co pani mówi takiemu studentowi?**

– Jeśli nie chcesz się składać na obecnych emerytów, to powinienes swoje życie zawodowe zacząć na Księżycu. Tam nie ma nic. I nie będziesz musiał nikomu nic oddawać, bo nikomu nic nie będziesz winien. A tutaj wykorzystujesz ulice, mosty, domy, wiedzę, a także sztukę, literaturę, filmy i wszystko, co wytworzyły poprzednie pokolenia. I dlatego należy się twoim poprzednikom utrzymanie, najlepiej godziwe.

**Jest tylko jeden problem: starzejemy się. I za chwilę nie będzie nas stać na te piękne gesty. W 2060 roku Polaków w wieku produkcyjnym będzie tylko 17 milionów. A emerytów – 10 milionów. Kto na te emerytury zarobi?**

– Demografia to kolejna wersja „nieuchronnych praw rynku”. Co będzie za pięćdziesiąt lat? Pan wie na pewno, że te szacunki są prawidłowe?

**Nie wiem. Ale tak czy siak – starzejemy się. To wiadomo.**

– Zgoda. Tyle że pokazywanie wyłącznie argumentów demograficznych jest jednostronne. Ubywa pracujących, ale rośnie jednocześnie wydajność pracy. I zapewne będzie nadal rosnać. Mniejsza liczba osób będzie w stanie więcej wytwarzać, a więc również utrzymać więcej emerytów niż obecnie. Kiedyś w rolnictwie hektar musiało obrabiać dziesięć osób. Dzisiaj jedna osoba może obrobić dziesięć hektarów, a nawet pięćdziesiąt, jeśli ma nowoczesne maszyny.

Argumenty demograficzne są ważne, ale nie jedyne. A już na pewno odpowiedzią na ten problem nie było stworzenie OFE i wrzucenie części pieniędzy emerytów na giełdę.

**A co jest złego w graniu na giełdzie?**

– Nie pieniędzmi na emerytury! To jest morderczo niebezpieczne dla dzisiejszych trzydziesto-czterdziestolatków! Kupowanie akcji jest najgorszym sposobem

inwestowania w okresie długoterminowym.

## **Słucham?**

– No właśnie... To niepojęte, że wszystkich w Polsce to dziwi. Panują tu jakieś mity na temat giełd. Od trzydziestu lat zajmuję się naukowo rynkami finansowymi i w żadnym razie nie miałabym odwagi powiedzieć znajomym, żeby na lata, dziesięciolecia inwestowali na rynku finansowym. Dla mnie jest oczywiste, że im dłuższy okres, tym bardziej akcje, obligacje, giełda są nieprzewidywalne. Aktywa finansowe nie przenoszą bezpiecznie wartości przez pokolenia.

## **Horrendalne rzeczy pani mówi! Giełda w perspektywie pięćdziesięciu lat może tylko urosnąć! Przez dwie dekady opowiadaliście to Polakom w każdym programie ekonomicznym.**

– Nie ja. To jest ideologia stworzona na potrzeby ogromnej ekspansji rynków finansowych.

W Stanach Zjednoczonych instytucje finansowe też próbowały opowiadać takie bajki, namawiały Kongres, żeby wprowadził OFE i skierował do nich 2 procent składek emerytalnych. Złośliwie komentował to w prasie ekonomista profesor Joseph Stiglitz. Wszystko szło dobrze, ustawa miała szansę, dopóki finansiści nie zaczęli opowiadać, że zapewnią emerytom długoterminowe zyski rzędu 9 procent rocznie. I to po prostu w oczach Amerykanów ośmieszyło ten pomysł, bo zęby zjedli na giełdzie. I wiele razy tracili. Popukali się w głowy i uznali te pomysły za niewiarygodne. W krajach postkomunistycznych nie miał się kto popukać, bośmy się na tym po prostu nie znali.

Pamięta pan kryzys z 2008 roku, prawda? A przecież chwilę wcześniej był 2002 rok i też spadki, nawet rzędu 80 procent, na giełdach zachodnich. Rynek finansowy tak już ma. W dodatku pod wpływem neoliberalnej ideologii rynki zostały zderegulowane i panuje na nich nieustanna huśtawka, bo kapitał spekulacyjny wieje, kędy chce. Pchanie w ten hazard pieniędzy przyszłych emerytów jest nieodpowiedzialne.

Perfidia reformy emerytalnej polega na tym, że mąci ludziom w głowach. Mówi się, że OFE to jest wreszcie wolny rynek. Że te pieniądze wreszcie zarabiają. Studenci ekonomii – żeby trzymać się tego przykładu – w ogóle nie wiedzą, że OFE nas kosztują. Że razem z aktywami zapisanymi na prywatnych kontach dostaną też w prezencie dług. Nie widzą długu.

## **Jakiego długu?**

– Od 1999 roku do prywatnych funduszy emerytalnych zaczęto przekazywać 40 procent składki emerytalnej, więc zabrakło drastycznie pieniędzy na bieżące

emerytury.

### **Wcześniej też brakowało.**

– Tak. Ale nie aż tyle. Od czternastu lat każdy kolejny rząd staje na głowie, żeby tę dziurę po OFE załatać.

### **I jak łatają?**

– Poprzez zadłużanie państwa. Od 1999 roku dług publiczny wzrósł – zaokrąglam – z 300 do 900 miliardów złotych.

### **Tak. Balcerowicz pokazuje to szalone tempo na „zegarze długu”, który ustawił w centrum Warszawy.**

– I słusznie. Tylko powinien tam dodać osobną liczbę dotyczącą OFE. Połowa wzrostu długu wynika z zaciągania pożyczek na refundację ZUS ubytku składki, która zamiast na bieżące emerytury idzie do OFE. Połowa! Czyli przez ostatnie czternaście lat to było około 300 miliardów złotych.

### **Wow! – jak mówią studenci.**

– Tak. Ich to niezmiernie dziwi. A mnie dziwi, że ich dziwi.

### **Ile ZUS przelał do OFE przez te lata?**

– Nominalnie ponad 189 miliardów złotych.

### **To skąd te 300 miliardów?**

– Bo z odsetkami tyle wychodzi! Każdego miesiąca ZUS pobiera składki z naszych pensji i wypłaca z nich bieżące emerytury. Ale ma też obowiązek przelać pieniądze do OFE. Za czerwiec to będzie 600 milionów. W tym roku łącznie około 12 miliardów. Ponieważ Polska nie ma nadwyżek budżetowych, więc trzeba te pieniądze pożyczyć. A jak się pożycza, to się płaci odsetki. Od całego długu spowodowanego przez OFE będzie to około 17 miliardów złotych rocznie. Jak pan spojrzy do polskiej ustawy budżetowej, to odsetki od papierów skarbowych figurują po stronie wydatków i zwiększają deficyt.

### **Przynajmniej te pieniądze odkładamy w OFE, a nie przejadamy. I za czterdzieści lat będziemy mieli z tego emerytury. To się nazywa zapobiegliwością. I też jest cnotą społeczną.**

– Uff.

To weźmy jakiś prosty przykład. Rodzina Kowalskich postanawia odkładać



na przyszłe studia dziecka. Zapobiegliwe?

**Tak.**

– Chcą być w tym postanowieniu konsekwentni, więc podpisują umowę z funduszem inwestycyjnym SuperHiperProfit i zobowiązują się przez dziesięć lat co miesiąc odkładać tam po 400 złotych. Zapobiegliwe?

**Oczywiście.**

– Jednocześnie jednak Kowalscy zarabiają mało, ledwo im starcza na czynsz i inne opłaty. A teraz mają o 400 złotych mniej i przestaje im się dopinać budżet domowy. Przez kilka miesięcy udaje im się pożyczać w rodzinie, a potem zaczynają brać chwilówki, żeby mieć na wpłatę do funduszu oraz na czynsz, który właśnie im podniesiono. Po roku z kolejnych chwilówek rośnie im dług, po trzech latach siedzi im na plecach komornik, więc zaczynają drastycznie oszczędzać. Dziecku mówią: „Dwie kromki to za dużo, zjesz jedną, a pasztet na kanapkę tylko co drugi dzień”. Babci zabierają niektóre lekarstwa, bo przecież da radę przeżyć tylko na podstawowych. I cały czas twardo wpłacają, bo podpisali umowę z funduszem.

**No i jak zacisną zęby, to po dziesięciu latach będą mieli niezłą sumę z procentami.**

– Ale dług też będą mieli! Bo z jednego okienka pożyczają, żeby do drugiego wpłacić, nie widzi pan tego? I jak tylko SuperHiperProfit wypłaci tę sumę z zyskiem – niechby nawet przyzwoitym, co wcale nie jest oczywiste – to muszą natychmiast spłacić komornika. Z gigantycznymi odsetkami, które narosły. A to zawsze wychodzi drożej niż najlepsze zyski z funduszu.

**I to jest Polska?**

– Mniej więcej. Za trzydzieści lat do jednej kieszeni dostanie pan emeryturę z OFE, ale z drugiej zabiorą panu pieniądze w formie wyższego VAT na mleko i chleb, bo z czegoś trzeba będzie ten dług spłacić.

W zeszłym tygodniu premier Tusk ogłosił, że budżet się nie domyka i trzeba podwyższyć deficyt o 24 miliardy złotych. Część tej sumy państwo dodatkowo pożyczycy, ale część trzeba będzie pozyskać poprzez cięcia wydatków.

**Lekarstwa dla babci?**

– Między innymi.

**Bez OFE deficyt też by był.**

– Ale nie aż taki! Dług publiczny nawet by się nie otarł o próg 50 procent PKB,

który już przekroczyliśmy.

### **Zwolennicy OFE o tym nie wiedzą? Nie policzyli?**

– Wiedzą. I dlatego panu na wstępie powiedziałam, że w tym wszystkim nie chodzi o liczbę, tylko o idee. Zwolennicy OFE prawdopodobnie uważają, że to i tak się opłaca. Bo pieniądze są w prywatnych funduszach i dzięki temu kawałek państwowego systemu – tego okropnego molocha – został ograniczony i uzdrowiony. I to już jest ideologia. Nie żadna matematyka ani demografia, jak nam próbują wmawiać.

### **Balcerowicz twierdzi, że OFE miało być finansowane z prywatyzacji, a nie z długu. Rządy powinny więcej prywatyzować, wtedy na OFE by starczyło.**

– Świetnie. Tylko czy Balcerowicz w 1999 roku był w stanie przewidzieć tak fantastyczną koniunkturę, że co roku znajdą się tabuny kupców z dobrymi ofertami na nasze przedsiębiorstwa? I co roku będzie z tego kilkanaście miliardów na OFE? A jeśli nadchodzi kryzys i nie ma dobrych ofert, to co? Mamy sprzedawać za pół ceny? Prywatyzacja z nożem na gardle – a tym nożem miały być OFE – jest złym pomysłem. Chyba że się zakłada, że prywatyzacja jest korzystna w każdych okolicznościach. I nawet jeśli państwo sprzedaje pod przymusem i po każdej cenie, to i tak na tym zyskuje, bo się bohatercko ogranicza i oddaje majątek w ozdrowieńcze ramiona wolnego rynku. Ale to już założenie czysto ideologiczne.

Poza tym nawet gdyby udało się więcej państwowych firm sprzedać po wyśmienitych cenach, to w pierwszej kolejności trzeba spłacić dług, który i tak mamy. A nie przekazywać pieniędzy do OFE. Ciekawe, że przeciwnik deficytu budżetowego ma tak niespójne poglądy w tej sprawie.

Polska to dziwny kraj, któremu nie starcza na szpitale i podręczniki dla dzieci, ale za to pożycza grube miliardy, które oddaje prywatnym firmom, żeby sobie nimi grały na giełdzie. Dość ekstrawagancki pomysł. Z wielkim poświęceniem tniemy wydatki na szpitale o miliard, a tymczasem spadek aktywów o 3 miliardy w OFE jest możliwy w jeden dzień, jeśli WIG spadnie o 3 procent. Likwidowano stołówki w szkołach, a OFE w tym czasie grały publicznymi pieniędzmi.

### **Dawniej bym powiedział, że z tymi stołówkami to populizm. A dziś to sam już nie wiem. Ja chyba wam wszystkim – ekonomistom – po prostu przestałem wierzyć.**

– I dobrze. Niech pan trzeźwieje. Świat za bardzo wierzył ekonomistom przez ostatnie trzy dekady. I mamy, co mamy.

### **Skąd się pani w ogóle wzięła?**

– Ze wsi. Pochodzę z Krzywca w Białoostockiem.

## **Biednie?**

– Skromnie. Jak miałam pięć lat, umarła mama. Ojciec sprzedał gospodarstwo i został operatorem maszyn ciężkich. Rodzina więc najpierw była chłopska, potem robotnicza.

Od zawsze zależało mi na zdobyciu dobrego wykształcenia. W bibliotece w Bielsku Podlaskim przeczytałam całą klasykę, w tym amerykańską, francuską, brytyjską, rosyjską. Kiedy człowiek czyta, to żyje wielokrotnie. Powieści miały na mnie ogromny wpływ. Nie znam mocniejszego głosu w kwestiach społecznych niż książki Hugo, Zol czy Dickensa. To one zmieniły świat i nasze myślenie dużo bardziej niż wszystkie ideologiczne „izmy”

## **Studia?**

– Z najlepszą maturą mogłam bez egzaminów wybrać każdy kierunek studiów. W 1973 roku poszłam na Wydział Handlu Zagranicznego.

## **Balcerowicz tak samo.**

– Tak, tyle że on parę lat wcześniej. Wtedy Szkoła Główna Handlowa nazywała się Szkołą Główną Planowania i Statystyki. Ale na handlu zagranicznym prawie nie było marksizmu i gospodarki planowej. Wykładano kapitalistyczną ekonomię rynków. Prawdziwą. Słuchałam wykładów i się zastanawiałam, jak to możliwe, że tam mają pełne półki. Te studia były pasjonujące.

Wyszłam za mąż za inżyniera, konstruktora samolotów, na drugim roku urodziłam dziecko, a niedługo po dyplomie zostałam na uczelni. Doktorat. Habilitacja. I tak już poszło. W latach osiemdziesiątych zaczęłam się specjalizować w rynkach finansowych oraz integracji europejskiej. Zainteresował mnie mocno rynek międzynarodowych transakcji finansowych.

## **Ale nudne.**

– Fascynujące! Pan nawet nie wie, ile niesamowitych rzeczy dzieje się na rynku. Te wszystkie raporty, statystyki, dokumenty... Studiując szczegółowo zjawiska na rynkach finansowych, mogłam zobaczyć, jak wiele jest tam patologii, jak ekspansywne potrafią być instytucje finansowe, w tym banki i towarzystwa ubezpieczeniowe. I mam do nich dużą nieufność.

## **Główna patologia na czym polega?**

– W Stanach Zjednoczonych za czasów prezydentury Billa Clintona zniesiono „Banking Act” i pozwolono bankom działać na rynku papierów wartościowych.

## **Co w tym złego?**

– To dewastuje świat. Już raz to zresztą doprowadziło do Wielkiego Kryzysu. Banki w latach dwudziestych, zamiast prowadzić swoją podstawową działalność, czyli zbierać depozyty i udzielać kredytów, zaczęły ostro grać na giełdzie. Skoro można mieć łatwy zysk z akcji, to po co pożyczać jakiemuś fabrykantowi na produkcję śrubek i czekać na raty kredytu? Bańka giełdowa pęczniała, a potem pękła. Po krachu na giełdzie w Nowym Jorku w 1929 roku banki zostały z niespłaconymi kredytami i nic niewartymi akcjami. Połowa z nich upadła.

## **I dobrze. Kara za chciwość.**

– Problem z upadającymi bankami jest taki, że to nie prezesi płacą za swoją beztroskę i chciwość, płacą klienci, którzy tracą swoje depozyty. „Banking Act” z 1933 roku miał być kagańcem dla banków i zapobiec w przyszłości podejmowaniu przez nie nadmiernego ryzyka. Wszelkie operacje akcjami zostały bankom zakazane. Powiedziano finansistom: „Chcecie grać na giełdzie? Świetnie. Ale nie poprzez banki. Musicie założyć w tym celu osobne firmy”. Te osobne firmy nazywały się bankami inwestycyjnymi i nie mogły przyjmować depozytów. Mogły grać na giełdzie wyłącznie swoimi pieniędzmi oraz pieniędzmi klientów, ale zebranymi w tym określonym celu – gry na giełdzie.

Od lat osiemdziesiątych zaczęły wiać neoliberalne wiatry i instytucje finansowe nieustannie lobbowały, żeby im rozwiązać ręce. Administracja Clintona w końcu uległa. I się zaczęło. Banki komercyjne na rynku kapitałowym mogą robić niemal wszystko.

## **Na przykład co?**

– Hulaj dusza, piekła nie ma. Można wytworzyć właściwie dowolny instrument finansowy, poprosić agencję ratingową o jego ocenę i nim handlować. Byle się kupiec znalazł.

Popularne wśród banków było udzielanie ryzykownych kredytów, a następnie pozbywanie się ich poprzez tak zwaną sekurytyzację aktywów.

## **Poprzez co?**

– Można to porównać do produkowania mielonki z mięsa złej jakości. Powiedzmy, że jest pan prezesem banku, który udzielił w ostatnich latach 300 tysięcy kredytów. Niestety, wiele z nich jest obarczonych dużym ryzykiem, kredytobiorcy mieli kiepską pracę, słabe zarobki i powoli przestają spłacać raty. Te złe kredyty mogą panu bruździć w raporcie rocznym, to z kolei może zagrozić pańskiej premii w wysokości 10

milionów dolarów, nie kupi pan tego fajnego domu na Long Island, który z żoną upatrzycie sobie w lecie i na który daliście już nawet zaliczkę. Co pan robi? Mielonkę. Miesza pan udzielone kredyty i pakuje w pakiety, na przykład po sto sztuk, w następujących proporcjach: dziesięć kredytów dobrych, dziesięć takich sobie i osiemdziesiąt zagrożonych. Te pakiety to będą nowe papiery wartościowe. Następnie prosi pan renomowaną agencję ratingową, żeby wystawiła im ocenę. Agencja – po pobraniu miliona dolarów za swoją ciężką pracę analityczną – wystawia świetną ocenę AAA. I gotowe. Sprzedaje pan swój smakowity produkt innym bankom, funduszom inwestycyjnym i emerytalnym. Nie dość, że pozbywa się pan w ten sposób złych kredytów, to jeszcze ma zyski ze sprzedaży nowych papierów wartościowych.

### **I kolejną premię.**

– Też.

Pół roku później pije pan herbatkę na tarasie domu na Long Island, a pańska mielonka – odsprzedawana kolejnym instytucjom finansowym – rozprzestrzenia się i zaraża cały świat. Potem przychodzi kryzys, spadają ceny domów będących zabezpieczeniem tych kredytów i nagle się okazuje, że miliardy dolarów zainwestowane w te specyficzne mieszanki wyprodukowane przez różne banki są warte zero. Zawierały one w istocie aktywa określane jako toksyczne.

### **Ale po co instytucje finansowe tę toksyczną mielonkę w ogóle kupowały?**

– Przecież to były atrakcyjne instrumenty finansowe z oceną AAA. Grzech nie zarobić! Nikt z kupujących, nawet wielkie szwajcarskie banki, tak naprawdę nie wiedział, co kupuje. Mielonka ma to do siebie, że trudno stwierdzić, co wrzucono do maszynki. To jest tak zwana inżynieria finansowa mająca częste zastosowanie na rynku finansowym.

### **No dobrze. Ale zanim powstała mielonka, musiały być złe kredyty. Udzielano ich biednym. Głównie czarnym.**

– Tak. W Stanach Zjednoczonych rząd dość intensywnie zachęcał do tego banki. Poluzowano politykę kredytową, żeby załapali się ludzie, którzy dotąd nie mogli się załapać.

### **I może słusznie, że tak zrobiono.**

– Nie. Ameryka to obecnie imperium nierówności. Ma jeden z najwyższych na świecie wskaźników rozwarstwienia dochodów. 1 procent najbogatszych zgarnia 24 procent dochodu narodowego w roku 2007 oraz w roku 1928, czyli pod tym względem

nastąpił regres do czasów sprzed Wielkiego Kryzysu. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych było to zaledwie 10 procent. Co władza musiałaby zrobić, żeby ten koszmarny rozrost nierówności jakoś zmniejszyć?

**No, nie wiem. Podnieść podatki bogatym, opodatkować duże korporacje...**

– Otóż to. Przeprowadzić redystrybucję dochodów poprzez budżet, bo wolny rynek sam z siebie tego nie załatwi. Trzeba więc podnieść podatki bogatszym, prowadzić aktywną politykę społeczną, wyrównać szanse edukacyjne. No i przepchnąć te wszystkie ustawy przez Kongres. To wymaga odwagi, nie wszystkim się spodoba, na pewno nie bogatej elicie i lobbystom. Po co więc sobie zawracać głowę? Zamiast tego mówi się biednym: „Słabo zarabiacie? Idźcie i zaciągnijcie sobie tanie kredyty”. W ten sposób realizuje się cele społeczne. Polityka społeczna w Stanach była prowadzona za pośrednictwem sektora bankowego. Biedni chcący poprawić nieco swój los dostali w gruncie rzeczy taką alternatywę: albo wygrajcie na loterii, albo sobie weźcie kredyt. No to brali.

**Dziennik „Libération” opublikował list otwarty maklera giełdowego do biednych: „Toksyczne kredyty? Nieźle się na nich obłowiliście, hołoto. Maklerów powinno się kanonizować. To my pozwoliliśmy wam żyć powyżej średniej. Subprime to były nasze banki dla ubogich, zasługuję na pieprzonego Nobla jak Muhammad Yunus! Wymyśliliśmy niesamowite narzędzia, żebyście mogli sobie kupować te wasze zaszrane klatki dla królików. Ach wy NIEWDZIĘCZNY!”. To oczywiście był żart, ale wiele osób wzięło ten list serio.**

– Można mieć pretensje do prostych ludzi, że lekkomyślnie kredyty brali. Ale na pewno trzeba mieć pretensje do państwa, że pozwoliło bankom takich kredytów udzielać. Banki skorzystały z tej możliwości, by poprawić sobie krótkoterminowe wyniki, a prezesi tych instytucji – by zyskać dla siebie gigantyczne premie.

**Nauczyl się czegoś po kryzysie?**

– A skąd! Niczego. Zapowiadane szumnie regulacje i ograniczenia instytucji finansowych są kosmetyczne. Dlatego trzymajmy emerytury od tego z daleka.

**Pani grała na giełdzie?**

– Nie. Ale miałam pieniądze w funduszach inwestycyjnych.

**I?**

– Wycofywałam wszystko w szczycie w 2007 roku. Oczywiście złożyli sto innych ofert, ale nie chciałam.

## **Skąd pani wiedziała?**

– Z licznych, niezbyt optymistycznych wiadomości docierających już wiele miesięcy wcześniej, głównie ze Stanów Zjednoczonych.

Wielu inwestorów głupieje, gdy na rynku trwa hossa. Jeszcze tydzień, jeszcze miesiąc, rok, może wszystko jeszcze bardziej wzrośnie. Trzeba umieć sobie powiedzieć: „Enough”.

## **„Wystarczy”.**

– To ważne słowo. Wiele osób chce wierzyć, że rynek będzie nieustannie rosnąć. Bo miło wierzyć w bajki. I miło głosić światu taką dobrą nowinę. Ekonomiści robili to w ostatnich latach nad wyraz chętnie. Wielu z nich aktywnie wspierało interesy instytucji finansowych.

Prowadzę teraz badania nad staraniami wielkich towarzystw ubezpieczeniowych, by wprowadzić przymusowe OFE w Niemczech. Jaki tam był lobbying! Instytucje finansowe płaciły partiom politycznym, eksperci sprzyjający prywatyzacji emerytur byli potem zatrudniani w bankach. Wszystko na nic. Niemcy tego systemu nie chcieli, bo wierzą w emerytury państwowe.

## **Po co właściwie instytucjom finansowym te całe OFE?**

– Pan żartuje! Opodatkować na swoją rzecz całe społeczeństwa to najlepszy biznes pod słońcem. Stały i pewny dopływ gotówki ze składek emerytalnych na dziesięciolecia, bo państwo jest najsolidniejszym płatnikiem. Nie trzeba ganiać za klientami, zachęcać ich i przekonywać do swoich produktów, bo jest przymus.

Ten mechanizm wymyślono w Chile w 1981 roku. Środek dyktatury Pinocheta.

## **A to ma znaczenie?**

– Ma. Naukowcy piszący o OFE podkreślają, że ten system trudno wprowadzić w ugruntowanej demokracji, bo ludzie zwykle nie chcą prywatyzacji swoich emerytur. „Sprywatyzować emerytury? Czy wyście zwariowali?” – taka jest często reakcja. W dyktaturze nie mają nic do powiedzenia.

## **Pinochetowi co się w OFE spodobało?**

– Ten system z punktu widzenia władzy dyktatorskiej ma same plusy. OFE publiczne pieniądze emerytów inwestują na giełdzie i mogą kupować akcje spółek posłusznych reżimowi, a nieposłusznych nie kupować. Od początku wiadomo też było, że Chilijczycy tego systemu sami nie obsłużą, tylko przyjdą amerykańskie instytucje finansowe. Miejskowa elita władzy to poparła, bo mogli się tam zatrudnić za bająnskie

stawki jako doradcy czy dyrektorzy.

OFE próbowano wprowadzać też w krajach demokratycznych, ale prawie wszystkie się sprzeciwiły. Korea Południowa, Słowenia... Czesi wykpiłi się najsprytniej. Naciskani przez MFW i Bank Światowy wprowadzili OFE z wielkim szumem, ale bez jednej rzeczy – przymusu. Zapisały się dwadzieścia dwa tysiące ludzi.

### **W Chile ten system działa?**

– W dzisiejszych gazetach ma pan napisane, jak działa: walki na ulicach i polewanie demonstrantów armatkami wodnymi, bo domagają się przywrócenia publicznego systemu emerytalnego. Po trzydziestu latach funkcjonowania przymusowych OFE okazało się, że dwie trzecie ich członków nie jest w stanie wypracować żadnej emerytury, więc wypłaca się im zasiłki z budżetu. Opłaty pobrane przez towarzystwa emerytalne pochłonęły ponad jedną trzecią składek przekazanych im do zarządzania, a kryzys finansowy z 2008 roku zredukował o 60 procent zyski z inwestycji osiągnięte w ciągu poprzednich dwudziestu sześciu lat.

### **Co robić w Polsce?**

– Zlikwidować OFE. W sposób rozsądny, żeby nie zachwiać giełdą.

### **A potem? Przecież kłopoty nie znikną, na emerytury nam po prostu nie starcza. Ma pani jakiś pomysł?**

– Wspieranie demografii i warunków do wzrostu gospodarczego. Na to trzeba przeznaczać pieniądze publiczne. Dynamicznie rozwijający się kraj zawsze będzie w stanie zapewnić emerytury starszemu pokoleniu. Jak uporamamy się z problemem OFE, to warto rozważyć ideę emerytury obywatelskiej, czyli podstawowego świadczenia wypłacanego Polakom po osiągnięciu określonego wieku. Niezależnie od tego, czy uciuli coś ze składek, czy nie. Przecież duża część obecnego młodego pokolenia – z powodu bezrobocia i pracy na umowach śmieciowych – w obecnym systemie nie będzie w stanie uzyskać okresu ubezpieczenia, by mieć choćby minimalną emeryturę.

### **Emerytura obywatelska? Nie stać nas!**

– „Nie stać” „Nie stać” A może warto policzyć?

Problemy społeczne mają to do siebie, że są skomplikowane, wymagają żmudnego ustalania, zgody społecznej, negocjacji. Przecież kłopot z systemem emerytalnym mają też kraje zachodnie. Ale jakoś nie wprowadzają OFE. Dokonują żmudnych reform: ograniczają wcześniejsze emerytury, porządkują cały system, niektóre podniosły wiek emerytalny.



## **Czyli robią to, co również postuluje Balcerowicz.**

– Też. Politycy powinni prowadzić z obywatelami uczciwą rozmowę. Być może konieczne są wyższe podatki, by zapewnić ludziom minimum usług publicznych.

## **Wyższe podatki? Wie pani, jaki będzie wrzask!?**

– No i co z tego? Politycy powinni być odważni, mówić obywatelom prawdę.

**Tak. Tyle że w ten sposób to wygląda tylko w świecie idealnym, że tak sobie uczciwie wszyscy porozmawiamy. A ludzie chcą równocześnie potrójnego becikowego, wysokich emerytur i niskich podatków.**

– Nieprawda. Ludzie nie są „głupie”. I nie mówię o świecie idealnym, tylko właśnie realnym, który jest żmudny, pełen dyskusji i kompromisów. Ten świat wymaga liderów, którzy mają JAKIEŚ POGLĄDY i reprezentują JAKIEŚ IDEE. Jeden powie, że jesteśmy wspólnotą, więc się składamy bardziej sprawiedliwe. Inny powie – niech każdy sobie rzepkę skrobie, bo na tym polega wolność i prawo każdego do indywidualnego bogacenia się. Ale niech to mówią wprost. I miejmy wybór. A nie, że co rusz ktoś wychodzi i mówi o nieuchronnych prawach rynku i demografii. To jest mieszanie ludziom w głowach.

## **Ale kłopot jest.**

– No jasne, że jest. Nikt nie twierdzi, że nie ma. Starzejemy się. I musimy oszczędzać. Tylko zamiast prywatyzacji kłopotu potrzebna jest większa solidarność społeczna.

Podziwiam premier Danii. Powiedziała, że w obliczu kryzysu najważniejsze będzie niedopuszczenie do nadmiernych różnic w dochodach. To jest ich podstawowa idea. Bo jak się dopuszcza do ogromnych różnic, to społeczeństwo zaczyna pękać. I ona świetnie to rozumie.

Nasze społeczeństwo właśnie zaczyna pękać. Na drzwiach pewnego szpitala wywieszono informację: „Wydatki na chemioterapię i radioterapię zostały zmniejszone o połowę”. I ludzie płakali. Autentycznie pod tą kartką płakali. W takich miejscach człowiek wyzbywa się złudzeń typowych dla polskiej klasy średniej.

## **Jakich złudzeń?**

– Że wszystko mogę sam.

Wykupię sobie złoty pakiet w prywatnej przychodni, dzieci posłę do prywatnej szkoły, bo rejonowa jest okropna, nie wsiądę do publicznej komunikacji, tylko do własnego auta, i na emeryturę też sobie odłożę sam. To jest ułuda, to nie działa.

Bo ten pachnący prywatny szpital, gdy stanie się coś poważnego, to i tak zawiezie pana do publicznej izby przyjęć. Tak samo prywatne OFE – jeśli straci pan etat i będzie harować na śmieciówce, to nie wypłacą panu emerytury.

Potrzebujemy powrotu społeczeństwa. A ci, którym się noga powinie, powinni spadać na siatkę bezpieczeństwa rozciągniętą przez bliźnich.

Sierpień 2013

# Szkoły niegrodzone

---

## Rozmowa z MIROSŁAWEM SIELATYCKIM

**MIROSŁAW SIELATYCKI (1957)** w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych pracował jako nauczyciel geografii w warszawskim Liceum im. Reytana. Potem przez kilka lat był dyrektorem Centralnego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli; odwołał go w 2006 roku ówczesny minister edukacji Roman Giertych pod idiotycznym zarzutem promocji homoseksualizmu wśród nauczycieli (CODN wydał materiały o tolerancji, sygnowane zresztą przez Radę Europy). Sielatycki wygrał z Giertychem sprawę w sądzie, ale do CODN już nie wrócił. W rządzie Tuska był wiceministrem edukacji. Teraz pracuje w warszawskim ratuszu, gdzie jest wicedyrektorem biura edukacji. Ma dwóch synów.

### Jakie są polskie szkoły?

– Dobrze, bo egalitarne.

Syn kasjerki z supermarketu może siedzieć w jednej ławce z synem prezesa banku. A Krzyś, który ma same dwójki, może przyjaźnić się z Jasiem, który co roku dostaje świadectwo z czerwonym paskiem.

Nasze podstawówki i gimnazja to miejsca, gdzie polskie społeczeństwo jest ze sobą razem. Niestety, wywierane są coraz silniejsze naciski, żeby szkoły „uporządkować”

### Czyli?

– Najlepsi uczniowie niech się uczą z najlepszymi, średni ze średnimi, słabi ze słabymi. A biedni, których nie stać na opłacanie dodatkowych zajęć, z biednymi.

## **Rodzice to mówią?**

– Zamożniejsza klasa średnia. Oczywiście nie wprost, ale nie chcą mieć w klasie dzieci, które będą opóźniać naukę ich dziecka. Nie chcą też toczyć dyskusji na zebraniach rady rodziców, czy na pewno wszystkich stać na wycieczkę do Paryża.

## **Co decyduje o dobrych wynikach dziecka w szkole?**

– Liczba książek stojąca na półkach w domu rodzinnym.

## **Nie pieniądze?**

– Mają wpływ, bo pozwalają na obudowanie dziecka zajęciami dodatkowymi czy korepetycjami, ale na pierwszym miejscu są jednak książki, czyli status społeczno-kulturowy.

## **To ważne, żeby syn kasjerki mógł siedzieć w ławce z synem prezesa albo profesora?**

– Tak. Uważam, że to jedna z głównych przyczyn sukcesów edukacyjnych polskich dzieci. Dotąd pielgrzymki specjalistów jeździły do Finlandii. W kółko tam pytali: „Jak to robicie, że macie takie świetne szkoły?” Teraz – po ostatnich wynikach PISA – zaczynają jeździć do nas. Widać niesamowite zaciekawienie Polską po sukcesach naszych uczniów w programie międzynarodowej oceny umiejętności. W ostatnim badaniu PISA wzięło udział 300 tysięcy piętnastolatków w sześćdziesięciu pięciu krajach. Wypełniły te same testy. Polscy uczniowie okazali się lepsi niż brytyjscy, szwedzcy czy francuscy. W czytaniu ze zrozumieniem i w matematyce osiągnęli poziom uczniów z Finlandii, a to już jest ścisła europejska czołówka. Również w naukach przyrodniczych jesteśmy na podium Unii Europejskiej.

Nasze szkoły są podawane za wzór w amerykańskich podręcznikach opisujących najlepsze systemy edukacji w świecie. Na szczycie edukacyjnym w Nowym Jorku pytano mnie: „W czym tkwi ten wasz sekret?”

## **I co pan odpowiadał?**

– *Longer together.*

Polski patent polega na tym, że dzieci są dłużej razem. Sześć lat podstawówki plus trzy lata gimnazjum z tą samą podstawą programową. To w sumie dziewięć lat bycia razem w rejonizowanych szkołach, gdzie spotykają się dzieci z różnych warstw społecznych, z różnymi zdolnościami.

## **Wymieszane.**

– Można to porównać do peletonu kolarskiego. Jeśli kolarze będą się trzymać

razem, to szybciej dojadą do mety. Natomiast jeśli ich podzielimy na grupę najlepszych, średnich i najgorszych, zmierzymy tym trzem grupom czas i wyciągniemy średnią, to będzie niższa. Chociaż ci najlepsi oczywiście dojadą trochę szybciej.

Ostatnie wyniki PISA dają nam silne argumenty za edukacyjnym egalitaryzmem, tylko trzeba dokładnie te wyniki czytać. W Polsce testy pisało sześć tysięcy losowo wybranych uczniów z różnych szkół: miejskich, wiejskich, tych z czołowych miejsc w rozmaitych rankingach i tych słabszych. I co się okazuje? Wyniki uczniów oczywiście różnią się znacząco, ale nie ma między nimi przepaści, co oznacza, że wszystkie szkoły trzymają pewien poziom. W porównaniu z poprzednim badaniem znacznie wzrósł odsetek uczniów wybitnych, rozwiązujących świetnie najtrudniejsze zadania, ale poprawiły się też wyniki najslabszej ćwiartki. Innymi słowy, polska edukacja ciągnie do góry wszystkich uczniów, a nie tylko tych najlepszych.

### **Bo peleton jedzie razem.**

– Właśnie tak działa synergia. Uczenie się od siebie, podciąganie słabszych, pokazywanie wzorców. Jeśli szkoła jest egalitarna, działają tak trudno uchwytnie i niemierzalne elementy jak edukacja rówieśnicza. Słabsi mają wzór aspiracji edukacyjnych, do których mogą się odwołać. Gdyby ich zamknąć wśród podobnych sobie, toby tego nie mieli.

Są kraje z gigantyczną rozpiętością wyników w PISA: mają grupę uczniów w elicie z kosmicznymi wynikami i ogromny, trzydziestoprocentowy wskaźnik tych, którzy sobie nie radzą. W tych krajach system szkolny segreguje dzieci na wczesnym etapie nauki. Jedne trafiają do szkół elitarnych, a reszta ląduje w szkołach wiejskich. I kończy się to gigantyczną nierównością szans społecznych.

### **Grozi nam taki model?**

– Grozi. Formule „dłużej razem” rodzice z zamożniejszej klasy średniej przeciwstawiają formułę „razem z podobnymi sobie”. Rejonizacja szkół jest przez wielu polskich rodziców traktowana jako relikw. Dlaczego mam posyłać Jasia do podstawówki w swoim rejonie, skoro powinien chodzić do tej lepszej w centrum miasta?

### **Trudno się rodzicom dziwić. Chcą dobrze dla Jasia.**

– Zgoda. Za tym stoją dobre intencje.

Badaliśmy w Warszawie oczekiwania rodziców w stosunku do szkoły. Okazało się, że wielu traktuje szkołę jak bank, gdzie zakłada się lokatę i chce się mieć jak najlepszą stopę zwrotu. Tą lokatą jest dziecko, a stopą zwrotu – wyniki na egzaminie. Zaczęło

dominować wolnorynkowe podejście do edukacji, koncentrujemy się na mierzalnych wynikach. Szkoła ma coś takiego zrobić z moim dzieckiem, żeby na kolejnych etapach wyścigu zdobyło jak najwięcej punktów i wygrało konkurencję z innymi.

**No i właśnie dlatego Jaś ma chodzić do szkoły z podobnymi sobie. Sam pan mówił, że jeśli peleton podzielić, to najlepsi dojadą szybciej.**

– To mniej więcej mówi polska klasa średnia.

Powtórzę – intencje rodziców są dobre i zresztą w tym cały problem, bo trudniej z nimi dyskutować. Czy można mieć pretensje do ludzi, że mają ambicje edukacyjne? Tyle że te ambicje realizowane nierozsądnie mogą nam zdemolować system oświatowy i zaszkodzić spójności społecznej.

Szkoły podstawowe i gimnazja są rejonizowane, każde dziecko z okolicy ma pewność, że się dostanie. Ale system jest regularnie podmywany. Zwłaszcza na poziomie gimnazjalnym. Dyrektorzy szkół w tak zwanych lepszych dzielnicach czują nacisk, żeby pozbyć się tych „gorszych” dzieci, które jeszcze tam chodzą. Są na to sposoby.

**Jakie?**

– Rejonizacja nie obowiązuje przy rekrutacji do gimnazjów o profilu dwujęzycznym czy sportowym. Można zrobić klasę z francuskim i hiszpańskim, a potem przyjmować dzieci spoza rejonu na podstawie konkursu świadectw po szóstej klasie i predyspozycji językowych, które jedni nabyli – często poza szkołą – a inni nie.

**I mieć same „dobre” dzieci.**

– Gimnazjum dwujęzyczne to dydaktycznie świetny pomysł, bo nauka bilingwalna jest bardzo skuteczna. Dobrze, że mamy takie szkoły. Ale nie może to być wytrych do tego, żeby „lepsze” dzieci uciekały z rejonówek i skupiały się w szkołach bilingwalnych.

**A za nimi uciekną dobrzy nauczyciele.**

– To logiczne następstwo tego procesu.

Gdyby stało się to powszechne, oznaczałoby obniżenie progu selekcji do szóstej klasy. Dzieci z dobrymi świadectwami trafiałyby do gimnazjów z innymi dobrymi uczniami, a reszta, która się nie załapała, do tych szkół, gdzie te dobre dzieci nie chciały chodzić. Zafundowalibyśmy sobie segregację społeczną wśród dwunastolatków.

Dążenie do szukania nierejonizowanych gimnazjów jest odbiciem tego, co dzieje się w naszej przestrzeni społecznej. Grodzone osiedla generują potrzebę posyłania dzieci do „grodzonych” szkół, odgrodzonych od innego otoczenia społecznego.

**W Łodzi jedna ze szkół robi tak: do klasy A przyjmuje dzieci wybitne, trochę gorsze do klasy B i C, a klasy D i E są dla uczniów słabych i niegrzecznych. Dobry pomysł?**

– Tworzą klasy dla orłów i klasy zsypy. Częsty problem, niestety. Jest wiele badań pokazujących nieskuteczność takiego podejścia. Jeśli weźmiemy dwa gimnazja z podobnymi wynikami i pierwsze posegreguje w ten sposób dzieci, a drugie wymiesza, to ta pierwsza szkoła po paru latach będzie miała wyniki słabsze. Nie zadziała w niej synergia, za to nasilą się problemy dydaktyczne i wychowawcze. Dzieci w klasie dla orłów poszybują – zresztą tak czy siak miałyby świetne wyniki – ale reszta będzie mocniej ciągnęła szkołę w dół i średnia wyjdzie słabsza.

**Dyrektorzy tego nie wiedzą?**

– Wiedzą. Tyle że wybierają między doświadczeniem pedagogicznym a naciskami części rodziców, którzy dla swoich „lepszych” dzieci chcą mieć osobną klasę. I jak jej nie dostaną, to pójdą gdzie indziej, na przykład do szkoły społecznej.

**No to pójdą.**

– Tak, tylko musi pan pamiętać o kontekście, zwłaszcza demograficznym. Kiedy w 1983 roku zaczynałem pracę w warszawskim Reytanie jako nauczyciel geografii, to w Polsce mieliśmy 8 milionów uczniów. Teraz jest ich 4,5 miliona. I dyrektorzy szkół najzwyczajniej w świecie czują się zagrożeni większym prawdopodobieństwem likwidacji placówki. Dyrektor może myśleć tak: „Jak pójde na rękę rodzicom, to będę miał modną i bardziej obleganą placówkę, której nikt nie odważy się zlikwidować”

Poza tym w sytuacji zagrożenia dobrze mieć w szkole „lepsze” dzieci, bo ich „lepsi” rodzice – zamożniejsi, wykształceni, na stanowiskach – są silniejszą grupą nacisku w razie konfliktu z samorządem.

**Co robić?**

– Tłumaczyć. Głównie rodzicom. Ale też dyrektorom, aby zdefiniowali własne pojęcie sukcesu edukacyjnego szkoły, którą kierują.

**Jak?**

– Że wczesna segregacja w edukacji to złe rozwiązanie. I jeśli taki pomysł zwycięży, to wszyscy tracą.

**Najlepsi zyskają, bo dojadą pierwsi.**

– Zyskają pozornie.

W egalitarnej szkole te „dobre” dzieci mają możliwość wchodzenia w inne role społeczne, na przykład w rolę osoby pomagającej kolegom. To buduje poczucie własnej wartości. W szkole elitarnej tego nie ma. Tam będą skazane raczej na wyścig z podobnymi dziećmi. I większy stres.

Poza tym – powiem coś banalnego, ale dzisiaj przestaliśmy sobie z tego zdawać sprawę, więc warto to przypominać – w przemieszanej rejonówce uczeń z dobrego domu dowie się, jak naprawdę wygląda społeczeństwo. A to ważna nauka.

## **Życia.**

– Tak. Szkoła musi też uczyć, jak żyć z innymi. Szkoła to miejsce nauki „obsługi społeczeństwa”

Myślicie o swoich dzieciach jako o przyszłej elicie? Świetnie. Trzymam kciuki, żeby się udało. Ale pamiętajcie, że nie można być elitą, nie znając społeczeństwa. Bo jeśli wasz Jaś zostanie prezesem największej polskiej sieci handlowej, to będzie zarządzał zwykłymi ludźmi. Trafi mu się strajk kasjerek, to musi wiedzieć, jak z nimi rozmawiać, żeby rozwiązać konfliktową sytuację. Jeśli z kolei zostanie prezesem gigantycznej firmy spedycyjnej, to musi wiedzieć, jak rozmawiać z kierowcami. A jeśli będzie prezesem banku, to musi rozumieć niezamożnych ludzi biorących chwilówki.

## **Pan ma dwoje dzieci. Gdzie chodzą?**

– Do rejonówek. Miały pełny przekrój społeczny w klasie. I nie żałują.

Mądrze można też postępować w szkołach elitarnych. Świadczy o tym przykład pewnej warszawskiej szkoły społecznej. Była tak świetna, a dzieci z tak dobrych domów, że w końcu rozsądny dyrektor postanowił nieco zepsuć tę miłą atmosferę. I zaczął za darmo przyjmować dzieci imigrantów. Ukrainiec. Rumun. Somalijka. „Ale po co?” – zapytała grupa rodziców. „Będą nam zaniżać poziom”. Na co dyrektor powiedział: „Może obniżą trochę poziom, ale nauczą wasze dzieci obcowania z innością. Będą żywą pomocą naukową”

## **Żywa pomoc naukowa. Śliczne. I zadziało?**

– Tak. Rodzice dali się przekonać, że to stworzenie sytuacji społecznej. To skuteczny argument: dziecko się uczy różnorodności społecznej w bezpiecznym środowisku szkolnym, a nie na ulicy.

## **Smutne, że trzeba ludzi przekonywać do zwykłej przyzwoitości takimi trikami.**

– Ludzie nie są źli, nie są też niewrażliwi. Nie chciałbym, żebyśmy traktowali ambitnych rodziców z moralną wyższością. To nie jest problem moralności, tylko pewnej atmosfery, w której wszyscy żyjemy. Jakiś etos? Jakież kwestie społeczne?



A po co! Wystarczy, że rośnie PKB. Wolny rynek wszystko za nas załatwi – to mniej więcej mówiły ludziom polskie inteligentne elity. A teraz siedzimy i kręcimy nosem, że klasa średnia jest, jaka jest. Takie po prostu dostała wzorce.

System egalitarny w szkołach nie jest wystarczająco rozreklamowany, ludzie nie wiedzą, jaką ma wartość. Wielu kojarzy się raczej z komuną. PISA jest świetną okazją, żeby pokazywać zalety dzisiejszego egalitaryzmu, bo równość w edukacji opłaca się wszystkim. I biednym, i bogatym. Egalitarny system edukacyjny nie zabija indywidualizmu. A model skrajnie liberalny i konkurencyjny powoduje, że pojawia się duża grupa ludzi wykluczonych. Spotykamy ich potem w pracy, sklepie i nie umiemy nawet z nimi rozmawiać.

Po dwudziestu pięciu latach demokracji potrzebny jest nam rodzaj nowego kontraktu społecznego w sprawie edukacji. Z trzech wartości republikańskich: wolność, równość, braterstwo, najlepiej nam wyszła wolność. Równość jeszcze się jakoś trzyma. Natomiast braterstwo kuleje.

### **Braterstwo?**

– Jak jakaś grupa nie ma silnych łokci, to nikt się o nią nie upomni. Dość dobrze pokazała to niedawna dyskusja o zajęciach dodatkowych w przedszkolach. Państwo sprzeciwiło się zamożniejszym rodzicom, zabroniło płatnych zajęć, które różnicowały dzieci, bo jednych było stać, innych nie. Zarządzono pozytywną dyskryminację. Teraz angielski czy rytmikę finansujemy w mieście ze środków publicznych. I są dla wszystkich, a nie dla niektórych.

### **Ale już nie są takie fajne, jak były.**

– Zgoda.

### **Nie przychodzi nauczyciel z Akademii Muzycznej, żeby mojego trzylatka uczyć grać na cymbałkach.**

– I całe szczęście. To było niezbyt mądre, żeby na poziomie przedszkola urządzać dzieciom małe uniwersytety: inny nauczyciel od angielskiego, inny od muzyki, a jeszcze inny od malowania – najlepiej po ASP.

To różnicowanie odbywało się między przedszkolami i wewnątrz przedszkoli. Taki system – że zamożniejsze dziecko ma angielski, a biedniejsze nie ma – był niesprawiedliwy. Bo już przed pójściem do podstawówki generował różnice i część dzieci na starcie stawała na gorszych pozycjach. Używając metafory narciarskiej, to tak jakby najszabszym skoczkom jeszcze obniżyć rozbieg.

**Przecież te różnice i tak od początku są. Bo – jak pan mówił – w jednym domu czyta**

## **się książki, a w innym się nie czyta.**

– Zgoda. I państwo nie może dokładać do tego swojej cegiełki. Państwo jest od dawania jak najlepszych szans wszystkim, od wyrównywania różnic, a nie od zaostrzania ich. W przedszkolu i szkole to szczególnie ważne. To niedopuszczalne, żeby w publicznym przedszkolu dochodziło do podkreślania statusu społecznego, a państwo – rząd i samorząd, które te przedszkola utrzymują – nie reagowało.

Sprawa przedszkoli jest w Polsce nowością, po raz pierwszy władza w tak drastyczny sposób – zakazem – zabroniła rodzicom w imię dobra ogółu dodatkowo płacić na edukację. Kilka lat temu byłoby to niemożliwe, teraz klimat ideowy trochę się zmienia. Trzeźwiejemy.

## **Były głośne protesty.**

– I tu wracamy do problemu z braterstwem: w trakcie tej dyskusji nie pojawiła się żadna grupa rodziców, która by mówiła: „No tak, popieramy, bo zyskają na tym wszyscy”. Były aktywne wyłącznie grupy zamożniejszych rodziców, które uważały, że ich dzieciom dzieje się krzywda. Mieliśmy w ratuszu miesiące ciężkich bojów.

## **Właściwie dlaczego? Przecież niezamożnych rodziców jest większość.**

– Ale oni nie grają w tę grę, nie organizują się. Dlatego właśnie, żeby w naszej demokracji była jakaś równowaga, głos ludzi niezamożnych musi mieć wsparcie ze strony władzy publicznej.

W edukacyjnej grze biedniejsi nie tworzą skutecznych lobby. To widać też w samych szkołach. Biedny rodzic raczej nie wstanie na zebraniu i nie powie: „Na wycieczkę do Paryża mnie nie stać, wymyślmy razem, co zrobić, żeby jednak wszystkie dzieci mogły pojechać”. Będzie milczał, bo bieda jest dzisiaj najgorszym wstydem. Albo w ogóle na to zebranie nie przyjdzie, a jego dziecko po prostu nie pojedzie z innymi.

Głos ludzi z tak zwanych gorszych środowisk nie jest słyszalny też dlatego, że oni słabiej angażują się w życie szkoły i w proces edukacji dzieci.

## **Nie obchodzi ich to?**

– Jeśli mówimy o rodzinach patologicznych, to oczywiście może tak być. Ale my zbyt często biedę utożsamiamy z patologią. W Polsce, niestety, dość rozpowszechnione są różne usypiające mity, że biednych albo tak naprawdę nie ma, albo im się robić nie chce. „Królowe na zasiłku”. A rzeczywistość jest o wiele bardziej złożona.

**W pewnej szkole grupa ubogich rodziców protestowała przeciwko wysokim składkom na komitet rodzicielski. I na zebraniu usłyszeli od innych rodziców, że jak ich nie stać, to mają zabierać dzieci. W publicznej szkole. Pan to rozumie?**

– Składki na komitet rodzicielski są dobrowolne.

**Tak? To przypomnę, czym pan się musiał zajmować jako wiceminister edukacji: wydawaniem okólnika do dyrektorów szkół w tej sprawie.**

– Zgadza się.

**Nawet z sejmowej trybuny musiał pan przypominać, że składki na komitet rodzicielski są dobrowolne. Można to sobie obejrzyć na YouTube.**

– Bo były przypadki straszenia niezamożnych rodziców, że jak nie opłacą składek, to dziecko nie dostanie świadectwa szkolnego. Odpowiadałem w Sejmie na interpelacje w tej sprawie, wskazując, że to nieprawne i niemoralne.

**No i jesteśmy w domu. Takie rzeczy dzieją się w kraju, który ma wpisaną w konstytucji równość obywateli, „społeczną gospodarkę rynkową” i inne miłe rzeczy.**

– Niektórzy zatracają tę latarnię z oczu. Aspiracje ludzi zamożnych są wysokie i ta grupa ma największe przebicie, chce dodatkowych zajęć, wycieczek i rozmaitych atrakcji dla swoich dzieci. Stać ją też na korepetycje. Stąd czasem składki są zbyt wysokie. Strasznie trudno rozsądnie o tym dyskutować...

**Bo cały czas mówimy o dobrych intencjach.**

– Otóż to.

Jeśli prężna grupa rodziców angażuje się w pracę szkoły, organizuje wycieczki i pilnuje dyrekcji, żeby angielski był na wysokim poziomie, to powinniśmy przecież zacierać ręce. Zwłaszcza w Polsce, gdzie tak mało mamy działań obywatelskich.

Wokół szkół mogą się tworzyć fantastyczne wspólnoty, ale pod warunkiem że ludzie nie będą o sobie nawzajem zapominali. Braterstwo. Trzeba pamiętać, że ta wycieczka powinna być dostępna dla wszystkich.

Problem pojawia się zawsze wtedy, kiedy te działania stają się przesadne.

**Czyli?**

– Chińczycy mają pojęcie matek tygrysic, które za wszelką cenę chcą inwestować w edukację dzieci od chwili narodzin, aby osiągnęły w przyszłości jak najwyższą pozycję społeczną. Mój odpowiednik w biurze edukacji miasta Pekin tłumaczył mi, że mają stosowny wydział zajmujący się edukacją dzieci w przedziale wiekowym zero – trzy lata. U nas też tworzy się taka atmosfera, na przykład mama trzylatka narzeka: „Musiałam wykupić dziecku korepetycje z angielskiego, bo w żłobku nie było języków obcych i ma zaległości”

## **No i?**

– Jeśli ktoś bardzo chce, to sobie opłaci prywatny żłobek z angielskim. Bogatemu nie zabronisz, żyjemy w wolnym kraju. Chodzi o to, żeby w dyskursie publicznym pojawiały się głosy, że tego typu aspiracje niekoniecznie są rozsądne. Również dla tych dzieci, którym pewnie nie wolno rzucać się błotem z kałuży, bo każda zabawa już od kołyski musi służyć przyszłej karierze.

**Jak to możliwe, że mamy świetne wyniki PISA, a równocześnie wszyscy biadolą nad jakością naszej edukacji? Filozof Jan Hartman postuluje, żeby polskie szkoły w tej formie jak najszybciej zamknąć.**

– Hartman napisał efektowny felieton. I tyle. Szkoły nie znikną, choć coraz większa część nauczania będzie odbywać się poza szkołą.

**Pracodawcy też wciąż narzekają, że młodzi zatrudnieni nie potrafią współpracować ani nawet ze sobą się porozumieć. Socjolog Janusz Czapiński twierdzi, że mamy w szkołach hodowlę patologicznego indywidualizmu.**

– Mamy przechył w tę stronę. Z tym się zgodzę. PISA nie mierzy umiejętności społecznych: zdolności komunikacji, asertywności, empatii, umiejętności współpracy. Nasza szkoła uczy dobrze przedmiotów, ale przy okazji uczy bardziej oddzielności niż wspólnotowości.

## **Co robić?**

– Wiadomo, co robić. Oceniać – formalnie i społecznie – szkoły nie tylko za wyniki egzaminów zewnętrznych, ale również za ich „inteligencję społeczną”. No i wzmacniać pracę grupową.

**Dzielimy co pół roku klasę na czteroosobowe zespoły i połowę zadań domowych muszą przygotowywać razem?**

– Tak.

**I połowa wszystkich ocen też jest wspólna?**

– Na przykład.

**I te wspólne oceny liczą się do średniej?**

– Tak jest. Inaczej nikt nie będzie tego traktował poważnie.

**To proszę mi powiedzieć jedną prostą rzecz: dlaczego po prostu tego nie wprowadzimy? Od lat trwają takie dyskusje i każda kończy się tym samym**

**postulatem, że trzeba wprowadzić w polskich szkołach zadania grupowe. I nic się nie dzieje. Nadal hodujemy patologicznych indywidualistów.**

– Dzieje się, tyle że pomału. W gimnazjum obowiązkowe jest realizowanie grupowych projektów. Problemem jest upowszechnienie tych zadań grupowych. To budzi pewien opór.

### **Opór?**

– No oczywiście. Zadania grupowe to może piękna rzecz, każdy je pochwali. Ale jak przyjdzie co do czego, to mój Jaś będzie musiał spędzić kupę czasu na współpracy z innymi dziećmi, zamiast szlifować własne wyniki.

**Zamiast klepać w swoim pokoju testy próbne, które dadzą mu więcej punktów na egzaminie gimnazjalisty i start do dobrego liceum.**

– Tak. Z grubsza o to chodzi.

### **I jak przekonać ludzi?**

– Trzeba powiedzieć nauczycielom i rodzicom Jasia, że 90 procent patentów powstaje w wyniku pracy grupowej. Albo zacytować im wypowiedzi prezesów firm, czego tak naprawdę oczekują od pracowników. Niekoniecznie ścisłej wiedzy, bo ona we współczesnym świecie błyskawicznie się zmienia, ale umiejętności miękkich, które można szlifować tylko podczas pracy w grupie.

Jest jeszcze jeden powód oporu: pracę grupową traktuje się w Polsce jako potencjalne siedlisko niesprawiedliwości. Bo przecież wkład każdego dziecka będzie nieco inny.

**Jaś się napracuje, a Krzyś – grupowy leser – będzie miał piątkę za darmo.**

– Tak. I zresztą to jest racja, bo dokładnie tak czasami będzie. Tylko co z tego? Krzyś i tak dostanie kiedyś po głowie, bo w dorosłym życiu nie będzie mógł jechać na gapę. A Jaś nauczy się współpracy i wejdzie w dorosłe życie dwa razy mocniejszy i mądrzejszy, niż gdyby ciułał swoje szóstki samotnie.

### **Co będzie dalej?**

– Potrzebujemy w Polsce rozmowy o tym. Skoro mamy tak dobrych uczniów i nauczycieli, to mamy wyższe aspiracje niż takie, żeby stawiali nam kolejne call center.

PISA to w edukacji światowa brzęcząca waluta. Wyniki poszły w świat, wczytuje się w nie międzynarodowy biznes. Jeśli nazwa kraju zaczyna być kojarzona z dobrą szkołą, to świat przestaje o nim myśleć wyłącznie jako o zagłębiu taniej siły roboczej. Skoro polskie piętnastolatki dogoniły skandynawskie, to dorośli pracownicy pewnie

też będą równie dobrzy. Kolejnym logicznym krokiem jest zainwestowanie w poważny, innowacyjny biznes, a nie w call center.

Nasz sukces w PISA pokazuje, że dobro wspólne jest nie tylko pięknym założeniem ideowym, ale też czymś bardzo konkretnym, na czym można budować przyszłość kraju. Polska innowacyjna – jeśli ma przestać być tylko hasłem – wymaga podciągnięcia całego społeczeństwa w miarę równo i szybko. Egalitarnie. Jeśli o tym zapomnimy i będziemy mieli elitę uczącą się w dobrych szkołach oraz całą resztę w szkołach takich sobie, to sami się skażemy na model Polski imitacyjnej. Montowni lodówek, telewizorów. I w nielicznych elitarnych szkołach będziemy kształcić prezesów tych montowni. Szkoła jest miejscem, które bardzo łatwo konserwuje nierówności społeczne. Ale może też być miejscem, gdzie te nierówności są niwelowane.

Chwalenie się całemu światu, że jesteśmy spichlerzem Europy, nie wyszło nam na dobre. Bycie montownią Europy na dłuższą metę też się nie opłaci. Innowacyjna i spójna społecznie Polska to dobry cel. Nasze piętnastolatki dodały nam otuchy, chodzi teraz o to, żeby dorośli byli równie mądrzy.

Styczeń 2014

## Rozmowa z JOANNA BOCHNIARZ

**JOANNA BOCHNIARZ** jest prawniczką, przez piętnaście lat pracowała w dużej korporacji międzynarodowej. Zrezygnowała z kariery i przeprowadziła się na warmińską wieś. Prowadziła tam Edukacyjną Fundację im. prof. Romana Czerneckiego, która przyznaje stypendia naukowe dzieciom z terenów wiejskich. Teraz prowadzi Centrum Innowacyjnej Edukacji. Mama trójki dzieci. Córka Henryki Bochniarz, prezeski Konfederacji Pracodawców „Lewiatan”

### **Byłaś grzeczna?**

– Nie znoszę tego słowa. „Grzeczna dziewczynka” brzmi jak obiekt tresury, a dziecko jest pełnym człowiekiem, tak mówił Korczak.

Od zawsze miałam za wzór dwoje bardzo ambitnych ludzi i sama postawiłam sobie poprzeczkę wysoko. To był plan: studia prawnicze, małżeństwo, kariera. Dzieci zaraz po studiach, żeby urodzić i zdążyć rozkręcić się zawodowo.

### **Zrealizowałaś punkt po punkcie.**

– Byłam pokazywana rówieśnikom jako przykład udanego startu w dorosłość. Ich rodzice suszyli im głowy: „Zobacz, jak Joasi się świetnie układa, ma dzieci i robi karierę”. Pojawiłam się nawet w kilku artykułach w pismach kobiecych o łączeniu pracy z domem.

### **Idealna córka Henryki Bochniarz.**

– W głowie dość szybko zaczęły pojawiać się pytania: czy zostając prawnikiem

w międzynarodowej korporacji, zrealizowałam swój plan, czy cudzy? Czy mój mąż to na pewno facet na całe życie, czy może wielka, ale i ślepa miłość? Dlaczego przestałam śpiewać, skoro tak to lubiałam?

Tyle że pociąg był już rozpędzony i jako osoba odpowiedzialna tłumaczyłam sobie, że takie jest życie. Nie można mieć wszystkiego. I trzeba ponosić konsekwencje własnych wyborów, nawet tych nietrafionych.

### **Bo trzeba.**

– Tak.

Żał mi osób, którym pokazywano mnie jako wzór: „Zobacz, jak Joasia sobie radzi!”, „Dorośnij!”, „Założ rodzinę!” A niby dlaczego? Jeśli ktoś chce szukać swojej drogi, to niech próbuje tyle czasu, ile trzeba.

### **Kto zarabiał więcej, ty czy twój mąż?**

– Delikatna sprawa. Ja.

### **Ile?**

– Kilkanaście tysięcy. Kiedy mówiłam, że się w pracy nie realizuję, słyszałam, że jestem rozpieszczona. To rozpoczęło proces oddalania się od siebie.

### **Jak długo tak żyłaś?**

– Piętnaście lat. To było miłe, poukładane życie. Trójka cudnych dzieci. Co roku narty w Alpach. W wakacje – ciepłe kraje. Mieszkaliśmy na stu dwudziestu metrach przy Rakowieckiej na warszawskim Mokotowie.

### **Szybko wracałaś do pracy po ciąży?**

– Po urodzeniu Kubu wróciłam po czterech miesiącach, Marysi – po ośmiu, Zuzi – już po trzech miesiącach. Szybko, bo do zrobienia był prospekt emisyjny dużego koncernu medialnego.

### **I to takie ważne?**

– Ten koncern wchodził na giełdę, ktoś musiał to przygotować. Udowadniałam sobie, że mogę połączyć pracę z macierzyństwem.

Do prospektu pisałam informacje o osobach zasiadających w jego organach kierowniczych. Chyba nawet moja mama była wtedy w radzie nadzorczej.

**Czyli musiałaś napisać oficjalną notkę o własnej mamie. Taki mały pomnik jej postawić.**



– To nie pomnik, tylko CV do prospektu. Suche fakty.

### **Trzy suche fakty o mamie to są jakie?**

– Skończyła studia na SGPiS. Otrzymała stypendium Fulbrighta. Była ministrem w rządzie Bieleckiego. Jest szefową Konfederacji Pracodawców Prywatnych „Lewiatan”

### **To cztery fakty. I same sukcesy.**

– Prawdziwe.

### **A jaka mama jest naprawdę?**

– Wspaniała.

### **Pełnia.**

– „Idealna” – to byłaby ta nieosiągalna pełnia. A tak nie powiedziałam.

### **Byłaś dobrym prawnikiem?**

– Niewystarczająco dobrym.

### **Co to znaczy?**

– Byłam pilna. Ale pasji nie da się zastąpić pracowitością. Przez piętnaście lat w korporacji obserwowałam, jak przychodzili nowi, młodszy prawnicy. Kilku z nich mnie wyprzedziło właśnie z tego powodu.

### **A ty?**

– Lubiłam finał projektu. Ale czy to dobra cecha prawnika?

Specjalizowałam się w prawie gospodarczym. Obsługiwałam połączenia firm, przejęcia, debiuty giełdowe, sprawy związane z nieruchomościami, prawem budowlanym. Praca w kancelarii dużo mnie nauczyła i wiele jej zawdzięczam. Tylko...

### **Tylko co?**

– Jestem pracowita i obowiązkowa. I dzięki tym cechom przez piętnaście lat mnie nie wyrzucili. Ale to nie jest wielkie osiągnięcie życiowe.

Skończyłam trzydzieści pięć lat. Któregoś dnia, stojąc z dziećmi w korku między Rakowiecką a rondem ONZ, usłyszałam: „Mamo, nie możesz z nami dzisiaj posiedzieć?”. Odpowiedziałam: „Muszę iść do pracy”. Następnego dnia scena się powtórzyła. W tym samym korku, w tym samym miejscu. Zrozumiałam, że nie chcę dawać im takiego przykładu.

### **Przykładu?**

– Dorastały, zaczynały widzieć, że ich matka jest niespójna. Bo czego innego je uczy, żyje wbrew własnym zasadom. Staralam się im pokazywać, że świat jest ciekawy: „Sprawdź, co cię interesuje. Malarstwo? Sport? A może matematyka?” A tymczasem swoim życiem pokazywałam, że nie wolno zajmować się własnymi potrzebami.

Podobnie ze stylem życia. Męczyła mnie Warszawa, ale bałam się wyprowadzić. Próbowalam własnym dzieciom wpoić coś, na co sama nigdy się nie odważyłam – żeby szły za swoimi marzeniami.

Zmieniłam wszystko naraz. Odeszłam od męża. Straciłam pracę. Porzuciłam to miasto.

### **Po kolei.**

– Moja korporacja prawnicza obsługiwała dużych deweloperów. Przyszedł kryzys. Byłam następna w kolejce do zwolnienia.

W grudniu 2008 roku przyszłam do rodziców. „Nie mam pracy. I przeprowadzam się na wieś” – powiedziałam. Zrobili szybką kalkulację. „Z czego będziesz żyć?” – zapytali. Bez pracy, z kredytem do spłacenia. Sprzedałam mieszkanie na Rakowieckiej, spłaciłam kredyt, spłaciłam byłego już męża – w międzyczasie się rozwiedliśmy.

Jeszcze wcześniej zaczęłam doradzać organizacjom pozarządowym. Najpierw charytatywnie, a potem zawodowo. Pierwszy duży projekt – banki żywności. Potem doradzałam fundacji Dzieci Niczyje. Satysfakcja. Wreszcie robiłam coś ważnego.

### **Mogłaś to robić w Warszawie.**

– Po pierwsze, zebrałam się na odwagę, żeby wreszcie zamieszkać tam, gdzie chcę. Po drugie, nie starczało mi na życie. Tutaj, na wsi, mogę przeżyć z dziećmi za 2,5 tysiąca złotych miesięcznie. A w Warszawie wychodziło co najmniej dwa razy tyle.

Bałam się wyprowadzki. Ale Jorge mnie przekonał.

### **Jorge?**

– On też doradza organizacjom pozarządowym. Jest Hiszpanem od lat mieszkającym w Polsce. „Możesz?” „Zrobimy?” „Damy radę?” Umie używać tych słów. Zamiast kupować czterdzieści metrów na Białołęce – a tylko na takie mieszkanie byłoby nas stać – zbudowaliśmy z Jorgem dom na wsi pod Olsztynem.

Początki były trudne. Pracowaliśmy dla kilku różnych fundacji, ale to nie były duże zarobki. Więc to nowe życie musiało być oszczędne. Tylko raz na dwa miesiące było nas stać na to, żeby pojechać do Warszawy i odwiedzić znajomych.

**Znam wielu ludzi, którzy narzekają: „Mam dość pracy, rzucę wszystko, wyniosę się na wieś i będę kozy hodować”. Ale tego nie robią.**

– Boją się. Też się bałam.

**Miałaś łatwiej. Wiedziałaś, że jeśli zaczniesz tonąć, to bogata mama cię uratuje. Bo jakby co...**

– Co „jakby co”?

**No to spłaci długi. Zawsze możesz do niej iść. Pożyczyć.**

– Raz, drugi, trzeci – i co dalej? Tak ma wyglądać życie dorosłej osoby? Wiem, że mogę liczyć na moją mamę, ale ona ma swoje plany, a ja odpowiadam za swoje długi.

Wcale nie miałam łatwiej.

Życie na wsi nie zawsze było sielskie. Czasem trudniejsze, niż sobie naiwnie z Jorgem wyobrażaliśmy. Najpierw wszystko nam się spaliło. Z pożaru wyratował nas Tom Hanks w „Zielonej mili”. Po prostu świetnie grał, nie zasnęliśmy przy telewizorze i zdążyliśmy uciec. Psy zaczęły szczekać, a płomienie były już dwa metry nad dachem, pod którym spała Zuza. Cały dom spłonął. Zwarcie instalacji elektrycznej.

**Można się trochę zniechęcić.**

– Znajomi z Warszawy pytali: „No to teraz już wróćcie, co?”. A myśmy dostali takie wsparcie! Zamieszkaliśmy u naszej sołtyski. Nawet się nie zastanawiała, w środku nocy po prostu zaprosiła naszą piątkę pod swój dach. We wsi odbyła się zbiórka ubrań.

**Warmińska wieś zbierała ubrania dla córki Henryki Bochniarz?**

– Tak, bo dzień po pożarze nie mieliśmy absolutnie nic. Więcej ci powiem – dostaliśmy paczki żywnościowe. Mieszkaliśmy u sołtyski, jedliśmy u niej, mogliśmy się jedzeniem z paczek podzielić. To był dobry, ważny czas. Wtedy poczułam, że to moje miejsce. I że jestem częścią tej społeczności.

Po pożarze przyszedł rak. W ubiegłym roku miałam mastektomię, potem chemioterapię. I znów wyszłam z tego doświadczenia wzmocniona. Bardzo pomogła mi rodzina i przyjaciele. Pomogli też sąsiedzi. Utwierdziłam się w przekonaniu, że wyprowadzka ze stolicy i podjęcie pracy z misją to były dobre zmiany.

**Co się traci, jak się wyprowadza z Warszawy na wieś?**

– Zyskuje.

**A twoje dzieci, co straciły? Angielski, francuski, karate, joga, kucyki...**

– Tenis i harcerstwo. Marysia chodziła też na pływanie synchroniczne, a Kuba na piłkę wodną w Pałacu Kultury.

## **Co jeszcze?**

– Znikają premiery teatralne i kinowe, wernisaże, koncerty Cioci Jadzi w filharmonii.

## **Dzieci były szczęśliwe, że im fundujesz taką zmianę?**

– Nie mogłam uzależniać wyprowadzki od ich opinii, bo to nie było moje widzimisię, tylko konieczność finansowa. Choć tym razem w zgodzie z moimi marzeniami.

## **Zamiast podstawówki na Mokotowie zafundowałaś im wiejską szkołkę.**

– Gdzie maksimum dzieci w klasie to było piętnaścioro, a minimum – troje.

## **Z wiejskimi nauczycielami.**

– Na bardzo dobrym poziomie.

## **Przez telefon powiedziałaś mi: „Moje dzieci straciły premiery teatralne, ale zyskały sąsiada alkoholika”. Co to znaczy?**

– Pamiętasz nasze komunistyczne przedszkola? Wymieszane jak tylko się dało! Cały przekrój społeczny. Dorastaliśmy na podwórku między blokami, jeździliśmy autostopem, człowiek się uczył, jak sobie dawać radę w różnych sytuacjach. Ale jak sobie dadzą radę dzieci obecnych elit, które są wożone w jedno, drugie, trzecie miejsce? Kolega mi mówi: „Słuchaj, on nie może jeździć na lekcje gitary autobusem, bo ma gitarę za 5 tysięcy”. Słuchasz takich tekstów i się zastanawiasz, jak to dziecko będzie funkcjonować w przyszłości. Jaką będzie elitą? Jak w ogóle można być elitą, jeśli się nie zna różnych ludzi i jeśli się nie jeździło autobusem? Jeśli się nie wie, jakie są problemy chłopaka z przystanku? Jeśli nie umie się zamienić kilku zdań z ludźmi z innych środowisk?

Prowadzisz życie, które powoduje, że twoje postrzeganie świata staje się fałszywe. Możesz funkcjonować w tej bańce, ale poza nią stajesz się bezradny.

**Prof. Barbara Fatyga mówi tak: „W Polsce przestaliśmy mówić o równości społecznej i o tym, że demokracja powinna ciągnąć też biednych. Wychowaliśmy pokolenie, które ma wyższą średnią wykształcenia, ale nie myśli o swojej elitarniej pozycji społecznej w kategoriach służby, lecz wyłącznie w kategoriach przywileju indywidualnego bogacenia się. Wydawało nam się, że można zbudować klasę średnią bez etosu. No to ją mamy. Dlatego różne obszary życia tak kuleją”.**

– Zgoda. Brak nam zaangażowania. Jak porównamy się do Holendrów, z których ponad 80 procent jest darczyńcami, to pewnie powinniśmy się wstydzić. Brak nam

idealizmu. Na Zachodzie nie można zostać politykiem, jeśli się nie ma przeszłości związanej z działalnością charytatywną albo społeczną. Uwiarygadnia cię długotrwałe i konsekwentne zaangażowanie. U nas zaangażowanie jest wciąż podejrzane. Organizacje pozarządowe albo same nie ufają na tyle, by zachęcać do współpracy innych, albo same nie budzą zaufania.

Warszawa jest miastem, które niewiele daje swoim mieszkańcom. Kiedy mieszkasz w Paryżu czy Nowym Jorku, to do skrzynki pocztowej nie dostajesz w kółko ulotek Rossmanna i Pizzy Hut. Dostajesz informacje o adopcji kotów, zajęciach dla uboższych dzieci, o kółku szachowym w sąsiedztwie. To są konkretne oferty działań społecznych, wszędzie cię otaczają. Masz wrażenie, że Nowy Jork jest twoim miastem, bo jeżeli stwierdzisz: „Mam wolne dwie godziny dwa razy w tygodniu”, to z pewnością znajdziesz coś dla siebie. Chcesz wolontariat? Będzie wolontariat. Chcesz szachy? Będą szachy. Aktywność z innymi ludźmi, w której możesz się realizować. A co takiego daje Warszawa? Wciąż niewiele.

### **Zmieniłaś poglądy na wsi?**

– Na pewno widzę teraz więcej. Nie jest prawdą, że ludzie mają u nas równy start. Nasza wieś jest ostatnia na szosie, bo dalej ona się kończy, więc jak stoisz znudzony przed sklepem i patrzysz na drogę, to nawet samochody nie przejeżdżają. Niektórzy tutejsi uważają, że mają trudniej w życiu, bo są na samym końcu.

### **A tak jest?**

– Tak. I chodzi o proste rzeczy. Na przykład o lepsze skomunikowanie takich wsi jak nasza z innymi wsiami i z Olsztynem. Dzieciaki wracają ze szkoły i już nic się nie dzieje. Gdyby zostały na zajęciach dodatkowych w gminie, to nie mają jak wrócić. Państwo i instytucje pozarządowe, zamiast produkować kolejne efektowne pomysły, wydawać pieniądze na pseudoszkolenia, powinny się skoncentrować na lepszej logistyce. Niech samorząd, dom kultury, lokalne fundacje, parafia i szkoła zrobią wspólny kalendarz zajęć pozalekcyjnych i zorganizują wspólnie gimbus z wychowawcą. Myśmy nawet złożyli taki projekt, ale nikt nie był zainteresowany, bo to nie brzmi atrakcyjnie.

**Prowadzisz teraz fundację EFC. Założył ją Andrzej Czernecki, polski biznesmen, który zrobił fortunę na produkcji nakłuwaczy do pobierania krwi. Chorował na raka. Trzy lata przed śmiercią sprzedał firmę i część pieniędzy przeznaczył na stypendia dla młodzieży z biednych regionów Polski. Ilu dzieciom jesteście w stanie pomóc?**

– Przyznajemy około osiemdziesięciu nowych stypendiów rocznie. Chcielibyśmy więcej, ale to zależy od pozyskania dodatkowych funduszy. Czyli teraz mamy na trzech rocznikach dwustu czterdziestu stypendystów. Nasze stypendia nie polegają na dawaniu pieniędzy. Szukamy najzdolniejszych gimnazjalistów na wsi i wysyłamy na dalszą naukę do najlepszych liceów w Warszawie, Łodzi czy Krakowie. Załatwiamy bursę, obiady, kupujemy podręczniki i przybory szkolne, finansujemy naukę języków obcych, wakacje i ferie, zapewniamy opiekę koordynatora regionalnego EFC, pomagamy w rekrutacji na zachodnie uczelnie. Zasady są proste: żeby starać się o stypendium, trzeba mieć średnią minimum 4,75 i dochody w rodzinie poniżej 840 złotych na osobę. Najbliższa rekrutacja rusza już 3 stycznia.

### **I jak im jest w mieście?**

– Najczęściej się adaptują i odnoszą sukces. Czasem mają niską samoocenę. Mimo sukcesów w nauce, olimpiad nie wierzą w siebie. Dziewczyna się martwi: „Jak ja sobie poradzę w dobrej szkole?”

### **Bo będą wyśmiewać moje ubrania.**

– Czasem są takie lęki. Rozmawiamy. Mamy pomoc psychologiczną i pracujemy z tymi dziećmi. Zwykle zdarza się jedna-dwie rezygnacje w trakcie pierwszego roku liceum. Najczęstszym powodem jest brak empatii wśród nauczycieli. Na przykład nauczyciel przy całej klasie mówi: „Mnie nie interesuje, że ty jesteś pod opieką fundacji. Rada szkoły ma być opłacona!”, albo na początku września pyta: „Ile osób zamówiło podręczniki?” Połowa klasy mówi, że już ma. Druga – że jeszcze nie. „To jednak zmienimy podręczniki na wersję rozszerzoną”. Fundacja EFC zapłaci za ten drugi komplet dla naszych podopiecznych, ale co by mieli zrobić ich rodzice bez tej pomocy?

Nauczyciel zarządza, że na polskim trzeba mieć zeszyt A4 w twardej okładce. Zwykły kosztuje 2,50, a ten większy, w twardej – 15 złotych 30 groszy. I tak dalej.

### **Zajmujesz się ruchem odwrotnym, niż sama wykonałaś – dzieci ze wsi wysyłasz między wielkowiejską klasę średnią. Po co?**

– Zależy mi na tym, co sama dałam swoim dzieciom – możliwości wyboru. Jeśli stypendyści EFC pójdą na studia, to świetnie, jeśli pojedą na renomowane zachodnie uczelnie, to jeszcze lepiej, ale najważniejsze jest to, że mają wybór.

Dodatkowa siła fundacji EFC polega też na tym, że możemy w szkołach reprezentować rodziców i przeciwstawiać się rozmaitym pomysłom. Mówimy nauczycielom: „Pamiętajcie, że są w Polsce ludzie, których na zeszyt A4 w twardej okładce nie stać”

**Sołtyska twojej wsi mówi tak: „Infekcję wywołał upadek pegeerów. I to zaraziło całe pokolenie poczuciem beznadziei”.**

– Pegeer był tuż obok, bo kilometr stąd.

Ten problem jest obecny od dwudziestu lat. PKB wzrosło dziesięć razy, Polska się bogaci, a mimo to wiele dzieci z dawnych pegeerów dziedziczy tę infekcję. Oczywiście nie całe pokolenie. I wielu z nich można pomóc.

**Mieliśmy na to przez całe lata świetny wytrych – „nieuchronne koszty transformacji”. Poznałaś tych ludzi z przystanku, którzy stoją i piją piwo?**

– No jasne. Mają po piętnaście lat, tylko to piwo, ten papieros i od razu myślisz, że nie chcesz mieć z nimi do czynienia. Organizujemy dla dzieci ze wsi podchody, chłopaki z przystanku też chcą się bawić. Są normalni. Tylko innego słownictwa używają. Ale każdy z nich jest pełnym człowiekiem.

Styczeń 2014

# Nic w tej sprawie nie zrobiłaś, Doroto!

---

## Rozmowa z DOROTĄ WELLMAN

**DOROTA WELLMAN (1961)** jest absolwentką polonistyki i historii sztuki. Karierę dziennikarską zaczynała w Radiu Solidarność, potem było Radio ZET, TOK FM i telewizja. W TVP 1 prowadziła program „Goniec”, potem z Marcinem Prokopem stworzyli znany duet, prowadzili „Pytanie na śniadanie”, razem przeszli do „Dzień dobry TVN”. W TVN Style miała też program o książkach „Czytam, bo lubię”. Jej mąż Krzysztof jest fotografikiem, mają syna Jakuba.

### **Zatrzymujesz ten tramwaj i co?**

– Zakładam czapkę, biorę teczkę z kanapką i mówię do pasażerów: „Ten tramwaj dalej nie pojedzie. Przyłączamy się do strajku”

### **Masz pietra?**

– Gigantycznego. Że mnie zgnoją, wdepczą w grunt.

### **Jest też scena w stoczni?**

– Tak. Robię tam najzwyczajniej na świecie rozpierduchę razem z koleżankami Pienkowską i Walentynowicz. Stoczniowcy mężczyźni dostali po 1500 złotych podwyżki i zaczynają się rozchodzić. A co z mniejszymi zakładami, które strajkują? Bez wsparcia stoczni zginą.

### **Co krzyczysz?**



– Wajda nie dał mi tekstu, chciał krzyków spontanicznych. „Zostańcie w stoczni!” „Nie dajcie się nabrać!” „Co wy robicie?!“ I jeszcze „kurwy” lecą, bo prawdziwa Henia przeklina siarczyście, znam ją od lat. Trzy kobiety próbują zatrzymać mężczyzn, a oni przepływają przez nie jak rzeka. Są wyżsi o głowę, silniejsi, giniemy w tym tłumie i nasze krzyki giną. A jednak udaje się ich zatrzymać. Dziwna scena.

### **To Wajda zadzwonił?**

– Nie, jego asystentka. „Czy zagra pani Henrykę Krzywonos w najnowszym filmie Wajdy?” Myślałam, że to żart jakiegoś radia, że mnie wkręcą na antenie. Więc w to weszłam i rozmawiałam jak kretynka: „Zagrać u Wajdy? Ależ oczywiście, nie ma sprawy, świetnie to potrafię”. Potem dotarło do mnie, że to naprawdę. Krzysiek, mój mąż, jak zwykle rozsądnie doradził: „Spróbuj. Jak nie wyjdzie, to Wajda weźmie kogoś innego”.

### **Dlaczego Wajda cię chciał?**

– Bo jestem gruba i podobna do Heni. To podobieństwo dotyczy też nadmiaru energii, którą obie emanujemy.

### **O co chodziło wtedy?**

– Pytasz, po co oni zrobili ten Sierpień i „Solidarność”?

### **Tak.**

– Chleba i pracy. Chodziło o równość społeczną. Mówiąc językiem, który niestety się skompromitował: chodziło o socjalizm.

### **Wolność?**

– To przy okazji. Przyjechali do stoczni inteligenci i dopisali piękne hasła. Ważne, ale drugoplanowe.

### **Henia mówiła w stoczni o sklepach za żółtymi firankami, w których zaopatrują się milicjanci i sekretarze. Dostała gigantyczne brawa.**

– No właśnie. Mówiła o tym, co ludzi wkurzało: jedni jedzą szynkę ze specjalnych sklepów, a dla innych nie starcza czarnego salcesonu. Pierwszy sekretarz KW Fiszbach odpowiedział, że nie wie, o co chodzi: „Jakie ma pani dowody, że takie sklepy dla wybranych istnieją?” Po co on udawał? Ale tej sceny nie ma w filmie.

### **Przeniosłaś się na chwilę w tamte czasy. Jak było?**

– Ciekawie. Mam nieodparte wrażenie, że w powietrzu wiszą podobne emocje.

## **Dzisiaj?**

– Tak. Podobny jest ton skargi społecznej. Regularnie czytam wpisy na stronach internetowych. Zawsze kiedy jakiś celebryta pochwali się przed kamerą nowym domem albo autem, pojawia się fala podobnych komentarzy: „Ty darmozjadzie, udław się tą swoją bryką”. „Ty świnię, kupujesz sobie buty za 5 tysięcy złotych, a ja muszę przeżyć za tysiąc”. Poziom nienawiści społecznej moim zdaniem rośnie.

## **Rozumiesz takie wpisy?**

– Rozumiem. Mimo okropnego słownictwa, agresji i jadu, który się w nich pojawia. Z tonem skargi społecznej jest właśnie ten kłopot, że zawsze dźwięczy rymsztokowo, pełen jest nienawiści, przez co sam się kompromituje. Łatwo się skrzywić i zbyć to pogardliwym: „Co za frustraci”. Albo westchnąć: „Polska zawiść”. A następnie szukać przyczyn w „charakterze narodowym”, z czego niewiele wynika. Tymczasem ta zawiść ma przyczyny bardzo konkretne. Pracowicie ją podsycaamy w wolnej Polsce, która staje się państwem skrajnych nierówności, państwem przepaści między bogatymi i biednymi.

## **Zawsze są jacyś biedni i bogaci.**

– Chodzi o skalę. Ze statystyk OECD wynika, że różnica między zarobkami najbogatszych i najbiedniejszych jest w Polsce dużo większa niż we Francji czy w Niemczech. Innymi słowy: bogaci są coraz bogatsi, a biednym poprawia się bardzo powoli albo wcale. To nie wróży niczego dobrego. W zbyt rozwarstwionym społeczeństwie wszystkim żyje się źle. Również bogatym, bo muszą uciekać na strzeżone osiedla, odwracać oczy od biedy i znosić nienawiść współobywateli, którym się nie powiodło. Osiem lat temu ocknęłam się z błógiego poczucia, że wszystko w Polsce idzie w dobrą stronę.

## **Co się wtedy stało?**

– Na moim osiedlu na Ursynowie spaliło się w śmietniku dwóch bezdomnych. Schowali się tam przed zimnem, przykryli szmatami i gazetami, a w nocy spłonęli.

## **Pewnie pili, palili i zaprószyli ogień.**

– Tak. Dokładnie tak było. I co z tego?

**„Sami sobie winni” – tak w internecie komentują to Polacy. „Każdy odpowiada za swój los”.**

– Jeśli każdy ma odpowiadać tylko za swój los, to znaczy, że nie mamy

społeczeństwa. Ono wtedy nie jest do niczego potrzebne. A ja chcę żyć w społeczeństwie, a nie wśród sfory wilków. Ci ludzie byli alkoholikami. No i co? Mają umierać na ulicy? Pod moim domem? Ja na to nie pozwolę.

### **Pomyślałaś: „Źle się dzieje w państwie polskim”?**

– Nie. Pomyślałam o sobie: „Nic w tej sprawie nie zrobiłaś, Doroto Wellman.” Nie snułam mądrych rozważań, że państwo się nie sprawdziło, skoro jego obywatele płoną w śmietnikach. To ja się nie sprawdziłam.

### **Ten śmietnik był gdzie?**

– Pod blokiem. Wyrzucałam tam śmieci i wyprowadzałam psa. A to był czyjś dom w czasie zimowej nocy. Koszmarne uczucie. Jeśli ktoś potrafi przejść nad tym do porządku dziennego, to mu gratuluję dobrego samopoczucia.

### **I co zrobiłaś?**

– Najprostszą rzecz. Wymyśliliśmy z mężem, że pomożemy bezdomnym na Ursynowie, będziemy regularnie zbierać pieniądze i kupować im jedzenie. Chleb, serki topione, konserwy. Znałam w okolicy masę zamożnych ludzi, aktorów, dziennikarzy. Natrzaskać od nich kasę to nie kłopot, zwłaszcza z moją niewyparzoną gębą. Potrafię być w żebractwie bezczelna i nachalna, powiedziec: „Stary, przecież ciebie stać.” Potrzebowałam tylko jakiegoś sojusznika i dobrego miejsca na tę działalność. Poszłam do naszej parafii, ogromny kościół, obok duży budynek parafialny, teraz jest w nim szkoła. „Ja będę zbierać pieniądze, kupować w hurtowniach jedzenie, wy dajcie pomieszczenie, gdzie można to ludziom wydać i zagotować wrzątek.” Ksiądz odparł, że nie ma żadnego pomieszczenia, a poza tym nie może sobie pozwolić na taką – jak się wyraził – „usługę”, bo mogą mu bezdomni wszy do parafii przyprowadzić. To już wiedziałam, że sojusznika nie mam.

### **I co?**

– Odtąd z Panem Bogiem mam kontakt wyłącznie osobisty.

### **Obraziłaś się na Kościół?**

– Obraziłam się? Nie. Obrazić to się mogę na kolegę w pracy, że mnie nie zaprosił na imieniny. Ja dostałam pałą w łeb na otrzeźwienie. Pozbyłam się złudzeń i tyle. Skoro nie Kościół, to kto? Można regularnie wpłacać pieniądze jakiejś fundacji na coś szczytnego, ale wydawało mi się to uspokajaniem sumienia. Chciałam pomóc konkretnym ludziom w konkretnej okolicy. Ludziom obok. Poszłam do osiedlowego sklepu, który prowadziła pani Bożenka z panem Jurkiem – znali wszystkich klientów.

I oni powiedzieli: „Oczywiście!”

### **I nie bali się wszy?**

– Jakoś się nie bali. Ani że klientów będą ci bezdomni im płoszyć. Co miesiąc ustalaliśmy, co kupujemy, w zimie na przykład były to również czapki i rękawice, a oni wydawali te rzeczy w swoim sklepie. Może komuś przedłużyliśmy życie.

### **A bezdomni skąd wiedzieli?**

– No nie żartuj, oni wiedzą wszystko. Znałam ich na Ursynowie. Okazało się, że to kiedyś byli nasi sąsiedzi. „Pani Dorotko” „Panie Krzysiu” Ten człowiek był biznesmenem, potem miał taksówkę, potem zaczął pić, potem dzieci go wyrzuciły na ulicę, a potem go nie poznałam, kiedy prosił o 2 złote. W biografach tych ludzi często odbijają się nasze biografie. Wszystko może się nam zdarzyć, wystarczy wziąć o jeden kredyt za dużo. „2 złote na piweczko jakby pani Dorotka mi dała, to byłbym szczęśliwy”

### **I dajesz?**

– Czasami daję nawet na piwo, chociaż wiem, że to sprzeczne z zasadami dobrej pomocy. Mamy teraz w domu koszyk, do którego wrzucamy wszystkie drobne z kieszeni. Oddajemy je do sklepu, już innego, bo mieszkamy pod Warszawą. Jego właścicielka – pani Wanda – też nie miała oporów. Ludzie dotknięci biedą mogą zrobić darmowe zakupy, z tych drobnych co miesiąc robią się spore sumy.

### **Ile dostałaś za występ w reklamie Activii?**

– Nie mogę o tym rozmawiać. Tak jest w kontrakcie.

### **Podobno 200 tysięcy.**

– Bez komentarza.

### **To dla ciebie dużo pieniędzy?**

– Kupa kasy.

### **Wszystko rozdałaś.**

– Tak. Dzika satysfakcja.

### **Nic sobie nie zostawiłaś?**

– A po co? Ostatnią potrzebę materialną miałam taką: muszę pomóc synowi mieć małe mieszkanie. Moi rodzice, którzy nie żyją, zostawili mu mieszkanie. Więc ma. A ja niczego więcej nie potrzebuję. Ani nowego samochodu, ani innych gadżetów.

## **Samochód masz jaki?**

– Opel insignia, ale prowadzi mąż, bo ja nie mam prawa jazdy.

## **Dom?**

– Drewniany z małym kawałkiem ogródka na wsi pod Warszawą. Od trzech lat.

## **Kredyt?**

– Tak. We frankach.

## **No to mogłaś część kredytu spłacić.**

– Przeszło mi to przez myśl, ale przecież zarabiam, mogę spłacać sama. Odbyliśmy konsultację w domu, co zrobić z pieniędzmi za reklamę. Syn też był. I nie powiedział: „Ale mamo, ja chcę auto”. Zapytali z mężem tylko o jedno: „Czy wiesz, komu konkretnie chcesz to dać”. Wiedziałam.

## **Komu?**

– 100 tysięcy na fundację TVN, bo wiem, czym się zajmują, i mogę dokładnie prześledzić drogę tych pieniędzy. Poszły na remont kliniki pediatrii w Centrum Zdrowia Dziecka. Resztę podzieliłam między hospicja i ośrodki opiekujące się dziećmi.

## **Znasz te miejsca?**

– Tak. Wybrałam te, w których bywałam, którym przekazywałam 1 procent podatku.

## **Ten twój gest wywołał jakieś reakcje?**

– Jak ci powiem, to nie uwierzysz. Niektórzy mieli do mnie pretensje, że to zrobiłam. I że to gest idiotyczny.

## **Jakoś mnie to nie dziwi.**

– Usłyszałam, że to szantaż moralny, bo zmuszam innych do podobnych zachowań. „Jeśli ty oddałaś kasę z reklamy, to ja też będę musiał”. To nie miał być szantaż. Ale nawet jeśli tak to niektórzy odebrali, to nie udał się kompletnie. Nikt nie zrobił tego samego. Pojawiło się za to kilka żenujących plotek dotyczących moich niecnych motywacji, na przykład, że chcę sobie w ten sposób zapewnić dożywotnią pracę w TVN, bo wybrałam ich fundację. Poza tym nic się nie wydarzyło. Cisza. Szkoda, bo można by skrzyknąć celebrycką fundację i dzięki kasie z występów w reklamach masę dobrych rzeczy załatwić. Można mądrzej wydawać pieniądze, niż kupując sobie sukienki za 7 tysięcy.

## **Bo to niemoralne?**

– Nie wiem, nie moja sprawa. Ale pomyśl, jak fajnie by się żyło w Polsce, gdyby wszyscy, którym się udało, dali sobie na wstrzymanie. Gdybyśmy jeździli autami klasy średniej i nie budowali pałaców.

## **Kuba Wojewódzki w cinquecento.**

– Nie. W aucie klasy średniej. Porządnym i wygodnym. Dlaczego to miałyby być takie dziwne? Jest coś niestosownego w sposobie, w jaki wydajemy pieniądze. Niestety, trudno nawet o tym mówić, bo brakuje dziś dobrego języka do takiej dyskusji. Brakuje pojęć. Takie słowa jak „skromność”, „powściągliwość” i „umiar” trącą myszką. Trzeba by używać jakichś pocziwych zdań z Prusa, żeby uzasadnić, dlaczego nie wypada szastać kasą. Coś w tej naszej wolnej Polsce po drodze zgubiliśmy, tylko nawet nie wiemy dokładnie co.

## **Mówisz: „Ocknęłam się osiem lat temu”. A wcześniej co myślałaś?**

– Mniej więcej to, co większość naszego zadowolonego środowiska, które wygrało na przemianach. Nie znasz tego? To przecież twoja gazeta instalowała w Polsce wolny rynek.

## **Drukowała też reportaże o biedzie w upadających pegeerach.**

– No tak, pilnie je czytałam. I myślałam: „To nieuniknione ofiary transformacji, ale potem wszystkim będzie dobrze”. Długo byłam wobec wolnej Polski bezkrytyczna. Pełny optymizm. I przekonanie, że jak będzie lepiej, to WSZYSTKIM. Pamiętasz tę teorię, że przypływ podnosi wszystkie łodzie? Niestety, nie wszystkie. Część łódek spada na dno, a ludzie się topią. Upadały te pegeery, a myśmy robili w Warszawie miłe kariery i mieliśmy to gdzieś.

Czasem mam wrażenie, że mitem założycielskim wolnej Polski było przekonanie, że wszyscy mogą być przedsiębiorczy i zaradni. A jak nie są, to niech się bardziej postarają. Wkurza mnie to ciągłe wytykanie ludzi biednych i niezaradnych palcami: „Patrzcie, ile oni nas kosztują”. W centrum Warszawy wisi na przykład zegar Balcerowicza odmierzający dług publiczny – w całości i na łebka. Cyka ten zegar, cyka, dług co sekundę przerażająco się powiększa. Dług, czyli coś złego. To zło bierze się z zasiłków, rent, służby zdrowia, szkolnictwa i dopłacania do emerytur. Patrząc na to cykanie i myśląc: „Boże, ale co ja z tym zrobię?”. Potem widzę staruszkę w barze, która każdą łyżką zupy przyspiesza to cykanie, bo państwo wypłaca jej emeryturę. Może powinnam dla dobra budżetu wyrwać jej ten barszczyk z gardła?

**Zaradny jegomość w nowym jaguarze długu nie powiększa. Zasiłków nie bierze,**

**nie chodzi do państwowych przychodni, a dzieci posyła do szkół prywatnych.**

– Ale zaciąga innego rodzaju dług. Rozbuchana konsumpcja jest jak zatrucie środowiska przez sto fabrycznych kominów. To się przekłada na złą atmosferę, na poziom skargi społecznej i poczucie zagubienia całej reszty, która nie może do tego poziomu doskoczyć. Więc on w pewnym sensie zaciąga dług, tyle że niepoliczalny, niedający się zmierzyć kasą. A my wszystko mierzymy kasą, bo myślimy wyłącznie ekonomicznie.

**Tramwajarz. Ciężka praca?**

– Tak. Żeby zagrać Henię, musiałam zrobić kurs w warszawskiej zajezdni przy Woronicza.

**Co boli pierwsze?**

– Lewa ręka, bo to był tramwaj starego typu, z ciężką, oporną wajchą. I szybko bołą oczy. Trzeba wciąż kontrolować, co się dzieje na całej długości tramwaju: przed, po bokach, ale też w środku. Pasażerowie mogliby się opierać o drzwi, wypaść przy ich otwieraniu. Nieustanne rzucanie oczami dookoła. Na planie filmu woziłam siedemdziesięciu statystów. Ciężka fizyczna praca.

**Kasjerka w Tesco. Ciężka praca?**

– Myślę, że jeszcze gorsza. Czytałam w „Gazecie” opis dnia z życia kasjerki: klienci rzucają inwektywami, wściekają się, że nie ma towarów z promocyjnej gazetki. One są dla wielu ludzi przezroczyste, jakby nic nie czuły.

**A twoja praca – prowadzenie telewizji śniadaniowej?**

– Bez porównania. Tyle że muszę wstać o 4.30, ale kasjerki pewnie też wtedy wstają.

**Ile zarabiasz?**

– Dobrze. Ale nie tyle, ile sobie ludzie wyobrażają.

**Kasjerka – 1280 na rękę. Samotna z dwójką dzieci. Sprawiedliwe?**

– Nie.

**Zgodziłabyś się na taką umowę społeczną, że jako wyższa klasa średnia zarabiasz mniej?**

– Tak.

**O połowę mniej?**

– Zgoda.

**We Francji nowy prezydent Hollande przywalił najbogatszym gigantyczny podatek – 75 procent.**

– No tak, ale on obowiązuje powyżej miliona euro rocznych dochodów. Gdybym tyle zarabiała, mogłabym płacić. Nie łudzę się, że jak opodatkujemy milionerów dużo wyższymi stawkami, to nagle zapełni się budżet i zbudujemy za to żłobki. Pewnie nie, bo tych milionerów nie jest w Polsce tak wielu. Ale będzie sprawiedliwiej, a atmosfera w życiu społecznym jest ważniejsza niż pieniądze. Bogaty nie zrobił przecież swojej fortuny w próżni, korzystał z własności wspólnej, przestrzeni publicznej, choćby z dróg. Zarobił duże pieniądze, działając w społeczeństwie, więc ma wobec niego duże zobowiązania. Być może nawet 75-procentowe.

**Ile potrzebujesz miesięcznie do życia?**

– Mniej więcej właśnie połowę tego, co zarabiam. Mam dom, gotuję, sprzątam, prowadzę normalne życie. Muszę spłacać kredyt, więc część tej sumy idzie do banku. Staram się ograniczać własne potrzeby. Muszę mieć na książki i na gazety, bo bez tego umrę. Ale nie mam już żadnych materialnych planów. I jak sobie myślę, że w wolnej Polsce tak fantastycznie mi się ułożyło, to mam wyrzuty sumienia. Żeby rozsądnie wydawać nadwyżki, wyznaczam sobie konkretne cele, zwykle w najbliższej okolicy. Wyprowadziłam się na wieś niedaleko jest dom dziecka. Weszłam tam przed świętami i zapytałam, czy czegoś im nie trzeba. Oczywiście okazało się, że trzeba. Dali mi listę.

**Co na niej było?**

– Proszki do prania, jogurty, dżemy i klapki na basen.

**Nie dziwi cię, że żyjemy w państwie, które nie jest w stanie dzieciom w domach dziecka kupić kłapek na basen?**

– Dziwi, no i co? Nie będę roztrząsać swoich zadziwień, tylko kupię te klapki.

**Wyłączasz państwo. To ono – z naszych podatków – powinno je kupić.**

– Ale jeśli to państwo jest niesprawne, kalekie, to ktoś inny musi to robić. Te dzieci nie zastanawiają się, od kogo dostaną klapki. Jaka to dla nich różnica?

**A może byłabyś skuteczniejsza, gdybyś zrobiła w telewizji wielką debatę o tym, dlaczego mamy kiepskie państwo? Dzięki twojemu talentowi ktoś by to pewnie obejrzał.**

– Tyle że ja nie robię programów publicystycznych i społecznych, na takie nie ma



zapotrzebowania. Publicystyka polityczna jest ważna wtedy, gdy odbywa się jatka między Niesiołowskim, Kaczyńskim i Palikotem. To zastąpiło publicystykę społeczną. Gdzie mi do tego? Ja robię program rozrywkowy i proszę się ode mnie odpikać.

### **Tylko dlaczego robisz program rozrywkowy zamiast mądrego?**

– Bo na to jest mało miejsca. Czepiasz się prywatnej stacji, która musi zarabiać. Czepnij się lepiej telewizji publicznej.

### **Na dywagacje, czy Szyc gacie zdyął, czy nie zdyął, to miejsce jest.**

– Nie. Pilnujemy z Prokopem, żeby nie mieć podobnych tematów w swoich programach. Ale czasy są takie, że w telewizji musi być mozaika. Telewizja śniadaniowa ma być trochę tabloidem, magazynem z gwiazdami, a trochę programem o rzeczach istotnych. Mam nadzieję, że nie przeszłam na ciemną stronę mocy i nie pieprzę tam głupot. A jeśli nawet zdarzy się u nas głupi temat, to złośliwie go komentujemy. Słyniemy z Prokopem z takich komentarzy. Z gaci Szycy mogę sobie pokpić. Choć uważam, że świetnie zagrał Hamleta, i o tym mam więcej do powiedzenia.

### **To dlaczego nie o Hamlecie?**

– Bo publiczność chce raczej gaci Szycy, a nie Hamleta.

### **Sami ją tak wychowujemy.**

– Jeśli myślisz, że telewizja wychowuje publiczność, to się mylisz. To publiczność wychowuje telewizję, tresuje ją każdego dnia, co ma odbicie w słupkach oglądalności. Przypominamy chomika, który chodzi w swoim kółku.

### **Może czas wyjść z tego kółka?**

– Najlepiej skoncentrować się na rzeczach małych, a nie na naprawianiu całego świata. Zmieniać coś drobnego w najbliższym otoczeniu. Ja przestaję być chomikiem dzięki pomaganiu, próbuję stawać się wartościowym mieszkańcem okolicy, w której żyję. Nie znalazłam lepszego sposobu, żeby zaprotestować przeciwko nierówności społecznej.

### **I to jest dla ciebie sens życia?**

– Tak. Pomagając innym, pomnik sobie buduję.

### **A nie pracą?**

– Nie żartuj. Co z tego zostanie? Robię w rozrywce, w programach ulotnych. One nie zmieniają świata. Mój czas telewizyjny zresztą się kończy ze względu na wiek. Ludzie

nie chcą oglądać starców. Mam pełną świadomość, że jak zniknę, to nic po mnie nie zostanie.

### **Filmiki na YouTubie.**

– No właśnie. A chciałoby się zostawić po sobie jakiś poważniejszy ślad. Na przykład dobrą pamięć w ludziach, którym się pomogło i którzy przyjdą na pogrzeb. „Prowadziła kiedyś »Dzień dobry TVN«?” To mi napiszą w nekrologu? Byłabym sobą rozczarowana.

Październik 2012